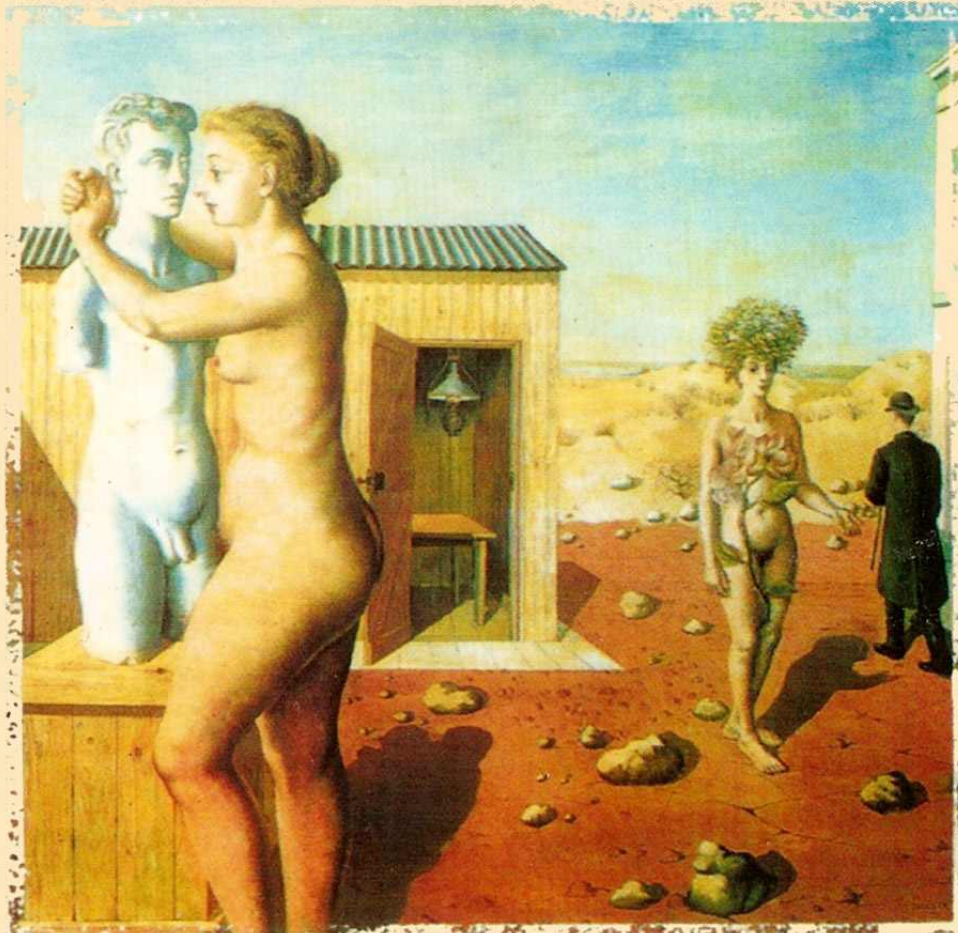


VIP

V A D E M E C U M I N T E R E S U J A C E J P R O Z Y

JAVIER
MARIÁS

SERCE TAK BIAŁE



VIP

JAVIER
MARIÁS

SERCE TAK BIAŁE

Przełożył
CARLOS MARRODÁN CASAS



WARSZAWSKIE
WYDAWNICTWO
LITERACKIE
MUZA SA
WARSZAWA 2000

dla Julii Altares
pomimo Julii Altares

i dla Loli Manery z Hawany
in memoriam

*„My hands are of your colour;
but I shame to wear a heart so white”*

Shakespeare

to znaczy

*„Moje ręce mają twoja barwę;
lecz wstyd mi, że mam serce tak białe”.*

Nie chciałem wiedzieć, ale dowiedziałem się, że jedna z dziewczynek, kiedy już nie była dziewczynką i niedawno wróciła z podróży poślubnej, udała się do łazienki, stanęła przed lustrem, rozpięła bluzkę, zdjęła stanik, odszukała serce i przyłożyła do piersi lufę pistoletu należącego do jej ojca, który z częścią rodziny i z trójką gości siedział w jadalni. Gdy rozległ się wystrzał, mniej więcej pięć minut po odejściu dziewczynki od stołu, ojciec miał zerwać się z miejsca, zamarł z pełnymi ustami na kilkanaście sekund, nie ważąc się ani przegryźć kęsa, ani go przełknąć, ani tym bardziej wypluć na talerz; a kiedy wreszcie zerwał się na nogi i pobiegł do łazienki, ci, którzy ruszyli za nim, widzieli, jak ujrzawszy skrwawione ciało córki i chwyciwszy się za głowę, nieustannie przekłada kęs mięsa w ustach, z prawa na lewo i z lewa na prawo, ciągle nie mając pojęcia, co z nim począć. W rękę trzymał serwetkę, której nie wypuścił, dopóki jego wzrok, po dobrej chwili, nie spoczął na zwisającym z bidetu staniku, i wówczas natychmiast przykrył stanik właśnie tym, co akurat, choć upačkane przez jego usta, miał w rękę lub pod ręką, jakby zawstydział go bardziej widok bielizny niż widok leżącego i wpół nagiego ciała, z którym owa część bielizny jeszcze niedawno się stykała: ciała siedzącego przy stole czy ciała odchodzącego korytarzem, czy też ciała stojącego. Przedtem, odruchowo, ojciec zakręcił odkręcony do oporu kurek nad umywalką, ten od zimnej wody. Córka płakała stając przed lustrem, rozpinając bluzkę, zdejmując stanik i szukając serca, bo rozciągnięta na zimnej podłodze ogromnej łazienki miała oczy pełne łez, których nie dostrzeżono w trakcie obiadu, a nie mogły przecież pojawić się po tym, jak padła bez życia. Wbrew własnym nawykom i ogólnie przyjętym zasadom nie zamknęła się w łazience, co sprawiło, że ojcu błysnęła myśl (ale bardzo przelotnie, bo nawet się jej nie chwycił, kiedy udało mu się przełknąć, co miał przełknąć), iż być może córka,

płacząc, przez chwilę czekała lub nawet miała nadzieję, że ktoś otworzy drzwi i powstrzyma ją od uczynienia tego, co uczyniła, nie siłą, a najzwyczajszą obecnością, przypatrując się jej nagości za życia lub kładąc dłoń na ramieniu. Ale nikt (oprócz niej, ten jeden, jedyny raz i dlatego, że nie była już dziewczynką) nie chodził do łazienki w trakcie obiadu. Piers nietknięta przez kulę była w pełni widoczna, macierzyńska, biała, jeszcze jędrna, i to ku niej właśnie skierowały się instynktownie pierwsze spojrzenia w głównej mierze po to, by nie patrzeć na drugą, której już nie było lub była jedynie krwawą miazgą. Od wielu lat ojciec nie widział tej piersi, bo przestał ją widywać, gdy uległa przeobrażeniu, zaczęła nabierać macierzyńskich kragłości, toteż poczuł się nie tylko przerażony, ale i zmieszany. Druga z dziewczynek, siostra, która z kolei widziała ją właśnie już przemienioną, gdy sama dorosła, a może i później, pierwsza jej dotknęła i ręcznikiem (własnym bladoniebieskim ręcznikiem, po który zwykła sięgać najczęściej) zaczęła ocierać twarz siostry z łez wymieszanych z potem i wodą, zanim bowiem zakręcono kran, strumień wciąż rozbryzgiwał się o umywalkę opryskując policzki, białą pierś i pomiętą spódnicę jej siostry na podłodze. Chciała również, czym prędzej, otrzeć krew, jakby miało to pomóc siostrze, ale ręcznik w jednej chwili przesiąkł, stał się bezużyteczny, a i poplamiał się cały. Zamiast zostawić go, by przesiąkł do końca, i przykryć nim siostrzaną pierś, widząc, że staje się coraz bardziej czerwony, ściągnęła go (to był wszak jej ręcznik) i powiesiła na brzegu wanny, gdzie zaczął powoli obciekać. Próbowwała coś powiedzieć, ale zdołała jedynie wymówić imię siostry, powtórzyć je raz i drugi. Jeden z gości nie mógł powstrzymać się, żeby z odległości kilku metrów nie spojrzeć na siebie w lustrze i nie przyglądać sobie włosów w krótkotrwałym odruchu, wystarczającym jednak, by mógł zauważyć, że i krew, i woda (ale już nie pot) opryskały powierzchnię lustra, a tym samym wszystko, co się w nim odbijało, nie wyłączając i jego przeglądającej się twarzy. Stał w progu, nie wchodząc do łazienki, podobnie jak i dwóch pozostałych gości, jakby mimo zawieszenia w owej chwili norm dobrego

wychowania wszyscy trzej uważali, iż tylko członkowie najbliższej rodziny mają prawo do przekroczenia progu. Wszyscy trzej wyciągali szyje jedynie, nachylając się zarazem niczym dorośli wysłuchujący dzieci, nie ruszając się o krok z obrzydzenia albo przez szacunek, być może z obrzydzenia, choć jeden z nich był lekarzem (ten, który przejrzał się w lustrze) i byłoby czymś najzupełniej normalnym, gdyby zdecydowanie przepchnął się przez wszystkich i zbadał ciało córki lub przynajmniej, przyklękawszy jednym kolanem na podłodze, przyłożył dwa palce do jej szyi. Nie zrobił tego nawet wtedy, gdy ojciec, coraz bledszy i coraz bardziej roztrzęsiony, podniósł ku niemu głowę i wskazując na ciało córki powiedział „Doktorze”, tonem błagalnym, ale pozbawionym emfazy, by następnie odwrócić się doń plecami, nie czekając nawet na reakcję lekarza. I nie tylko do lekarza i pozostałych gości, ale i do własnych córek odwrócił się plecami, zarówno do tej żywej, jak i do tej, której nie miał odwagi jeszcze uznać za martwą i wsparłszy się łokciami o brzeg umywalki, dłońmi zaś podpierając czoło, zaczął zwracać wszystko, co zjadł, łącznie z połkniętym przed chwilą w całości kawałkiem mięsa. Jego syn, znacznie młodszy brat obu dziewczynek, podszedł do niego, ale jedynym rodzajem pomocy, z jaką zdołał pospieszyć, było złapanie ojca za skraj marynarki, jakby przytrzymywał go tylko, by nie szarpał się zanadto przy każdym ataku mdłości, ale dla przypatrujących się temu był to raczej gest oczekujący wsparcia w chwili, w której ojciec sam tego wsparcia potrzebował. Rozległo się pogwizdywanie. Chłopak sklepowy, który czasem spóźniał się z dostawą, przychodząc nierzadko w porze obiadowej, odkładał właśnie pakunki, kiedy padł strzał, również wsunął głowę, pogwizdując, jak zwykli pogwizdywać sobie chłopcy w marszu, ale natychmiast przestał (był w tym samym wieku, co ów młodszy syn), ujrzawszy buty na średnim obcasie, zzute, a może tylko zsunięte z nóg i spódnicę lekko zadartą i poplamioną – poplamione uda – bo stamtąd, gdzie stał, tyle tylko z leżącej córki można było zobaczyć. A że i zapytać nie miał kogo, i trudno było się przepchnąć bliżej, i nikt nie zwracał na niego uwagi, sam zaś nie

wiedział, czy ma zabrać ze sobą puste butelki, wrócił więc do kuchni, znów pogwizdując (ale teraz, żeby pokryć strach albo stłumić wrażenie), zakładając, że wcześniej czy później pojawi się tam służąca, która zazwyczaj wydawała mu polecenia, ale której nie było teraz ani w pomieszczeniach przeznaczonych dla służby, ani pośród stłoczonych w korytarzu, w odróżnieniu od kucharki, która niczym ktoś bliski, ale nie do końca, jedną nogą stała w łazience, drugą zaś poza nią, wycierając sobie co i raz ręce w fartuch, a może czyniąc nimi znak krzyża. Służąca, która w chwili strzału rzucała właśnie na marmurowy blat stołu przy zlewozmywaku puste, przed chwilą przyniesione srebrne półmiski, toteż huk strzału wzięła za hurkot rzucanych przez siebie naczyń, zaczęła następnie układać na tacy, bardzo ostrożnie i niezdarnie – podczas gdy chłopak, również nie bez hałasu, opróżniał swoje skrzynki – tort lodowy, który kazano jej kupić rano ze względu na spodziewanych gości; a ułożywszy już tort i wyrachowawszy sobie, że w stołowym pewnie skończyli już z drugim daniem, zaniósła i położyła tort na stole, na którym, ku jej zakłopotaniu, znajdowały się jeszcze resztki mięsa, sztucce, serwetki rzucone byle jak na obrus, a przy stole nie było żadnego ze stołowników (tylko jeden talerz był całkowicie czysty, jakby któraś z osób, może starsza córka, zjadła szybciej od reszty gości i wytarła swój talerz do czysta kawałkiem bułki, na dodatek w ogóle nie nałożywszy sobie mięsa). Wówczas zdała sobie sprawę, że, nie pierwszy zresztą raz, popełniła błąd, podając deser przed zabraniem jednych i podaniem nowych talerzy, ale nie śmiała sama zebrać i wynieść talerzy, bo a nuż nieobecni stołownicy, przekonani, że nie skończyli jeszcze drugiego dania, zechcą jednak zasiąść ponownie i kontynuować (może powinna również podać owoce). Z uwagi na to, że przykazane miała nie kręcić się po mieszkaniu podczas obiadów i ograniczać swe wędrówki wyłącznie do kuchni i jadalni, by nie przeszkadzać innym, a samej się nie rozpraszać, nie śmiała również przyłączyć się do zamętu grupki tłoczącej się przy drzwiach do łazienki z nie znanego jej jeszcze powodu, więc została, gdzie stała, czekając nie wiadomo na co, z rękami założonymi za plecy, plecami

wspartymi o kredens, z lękiem obserwując tort, który przed chwilą postawiła na środku opuszczonego stołu i zastanawiając się, czy aby nie powinna natychmiast odnieść tortu do lodówki z powodu upału. Zaczęła sobie podśpiewywać, postawiła przewróconą solniczkę, nalała wina do pustego kieliszka, kieliszka doktorowej, która piła szybko. Po kilku minutach wpatrywania się w tracący z wolna swą konsystencję tort, całkowicie niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji usłyszała dzwonek do drzwi wejściowych, a że otwieranie drzwi wejściowych należało również do jej obowiązków, poprawiła czepek, wygładziła fartuszek, zerknęła, czy nie ma przekrzywionych pończoch, i wyszła na korytarz. Rzuciła okiem na lewo, tam, gdzie tłoczyła się grupka gości, których szepty i zduszone krzyki słyszała zaintrygowana od jakiegoś czasu, ale ani się nie zatrzymała, ani nie podeszła do łazienki, od razu kierując się w prawo, by spełnić swe obowiązki. Otworzywszy drzwi, spotkała się z dogasającym już śmiechem i z mocnym zapachem wody kolońskiej (schody w mroku), dochodzącym od najstarszego syna państwa albo od jego dopiero co upieczonego szwagra, który nie tak dawno wrócił z podróży poślubnej, bo obaj stali w progu, może spotkali się na ulicy albo w bramie (na pewno przyszli na kawę, ale nikt jeszcze nie zaparzył kawy). Służąca, nieomalże przyłączając się do ich śmiechu, odsunęła się na bok i przepuściła, ale zdążyła jeszcze zauważyć, jak nagle zmienia się wyraz ich twarzy i obaj rzucają się korytarzem ku obleganej łazience. Z tyłu, bardzo blady, biegł mąż, szwagier, położywszy rękę na ramieniu brata, jakby chciał go zatrzymać, żeby nie zobaczył tego, co mógł zobaczyć, a może sam się go trzymając. Służąca nie wróciła już do jadalni, tylko w naśladowczym odruchu ruszyła za nimi, niemal podobnie przyspieszając kroku, a kiedy dotarła do drzwi łazienki, znów poczuła, ale tym razem jeszcze mocniej zapach dobrej wody kolońskiej jednego z młodych panów albo ich obu, jakby rozlał się cały flakon, albo któryś z nich nagle oblał się potem, wzmacniającym ów zapach. Zatrzymała się tam, nie wchodząc, obok kucharki i pozostałych gości, i kątem oka zobaczyła, że chłopiec sklepowy pogwizdując przechodzi właśnie z

kuchni do jadalni, pewnie szukając jej tu i tam; była jednak zbyt przestraszona, żeby krzyknąć nań albo obsztorcować, albo w ogóle zaprzętać sobie nim głowę. Chłopak, który już wcześniej zobaczył, co zobaczył, z całą pewnością spędził sporo czasu w jadalni, a później poszedł sobie bez słowa pożegnania i bez pustych butelek, bo kiedy kilka godzin później roztopiony już tort zabrano wreszcie ze stołu i owinąwszy w papier wyrzucono do śmieci, brakowało w nim sporej porcji, której nie zjadł żaden z biesiadników, a i kieliszek doktorowej znowu był pusty. Wszyscy twierdzili, że Ranza, szwagra, męża, mojego ojca, dotknęło prawdziwe nieszczęście, bo już po raz drugi zostawał wdowcem.

To zdarzyło się bardzo dawno temu, kiedy nie było mnie jeszcze na świecie, a nawet nie miałem najmniejszej możliwości przyjścia na świat, mało tego, dopiero po tym, co się stało, stworzono mi możliwość przyjścia na świat. Teraz jestem żonaty, niespełna rok temu wróciłem z podróży poślubnej z Luizą, moją żoną, którą poznałem zaledwie dwadzieścia dwa miesiące temu, błyskawiczne małżeństwo, względnie błyskawiczne małżeństwo jak na decyzję wymagającą ponoć długiego namysłu, nawet w tych zawrotnie szybkich czasach, które niewiele wspólnego mają z tamtymi, nie tak znów odległymi (dzieli je, na przykład, jedno niecałkowite życie albo może już w połowie przeżyte, moje własne życie albo życie Luizy), kiedy wszystko było niepochochopne, niespieszne i wszystko było przemyślane, i stopniowe, i wszystko miało właściwy sobie ciężar, nawet głupstwa, nie mówiąc o śmierci, tym bardziej poniesionej z własnej ręki, jak śmierć tej, która powinna była być moją ciotką Teresą, a zarazem nigdy nie mogłaby nią być pozostając tylko i wyłącznie Teresą Aguilerą, o której istnieniu dowiadywałem się po trochu i powoli, lecz nigdy z ust jej młodszej siostry, a mojej matki, która milczała przeważnie i w latach mojego dzieciństwa, i w latach mojej młodości, a później też umarła i zamilkła na zawsze, ale od innych osób, nie tak bliskich, a nawet przypadkowych, wreszcie od Ranza, męża obu sióstr, ale i męża jeszcze jednej cudzoziemki, z którą nie łączy mnie już żadne pokrewieństwo.

Prawdą jest, że jeśli całkiem niedawno poczułem nagle, że chcę jednak wiedzieć, co takiego wydarzyło się tak dawno temu, stało się to właśnie wskutek mojego małżeństwa (choć raczej nie chciałem, ale dowiedziałem się). Od czasu gdy w nie wstąpiłem (zwrot ten już wyszedł z użycia, ale jest wyrazisty i użyteczny), zaczęły ogarniać mnie przeróżnego rodzaju przeczucia katastrofy, coś podobnego do sytuacji, kiedy jest się w stanie choroby, podczas której nigdy i do końca nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle się z niej wyjdzie. Zwrot

zmienić stan, używany zazwyczaj niefrasobliwie, a tym samym niewiele znaczący, wydaje mi się w moim przypadku najwłaściwszy i najdokładniej oddający stan rzeczy, ja zaś, wbrew utartemu zwyczajowi, traktuję go z całą mocą i powagą. Tak jak choroba odmienia nas na tyle, że zmusza nas do przerywania wszystkiego i położenia się na nie wiadomo ile dni do łóżka, z którego na świat patrzeć możemy jedynie z perspektywy naszej poduszki, tak i moje małżeństwo doprowadziło do zawieszenia moich dotychczasowych przyzwyczajzeń, a nawet przekonań, i, co najistotniejsze, mojego oglądu świata. Może dlatego, że było to małżeństwo cokolwiek zapóźnione; gdy w nie wstąpiłem, miałem trzydzieści cztery lata.

Zasadniczym i najbardziej typowym problemem w początkach umiarkowanie konwencjonalnego małżeństwa jest to, że pomimo charakterystycznej dla naszych czasów nietrwałości związków i ułatwień, jakimi dysponują osoby wstępujące w związki, by ów związek rozwiązać, nie da się tradycyjnie uniknąć przykrego uczucia, że wreszcie się dotarło, ale, tym samym, że osiągnęło się kres, albo inaczej mówiąc (bo dni jednak nadal po sobie następują i nie ma temu końca), że nadszedł moment, w którym trzeba podjąć decyzję o poświęceniu się czemuś zupełnie innemu. Dobrze wiem, że to niebezpieczne i błędne uczucie, a poddanie się mu lub przyjęcie za prawdziwe staje się przyczyną tego, że tyle zapowiadających się jak najlepiej małżeństw, ledwie zaistniawszy, już ponosi klęskę. Dobrze wiem, że przede wszystkim należy się otrząsnąć z tego pierwszego uczucia, i jak najdalej od myśli o poświęceniu się czemuś zupełnie innemu, poświęcić się właśnie temu małżeństwu, jakby to była dla nas najważniejsza budowla i najważniejsze zadanie, nawet jeśli się uważa, że zadanie już zostało wykonane, a budowla wzniesiona. Dobrze o tym wszystkim wiem, a mimo to, kiedy się ożeniłem, już w czasie podróży poślubnej (byliśmy w Miami, w Nowym Orleanie, w Meksyku, na koniec zaś w Hawanie), doznałem zarówno tego uczucia, jak i innego, równie przykrego, i dotąd się zastanawiam, czy owo drugie odczucie było i jest wyłącznie

urojeniem wymyślonym lub wyszukany dla osłabienia pierwszego, a może i przezwyćżenia. Tym pierwszym uczuciem dyskomfortu jest owo wspomniane już przeze mnie odczucie, które, wnosząc z tego, co człowiek tu i ówdzie słyzy, z charakteru docinków, jakie padają pod adresem osób przygotowujących się do ślubu i wielu prześmiewczych przysłów istniejących w moim języku, jest widocznie wspólne wszystkim wstępującym w związki małżeńskie (szczególnie mężczyznom) w początkach czegoś, co w sposób niepojęty postrzega się i przeżywa jako kres tego czegoś właśnie. Owo poczucie dyskomfortu zawrzeć można w przerażającym pytaniu i nie mam pojęcia, co robią inni, żeby je przewalczyć: „A teraz co?”

Nie wiadomo jak długo ta *odmiana stanu*, niczym choroba, może trwać, ale na pewno wszystko przerywa, lub przynajmniej nie pozwala, by wszystko, co dotąd było, nadal było jak dotąd: nie pozwala, na przykład, by po kolacji na mieście lub po wyjściu z kina każde z nas udało się do swojego domu, i byśmy w ten sposób się rozstali, bym odwiózłszy samochodem lub taksówką Luizę pod jej dom, i tam ją zostawiwszy, mógł, już sam, pokręcić się jeszcze po pustych już niemal i zawsze już wymytych ulicach, myśląc najpewniej o niej i o przyszłości, i sam wrócić do swojego domu. A po ślubie, po wyjściu z kina, kroki nasze niosą nas w tę samą stronę i w to samo miejsce (rozbrzmiewając nierównocześnie, bo to już cztery stopy pokonują drogę), ale nie dlatego, że postanowiłem ją odprowadzić, nawet nie dlatego, że takie mam zasady i wydaje mi się, że tak wypada i dobre wychowanie tego wymaga, ale dlatego, że teraz stopy bez najmniejszego wahania stąpają po mokrym chodniku i nie deliberują, i nie zmieniają nagle wcześniejszego zamiaru, i nie mogą żałować i wybierać też nie mogą; teraz nie ma wątpliwości, że idziemy w to samo miejsce, czy tej akurat nocy chcemy tego czy nie, a może to ja wczoraj w nocy nie chciałem?

Już w czasie podróży poślubnej, kiedy owa *odmiana stanu* zaczęła się ujawniać (że się zaczęła, nie jest najdokładniejszym określeniem, bo *odmiana* następuje gwałtownie i nie daje nawet

chwili wytchnienia), zdałem sobie sprawę, że z trudem przychodzi mi myśleć o Luizie, a wręcz niemożliwe stało się myślenie o przyszłości, co jest jedną z największych przyjemności, jaką ktokolwiek może sobie wyobrazić, jeśli nie naszym codziennym zbawieniem: myśleć niespiesznie, błądzić myślami wokół tego, co ma nadejść albo nadejść może, zastanawiać się niezbyt konkretnie i bez większej dociekliwości, co też z nami będzie choćby jutro lub za pięć lat, i nad tym, czego w ogóle nie przewidujemy. Już w czasie poślubnej podróży jakby się zgubiła i nie istniała abstrakcyjna przyszłość, czyli ta istotnie ważna, bo terażniejszość nie jest w stanie ani jej zabarwić, ani przyswoić. Owa zmiana zatem zmusza do tego, żeby wszystko, co przestało być jak dotąd, tym bardziej zaś, jeśli, jak to się zdarza, zmianę tę poprzedzały i zapowiadały wspólne wysiłki, których najistotniejszym i widowym objawem jest nienaturalne urządzenie wspólnego domu, który dla nikogo z dwojga nigdy przedtem nie był domem, niemniej oboje muszą się doń wprowadzić, nienaturalnie. Już choćby ten obyczaj czy praktyka, dość rozpowszechnione, o ile mi wiadomo, dowodzą, iż w istocie rzeczy wstępując w związek, obie wstępujące strony wymagają od siebie obopólnego umorzenia lub unicestwienia, umorzenia osoby, jaką każde z nich dotąd było i w której ta druga osoba się zakochała lub dostrzegła korzystne przymioty, bo nie zawsze wpierw jest zakochanie, czasem przychodzi ono potem, czasem ani potem, ani przedtem. Bo przyjść nie może. Unicestwienie każdego z obojga, a więc osoby, którą się poznało, z którą się obcowało i której się pragnęło, idzie w parze z likwidacją domu każdej z nich lub w tejże się symbolicznie przejawia. W ten oto sposób dwie osoby nawykłe do życia z osobna i przywykłe do przebywania osobno, każda we właściwym sobie miejscu, do budzenia się w pojedynkę i nierzadko zasypiania w pojedynkę, raptem znajdują się nienaturalnie złączone we śnie i w swym przebudzeniu i w swym jednokierunkowym kroczeniu po pustych niemal ulicach albo razem w windzie, już nie, że jedno z wizytą, a drugie przyjmując u siebie, już nie, że jedno podjeżdża po drugie, które właśnie zjeżdża mu na spotkanie, gdy to

pierwsze czeka w samochodzie lub w taksówce, ale obydwójce razem, bez możliwości wyboru, z pokojami i z windą, i z drzwiami, które nie należały do żadnego z nich, teraz zaś należą do obydwójka, ze wspólną poduszką, o którą będą musieli walczyć przez sen i z perspektywy której, niczym osoba złożona chorobą, będą, koniec końców, oglądać świat.

Jak już mówiłem, owego pierwszego uczucia dyskomfortu doznałem podczas pierwszego etapu poślubnej podróży, w Miami, mieście obrzydliwym, ale ze świetnymi plażami dla nowożeńców, i zacząłem czuć się coraz bardziej nieswój w Nowym Orleanie i w Meksyku, i uczucie to pogłębiło się w Hawanie i od niespełna roku, od naszego powrotu z podróży i tak nienaturalnego wprowadzenia się do naszego domu, narastało to wciąż lub zagnieździło się we mnie, a może i w nas. Ale owo drugie i od razu silne poczucie dyskomfortu ogarnęło mnie pod koniec podróży właśnie dopiero w Hawanie, skąd po części pochodzę, a dokładniej w jednej czwartej, tam bowiem urodziła się i stamtąd przybyła do Madrytu moja babcia ze strony matki, kiedy była dziewczynką, matka Teresy i Juany Aguilera. Zdarzyło się to w hotelu, w którym stanęliśmy na trzy dni (pieniędzy nie mieliśmy wcale tak wiele, w każdym miejscu przebywaliśmy krótko), w dniu, w którym Luiza podczas popołudniowej przechadzki poczuła się źle, na tyle i nieoczekiwanie źle, że przerwaliśmy nasz spacer i natychmiast wróciliśmy do pokoju, żeby mogła się położyć. Miała dreszcze i mdłości. Nie mogła utrzymać się na nogach, dosłownie. Zjadła coś, co jej zaszkodziło, bez wątplenia, ale wówczas nie byliśmy tego zbyt pewni, więc w pierwszej chwili pomyślałem, czy przypadkiem nie zapadła w Meksyku na jedną z tych chorób, tak łatwo atakujących tam Europejczyków, coś tak groźnego jak ameba. Towarzyszące mi w skrytości ducha od ceremonii ślubnej przeczucia katastrofy przybierały różną postać, jedną z nich (najwyraźniejszą albo nie taką znów skrytą) było właśnie przekonanie o grożącej chorobie lub nagłej śmierci osoby, która miała dzielić ze mną życie, konkretną

przyszłość i przyszłość abstrakcyjną, bez względu na odczuwane przeze mnie wrażenia, że ta ostatnia już się skończyła, a moje życie jest już w połowie przeżyte; a może i życie nas dwojga, już złączonych. Nie chcieliśmy od razu wzywać lekarza, bo a nuż jej przejdzie, położyłem ją do łóżka (naszego hotelowego łóżka i małżeńskiego), by spokojnie zasnęła, jakby to miało przynieść jej ulgę. Zdawała się zasypiać, ja zaś starałem się zachowywać jak najciszej, żeby odpoczęła, a najlepszym sposobem, jaki znalazłem dla odpędzenia nudy lub pokusy hałasowania, czy też zagadywania do Luizy, było wyjście na balkon, by porozglądać się tu i ówdzie, popatrzeć na przechodzących hawańczyków, przyjrzeć się, jak się noszą i w czym się noszą, przysłuchać się z daleka ich głosom, szeptom i szmerom. Błądziłem spojrzeniem po ulicy, ale myślami byłem w pokoju, za swoimi plecami, w łóżku, w którym Luiza leżała na ukos, zajmując właściwie całe łóżko; tak naprawdę więc, nic z tego, co działo się na ulicy nie mogło zająć mej uwagi. Patrzyłem na ulicę, jak ktoś, kto przychodzi na imprezę wiedząc, że nie będzie na niej jedynej interesującej osoby, która została w domu ze swoim mężem. Ta jedyna osoba leżała w łóżku, dogładana przez swego męża i za moimi plecami.

A mimo to, po paru minutach patrzenia niewidzącymi oczyma, zdołałem wychwycić jedną osobę. A wychwyciłem, bo w odróżnieniu od innych, nie ruszała się przez te kilka minut, nie przeszła, nie zniknęła z mojego pola widzenia, ale stała spokojnie w tym samym miejscu, postać trzydziestoletniej, mniej więcej i z daleka, kobiety, w żółtej bluzce, z zaokrąglonym dekoltem, w białej spódnicy i białych butach na obcasach, z wiszącą na zgiętej w łokciu ręce dużą czarną torbą, taką jakie w czasach mojego dzieciństwa nosiły kobiety w Madrycie, ogromne torebki zwisające na zgiętej w łokciu ręce, a nie przerzucone przez ramię jak teraz. Czekala na kogoś, jej zachowanie było najwyraźniej wyczekujące, bo co jakiś czas kierowała dwa, trzy kroki to w jedną, to w drugą stronę, a stawiając ostatni krok powłóczyła lekko i zwinnie obcasem po ziemi, oznaka hamowanej

niecierpliwości. Nie opierała się o ścianę, jak to zazwyczaj robią ci, co czekają, żeby nie przeszkadzać tym, którzy nie czekają i przechodzą; trzymała się środka chodnika, ruszając się nie dalej niż na owe trzy, wymierzone kroki, które zawracały ją w to samo miejsce, co utrudniało jej omijanie przechodniów, któryś z nich nawet coś jej powiedział, odpowiedziała mu ze złością i pogroziła mu solidną torebką. Co jakiś czas spoglądała za siebie zginając nogę i dłonią wygładzała obcisłą spódnicę, jakby w obawie, że jakaś fałdka zeszpeci jej tyłek, a może poprawiała sobie niesforne majtki obciągając okrywający je materiał. Nie patrzyła na zegarek, nie miała zegarka, być może orientowała się według wiszącego pewnie nad moją głową, stąd niewidocznego dla mnie, zegara hotelowego, rzucając nań szybkie spojrzenia, których nie byłem w stanie dostrzec. Być może hotel w ogóle nie miał zegara od frontu i kobieta przez cały ten czas w ogóle nie wiedziała, która jest godzina. Wydawało mi się, że jest Mulatką, ale z miejsca, w którym się znajdowałem nie mogłem z całkowitą pewnością stwierdzić.

Nagle zapadła noc, bez jakichkolwiek niemal zwiastunów, jak to w tropikach i choć nie od razu ubyło przechodniów, zanik światła sprawił, że w moich oczach czekająca kobieta była jakby bardziej samotna, bardziej odosobniona i coraz bardziej skazana na to, że nie doczeka. Nie dojdzie do spotkania. Skrzyżowawszy ręce podtrzymywała łokcie w dłoniach, jakby z każdą upływającą sekundą ręce coraz bardziej jej ciążyły, a może to ta ogromna torebka stawała się coraz cięższa. Jej mocne nogi, w sam raz do czekania, wbijały się w chodnik cieniutkimi i wysokimi obcasami, raczej szpilkami, ale nogi miała tak silne, tak przykuwające wzrok, że wchłaniały właściwie owe obcasy i bezpośrednio wbijały się krzepko – niczym nóż sprężynowy w mokre drewno – w wybrany przez siebie punkt, za każdym razem gdy doń wracały po nieznacznym przemieszczeniu się w prawo lub w lewo. Pięty jej wystawały. Usłyszałem cichutkie westchnienie, a może to był jęk dochodzący z za moich pleców, z łóżka, w którym leżała chora Luiza, moja żona, z którą nie tak

dawno wstąpiłem w związek i która tak bardzo mnie zajmowała, moja powinność. Ale nie odwróciłem głowy, bo był to jęk wydany przez sen, człowiek szybko uczy się rozpoznawać odgłosy jakie przez sen wydaje osoba, z którą sypia. W tej samej chwili kobieta z ulicy podniosła oczy ku trzeciemu piętru, na którym zajmowałem pokój, i odniosłem wrażenie, że zatrzymuje na mnie swój wzrok po raz pierwszy. Wyteżyła wzrok jakby była krótkowidzem albo miała brudne szkła kontaktowe i skonsternowana zaczęła to wpatrywać się we mnie, to uciekać wzrokiem nieco w bok i mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć, i znowu to wpatrywać się, to uciekać. Nagle podniosła rękę, rękę wolną od torebki, w geście, który nie był ani gestem pozdrowienia, ani gestem przybliżenia, chcę powiedzieć – przybliżenia się do nieznanym osoby – ale gestem przywłaszczenia i rozpoznania, uwiecznionym zawrotnym wirem palców: tak jakby tym gestem ręki i trzepotem palców chciała mnie ucapić, raczej ucapić niż zwabić ku sobie. Krzyknęła coś, czego ze względu na odległość nie mogłem usłyszeć, ale byłem przekonany, że na pewno krzyczała do mnie. Z ruchu odgadywanych ust mogłem jedynie zrozumieć pierwsze słowo, a słowem tym było „Ej!”, wymówione z oburzeniem, tak jak i reszta zdania, która nie dotarła do mnie. Mówiąc ruszyła jednocześnie, żeby podejść bliżej, musiała przejść przez ulicę, pokonać szeroką esplanadę oddzielającą hotel od jezdni a zarazem oddalającą go i chroniącą od ruchu pojazdów. Dopiero gdy oderwała się od miejsca, gdzie czekając stawiała swe kroki wte i wewte, spostrzegłem, że idzie z trudem i powoli jakby niezwyczajna obcasów, albo jakby jej mocne nogi nie były do nich stworzone, albo jakby torebka utrudniała jej zachowanie równowagi, albo odczuwała nudności. Szła trochę tak, jak niedawno szła Luiza, gdy poczuwszy się źle wracała do pokoju, by paść na łóżko, gdzie rozebrałem ją częściowo i ułożyłem (i nawet przykryłem mimo upału). Ale nawet w tych bezradnych krokach domyślić się można było wdzięku chwilowo wykoślawionego: gdyby Mulatka szła boso, chód jej pełen byłby wdzięku, falowałaby jej spódnica uderzając rytmicznie o uda. Mój pokój tonął w ciemnościach, nie zapalił nikt światła, gdy noc

zapadła, niedomagająca Luiza spała, ja nie ruszałem się z balkonu, patrzyłem na hawańczyków, później zaś na tę kobietę, która szła i szła w moją stronę chwiejnym krokiem, nie przestając wykrzykiwać tego, co teraz już mogłem dosłyszeć:

– Ej! A ty co tam robisz?

Struchlałem zrozumiałwszy, co mówi, ale zdumiony nie tyle, że kieruje swe słowa do mnie, ile użytym przez nią tonem daleko idącego spoufalenia i furii, swoistym dla kogoś, kto gotów jest rozprawić się z najbliższą sobie lub z ukochaną osobą, która nieustannie wyprowadza go z równowagi. To nie tak, że spostrzegłszy, iż jest obserwowana przez jakiegoś nieznanego z balkonu hotelu dla cudzoziemców, szła prosto na mnie, by zrugać za bezkarne podpatrywanie jej osoby i jej daremnego wyczekiwania, ale nagle, podniósłszy wzrok, rozpoznałszy we mnie tego, na którego czekała, Bóg jeden wie jak długo, bo bez wątpienia w chwili, kiedy wychwyciłem ją z tłumu, swoje już odstała. Była jeszcze niezbyt blisko, nie kłopotząc się szukaniem przejścia dla pieszych przeszła przez jezdnię przepuszczając nieliczne zresztą samochody i już była na skraju esplanady, i tam się zatrzymała, być może chciała dać odpocząć stopom i tak bardzo wyróżniającym się nogom, albo chciała raz jeszcze wygładzić spódnice, teraz tym gorliwiej, skoro nareszcie stała przed tym, kto powinien osądzić lub docenić fason, fason spódnicy. Wciąż to na mnie zerkiała, to nieco uciekała wzrokiem w bok, jakby miała leciutkiego zeza, bo oczy jej nagle biegły na lewo ode mnie. A może zatrzymała się i stanęła w pewnej odległości, żeby okazać swoją złość i to, że wcale nie chce, by doszło jakby nigdy nic do spotkania teraz, gdy mnie wreszcie wypatrzyła, jakby nie przecierpiała nic a nic, albo nie spotkał jej despekt parę minut temu. Wtedy wygłosiła kolejne zdania, którym nieodmiennie towarzyszył ów początkowy gest ramienia i ruchliwych palców, gest ucapienia, jakby mówiący: „Chodź no tu” albo „Mam cię”. Ale na głos, głosem rozedrganym, postawionym, nieprzyjemnym jak głos

telewizyjnego prezentera albo polityka w trakcie przemówienia czy dyktującego lekcję nauczyciela (ale chyba była niedoukiem), mówiła:

– A ty co tam robisz? To ty nie widzisz, że ja tu od godziny czekam i czekam? To ty powiedziec mi nie mogłeś, że ty już wszedłeś na górę?

Wydaje mi się, że mówiła to tak właśnie, z nieznacznym przestawieniem szyku i z nadmiarem zaimków i partykuł w porównaniu z tym, jak ja bym to powiedział czy ktokolwiek z mojego kraju, jak sędzę. Choć nadal byłem struchlały i zdumiony, na dodatek zacząłem obawiać się, że krzyki owej Mulatki obudzą Luizę za moimi plecami, teraz mogłem przypatrzeć się dokładniej twarzy, która rzeczywiście była twarzą bardzo jasnej Mulatki, może w jednej czwartej Murzynki, co bardziej widoczne było w grubych wargach i w przypłaszczonym nieco nosie niż w tonacji skóry, niewiele różniącej się od tonacji skóry Luizy w łóżku, która od wielu dni opalała się na plażach dla nowożeńców. Przymrużone oczy kobiety wydawały mi się jasne, szare lub zielone, a przynajmniej śliwkowe, być może jednak, pomyślałem, zażyczyła sobie w prezencie barwionych szkieł kontaktowych, przyczynę jej wzrokowych niedostatków. Nozdrza miała nieokiełznane, poszerzone przez złość (twarz miała w pędzie wskutek tego) i nazbyt poruszała ustami (teraz bez najmniejszego problemu mógłbym czytać z jej ust, gdyby zachodziła taka potrzeba), strojąc grymasy podobne do grymasów kobiet z mojego kraju, to znaczy, wyrażające wrodzoną wzdargę. Nie przestawała podążać ku mnie, coraz bardziej oburzona brakiem odpowiedzi, nieustannie powtarzając ten sam gest ręką, jakby nie dysponowała żadnym innym środkiem ekspresji; długie obnażone ramię przecinało powietrze krótkim uderzeniem, a palce co jakiś czas zrywały się do lotu, jakby ucaścić mnie miały a potem ściągnąć, szpony. „Mam cię” albo „Zatłukę na śmierć”.

– Czyś ty zidiociał, czy co? A może ci mowę odjęło? A może byś się wreszcie odezwał do mnie?

Już była niedaleko, przeszła esplanadą dziesięć, może dwanaście kroków, w sam raz tyle, by jej ostry głos nie tylko było wyraźnie słyhać, ale i huczał już w całym pokoju; a i w sam raz, tak się łudziłem, by wreszcie, ślepa nie ślepa, zobaczyła, że ja to ja, ale na razie nie ulegało wątpliwości, że ja to właśnie ta osoba, z którą była umówiona na ważne i niecierpiące zwłoki spotkanie, i która spóźniała się i doprowadzała ją do białej gorączki przyglądając się milcząco z mojego balkonu i obrażała ją tym, i obrażać wcale nie przestawała. Ale ja nikogo w Hawanie nie znałem, więcej, po raz pierwszy w życiu byłem w Hawanie, w podróży poślubnej z moją, od tak niedawna, żoną. Odwróciłem się w końcu i zobaczyłem siedzącą w łóżku Luizę, z oczyma utkwionymi we mnie, ale nierozpoznającymi mnie jeszcze i nierozpoznającymi w ogóle miejsca, z tymi rozgorączkowanymi oczyma chorej osoby, która budzi się przelękniona, nagle, nie otrzymawszy we śnie sygnału o zbliżającym się przebudzeniu. Siedziała wyprostowana, stanik przemieścił się jej nieco podczas snu albo w czasie gwałtownego ruchu, jaki, siadając, przed chwilą wykonała: przekrzywiony stanik odsłaniał ramię i niemal całą pierś, na pewno ją cisnął, a może sama, zmorzona snem i osłabiona, przesunęła go, zapomniawszy, że ma go na sobie.

– Co się dzieje? – zapytała lękliwie.

– Nic – odpowiedziałem. – Spij, śpij, pośpij jeszcze.

Ale nie odważyłem się podejść do niej i pogłaskać po włosach, by rzeczywiście ją ukoić i pomóc zasnąć ponownie, jak zrobiłbym to w każdym innych okolicznościach, bo w tym momencie nie starczało mi odwagi na opuszczenie zajmowanego przeze mnie balkonu, nawet na oderwanie wzroku od tej kobiety przekonanej, że jest ze mną umówiona, ani na wykręcenie się od jazgotliwego i niechybnego dialogu napastującego mnie z ulicy. Szkoda że mówiliśmy tym samym językiem, a ja mogłem ją zrozumieć, bo to, co jeszcze nie było dialogiem, już stawało się gwałtowne, być może dlatego, że nim nie było, nie było dialogiem.

– Ja cię na śmierć zatłukę, ty skurwysynu! Jak mi Bóg miły, zatłukę cię na miejscu! – wrzeszczała kobieta z ulicy.

Wrzeszczała leżąc plackiem na ziemi, nie mogąc już patrzeć na mnie, bo dokładnie w tej samej chwili, gdy odwróciłem się, by Luizie rzec dwa słowa, Mulatce zsunął się but i upadła, nie czyniąc sobie żadnej krzywdy, ale z miejsca brudząc sobie białą spódnicę. Krzyczała swoje „Zatłukę na śmierć” podnosząc się, gramoląc z torebką niezmiennie zwisającą ze zgiętego przedramienia, nie wypuściła jej, nie wypuściłaby tej torebki choćby żywcem ją obdzierano ze skóry, usiłowała otrzepać się albo oczyścić spódnicę wolną ręką i trzymała bosą stopę w powietrzu, jakby za wszelką cenę starała się uniknąć kontaktu z ziemią, by nie ubrudzić sobie również podbicia stopy, nawet koniuszków palców, tej stopy, którą mógłby zobaczyć odnaleziony już mężczyzna, zobaczyć z bliska, tam na górze i dotknąć jej później. Poczułem się wobec niej winny, tego, że czekała, że upadła, że uparcie milczałem, i winny również wobec Luizy, mojej żony, z którą tak niedawno wstąpiłem w związek, i która potrzebowała mnie po raz pierwszy od czasu ceremonii, choćby na sekundę, tyle, ile akurat trzeba, by wytrzeć pot zalewający jej czoło i ramiona i poprawić albo zdjąć stanik, żeby jej nie cisnął, i paroma słowami pomóc jej zapaść ponownie w pokrzepiający sen. Tej sekundy nie mogłem ofiarować jej w tej właśnie chwili, jak to możliwe, czułem nieprzepraczenie obydwie obecności, które paraliżowały mnie niemal i odbierały mowę, jedną na zewnątrz, drugą zaś wewnątrz, przed moimi oczami i za moimi plecami, jak to możliwe, czułem, że obydwóm jestem coś winien, coś tu jest nie tak, nie mogłem przecież czuć się winny wobec żony bez powodu, bo chyba nie z racji zwłoki, gdy należało zaopiekować się nią i uspokoić, a tym bardziej wobec obrażonej nieznajomej, choćby nie wiem jak bardzo jej się wydawało, że mnie zna i że to ja właśnie ją obrażam. Usiłowała utrzymać równowagę, żeby założyć but, nie stawiając bosej stopy na ziemi. Zbyt obcisła spódnica udaremniała powodzenie tej operacji, a jej stopy miały zbyt długie kości, ale

podejmując kolejne próby nie krzyczała, tylko cedziła coś przez zęby, nie możemy zbyt wiele uwagi zwracać na innych jednocześnie usiłując doprowadzić się do porządku. Nie pozostawało jej nic innego, jak postawić na ziemi stopę, oczywiście natychmiast ją sobie brudząc. I szybko ją znowu uniosła, jakby ziemia ją poparzyła albo skaziła trującą substancją, otrzepała ją z kurzu, tak jak Luiza otrzepywała stopy z piasku schodząc z plaży, czasami już o zmierzchu; wsunęła w but palce, następnie resztę stopy, wreszcie palcem wskazującym (ręki wolnej od torby), poprawiła paseczek przy obcasie wystającym spod owego paseczka (ramiączko stanika Luizy pewnie nadal zwisało, ale ja go teraz nie widziałem). Jej masywne nogi znów wbiły się mocno w ziemię niczym kopyta. Postawiła kolejne trzy kroki nie podnosząc jeszcze wzroku, a kiedy go podniosła, kiedy już otwierała usta, żeby mi ubliżyć lub pogrozić, i po raz któryś przystępowała już do swego gestu chwytanego, lwiego pazura, tego, który ucapiał i dawał do zrozumienia: „Nie uciekniesz mi” albo „Mam cię”, albo „A choćby i do piekła, ale ze mną”, nagle wyhamowała ów gest w powietrzu i obnażone ramię zastygło niczym ramię kulturysty. Dojrzałem świeżo ogoloną pachę, uszykowała się cała na to spotkanie. Zerknęła znowu w lewo ode mnie i na mnie zerknęła, i w lewo, i na mnie.

– Co tam się dzieje? – znowu zapytała Luiza z łóżka. Głos jej brzmiał lekko, wyrażał mieszany lęk, wewnętrzny i zewnętrzny, bała się tego, co działo się w jej ciele, tak daleko od domu, i tego, o czym nie wiedziała, że się dzieje, tam na balkonie i na ulicy, lub co takiego dzieje się ze mną, ale bez niej, małżeństwa szybko przyzwyczajają się do tego, że wszystko ma się dziać z obojgiem i przydarzać obydwójgu. Była noc, nasz pokój tonął ciągle w ciemnościach, a Luiza chyba jeszcze czuła się zamroczone, bo nawet nie zapalała lampki na stoliku po swojej stronie. Byliśmy na wyspie.

Kobieta z ulicy stała z rozdziawionymi i oniemiałymi ustami, przyłożyła dłoń do policzka, dłoń, która zaczęła ześlizgiwać się, rozczarowana i zawstydzona, i potulna. Już nie było pomyłki.

– Ojej, przepraszam – powiedziała po kilkunastu sekundach. – Pomylił mi się pan.

W okamgnieniu uszło z niej całe powietrze i dotarło do niej – to było najgorsze – że musi nadal czekać, być może w miejscu, w którym od początku była umówiona, nie tu, pod balkonami, musi wrócić do pierwotnie ustalonego punktu, cofnąć się przez całą esplanadę, przejść z powrotem ulicę, by dotarłszy tam powłóczyć naprędce i z odrazą swym wyostrzonym obcasem po dwóch lub trzech krokach, trzy rąbnięcia siekierą i ostroga albo ostroga po siekierze. Raptem stała się osobą rozbrajająco bezbronną, łagodną, zatraciła całą złość i całą energię, i wydaje mi się, że nie tyle obchodziło ją, co ja też sobie myślę o jej pomyłce i jej jędzowatym charakterku – w końcu to tylko nieznajomy w jej zielonych oczach – ile uświadomienie sobie, że do jej randki mogło w ogóle nie dojść. Patrzyła na mnie swym szarym, nagle nieobecny spojrzeniem, przepraszająco po trosze, po trosze obojętnie, w miarę przepraszająco, bo jednak przeważała w nim gorzycz. Odejść czy znowu zacząć czekać, kiedy już przestało się czekać?

– Nie ma za co, drobnostka – odpowiedziałem.

– Z kim rozmawiasz? – zapytała Luiza, która bez mojej pomocy wychodziła z odrętwienia drzemki, choć nadal pogrążona była w ciemnościach (głos był nieco mniej zachrypły, a pytanie bardziej konkretne; może nie uświadamiała sobie, że już jest noc).

Ale nie odpowiedziałem jej od razu i nie pospieszyłem do łóżka, by ją uspokoić i poprawić prześcieradło, bo w tej samej chwili z trzaskiem otworzyły się drzwi balkonu z lewej strony i zobaczyłem, jak wychylają się męskie ręce, które oparły się o żelazną barierkę albo chwyciły się jej, jakby pręt był ruchomy, i wrzasnęły:

– Miriam!

Mulatka, niepewna i zmieszana, spojrzała ponownie w górę, teraz już bez wątplenia na lewo ode mnie, bez wątplenia w stronę

balkonu, który właśnie się otworzył i w stronę silnych, bo tyle zdołałem spostrzec, ramion, długich męskich ramion w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, ramion owłosionych jak moje, a może i bardziej. Ja przestałem istnieć, zniknąłem, też miałem podwinięte rękawy, podwinałem je wychodząc na balkon, żeby się oprzeć wygodnie, czas jakiś temu, ale teraz zniknąłem, stając się znowu sobą, to znaczy, stając się dla niej nikim. Na palcu serdecznym prawej dłoni mężczyzna miał obrączkę, taką jak moja, tyle, że ja nosiłem ją na lewej dłoni, od dwóch tygodni, krótko, jeszcze się nie przyzwyczailem. Na przegubie tej samej dłoni mężczyzna ów nosił zegarek, duży, czarny, ja, podobnie jak obrączkę, na lewej. Pewnie był mańkutom. Mulatka nie miała ani zegarka, ani obrączki. Pomyślałem, że przez te wszystkie minuty sylwetka owego osobnika była dla niej widoczna jedynie częściowo, w odróżnieniu od mojej, całkowicie widocznej, bo stojącej na balkonie i łokciami opartej o nieruchomą barierkę. Teraz na odwrót, moja została z miejsca wymazana, więc była niewidoczna, z kolei ja teraz nie widziałem owego mężczyzny, jak i Luizy, ciągle stałem plecami do niej. Może osobnik ów już to podchodził, już to, trzymając drzwi wciąż zamknięte, cofał się w zależności od tego, czy czuł skierowane na siebie lub nie oczy śliwkowej barwy, oczy kobiety z ulicy, krótkowzroczne i niegroźne. Zabawiał się, mając tę przewagę, że mógł pokazywać się i chować, i ani jedno, ani drugie, a więc miała rację, umówiony z nią mężczyzna poszedł już do pokoju, nie racząc jej nawet o tym powiadomić, by przypatrywać się jej krótkim i udreńczonym spacerom wte i wewte, później zaś rozchybotanej wędrowce i upadkowi, zakładaniu buta, tak jak i ja miałem sposobność przypatrywać się jej.

Rzecz ciekawa, że obecna reakcja Miriam nie miała nic wspólnego z reakcją, jaka mnie spotkała z jej strony, kiedy wzięła mnie za kogoś innego, za tego, który był owym mężczyzną o ramionach silnych i owłosionych, i długich, z zegarkiem i obrączką na prawej ręce, jak noszą leworęczni. Ujrzawszy go ponad wszelką

wątpliwość, ujrzawszy tego, na którego tyle się naczekała i usłyszawszy jak ją woła, nie zareagowała żadnym gestem, żadnym krzykiem. Nie obrzuciła stekiem wyzwisk, nie groziła, nie głośiła: „Niech no tylko cię dorwę” albo „Zatłukę na śmierć” obnażonym ramieniem i bystrymi palcami, może dlatego że w odróżnieniu ode mnie, kiedy byłem nim dla niej, on odezwał się do niej lub zwrócił się do niej po imieniu. W zachowaniu kobiety zaszła zmiana: była w niej ulga, przez chwilę, i szybciotko – niemal z wdzięcznością bez adresata – z nieporównywalnie większym niż poprzednio wdziękiem przy stawianiu kroków (jakby nagle szła bosą, a jej nogi nie były takie krzepkie), przeszła drogę dzielącą ją od hotelu i wkroczyła doń ze swą ogromną, czarną, dziwnie teraz lekką torebką, znikając w ten sposób z pola mego widzenia, słowem już nie odezwawszy się do mnie, z każdym krokiem coraz bardziej pogodzona ze światem. Drzwi balkonu z lewej zamknęły się z powrotem i z powrotem otworzyły, uchyliły raczej, jakby je wiatr popchnął albo mężczyzna w sekundę po ich domknięciu przemyślał to sobie lepiej (przecież nie było wiatru), bo nie bardzo wiedział, czy będzie je chciał mieć tak czy tak, kiedy kobieta będzie już z nim na górze, za chwilę (pewnie już wchodziła po schodach). Wówczas ja, wreszcie (ale nie minęło znowu tak dużo czasu, więc Luiza nie powinna być zbyt rozbudzona), opuściłem swoje miejsce na balkonie i zapaliłem lampkę na nocnym stoliku, i skwapliwie podszedłem do wezglowia naszego łóżka, skwapliwie, ale jednak z opóźnieniem.

Opóźnienie to jest dla mnie niewytłumaczalne i już wówczas szczerze nad nim ubolewałem, nie dlatego, że mogłoby grozić jakimiś konsekwencjami, ale z powodu moich rozmyślań, w przyływie sumienności i nadgorliwości, nad tym, co też miałyby ono oznaczać. I jeśli jest prawda, że swą małżeńską zwłokę natychmiast skojarzyłem z owym pierwszym uczuciem dyskomfortu, o którym mówiłem, jak również z faktem, iż od zawarcia naszego związku coraz trudniej przychodziło mi myśleć o Luizie (im bardziej cielesna i obecna, tym bardziej odsuwana i daleka), pojawienie się drugiego uczucia dyskomfortu, o którym również już wspomniałem, nie zostało wywołane mą lakoniczną, doprawdy, kontemplacją Mulatki i mą, naprawdę nie trwającą zbyt długo opieszałością, ale raczej tym, co nastąpiło później, to znaczy tym, co stało się, gdy wreszcie zająłem się Luizą i wytarłem jej pot z czoła i z ramion, i rozpiąłem ciskający ją stanik, pozostawiając do jej decyzji, czy zostanie w nim, choćby i rozpiętym, czy też go zdejmie. Przy świetle Luiza trochę oprzytomniała, chciała pić, a napiwszy się trochę, poczuła się lepiej, a poczuwszy się odrobinę lepiej, gotowa była trochę porozmawiać, a kiedy wrócił jej spokój i zauważyła, że prześcieradło jest jakby mniej lepkie i zerknąwszy na pościelone łóżko uznała, że już jest dobrze, a przede wszystkim, kiedy zrozumiała i pogodziła się z myślą, że już jest noc i, że czy chce tego czy nie, dzień się dla niej bezpowrotnie skończył i nie ma możliwości kontynuowania czegokolwiek, i nie pozostawało jej nic innego, jak spróbować przejść do porządku nad swą chorobą i pogrzebać ją we śnie do jutra rana, kiedy prawdopodobnie wszystko wróci do normalności cokolwiek osobliwej naszej podróży poślubnej, jej ciało wróci do siebie i będzie znowu cielesne, wówczas przypomniało jej się moje drobne uchybienie, którego przypuszczalnie w ogóle nie odebrała jako uchybienia, nawet drobnego, a może raczej przypomniała sobie, że powiedziałem „Nie ma za co, drobnostka” jakiejś nieznanym osobie stojącej na ulicy i

że stamtąd dochodziły głosy i krzyki słyszane przez sen albo w pół-śnie, które ją obudziły, a może nawet przestraszyły.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytała mnie raz jeszcze.

Nie widziałem powodu, dla którego miałbym nie powiedzieć jej prawdy, a mimo to odniosłem wrażenie, że czyniąc to, wcale tego nie czynię. Trzymając ręcznik, którego róg namoczyłem pod kranem, szykowałem się do przetarcia jej twarzy, szyi, karku (skleiły jej się długie, zmierzwione włosy, a kilka pojedynczych włosów przecinało jej czoło niczym niteczki zmarszczek przybywających z przyszłości, by ocienić je przez chwilę).

– Z nikim, z jakąś kobietą, która mnie pomyliła z kimś innym. Pomyliła nasz balkon z balkonem obok. Pewnie jest krótkowidzem, dopiero gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że nie jestem tym, z którym się umówiła. Tam. – I pokazałem na ścianę, która teraz oddzielała nas od Miriam i mężczyzny. Przy ścianie tej stał stolik, nad stolikiem wisiało lustro, w którym, przy odpowiednim ruchu głowy lub tułowia moglibyśmy zobaczyć nasze odbicia.

– Ale dlaczego tak na ciebie krzyczała? Wydawało mi się, że strasznie krzyczała. A może mi się śniło. Bardzo mi gorąco.

Odłożyłem ręcznik w nogach łóżka i pogłaskałem ją po policzku i okrągłym podbródku. Jej wielkie ciemne oczy były jeszcze przygaszone. Gorączka, jeśli ją miała, już spadła.

– Ja akurat wiem tyle co nic, bo tak naprawdę nie na mnie krzyczała, tylko na tamtego, za którego mnie wzięła. A skąd mam wiedzieć, co jedno drugiemu zrobiło i o co im poszło?

Zajmując się Luizą słyszałem (ale nie żebym specjalnie zwracał uwagę, bo cała moja uwaga skupiona była na Luizie i wykonywaniu naraz iluś tam czynności, i chodzeniu z pokoju do łazienki i z łazienki do pokoju), jak obcasy zbliżają się do drzwi obok, te zaś otwierają się bez pukania, a od momentu lekkiego skrzypnięcia (ale szybkiego) i delikatnego stukotu przy ponownym zamknięciu (które

było bardzo wolne), już tylko nieprzeniknione szmery, szeptane słowa nie dające się wychwycić, choć wypowiedane były w moim języku i pomimo tego, że, sądząc po odgłosach sprzed chwili, ich balkon był uchylony, a ja nie domknąłem naszego. Do mojego zakłopotania z powodu nagannego opóźnienia doszło kolejne zakłopotanie wynikające z wrażenia pośpiechu. Zacząłem odnosić wrażenie, że spieszę się nie tylko po to, żeby pomóc Luizie w odzyskaniu spokoju i wygładzić jej prześcieradło, i złagodzić efekty jej chwilowej choroby, ale i po to, żeby nie zadawała mi już więcej pytań i szybko zasnęła, bo czasu nie było, żeby wciągnąć ją w moje wścibstwo, nie była zresztą w stanie zainteresować się czymkolwiek, co pochodziłoby spoza jej własnego ciała, więc kiedy odzywaliśmy się do siebie to jednym, to drugim słowem, a ja chodziłem do łazienki, żeby zwilżyć róg ręcznika i podawałem jej coś do picia, i głaskałem ten śliczny podbródek, każdy najdrobniejszy hałas przeze mnie czyniony i nasze krótkie i urywane zdania nie pozwalały mi się skupić i ucha nadstawić, by cośkolwiek wychwycić z nieustającego szmeru, który chciałem jak najszybciej rozszyfrować.

A pośpiech ten brał się ze świadomości, że tego, czego teraz nie usłyszę, nie usłyszę już nigdy; nie będzie powtórki, bo nie da się tego cofnąć jak taśmy magnetofonowej czy wideo, i raz jeszcze przesłuchać lub zobaczyć, bo każdy niepochwycony i niezrozumiany szept zostaje utracony na zawsze. To jest właśnie najgorsze w tym, co dane jest nam przeżyć, ale nie zostaje zarejestrowane, gorzej, bo w ogóle nie zostaje, obracając się w coś, o czym się nawet nie wiedziało i nie wie, nie słyszało i nie widziało, bo nie ma sposobu, żeby to odzyskać. W dniu, w którym nie byliśmy razem, już nigdy razem nie będziemy, albo to, co ktoś miał do powiedzenia przez telefon, kiedy do nas zadzwonił, ale nie odebraliśmy telefonu, nigdy nie zostanie powiedziane, nie to samo i nie tak samo; i wszystko będzie nieco inne albo całkowicie inne z powodu braku odwagi, który odwiódł nas od odezwania się do was. Ale nawet jeśli tego dnia byliśmy razem albo byliśmy w domu, kiedy do nas zadzwoniono,

albo odważyliśmy się do was odezwać, przewyciężając strach i zapominając o ryzyku, to i tak nic z tego się nie powtórzy, a tym samym nadejdzie ów moment, kiedy fakt, iż w danej chwili byliśmy razem, będzie odczuwany tak, jakbyśmy wcale razem nie byli, a podniesienie słuchawki, jakbyśmy wcale tego nie učinili, a zdobycie się na odwagę, by się do was odezwać, jakbyśmy się słowem nie odezwali. Nawet najbardziej niezatarte przeżycia mają określony czas trwania, nie różniąc się tym od zdarzeń, które nie pozostawiają żadnego śladu albo nie mają wcale miejsca, a jeśli jesteśmy przewidujący i zapisujemy je albo nagrywamy, albo filmujemy i obkładamy się czymkolwiek dla pamięci i ku pamięci, a nawet usiłujemy zastąpić to, co się zdarzyło po prostu odnotowaniem, zarejestrowaniem i zarchiwizowaniem, że się zdarzyło, tak, aby to, co rzeczywiście się zdarza od początku było naszym odnotowaniem albo naszym nagraniem, albo naszym sfilmowaniem i tylko tym; oddani owemu ustawicznemu doskonaleniu powtarzalności, gotowi będziemy nawet tracić tyle czasu, ile rzeczywiście trwało dane zdarzenie (choćby czas zapisu); i podczas gdy próbujemy ponownie je przeżyć albo odtworzyć i przywrócić je i zapobiec, by stało się przeszłością, inny i odmienny czas będzie już następował, a w nim, bez wątpienia, nie będziemy razem i nie odbierzemy żadnego telefonu, na nic się nie odważymy i nie będziemy mogli zapobiec żadnej zbrodni ani żadnej śmierci (choć i nie popełnimy żadnej i żadnej nie spowodujemy), bo będziemy je puszczać mimo siebie, jakby to nie był nasz czas w naszych chorobliwych wysiłkach, żeby trwało bez końca i powróciło to, co już minęło. W ten sposób to, co widzimy i słyszymy w końcu upodabnia się, a nawet zrównuje się z tym, czego nie widzimy i nie słyszymy, to tylko kwestia czasu albo naszego ostatecznego odejścia. A mimo to nie jesteśmy w stanie zapobiec temu, by nie nastawiać się w naszym życiu niemal wyłącznie na to, że musimy słuchać i patrzeć, i być obecnymi, i wiedzieć, w przekonaniu, że właśnie życie nasze zależy od tego, że jesteśmy razem pewnego dnia, że odbieramy telefon albo że się odważamy lub popełniamy zbrodnię, czy powodujemy śmierć i

wiemy, że tak było. Czasami odnoszę wrażenie, że nie zdarza się nic z tego wszystkiego, co się zdarza, bo nic nie zdarza się nieprzerwanie, nic nie trwa i nie utrwała się, i niczego nie wspomina się bezustannie, i nawet najbardziej monotony i bezbarwny żywot sam siebie unicestwia i neguje w swej oczywistej powtarzalności doprowadzającej w końcu do tego, że nic nie jest już tym i nikt nie jest już tym, co przedtem, a slabiutkie koło świata pchane jest przez zapominalskich, którzy słyszą i widzą, i wiedzą to, czego się nie mówi i co nie ma miejsca, i nie jest poznawalne ani sprawdzalne. To, co się zdarza jest identyczne z tym, co się nie zdarza, to, co odrzucamy lub puszczamy mimo siebie jest identyczne z tym, co bierzemy i chwytamy, to, czego doświadczamy jest identyczne z tym, czego nie próbujemy, a mimo to życie nam schodzi i przechodzi na wybieraniu i odrzucaniu, i dobieraniu, na wykreślaniu linii, która rozdzieliłaby to wszystko, co identyczne i uczyniła z naszej historii jedną, jedyną historię, którą moglibyśmy pamiętać i opowiadać. Koncentrujemy całą naszą inteligencję i wszystkie nasze zmysły, i całą energię na mozolnym rozpoznawaniu tego, co zostanie, a może już jest zniwelowane, dlatego też pełno w nas wyrzutów i straconych okazji, poświadczeń i potwierdzeń, i okazji wykorzystanych, gdy w istocie nic się nie potwierdza i wszystko się traci. A może nawet nigdy niczego nie było. Być może między Miriam i mężczyzną nie padło żadne słowo w ciągu tych wszystkich minut, podczas których wydawało mi się, że każde z nich tracę. Być może tylko patrzyli na siebie albo stali, obejmując się w milczeniu, albo skierowali się w stronę łóżka, żeby rozebrać się, a może ona ograniczyła się tylko do zdjęcia szpilek, ukazując mężczyźnie swoje stopy, które umyła nie przypadkiem przecież, zanim wyszła z domu, a teraz są pewnie zmęczone i obolałe (podbicie jednej z nich przybrudzone od chodnika). Nie doszło raczej do rękoczynów ani do bójki, nic z tych rzeczy (chcę powiedzieć, że nie zwarli się w walce dwóch ciał), bo wtedy natychmiast zaczyna się mocno sapać w takim starciu i krzyczy się jednocześnie albo tuż przed, a jeśli nie przed, to tuż po. Może, tak jak i ja (ale ja – dla Luizy – to wchodziłem, to

wychodziłem), Miriam poszła do łazienki i zamknęła się w niej, nic nie mówiąc, na te kilka minut właśnie, żeby przejrzeć się i doprowadzić do ładu i postarać się usunąć z twarzy wszystkie nagromadzone grymasy i wyrazy wściekłości i zmęczenia, rozczarowania i ulgi, zastanawiając się zarazem, jaki wyraz byłby teraz najodpowiedniejszy i korzystny, by wreszcie stanąć twarzą w twarz przed leworęcznym mężczyzną o owłosionych rękach, który znalazł sobie zabawę lub rozrywkę w tym, że daremnie czekała i pomyliła mnie z nim. Może kazała mu teraz trochę na siebie poczekać, zamknięte drzwi do łazienki, a może wcale nie to było jej intencją, bo może chciała jedynie popłakać sobie ukradkiem, tak dla uspokojenia, przysiadłszy na desce klozetowej albo na brzegu wanny, zdjawszy, o ile je nosiła, szkła kontaktowe, wycierając i chowając przed własnym wzrokiem twarz w ręcznik, by po chwili, ukojona wreszcie, przemyć twarz, umalować się i doprowadzić do stanu, kiedy gotowa będzie już wyjść, jakby nigdy nic. Spieszyło mi się, chciałem słyszeć, ale żebym mógł to zrobić, Luiza musiałaby znowu zasnąć i przestać być cielesna i obecna, i odsunąć się, i stać się daleka, a ja powinienem gdzieś się przyczaić, żeby móc spokojnie zacząć słuchać przez ścianę albo przez otwarty balkon, albo tak i tak, stereo.

Mówię, rozumiem i czytam w czterech językach, łącznie z moim ojczystym, dlatego też, jak sędzę, poświęciłem się częściowo pracy tłumacza tekstowego jak i tłumacza żywego słowa na kongresach, zebraniach i spotkaniach, przede wszystkim politycznych, niekiedy na najwyższym szczeblu (dwukrotnie byłem tłumaczem na spotkaniu szefów państw; choć po prawdzie jeden był tylko szefem rządu). Sędzę, iż właśnie dlatego mam skłonność (tak jak i ma ją Luiza, która para się tym samym fachem, choć różni nas zakres języków, poza tym Luiza ma mniejsze doświadczenie albo poświęca tej pracy mniej czasu, więc ów odruch jest u niej słabszy), żeby starać się zrozumieć *wszystko*, co się mówi i co dociera do moich uszu, zarówno podczas pracy, jak i poza nią, choćby mówiono z dala

ode mnie, choćby w jednym z niezliczonych języków, których nie znam, choćby to był szmer nierozróżnialny czy szept niedosłyszalny, choć lepiej byłoby, żebym nie rozumiał niczego, a to, co ktoś mówi, nie było dla moich uszu, czy nawet mówione było specjalnie po to, żebym niczego nie dosłyszał i nie zrozumiał. Mogę się wyłączyć, ale tylko w pewnych stanach skrajnej nieodpowiedzialności albo za cenę wielkiego wysiłku, czasem więc szczerze się cieszę, że szmery naprawdę są nierozróżnialne, a szepty niedosłyszalne i że istnieje tyle obcych mi języków, z których trudno cokolwiek wydedukować, bo w ten sposób naprawdę odpoczywam. Kiedy wiem i stwierdzam, że nie ma sposobu, że nic nie jestem w stanie zrozumieć, choćbym nie wiem, jak bardzo tego pragnął i się starał, wówczas ogarnia mnie spokój, głuchnę na wszystko i odpoczywam. Nic zrobić nie mogę, nic nie jest w moich rękach, jestem kaleką i moje uszy odpoczywają, moja głowa odpoczywa, moja pamięć odpoczywa i mój język też odpoczywa, w przeciwnym bowiem wypadku, kiedy rozumiem, nie jestem w stanie uniknąć tłumaczenia, automatycznie i w myślach, na mój język ojczysty, a często zdarza mi się nawet (na szczęście nie zawsze i niemal bezwiednie), że jeśli docierające do mnie słowa są po hiszpańsku, wówczas natychmiast tłumaczę je w myślach na jeden z owych trzech języków, którymi władam i rozumiem. Nierzadko tłumaczę nawet gesty, spojrzenia i ruchy, to produkt zastępczy i przyzwyczajenie, a nawet wydaje mi się, że przedmioty coś mówią, kiedy wchodzą w kontakt z tymi ruchami, spojrzeniami i gestami. Kiedy nic zrobić nie mogę, słucham dźwięków, o których wiem, że są artykułowane i mają sens, a jednak nie jestem w stanie ich rozszyfrować: nie dają się wychwycić, nie tworzą jednostek. Oto największe przekleństwo tłumacza podczas pracy, kiedy z jakiejś przyczyny (niemożliwa dykcja, fatalny cudzoziemski akcent, własna, groźna dekoncentracja) nie wyłapuje, nie oddziela i gubi się, i wszystko, co słyszy, wydaje mu się identyczne, jeden miszmasz lub potok, który może sobie płynąć lub nie, wszystko jedno, bo rzeczą podstawową jest wychwytywanie słów, tak jak wyławianie spośród innych konkretnej osoby, kiedy chce się z nią nawiązać kontakt. Z

drugiej jednak strony jest to również wielka ulga dla tłumacza, w chwili, kiedy do tego dochodzi, ale już po godzinach pracy: dopiero wtedy może całkowicie się odprężyć i nie zwracać uwagi, i nie trwać w stanie ustawicznej gotowości i wreszcie znajdować przyjemność w przysłuchiwaniu się głosom (nieznaczący szum mowy), bo nie tylko wie, że go nie dotyczą, ale ponadto, że nie jest władny ich tłumaczyć, ani przekazywać, ani zapamiętywać, ani przepisywać, ani rozumieć. A nawet powtarzać.

Ale w tym pokoju hotelu, noszącego, jak mi się wydaje, w swoim czasie nazwę Sevilla-Biltmore, albo wzniesionego w miejscu, w którym tenże kiedyś stał (a może i nie, nie bardzo wiem, bo i nie bardzo znam historię Kuby, mimo iż pochodzę w jednej czwartej z Hawany), nie ciągnęło mnie wcale do odpoczynku, ani do odpuszczenia szmerów z sąsiedniego pokoju, tak jak na przykład przedtem, gdy słyszałem ów głuchy szmer przechodzących przed moim balkonem hawańczyków, ale wręcz przeciwnie, zdałem sobie sprawę, że wcale tego nie chcąc, zachowywałem się czujnie i, jak się mawia, strzygłem uszami, i że aby cokolwiek zrozumieć potrzebowalem absolutnej ciszy, żadnego brzęku szklanek, żadnego szelestu prześcieradeł, żadnego odgłosu moich własnych kroków pomiędzy łazienką i pokojem, żadnego kranu z odkręconą wodą. Ani, rzecz jasna, żadnego osłabionego głosu Luizy, choćby mówiła tyle co nic i nie usiłowała nawiązać i podtrzymać rozmowy. Nic tak nie przeszkadza w słuchaniu jak słuchanie dwóch rzeczy naraz, dwóch głosów; nic tak nie przeszkadza w zrozumieniu jak jednoczesne odzywanie się dwóch lub więcej osób, które mówią nie czekając na swoją kolej. Dlatego chciałem, żeby Luiza zasnęła, nie tylko dla jej własnego dobra i zdrowia, ale przede wszystkim po to, żebym mógł, wykorzystując wszystkie swoje umiejętności i całe doświadczenie translatorskie, wsłuchać się w słowa, które musiały padać w owym szmerze Miriam i leworęcznego mężczyzny.

Pierwsze słowa, jakie wreszcie zdołałem usłyszeć wyraźnie, wypowiedziane były tonem złości, tonem kogoś, kto kolejny raz

powtarza coś, w co nie chce uwierzyć albo czego nie rozumie lub nie przyjmuje do wiadomości osoba wysłuchująca tego po raz kolejny. Była to złość zmitygowana, rutynowa, toteż głos nie krzyczał, lecz szeptał, głos mężczyzny.

„Mówię ci, że moja żona jest umierająca”.

Miriam natychmiast odpowiedziała, również w złości, w której oboje, natychmiast to skorygowałem, tkwili pewnie notorycznie, przynajmniej kiedy przebywali razem: ich zdania i pierwsze zdanie mężczyzny utworzyły ciąg, który natychmiast wychwyciłem, niemal bez wysiłku.

„Ale nie umiera. Od roku już tak umiera i umiera, i jakoś umrzeć nie może. A zabijże ty ją raz a dobrze, musisz mnie stąd wyciągnąć”.

Zaległa cisza, ale nie wiedziałem, czy dlatego, że mężczyzna zamilkł, czy też zniżył jeszcze bardziej głos, by jakoś odpowiedzieć na żądanie Miriam, które być może wcale nie należało do ich rutynowej wymiany zdań.

„A co, poduszką ją mam udusić, tego chcesz? Robię, co mogę i więcej już zrobić nie mogę, a to i tak już dużo. Daję jej spokojnie umrzeć. Nie robię nic, żeby jej pomóc. Popycham ją. Nie daję niektórych lekarstw, które przepisuje jej lekarz, w ogóle nie słucham jego zaleceń, nie okazuję jej żadnego uczucia, sprawiam same przykrości, daję powody do podejrzeń i odbieram jej resztkę chęci do życia. To mało, twoim zdaniem? Każdy fałszywy krok jest teraz bez sensu, i rozwód też nie ma sensu, przedłużylibyśmy wszystko o rok co najmniej, a ona może umrzeć w każdej chwili. Choćby i dziś. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, że ten telefon może w każdej chwili zadzwonić z taką właśnie wiadomością”. Mężczyzna przerwał i po chwili dodał innym już tonem, jakby mówił to z niedowierzaniem, z półuśmieszkiem, bezwolnie: „Może już nie żyje. Nie bądź głupia. Trochę cierpliwości”.

Kobieta miała karaibski akcent, należałoby sądzić, że kubański, choć całą swą praktyczną wiedzę na ten temat (Kubańczycy rzadko biorą udział w międzynarodowych konferencjach) zawdzięczam ciągle mojej babci, a moja babcia opuściła Kubę w 1898 z całą rodziną i w młodym wieku, i jak mówiła, wspominając swoje dzieciństwo, zróżnicowanie akcentów na wyspie było ogromne: ona, na przykład, potrafiła rozpoznać ludzi z prowincji Oriente, osobę z Hawany i kogoś pochodzącego z Matanzas. Mężczyzna za to akcent miał taki jak ja, kastylijską wymowę z Hiszpanii, albo raczej z Madrytu, neutralną, poprawną, taką jakiej dawniej używali aktorzy dubbingujący filmy, czy ja sam nadal używam. Rozmowa ta oyla niemal rutynowa, zmieniały się w niej pewnie tylko szczegóły, Miriam i mężczyzna, musieli prowadzić ją z tysiąc razy. Ale dla mnie była czymś nowym.

„A kiedy to ja byłam niecierpliwa? Ja od zawsze jestem cierpliwa, a ona jak nie umiera, tak nie umiera. Jej sprawiasz same przykrości, ale o mnie słówkiem jej nie piśniesz, a ten twój telefon też jakoś nie dzwoni. A skąd ja mam wiedzieć, że ona jest umierająca? A skąd ja mam wiedzieć, że to wszystko to nie jest jedna wielka bujda? Nigdy jej nie widziałam, nie byłam w Hiszpanii, nawet nie wiem, czy ty naprawdę jesteś żonaty i czy to wszystko to nie jest jakieś twoje kręactwo. Czasami to sobie myślę, że ta twoja żona wcale nie istnieje”.

„Ach, tak. A moje papiery? A zdjęcia?”, powiedział mężczyzna. Jego akcent był taki jak mój, ale głos miał zupełnie inny. Mój głos jest niski, a jego był wysoki, niemal, jak na szept, krzykliwy. Ten głos nie pasował do włochatego mężczyzny, raczej do piosenkarza wątlej postury, który nie zadaje sobie najmniejszego nawet trudu, by choć odrobinę różnicować swój naturalny tembr, kiedy mówi, to jednak szkodzi strunom głosowym. Ten głos był jak piła.

„A co mi po zdjęciach! To mogą być zdjęcia byle kogo, twojej siostry, twojej kochanki, a skąd ja mam wiedzieć, czy nie masz

innej. A o papierach to ty mi nic nie mów. Ja już ci nie wierzę. Twoja żona od roku już tak umiera, że lada dzień, a niech już umrze wreszcie raz a dobrze albo mnie zostaw w spokoju”.

Tymi mniej więcej słowy mówili, o ile dobrze pamiętam i oddać potrafię. Luiza wydawała się drzemać, a ja usiadłem w nogach łóżka, własne nogi wyciągnawszy na podłozie, plecy wyprostowane, o nic się nie opierając, czuwając przy niej, spięty nieco, żeby nie spowodować najmniejszego hałasu (sprężyny, mój oddech, moje własne ubranie). Widziałem siebie w lustrze wiszącym na ścianie, to znaczy widziałem, jeśli chciałem popatrzeć na siebie, bo kiedy człowiek bardzo uważnie słucha, to nic właściwie nie widzi, jakby jeden ze zmysłów skupiony maksymalnie niemal blokował wszystkie pozostałe. A jeśli już patrzyłem, to widziałem również sylwetkę Luizy skulonej za moimi plecami pod prześcieradłem, albo, dokładniej mówiąc, jedynie zarys sylwetki, bo tylko tyle, przy tej pozycji leżącej Luizy pojawiało się w polu widzenia lustro średniej wielkości. Gdybym chciał zobaczyć coś więcej, na przykład jej głowę, musiałbym wstać. Po ostatnim zdaniu Miriam wydawało mi się, że słyszę (ale być może dysponowałem już wystarczającą liczbą szczegółów, by móc wyobrazić sobie to, czego nie widziałem i słyszeć, czego nie słyszałem), jak wstaje wściekła i krąży raz, drugi, a może i trzeci po identycznym, niewątpliwie, jak nasz pokoju (jakby już-już chciała wyjść, ale jeszcze coś ją tam trzymało i na coś jeszcze czekała, może aż złość jej przejdzie), bo doszło mnie skrzypienie deptanej podłogi: jeśli rzeczywiście tak było, to znaczy, że jednak zdjęła szpilki, to nie był stukot kopyt, lecz odgłos pięt i palców, kto wie, czy nie była rozebrana, czy oboje się nie rozebrali, kiedy nic jeszcze nie słyszałem, czy nie zaczęli swych czułości i nie przerwali ich albo nie całkiem przerwali, by porozmawiać z właściwą im i rutynową złością. Para, pomyślałem, uzależniona całkowicie od tworzonych przez siebie przeszkód, ale i żyjąca dzięki nim: para, która rozpadnie się, gdy te znikną, o ile do rozpadu nie przyczynią się owe przeszkody tak męczące, tak przewlekłe, które będą musieli

podsycać i hołubić, i starać się, by uczynić je wiecznymi, jeśli już wpadli w pułapkę tej chwili, że już się nie da bez ciebie i beze mnie, i jedno bez drugiego.

„Naprawdę chcesz, żebym cię zostawił w spokoju?”

Nie było odpowiedzi albo nie odczekał tyle, ile powinien był odczekać, bo znowu, z większą stanowczością, ale ciągle męczącym szeptem, rozległa się piła:

„No co, tego właśnie chcesz? Mam nie dzwonić do ciebie, kiedy będę przyjeżdżał? Nie będziesz chciała wiedzieć, że tu jestem, że przyjechałem i od kiedy jestem? I co, i miną dwa miesiące, a później trzy i następne dwa, a ty nic, nie będziesz chciała mnie wtedy spotkać, nie będziesz chciała zobaczyć, nie będziesz chciała nic o mnie wiedzieć i nawet nie będziesz chciała wiedzieć, czy moja żona umarła, tak?”

Mężczyzna pewnie też wstał (nie wiem czy z łóżka, czy z fotela), by podejść tam, gdzie stała Miriam, chyba raczej nie nago, a tylko boso, nikt nie stoi nago na środku pokoju dłużej niż kilka sekund, chyba że zatrzyma się właśnie po drodze do łazienki albo do lodówki. Choćby nie wiem jak było gorąco. Było bardzo gorąco. Głos męczyzny ciągnął dalej, teraz spokojniej, i być może dlatego zrezygnował z szeptu, ale był to ciągle ten sam postawiony głos, niczym głos operującego nim oszczędnie piosenkarza, nawet podczas kłótni; był nadal wysoki mimo normalnego, wreszcie, tonu, wibrujący jak głos kaznodziei czy śpiewającego gondoliera.

„Jestem twoją nadzieją, Miriam. Od roku jestem twoją nadzieją, a nie ma człowieka, który może żyć bez nadziei, nie da się. Myślisz, że tak łatwo znajdziesz inną? Na pewno nie wśród hiszpańskiej kolonii, nikt nie będzie wlaził w schodzone przeze mnie kapcie”.

„Skurwysyn jesteś, Guillermo”, powiedziała.

„Możesz sobie myśleć, co chcesz, twoje życie, twoja sprawa”.

Jedno drugiemu odpowiedziało bez namysłu, być może Miriam obudowała swoje zdanie jakimś niewiadomym gestem swego wymownego ramienia. I znowu nastąpiła cisza, cisza albo przerwa, cisza niezbędna i przerwa niezbędna, by osoba, która uraziła, mogła się wycofać i odzyskać przychylność nie odwołując obrazy i nie prosząc o wybaczenie, gdy przewina jest obustronna, słowa, które padły, rozwiewają się same, jak kłótnie między rodzeństwem, kiedy jeszcze są dziećmi. Albo się kumulują, ale zawsze zostają odłożone na później. Miriam pewnie zbierała myśli. Myślała pewnie o tym, o czym wiedziała aż za dobrze i o czym już tyle razy myślała, o czym i ja myślałem, choćbym niewiele wiedział o całej sprawie i o tym, jak do tego doszło. Myślałem, że mężczyzna, Guillermo, ma rację i wszystkie atuty w ręku. Myślałem, że Miriam nie pozostaje nic innego jak czekać, wciąż czekać i stawać się kimś coraz bardziej niezbędnym, wszelkimi sposobami, choćby i podstępem, i jak najmniej, w miarę możliwości, nalegać, a już na pewno nie żądać i nie domagać się natychmiastowej śmierci owej chorującej w Hiszpanii kobiety, która nie miała pojęcia o tym, co dzieje się w Hawanie za każdym razem, gdy jej mąż, dyplomata albo przemysłowiec, może handlowiec, wyjeżdża tam w interesach albo w kolejnej misji. Pomyślałem, że w podejrzeniach i w pretensjach Miriam również jest jakaś racja, że wszystko może być oszustwem, i że nie ma żadnej żony w Hiszpanii, a jeśli nawet jest, to cieszy się jak najlepszym zdrowiem i nie ma pojęcia, że w wyobrażeniach nieznanej sobie Mulatki jest umierającą żoną, której śmierci oczekuje się i pragnie, i o śmierć której odmawia się modlitwy, być może, albo gorzej jeszcze, której śmierć, w tym krańcu świata, przesądza się myślą i słowem albo ją przynagla.

Nie wiedziałem, po czyjej stronie stanąć, bo kiedy jest się obecnym przy jakiejś dyskusji (choćby zaocznie i tylko się słyszy: kiedy ktoś jest *obecny przy czymś* i zaczyna się o tym dowiadywać), niemal nigdy nie można pozostać całkowicie bezstronnym świadkiem i nie zacząć odczuwać sympatii lub antypatii, wrogości

lub litości dla jednego z oponentów lub dla osoby trzeciej, o której się mówi, to przekleństwo dla tego, który widzi lub słyszy. Uświadomiłem sobie, że nie wiedziałem, bo wiedzieć nie mogłem, jaka jest prawda, choć dotąd wydawało mi się, że prawda nie zawsze jest podstawowym warunkiem wyboru, gdy trzeba opowiedzieć się za czymś lub za kimś. Może mężczyzna omotał Miriam fałszywymi obietnicami coraz bardziej gołosłownymi, ale w grę wchodziła również możliwość, że nie, że to ona potrzebuje Guillerma wyłącznie po to, żeby wyrwać się z odosobnienia i ubóstwa Kuby, wyjść na swoje, wyjść za mąż, a raczej mieć go za męża, żeby nie zajmować wciąż swego miejsca, lecz zająć miejsce innej osoby, wszyscy nierzadko żyją tylko po to, żeby opuścić swoje miejsce i zawładnąć miejscem kogoś innego, tylko po to, żeby zapomnieć siebie samego i pogrzebać tego, kim się było, wszyscy męczymy się niewypowiedzianie byciem tym, kim jesteśmy i kim byliśmy. Zacząłem zastanawiać się, jak długo Guillermo jest żonaty. Ja byłem żonaty dopiero od dwóch tygodni i śmierć Luizy była ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, wręcz przeciwnie, właśnie pojawienie się takiej groźby w wyniku jej nagłej choroby, wywoływała we mnie, od jakiegoś czasu, trwogę. To, co słyszałem przez ścianę, nie pomagało mi w odzyskaniu spokoju ani w uwolnieniu się od odczuwania owych dyskomfortów, które pod różną postacią, jak już mówiłem, męczyły mnie od ślubnej ceremonii. Ta podsłuchiwana rozmowa wzmagiała wrażenie klęski i nagle spojrzałem rozmyślnie w źle oświetlone lustro przed sobą, jedyne zapalone światło znajdowało się daleko od niego, postać siedząca w półmroku, z podwiniętymi rękawami mojej koszuli, mężczyzna młody jeszcze, jeśli spojrzeć miałbym na siebie okiem życzliwym lub retrospektywnie, pragnąc rozpoznać w sobie takiego, jakim się stawałem, ale jednak w średnim niemal wieku, gdybym miał na siebie patrzeć z wyprzedzeniem w czasie lub pesymistycznie, przewidując siebie za jakiś, wcale nie tak znów odległy czas. Po tamtej stronie, za mrocznym lustrem, znajdował się inny mężczyzna, z którym jakaś kobieta mnie pomyliła, patrząc z ulicy, i którego widocznie łączyło ze mną jakieś podobieństwo, może

był trochę starszy, z tego też względu albo z wszystko jedno jakiego, był pewnie żonaty dłużej ode mnie, wystarczająco długo, pomyślałem, żeby pragnąć śmierci swojej żony, żeby zacząć ją ku niej popychać, jak powiedział. Mężczyzna ów odbył zapewne, wszystko jedno jak dawno temu, swą podróż poślubną i doznał tego samego wrażenia początku i końca, jakiego ja teraz doznawałem, poświęcił pewnie swą konkretną przyszłość i stracił swą przyszłość abstrakcyjną, tak dalece, że i on odczuł potrzebę znalezienia sobie własnej nadziei na wyspie Kubie, gdzie udawał się często w związku ze swoją pracą. Bo i Miriam była jego nadzieją, kimś, kim można się zajmować i przejmować się, i bać się o niego, a może i obawiać się go (nie mogłem zapomnieć tego gestu ucapienia, szponów, kiedy ów gest skierowany był ku mojej osobie, „Mam cię”, „Czekaj no”, „Chodź tutaj”, „Jesteś mi to winien”, „Na śmierć zatłukę”). Spojrzałem w lustro na siebie i podniosłem się nieco, by lepiej oświetlić sobie twarz oddalonym światłem z nocnego stolika, a moje własne rysy nie jawiły mi się tak posępne, tak mroczne, tak pozbawione mojej własnej przeszłości, tak trupie; i gdy uniosłem się i spojrzałem, w lustrzanym polu widzenia znalazła się głowa Luizy, znacznie lepiej oświetlona przez stojącą nieopodal niej lampkę i wówczas zobaczyłem, że Luiza ma oczy otwarte i jakby nieobecne, kciukiem zaś muska sobie wargi, pieszcząc je, gest często spotykany u zasłuchanych osób albo właśnie u niej, kiedy się czemuś przysłuchuje. Spozrzegłszy, że widzę jej odbicie, natychmiast zamknęła oczy i unieruchomiła kciuk, jakby chciała, żeby wydawało mi się, że wciąż śpi, jakby nie chciała stwarzać okazji do tego, byśmy porozmawiali, ani teraz, ani później o tym, co oboje – teraz to odkrywałem – usłyszeliśmy z ust naszego ziomka Guillerma i białej Mulatki Miriam. Pomyślałem, że uczucie dyskomfortu, którego ja doświadczałem, Luiza musiała odczuwać jeszcze mocniej, w dwójnasób (kobieta, która spieszy się, by zostać żoną, żona, która spieszy się, by umrzeć), tak dalece, że wołała, by każde z nas słuchało na własną rękę, z osobna, nie razem, zachowując dla siebie niewyrażone myśli lub wrażenia, jakie wywoływała w nas sąsiednia

rozmowa i sytuacja, jaką z niej można było wysnuć, i by żadne z nas o przemyśleniach drugiego, może nawet identycznych, nic nie wiedziało. To natychmiast wzbudziło we mnie podejrzenie, iż być może, wbrew temu, co dawała po sobie poznać (taka radość z niej była podczas ślubnej ceremonii, nie kryła swych ogromnych nadziei, tak cieszyła się każdą chwilą podróży, tak bardzo zła była, że z powodu swej niedyspozycji traci pół dnia przewidzianego na zwiedzanie i łażenie po Hawanie), Luiza również czuje się zagrożona i zaniepokojona z powodu utraty swej przyszłości lub dotarcia do niej. Nie nadużywaliśmy swego zaufania, toteż wszystko, co sobie mówiliśmy i co powiedzieć moglibyśmy, o co moglibyśmy się sprzeczać lub sobie zarzucać (wszystko, co mogłoby nas dręczyć), nie powinno rozplýwać się samo z siebie bez śladu lub przepadać, przemilczane, bez słowa, ale miało nabierać wagi, wpływać na dalszy ciąg, na to, co miało się nam przydarzyć (a przydarzać się miało jeszcze przez pół życia razem); i w ten sam sposób, w jaki wstrzymałem się od stwierdzenia tego wszystkiego, co teraz stwierdzam (moje przeczucia od ślubu i później), widziałem, jak Luiza zamyka oczy, żebym nie mógł podzielić się z nią moimi odczuciami wobec Guillerma i Miriam, i chorej żony w Hiszpanii, ani ona swoimi ze mną. To nie był brak zaufania, ani podważanie partnerstwa czy chęć zatajenia. To było utwierdzenie się w przekonaniu lub w przesądzie, że nie istnieje to, czego się nie mówi. I to prawda, że tylko tego, czego się nie mówi ani nie wyraża, nie tłumaczymy nigdy.

Zaprzątnięty tymi myślami (ale to były szybkie myśli) i przez ileś sekund (ale to były długie sekundy, nie wiem, czy nie minuty) przyglądając się głowie Luizy w lustrze i widząc, że wciąż i uparcie ma zamknięte oczy, które przed chwilą były otwarte i zamysłone, straciłem nagle poczucie czasu i przestałem się skupiać (patrzyłem, ale nie słuchałem), a może Guillermo i Miriam milczeli ciągle, wykorzystując przerwę na pojednanie bez słów lub, równie dobrze, ściszyli tak głośno, że nie były to już dotychczasowe ostre szepty, lecz

stłumiony półszepc zupełnie niesłyszalny po mojej stronie muru. Ponownie nadstawiłem ucha i przez chwilę nic nie słyszałem, nic nie było słyhać, nawet zacząłem się zastanawiać, czy aby podczas tych paru chwil mojej dekoncentracji nie wyszli z pokoju tak dyskretnie, że niczego nie wychwyciłem, być może postanowili zawrzeć rozejm, zejść i zjeść coś razem, może taki i wyłącznie taki był ich zamysł od samego początku i wcale nie planowali swojego spotkania w pokoju. Nie mogłem powstrzymać się od myśli, że ich pojednanie bez słów, o ile do niego doszło, musiało być zarazem pojednaniem seksualnym, bo kiedy dochodzi do przeciągnięcia struny z jednej i z drugiej strony, tylko narządy płciowe gotowe są czasem do pojednania i, być może, w tej właśnie chwili stali ubrani, na środku identycznego jak mój pokoju, w którym spotkali się, zanim Miriam powiedziała ostatnie podsłuchane przeze mnie słowa, „Jesteś skurwysynem, Guillermo”, pewnie powiedziała to stojąc boso. Takie mocne nogi jak jej, pomyślałem, mogą bardzo długo stać, wytrzymując każdą napaść, nie tracąc sił, nie cofając się, nie szukając oparcia, stojąc równie pewnie jak wówczas, gdy czekały na ulicy wbite jak noże sprężynowe, teraz już pewnie nie przejmowała się krnąbrnymi fałdkami na spódnicy, o ile ją jeszcze na sobie miała, spódnica teraz cała sfałdowana, nie trzeba nareszcie pamiętać o torbie, albo spódnica na krześle. Nie wiem, nic nie było słyhać, nawet oddechów, toteż bardzo ostrożnie, choć tak naprawdę wcale nie tak bardzo, bo wiedziałem już, że Luiza nie śpi i najwyżej udaje, że ciągle śpi, wstałem ze swego miejsca przy nogach łóżka i ponownie wyszedłem na balkon. Noc była teraz także wedle godziny i hawańczycy pewnie zasiadali do kolacji, widoczne z okien hotelu ulice były niemal wyludnione, całe szczęście, że Miriam już nie stała i nie czekała wciąż, przez wszystkich opuszczona. Na niebie mięsisty księżyc, bezwietrznie. Byliśmy na wyspie, na przeciwległym krańcu świata, w miejscu, z którego w jednej czwartej pochodziłem; miejsce, gdzie nabrało trwałości wszystko, co nasze i gdzie mieliśmy razem żyć, Madryt, nasz ślub, to wszystko było daleko i tak jakby oddalenie miejsca, które nas połączyło, rozdzielało nas trochę

zarazem podczas naszej podróży poślubnej, a może oddalaliśmy się od siebie, bo nie dzieliliśmy z sobą tego, co dla nikogo z nas nie było sekretem, a jednak stawało się nim, bo właśnie się nim nie dzieliliśmy. Księżyc był mięsisty i wciąż taki sam. Być może z daleka można pragnąć śmierci osoby bardzo nam bliskiej i ponaglać tę śmierć, pomyślałem wsparty na łokciach. Być może uleganie temu pragnieniu z oddali, planowanie z daleka, przemienia to w zabawę i fantazję, a wszystkie fantazje są dopuszczalne. Nie są nimi uczynki, bo nie można ich już naprawić i cofnąć, a jedynie zataić. Zasłyszane słowa nawet i na to liczyć nie mogą, co najwyżej na zapomnienie, jeśli szczęście dopisze.

Nagle z balkonu, zza balkonu, a nie zza ściany, zza ich niedomkniętego balkonu, i zza naszego, który wciąż był otwarty i na którym stałem oparty łokciami, znowu wyraźnie usłyszałem głos Miriam, ale teraz nie mówiła, lecz podśpiewywała, a to, co podśpiewywała, brzmiało tak:

„Matulu, matulu, yen yen yen, waż mnie, waż pożera, yen yen yen”.

Jak zaczęła, tak nagle przerwała i natychmiast (ale i bez żadnej już złości) powiedziała do Guillerma:

„Musisz ją zabić”.

„Dobrze, już dobrze, zabiję ją, ale pieść, pieść, nie przerywaj”, odpowiedział. Ale nie zdumiało mnie to ani zmartwiło, ani przeraziło (nie wiem jak Luizę), bo powiedział to jak zniecierpliwiona matka, odpowiadająca bez namysłu byle co marudnemu dziecku, które naprzykrza się i upiera przy czymś, co jest niemożliwe. Mało tego, chyba dzięki tej odpowiedzi nabrałem pewności, że jeśli rzeczywiście ta kobieta w Hiszpanii istnieje, Guillermo nie wyrządzi jej żadnej krzywdy i że w tym układzie czy w tej historii osobą pokrzywdzoną będzie, tak czy inaczej, Miriam. Chyba nabrałem wówczas pewności, że Guillermo kłamie (w czymś kłamie) i uznałem, że Luiza, równie jak ja nawykła do tłumaczenia i wyjawiania każdego drżenia w głosie

i wyczuwania jego szczerości, również zdała sobie z tego sprawę i poczuła ulgę, nie wobec Miriam, ale wobec chorej żony, na pewno.

A Miriam, która w owej chwili pewnie nie zdawała sobie sprawy z nieszczerości Guillerma, albo postanowiła chwilę odpocząć i nie zwracać na nic uwagi, albo łudzić się jeszcze, albo po prostu na chwilę zrezygnować z życiowych planów, znowu zaczęła podśpiewywać, a ja wiedziałem, jak to dalej idzie. Upłynęło chyba znacznie więcej czasu niż myślałem, pomyślałem, to niemożliwe, nie aż tyle, by mogli swe milczące pojednanie seksualne doprowadzić do końca i jak trzeba, a teraz cieszyli się odprężeniem, jakie im przyniosło. Ale chyba tak się stać musiało, bo było tak, jakby oboje leżeli całkowicie uspokojeni, a Miriam nawet jakby rozbawiona, a może znużona lub znudzona śpiewała, z przerwami charakterystycznymi dla osoby, która podśpiewuje nie zdając sobie z tego w ogóle sprawy, kąpiąc się leniwie albo pieszcząc leżącą obok osobę (dziecko, któremu się śpiewa). A śpiewała co następuje:

„Kłamstwo, moja świekro, yen yen yen, bawimy się jeno, yen yen yen, w coś, co jest zabawą w mym dalekim kraju, yen yen yen”.

I słowa te dopiero naprawdę mnie przeraziły, o wiele bardziej niż początkowe słowa piosenki, a to tym, co sobą ostatecznie potwierdzały (czasami człowiek dobrze słyszy, ale nie wierzy własnym uszom) i poczułem lekkie dreszcze, takie, jakich pewnie dostała Luiza, gdy zaczęła czuć się źle. I Miriam obojętnie, jeśli nie tonem znużenia, również i teraz nie czyniąc żadnej przerwy, dodała:

„Jak jej nie zabijesz, to ja się zabiję. Tak czy siak będziesz miał trupa – albo ją, albo mnie”.

Guillermo tym razem nie odpowiedział, ale mną owładnęło przerażenie i poczułem dreszcze wcześniej, jeszcze przed ostatnimi słowami Miriam, i brało się to z piosenki, którą znałem od dawna, bo tę piosenkę śpiewała mi babcia, kiedy byłem mały, albo dokładniej to ujmując, nie śpiewała mi jej, bo właściwie nie była to piosenka dla dzieci i w istocie stanowiła li tylko część dłuższej

historii czy opowieści, którą, mimo że też nie była dla dzieci, jednak mi opowiadała, żeby postraszyć mnie strachem niestrasznym i pogodnym. Ale poza tym, od czasu do czasu, gdy nudziła się w fotelu u siebie w domu lub w moim domu, wachlując się i patrząc, jak mijają popołudnie i czekając, aż moja matka przyjdzie po mnie lub wróci, by ją zastąpić, podśpiewywała piosenki ze znudzenia, ale nie dla zabawy, podśpiewywała bezwiednie, nie spostrzegając się, że śpiewa, z tym samym znużeniem i zubożeniem, z jakim teraz Miriam śpiewała nieopodal wpółotwartego balkonu, i z tym samym akcentem. Był to ów śpiew bezwiedny i bez adresata, ten sam śpiew służących podczas zmywania podłóg czy przyczepiania szczypczykami prania na sznurze, czy odkurzania odkurzaczem lub leniwymi miotłkami z piór, który rozlegał się w dniach, kiedy byłem chory i nie szedłem do szkoły, i widziałem świat z mojej poduszki, słysząc te dziewczyny w ich porannym stanie ducha, tak odmiennym od wieczornego; to samo nieznaczące podśpiewywanie mojej matki, kiedy czesała się albo wpinała szpilki we włosy, albo wpinała grzebień i zakładała długie kolczyki, gdy czas był na niedzielną mszę, ów kobiecy śpiew przez zęby (szczypczyki lub szpilki w zębach), który nie jest śpiewany, aby go słuchać ani tym bardziej, by go tłumaczyć na żywo lub przekładać na piśmie, ale którego ktoś, dziecko chroniące się w swą poduszkę albo oparte o framugę drzwi, które nie są drzwiami do jego sypialni, słucha i uczy się, i już nie zapomina, choćby tylko dlatego, że śpiew ten, bezwolny i bez adresata, jest wbrew naturze każdego wydanego dźwięku i nie milknie, i nie rozplywa się po wyśpiewaniu go, kiedy następuje po nim cisza młodości, a może to już wiek męski. Ten śpiew nierozmyslny i skrzydlaty był zapewne śpiewany we wszystkich domach Madrytu mojego dzieciństwa codziennie rano przez długie lata, niczym posłanie bez znaczenia, które łączyło całe miasto i kojarzyło je, i zestrajało, woal dźwięków okrywający miasto, nieustanny, zaraźliwy, od każdego podwórza po bramę, przed oknami i na korytarzach, w kuchniach i w łazienkach, na schodach i na tarasach,, w fartuchach, w kitlach i w szlafrokach, i w koszulach

nocnych, i w drogich sukniach. Podśpiewywany był w tamtych, nie tak znów odległych czasach, przez wszystkie kobiety, nieprzytomne ze snu służące od samiuteńkiego rana i panie lub matki cokolwiek później, kiedy robiły toalety, przed wyjściem na zakupy lub w celu załatwienia błahych sprawunków, wszystkie równe sobie i zjednoczone dzięki nieprzerwanemu i wspólnemu bzczeniu, zasilonemu czasem pogwizdywaniem chłopaków, którzy nie byli w szkole i dzięki temu uczestniczyli jeszcze w świecie kobiecym, w którym się obracali i dorastali: chłopcy sklepowi ze swymi rowerami do rozwożenia towaru i swoimi ciężkimi skrzynkami, chore dzieciaki w łózkach upstrzonych rozrzuconymi komiksami, kalkomaniami i bajkami, dzieciaki pracujące i dzieciaki nieużytki, gwizdzące i zazdroszczące sobie nawzajem. Śpiew ten śpiewany był z byle okazji dzień w dzień, przez głosy pełne euforii i głosy pełne smutku, piskliwe i przygnębione, przez głosy ciemne i melodyjne, i fałszujące głosy blond, w każdym stanie ducha i w jakichkolwiek okolicznościach, cokolwiek by się w domach nie działo i nigdy przez nikogo nie osądzany: tak jak podśpiewywała sobie służąca, patrząc, jak rozpuszcza się tort lodowy w domu moich dziadków, kiedy jeszcze nimi nie byli, bo nie dość, że ja się jeszcze nie urodziłem, ale nawet nie miałem takiej możliwości; i tak jak tego samego dnia i w tym samym domu pogwizdywał tę melodię chłopak, idąc w stronę łazienki, w której, być może, młoda kobieta też ją nuciła co nieco przerażona i mokra od łez i wody tuż przed. I śpiew ten śpiewały jeszcze nie babcie, i nie wdowy, i już nie stare panny, pod wieczór, głosem już łamiącym się i słabiutkim, siedząc w fotelach na biegunach albo w sofach lub na kanapach, doglądając i zabawiając swe wnuki albo zerkając na portrety osób, które już odeszły, albo których nie potrafiły w czas zatrzymać, wzdychając i wachlując się, wachlując się całe swoje życie, jesień nie jesień, zima nie zima, wzdychając i podśpiewując, i kontemplując, jak mija czas miniony. Z nastaniem nocy zaś można było usłyszeć ów śpiew, teraz bardziej pulsujący i rozproszony, dobiegający z alków szczęśliwych kobiet, jeszcze nie babć i nie wdów, i już nie starych panien, spokojniejszy i

łagodniejszy, albo bardziej przygaszony, preludium snu i oznaka zmęczenia, taki sam śpiew, jaki Miriam pozwoliła mi usłyszeć ze swego hotelowego pokoju, identycznego jak mój pokój, już po zmroku, w upalnej Hawanie, w czasie mej podróży poślubnej z Luizą, podczas gdy Luiza nic nie śpiewała i nic nie mówiła, przyciskając jedynie swoją twarz do poduszki.

Moja babcia śpiewała przede wszystkim piosenki swojego dzieciństwa, kubańskie piosenki czarnych niań, które opiekowały się nią do dziesiątego roku życia, a więc do roku, w którym wyjechała z Hawany, by przenieść się do kraju, do którego tak ona, jak i jej rodzice i siostry sądzili, że przynależą, znali zaś go tylko z nazwy, tam za oceanem. Piosenki lub bajki (już nie pamiętam albo nie rozróżniam) ze zwierzęcymi postaciami o absurdalnych imionach Krowa Verum-Verum, i Małpka Czirinczinczin, historie ponure albo afrykańskie, bo Krowa Verum-Verum, pamiętam, była bardzo kochana przez rodzinę, krowa dobrodziejka i przyjaciółka, krowa jak niania albo jak babcia, a mimo to, pewnego dnia, przyparci głodem albo uległszy złym podszeptom członkowie rodziny postanawiają zabić ją i ugotować, i zjeść, czego, co zrozumiałe, biedna Verum-Verum nie mogła wybaczyć tak bliskim sobie osobom i z chwilą, gdy każdy z rodziny skosztował jej pokawałkowanego i żylastego już mięsa (popelniając tym samym coś w rodzaju metaforycznego ludożerstwa), od razu zaczął się wydobywać z ich brzuchów grobowy głos, który nigdy już nie ucichł i powtarzał niestrudzenie głosem, jaki moja babcia odpowiednio z siebie wydobywała, tłumiąc śmiech: „Krowa Verum-Verum, Krowa Verum-Verum” i tak już bez końca, z ich trzewi. Jeśli zaś chodzi o Małpkę Czirinczinczin, to wszystkie jej perypetie wyleciały mi z głowy, chyba ze względu na masę okrucieństw, ale mimo wszystko kołacze mi się, że los jej był równie nieubłagany i koniec równie marny na szpikulcu różna jakiegoś białego i pozbawionego skrupułów człowieka. Piosenka podśpiewywana przez Miriam w pokoju obok dla Luizy pozbawiona była jakichkolwiek sensów, i w tym właśnie, w naszym rozpoznawaniu

lub rozumieniu tego, co działo się i co się mówiło zza balkonu i zza ściany, istniała teraz jedna co najmniej, ale zdecydowana różnica. Bo moja babcia miała ten zwyczaj, że opowiadała mi tę krótką czy niekompletną, przejętą od swych czarnych nianiek historię, na której oczywistą seksualną symbolikę nigdy, rzecz jasna, nie zwróciłem uwagi, dopóki nie usłyszałem jej z ust Miriam lub, dokładniej rzecz ujmując, póki nie usłyszałem, jak śpiewa tę posępną i nieco komiczną pieśń, stanowiącą część owej historii opowiadanej mi przez babcię, żeby napędzić mi strachu, krótkotrwałego zresztą i przyprawionego żartem (uczyła mnie strachu i śmiania się ze strachu): w historii tej mowa była o tym, że o rękę dziewczyny pięknej jak anioł, a biednej jak mysz kościelna, poprosił cudzoziemiec bardzo bogaty, bardzo wytworny i z olbrzymimi widokami na przyszłość, przybysz, który urządzał się właśnie w Hawanie, otaczając największym luksusem i nosząc się z nader ambitnymi projektami. Matka dziewczyny, wdowa, zależna całkowicie od swej jedynej córki, a raczej od trafności jej nieodzownego zamążpójścia, nie posiadała się z radości i oddała jej rękę nadzwyczajnemu cudzoziemcowi bez chwili wahania. Ale w noc poślubną do uszu matki z pewnością czatującej, chytrze i zapobiegliwie, przy drzwiach sypialni nowożeńców, dochodził raz i drugi, przez noc całą, śpiew córki, jej błaganie o pomoc: „Matulu, matulu, yen yen yen, wąż mnie, wąż pożera, yen yen yen”. Łatwy do wyobrażenia niepokój owej pazernej matki ustępował jednak pod wpływem powtarzającej się i cudacznej odpowiedzi zięcia, który odśpiewywał jej raz i drugi zza drzwi i przez noc całą: „Kłamstwo, moja świekro, yen yen yen, bawimy się jeno, yen yen yen, w coś, co jest zabawą, yen yen yen, w mym dalekim kraju”. A rano, kiedy matka i już teściowa w końcu zdecydowała się wejść do pokoju nowożeńców, by podać im śniadanie i ujrzeć malujące się na ich twarzach szczęście, zastała ogromnego węża w zakrwawionym łóżku, pośród skłębionej pościeli, ale za to śladu żadnego swej nieszczęsnej, tak bardzo obiecującej i bezcennej córki.

Pamiętam, że babcia śmiała się zawsze po opowiedzeniu mi tej makabrycznej historii, którą, być może okrasilem tu i ówdzie, z racji swej dojrzałszej młodości, co makabryczniejszym szczegółem (nie sądzę, aby babcia wspominała o krwi, czy o tym, jak długo trwała noc); śmiała się dziecięcym nieco śmiechem (być może śmiechem swoich dziesięciu albo i mniej lat, śmiechem jeszcze kubańskim) i wachlowała się, nie przydając żadnej wagi całej tej historii i skutecznie dokładając starań, abym i ja, ze swoimi dziesięcioma latami albo i mniej, jej nie przydawał, a może lęki, jakie mogła wzbudzać owa opowieść, były lękami wyłącznie kobiecymi, lękiem córek i matek, i żon, i teściowych, i babć, i niań, lękiem, należącym do tej samej sfery, co instynktowny śpiew kobiet od rana do nocy i pod koniec nocy, w Madrycie czy w Hawanie, czy gdziekolwiek, ten sam śpiew, w którym uczestniczą dzieci, by zapomnieć o nim później, kiedy dziećmi być przestają. Ja zapomniałem go, ale nie do końca, bo człowiek naprawdę i całkowicie zapomina dopiero wtedy, kiedy nic a nic nie pamięta, choć do pamiętania jest zmuszany. Zapomniałem o tym śpiewie i nie pamiętałem go przez wiele lat, ale znużony lub zmęczony głos Miriam nie musiał rozbrzmiewać ani zbyt uporczywie, ani zbyt natarczywie, by przywrócić tę pieśń mej pamięci podczas podróży poślubnej z moją żoną Luizą, która leżała na łóżku chora i tej nocy mięsistego księżyca patrzyła na świat ze swojej poduszki, a być może nie chciała wcale go widzieć.

Wróciłem do niej i pogłaskałem po karku i po włosach znów mokrych od potu, twarz zwróconą miała ku szafom, kto wie, czy nie pojawiły się na niej znowu fałszywe zmarszczki proroczych niteczek włosów, usiadłem z jej prawej strony i zapaliłem papierosa, ognik rozżarzył się w lustrze, nie chciałem patrzeć na siebie. Jej oddech nie był oddechem śpiącej osoby i szepnąłem jej do ucha:

– Jutro będzie już po wszystkim, kochanie. Śpij dobrze.

Palilem przez jakiś czas, siedząc na pościeli i nie słyszałem, by cokolwiek rozlegało się jeszcze z sąsiedniego pokoju: śpiew Miriam

stanowił preludium snu i był oznaką zmęczenia. Było za gorąco, nie jadłem kolacji, nie chciało mi się spać, ja nie byłem zmęczony, ja nie podśpiewywałem, nie zgasilem jeszcze lampy. Luiza nie spała, ale nie odzywała się do mnie, nawet nie odpowiedziała na moje słowa otuchy, jakby pogniewała się na mnie poprzez Guillerma albo poprzez Miriam i nie chciała tego okazać, lepiej poczekać, żeby przepadło i zniknęło w czasie snu, na który wcale nam się nie zbierało. Zdało mi się, że słyszę, jak Guillermo zamyka teraz swój balkon, ale ja już na swoim nie stałem i nie podszedłem doń, żeby to sprawdzić. Strzepnąłem popiół z papierosa, za mocno i niecelnie i spadł na prześcieradło żarzący się ogieniek, i nim chwyciłem żar w palce, by wyrzucić go do popielniczki, gdzie dogasłby sam i nie groziłby spalaniem czegoś, zobaczyłem, jak zaczyna wypalać na prześcieradle dziurę obrębioną ognikiem. Chyba zbyt nieostrożnie dopuściłem do tego, by dziura powiększała się, bo przez parę sekund jeszcze przyglądałem się jej, jak rośnie i poszerza się krąg, plama czarna i jarząca się zarazem, która trawiła prześcieradło.

Luizę poznałem niespełna rok przedtem, podczas pełnienia moich obowiązków zawodowych, w okolicznościach co nieco komicznych, ale również, w jakiejś mierze, podniosłych. Jak już wspominałem, oboje zajmujemy się albo przekładami tekstowymi, albo tłumaczeniem słowa żywego (dla pieniędzy), ja bardziej od niej lub regularniej, co żadną miarą nie oznacza, że jestem bardziej kompetentny, raczej wprost przeciwnie, ona jest kompetentniejsza, czy też, pod każdym względem, wiarygodniejsza, a przynajmniej tak uznano wówczas, gdyśmy się poznali.

Na szczęście nie zatrudniamy się wyłącznie do prac podczas sesji międzynarodowych organizacji czy w biurach tychże instytucji. Choć wiąże się to z ogromną wygodą, bo w rzeczywistości pracuje się wyłącznie przez pół roku (dwa miesiące w Londynie lub w Genewie czy w Rzymie, lub też w Nowym Jorku czy w Wiedniu, albo nawet w Brukseli, następnie dwa miesiące wolnego w domu, by później na kolejne dwa miesiące lub mniej wrócić w te same miejsca, a nawet do Brukseli); praca tłumacza tekstowego lub tłumacza przemówień i sprawozdań jest jednym z najnudniejszych zajęć, tak z powodu identycznego i w gruncie rzeczy zupełnie niezrozumiałego żargonu używanego, bez wyjątku, przez wszystkich parlamentarzystów, delegatów, ministrów, premierów, deputowanych, ambasadorów, ekspertów i jakichkolwiek, w ogólności, przedstawicieli wszystkich narodów świata, jak i ze względu na niezmiennie usypiający charakter wszystkich ich przemówień, apeli, protestów, mów i sprawozdań. Ktoś, kto się nie parał tym fachem, może pomyśleć, że w pracy tej musi być sporo zabawy, a przynajmniej, że jest interesująca i urozmaicona, ba, więcej, może nawet pomyśleć, że w pewnym sensie taki tłumacz jest w uprzywilejowanej sytuacji, znajduje się bowiem w samym środku światowych decyzji i otrzymuje z pierwszej ręki informację najpełniejszą i najaktualniejszą o wszystkich aspektach życia poszczególnych narodów,

informację polityczną i urbanistyczną, rolną i zbrojeniową, hodowlaną i kościelną, fizyczną i lingwistyczną, wojskową i olimpijską, policyjną i turystyczną, chemiczną i propagandową, seksualną i telewizyjną, i bakteriologiczną, sportową i bankową, i automobilową, hydrauliczną i polemologiczną, i ekologiczną, i obyczajową. Prawda, że w swoim życiu tłumaczyłem przemówienia czy teksty najprzeróżniejszych osobistości, dotyczące najbardziej nieoczekiwanych spraw (na początku mej kariery zawodowej w moich ustach znalazły się pośmiertne słowa arcybiskupa Makariosa, żeby już wspomnieć kogoś jedynego w swym rodzaju) i byłem w stanie powtórzyć w mym własnym języku lub też w jednym z tych, które rozumiem i w których mówię, całe ustępy poświęcone tak zajmującym tematom jak systemy nawadniania na Sumatrze lub społeczności plemienne w Swazilandii i Burkino (przedtem Burkina Faso, stolica Wagadugu), którym wiedzie się kiepsko, jak to wszędzie; odtwarzałem skomplikowany tok rozumowania dotyczący celowości lub też poniżającego charakteru prowadzenia dla dzieci zajęć z seksualnego wychowania w dialekcie weneckim; rentowności dalszego dofinansowywania produkcji nader śmiercionośnej i bardzo kosztownej broni wytwarzanej przez południowoafrykańską firmę Armscor, w teorii bowiem broń ta objęta była zakazem eksportu; możliwości wybudowania kolejnej repliki Kremla w Burundi albo Malawi, jak mi się wydaje (stolica Bużumbura i Zomba); potrzeby odłączenia od naszego półwyspu całego królestwa Lewantu (z Murcją włącznie) i przekształcenia je w wyspę, w celu uniknięcia tym samym ulewnych deszczy i corocznych powodzi poważnie obciążających nasz budżet; choroby marmuru w Parmie, ekspansji AIDS na wyspach Tristan da Cunha, struktur piłkarskich w Emiratach Arabskich, niskiego morale bułgarskiej floty morskiej i dziwnego zakazu grzebania zmarłych, których cuchnące zwłoki gromadzono w szczerym polu, a wydanego przed laty w Londonderry z woli czy z kaprysu burmistrza, w końcu jednak zdymisjonowanego. To wszystko i dużo więcej tłumaczyłem, przekazywałem i powtarzałem skrupulatnie za innymi, słowo po słowie, za głoszącymi je

ekspertami i naukowcami, luminarzami i mędrkami reprezentującymi wszystkie możliwe specjalności i najodleglejsze kraje, za ludźmi nietuzinkowymi, ludźmi egzotycznymi, ludźmi-encyklopediami i znakomitościami, noblistami i profesorami Oksfordu i Harvardu, którzy przysyłali sprawozdania na zupełnie nieoczekiwane tematy, bo takie zlecenia otrzymywali od swoich władz lub przedstawicieli władz, lub pełnomocników władz, lub też ich zastępców.

Przyznać trzeba, że w instytucjach owych jedynym, co rzeczywiście działa sprawnie jest właśnie wszystko, co związane z przekładami, więcej, panuje w nich prawdziwa gorączka przekładowa, chorobliwe zjawisko i niezdrowe, każde bowiem słowo, jakie w organizmach tych zostaje wypowiedziane (podczas sesji lub zgromadzeń) i byle świstek, który zostaje im dostarczony, czego by nie dotyczył, do kogo by nie był w pierwszym rzędzie adresowany, i w jakim by to nie było celu (nawet jeśli jest to ściśle tajne) natychmiast tłumaczone jest na kilka języków i na wszelki wypadek. Tłumacze tekstowi i tłumacze słowa żywego przekładamy i tłumaczymy, w okresach naszej pracy kontraktowej, bez ustanku, bez wyjątku i niemal bez wytchnienia, choć najczęściej nikt za bardzo nie wie, po co się tłumaczy ani dla kogo, najczęściej do archiwów, w przypadku tekstu, i dla tej garstki osób, które na domiar złego nie rozumieją również języka, na który tłumaczymy, w przypadku przemówienia. Byle idiotyzm przesłany w stanie natchnienia przez byle idiotę do jednej z tych instytucji tłumaczony jest natychmiast na sześć języków oficjalnych, na angielski, francuski, hiszpański, rosyjski, chiński i arabski. Wszystko jest po francusku i wszystko jest po arabsku, wszystko jest po chińsku i po rosyjsku, byle bzdura byle nawiedzonego, byle przebłysk byle idioty. Może nic się z tymi bzdurami nie robi, ale na wszelki wypadek się tłumaczy. Nie raz i nie dwa przekazywano mi do tłumaczenia rachunki, podczas gdy należało je tylko i wyłącznie uregulować. Rachunki te, jestem przekonany, przechowuje się po wsze czasy w

jakimś archiwum, po francusku i po chińsku, po hiszpańsku i arabsku, po angielsku i rosyjsku, co najmniej. Wezwano mnie raz w trybie natychmiastowym do kabiny, żebym tłumaczył przemówienie (nienapisane), jakie miał wygłosić rządzący osobnik, który, o czym sam czytałem dwa dni wcześniej w czterokolumnowych doniesieniach prasowych, został zabity w swoim własnym kraju w wyniku zamachu stanu, którego głównym i całkowicie osiągniętym celem było jego obalenie.

Do największych napięć na owych międzynarodowych forach dochodzi nie w trakcie zażartych, ocierających się o wypowiedzenie wojny, dyskusji między delegatami i przedstawicielami, ale wtedy gdy z jakiegoś powodu nie ma tłumacza do przetłumaczenia czegoś, lub też tłumacz zawodzi w trakcie wystąpienia z przyczyn natury fizycznej lub psychicznej, co zdarza się stosunkowo często. W tym fachu należy trzymać nerwy na wodzy, nie tyle z uwagi na samą trudność w wychwytywaniu i przekazywaniu w lot tego, co się właśnie mówi (trudność niepoślednia), ile z powodu presji, jakiej jesteśmy poddawani przez rządzących i ekspertów, którzy zaczynają się denerwować, a nawet wpadać w furję, jeśli zauważą, że coś z tego, co głoszą, może nie zostać przetłumaczone na jeden z sześciu przesławnych języków. Pilnują nas bezustannie, równie czujnie jak nasi bezpośredni, a także dalsi zwierzchnicy (wszyscy w randze wysokich urzędników), by sprawdzić, czy znajdujemy się na swoich miejscach i tłumaczymy wszystko, nie opuszczając żadnego słowa, na resztę języków, których prawie nikt nie zna. Jedynym rzeczywistym pragnieniem delegatów i przedstawicieli jest, aby ich tłumaczono na żywo i przekładano na piśmie, a nie żeby ich przemówienia i sprawozdania były aprobowane lub oklaskiwane czy też, by ich propozycje .brane były pod uwagę lub realizowane, co zresztą, jeśli już o tym mowa, nie zdarza się prawie nigdy (ani aprobata, ani oklaski, ani uwaga, ani realizacja). Na jednym ze zgromadzeń krajów Commonwealthu, które odbyło się w Edynburgu i którego uczestnikami byli, siłą rzeczy, wyłącznie delegaci angiel-

skojęczyci, australijski mówca nazwiskiem Flaxman uznał za karygodne brak tłumaczy w kabinach i brak słuchawek na uszach swych kolegów, którzy, tym samym, miast słuchać jego wystąpienia za ich pośrednictwem, czynią to bezpośrednio, w linii prostej między mikrofonem a swoimi siedzeniami, wygodnie i beztrosko rozparci. Zażądał, aby przystąpiono do tłumaczenia jego słów, a gdy zwrócono mu uwagę, że nie ma takiej potrzeby, zmarszczył brew, szpetnie zaklął i podjął mowę, przejawiając swój i tak już dokuczliwy akcent australijski do tego stopnia, iż uczynił swe wystąpienie niezrozumiałym dla przedstawicieli pozostałych państw, a nawet dla niektórych reprezentantów własnego kraju, którzy zaczęli wyrażać swoje niezadowolenie, stając się ofiarami odruchu warunkowego każdego uczestnika kongresów zaprawionego w natychmiastowym zakładaniu na uszy słuchawek z chwilą, gdy ktoś mówi coś niezrozumiałego. Stwierdziwszy, że ze słuchawek nic się nie wydobywa, wbrew przyjętym standardom (żaden, choćby najdrobniejszy, jasny czy ciemny dźwięk) podnieśli jeszcze większy rwetes, wobec czego Flaxman zagroził, że osobiście przejdzie do jednej z kabin, by stamtąd tłumaczyć sam siebie. Został zneutralizowany, kiedy już szedł korytarzem i trzeba było na gwałt wyznaczyć prowizorycznego tłumacza z Australii, który zajął miejsce w kabine, by zacząć wymawiać we właściwym i naturalnym języku angielskim to, co jego ziomek, prawdziwy *larrikin*, by użyć określenia, jakiego on sam pewnie by użył, wyrzaskiwał z trybuny ze swym niezrozumiałym akcentem z przedmieść lub nabrzeży Melbourne czy Adelajdy, czy Sydney. Ów reprezentant Australii zaś, Flaxman, spostrzegłszy, że wreszcie tłumacz jest na swoim miejscu i przekazuje jak należy koncepty jego przemówienia, natychmiast się uspokoił i wrócił do swej normalnej, neutralnej i mniej lub bardziej poprawnej wymowy, czego już jego koledzy nie zauważyli, postanowili bowiem słuchać go za pośrednictwem słuchawek, przez które wszystkie słowa brzmią zdecydowanie mniej niepewnie, za to posiadają znacznie większą wagę. W ten oto sposób, osiągając apogeum translatorskiej gorączki obiegającej i opanowującej

wszelkie międzynarodowe fora, doszło do tłumaczenia z angielskiego na angielski, nie do końca, jak się zdaje, dokładnego, zbuntowany australijski uczestnik spotkania perorował bowiem zbyt szybko, aby australijski tłumacz z łapanki mógł powtarzać wszystko w tym samym tempie, niczego przy tym nie pomijając.

To zadziwiające, że w gruncie rzeczy wszyscy uczestnicy zgromadzeń ufają bardziej temu, co słyszą przez słuchawki, to znaczy temu, co słyszą od tłumaczy, niż temu, co słyszą (to samo, ale bardziej spójne) bezpośrednio od tego, który mówi, nawet jeśli doskonale rozumieją język, w którym się do nich zwraca. To zadziwiające, bo w rzeczywistości nikt nie jest w stanie sprawdzić, czy to, co tłumacz tłumaczy w swojej odosobnionej kabinie jest odpowiednie czy prawdziwe, a truizmem byłoby stwierdzenie, że częstokroć nie jest ani takie, ani takie, już to z niedostatków wiedzy, już to z lenistwa, z roztargnienia, z niezrozumienia czy też z powodu kaca.

Taki właśnie zarzut stawiają przekładacze (to znaczy tłumacze tekstowi) tłumaczom słowa żywego: o ile rachunki i idiotyzmy przekładane przez tych pierwszych w ich ciemnych pokoikach biurowych, wystawione są na mało życzliwe weryfikacje, a ich błędy mogą zostać wykryte, zadenuncjowane, a nawet obłożone grzywną, o tyle słów rzucanych w kabinach nierozważnie na wiatr nie kontroluje nikt. Tłumacze słowa żywego nienawidzą tłumaczy tekstowych, ci drudzy zaś tych pierwszych (tak jak tłumacze symultaniczni nienawidzą konsekwentnych, a konsekwentni symultanicznych), a ja, który byłem i jednym, i drugim (teraz już tylko tłumaczem słowa żywego, korzyści jednak większe, choć i wyczerpuje to bardziej, i ujemnie wpływa na psychikę), wiem dobrze, jakimi darzą się uczuciami. Tłumacze słowa żywego mają siebie za bogów niemal lub za bożyszcza prawie, bo znajdują się w zasięgu wzroku rządzących i przedstawicieli, i wydelegowanych zastępców, wszyscy zaś oni żyć bez nich nie mogą lub mówiąc dokładniej bez ich obecności i bez ich pracy. W każdym razie jest rzeczą bezsporną,

że może na nich spocząć oko władców tego świata, co jest przyczyną ich nieustannej dbałości o wygląd i ubierania się jak z igły; nierzadko poprzez szyby kabin można zobaczyć tłumaczy malujących sobie usta, przyglądających fryzury, poprawiających krawat, wyrywających pęsetą włoski, zdmuchujących pyłki z ubrania albo przycinających sobie baczki (lustreczko zawsze pod ręką, u wszystkich). Wywołuje to poczucie dyskomfortu i zawiści u tłumaczy tekstowych, zaszytych w wieloosobowych i ciasnych pomieszczeniach biurowych, to prawda, ale kierujących się ogromnym poczuciem odpowiedzialności, co w ich mniemaniu każe im poczytywać się za nieskończenie poważniejszych i bardziej kompetentnych od zadufanych tłumaczy słowa żywego z ich ślicznymi indywidualnymi, przezroczystymi, dźwiękochłonnymi i nawet aromatyzowanymi kabinami, gdzieniegdzie i niekiedy (bywają uprzywilejowani). Wszyscy gardzą wszystkimi i nienawidzą, ale w jednym wszyscyśmy jednacy, w tym mianowicie, że żaden z nas nie ma najmniejszego pojęcia o tych czarujących sprawach, o których, podając parę przykładów, już wspominałem. Tłumaczyłem owe przemówienia na żywo lub przekładałem teksty, o czym już mówiłem, ale niewiele z nich pamiętam, tyle co nic; i nie wynika to wcale z upływu czasu i ograniczeń pamięci zdolnej zachować określoną dawkę informacji, ale z tego, że w tej samej chwili, w której to wszystko tłumaczyłem, już nic z tego nie pamiętałem, a dokładnie mówiąc, już wtedy nie miałem pojęcia, o czym przemawiający mówi, ani co ja mówię w następstwie lub symultanicznie, jak być powinno czy zakłada się, że tak właśnie jest. On lub ona mówili to i ja to mówiłem lub powtarzałem, ale w sposób mechaniczny, co nie ma nic wspólnego z pojmowaniem, więcej, kłóci się z nim: tylko wtedy, kiedy człowiek nie rozumie i w ogóle nie przyswaja tego, co słyszy, może powtórzyć to mniej lub bardziej dokładnie (szczególnie, gdy odbiera i nadaje bez przerwy) i to samo zachodzi przy tekstach podobnego gatunku, jak najdalszych od literatury, których ani poprawienie, ani przemyślenie, ani cofnięcie nie jest możliwe. Tak więc cała owa cenna informacja, którą jedni i

drudzy tłumacze pracujący w międzynarodowych instytucjach, w mniemaniu co poniektórych ludzi z zewnątrz, ponoć posiadamy, jest czymś, co w rzeczywistości wymyka się nam całkowicie, od początku do końca i z góry na dół, i nie wiemy nic, ani słowa z tego wszystkiego, co się wykuwa i knuje, i gotuje na świecie, najmniejszego pojęcia. I choć niekiedy, mimo wypadającej na nas przerwy, przysłuchujemy się nadal prominentom, już ich nie tłumacząc, identyczna i przez nich wszystkich używana terminologia okazuje się nadal niezrozumiała dla kogokolwiek zdrowego na umyśle, więc jeśli udaje się nam, z niezrozumiałych powodów, zachować w pamięci parę zdań, wówczas staramy się usilnie i rozmyślnie wymazać je z pamięci w krótkim czasie, bo przetrzymywanie w głowie tego niehumanicznego żargonu ponad potrzebę, tylko po to, by przełożyć go na inny język albo inny żargon, to zbędna i nader szkodliwa udreka dla naszej poniewieranej równowagi.

Rozmyślając sobie o tym i owym, często zastanawiam się ze strachem, czy ktokolwiek pojmuje cokolwiek z tego, co się mówi na owych forach, szczególnie na sesjach wyłącznie i stricte retorycznych. Bo przyjmując nawet, że i owszem, przynajmniej uczestnicy owych zgromadzeń potrafią się porozumieć w swoim zdziczałym żargonie, to przecież wiadomo, że tłumacze mogą według własnego uznania zmieniać treść przemówień i nie ma sposobu na rzeczywistą kontrolę ani po prostu czasu na sprostowanie czy korektę. Jedyne rozwiązanie nas polegałoby na postawieniu drugiego tłumacza zaopatrzonego w słuchawki i mikrofon, którego zadaniem byłoby symultaniczne tłumaczenie naszego przekładu z powrotem na pierwszy język celem sprawdzenia, czy istotnie mówimy to, co w tej właśnie chwili mówione jest na sali. Ale przy takim rozwiązaniu niezbędny byłby trzeci tłumacz identycznie oprzyrządowany, który z kolei kontrolowałby tego drugiego tłumacząc go z powrotem i być może jeszcze czwarty, który pilnowałby trzeciego i tak, obawiam się, w nieskończoność, tłumacze tekstowi kontrolujący tłumaczy słowa żywego, a ci drudzy tych

pierwszych, mówcy z mównicy słuchaczy na sali, a stenografowie mówców, tłumacze rządzących, a ochrona tłumaczy. Wszyscy pilnowaliby siebie nawzajem i nikt by nie słuchał, i nie spisywałby niczego, co po jakimś czasie doprowadziłoby do zawieszenia sesji i kongresów, i zgromadzeń, i do zlikwidowania raz na zawsze wszelkich instytucji i organizacji międzynarodowych. Lepiej więc ponosić pewne ryzyko i narażać na zakłócenia (czasem groźne) i nieporozumienia (czasami długotrwałe), do których nieuchronnie dochodzi wskutek nieścisłości tłumaczenia i choć nie jest nagminne, byśmy dowcipkowali sobie beztrąsko (ryzykujemy utratę pracy), to jednocześnie nie opieramy się chęci popełnienia drobnego fałszerstwa od czasu do czasu. Zarówno przedstawicielom narodów, jak i naszym etatowym szefom nie pozostaje nic innego, jak tylko nam ufać, a i dygnitarze różnych krajów nie mają innego wyjścia, kiedy korzystać muszą z naszych usług już to poza forami międzynarodowych instytucji, już to na spotkaniach zwanych *szczytami*. Czy podczas wizyt oficjalnych, jakie składają jedni drugim na terenie państw zaprzyjaźnionych, wrogich lub neutralnych. Wprawdzie w związku z okolicznościami tak podniosłymi, od których zależą ważne umowy handlowe, paktów o nieagresji, sprzysiężenia wymierzone przeciw stronom trzecim, a nawet wypowiedzenie wojny lub zawarcie rozejmu, usiłuje się niekiedy zaprowadzić jakąś kontrolę nad tłumaczem za pośrednictwem drugiego tłumacza, który nie będzie, oczywiście, dokonywał zwrotnego tłumaczenia (niełichy galimatias), ale będzie uważnie słuchać tego pierwszego i pilnować, i poświadczać, że ten tłumaczy jak należy lub nie. Tak poznałem Luizę, którą z jakiegoś powodu uznano za osobę poważniejszą, wiarygodniejszą i spolegliwszą ode mnie i została wybrana jako tłumacz dyżurny (tłumacz zabezpieczający, jak ich nazywają, albo tłumacz-sieć, co w rezultacie prowadzi do tego, że określa się ich po prostu jako „ten sieć” albo „ta sieć”, obrzydlistwo), by poprawiać lub też dyskredytować moje słowa podczas spotkań w cztery oczy na bardzo wysokim szczeblu, jakie miały miejsce w naszym kraju niespełna dwa lata temu pomiędzy

naszymi przedstawicielami a przedstawicielami Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii.

Tak daleko posunięta sumienność nie ma większego sensu, bo w istocie rzeczy im wyższa ranga dygnitarzy wyznaczających sobie rozmowę, tym mniejsze znaczenie ma to, co między sobą mówią, więc tym bliższy byłby błąd lub przewinienie z naszej strony. Przypuszczam, że owe widome środki ostrożności wprowadza się dla zachowania twarzy i po to, żeby na publikowanych w prasie zdjęciach i w telewizyjnych ujęciach, zawsze można było zobaczyć owe wyprężone indywidua, jak siedzą niewygodnie na krześle między dwoma przywódcami, którzy za to zajmują zazwyczaj mięciutkie fotele albo szerokoekranowe sofy; a jeśli nie jeden, ale dwóch lub dwoje takich wyprężonych osobników siedzi na arcytwardych krzesłach, trzymając w dłoniach stosowne bloki notesowe, tym większe wrażenie lodowatości wywierać będzie rzeczony spotkanie na widzach migawek i czytelnikach zdjęć. Prawda że podczas tych wizyt wysocy rangą dostojnicy podróżują w kompanii doradców, ekspertów, naukowców i specjalistów (bez wątpienia tych samych, którzy piszą przemówienia, które ci wygłaszają, my zaś tłumaczymy), dla prasy niemal niewidzialnych, ale przecież odbywających również odpowiednie, choć w kularach, spotkania ze swoimi kolegami ekspertami i specjalistami kraju wizytowanego. To oni dyskutują i decydują, i wiedzą, redagują umowy bilateralne, ustalają zakres współpracy, grożą sobie w sposób zawołowany lub otwarty, roztrząsają spory, szantażują się nawzajem i usiłują uzyskać jak największe korzyści dla reprezentowanych przez siebie państw (na ogół są wielojęzyczni i nikiemni, czasami nawet nie jesteśmy im potrzebni). Z kolei najwyżsi rangą dygnitarze nie mają najmniejszego pojęcia o tym, co się szykuje, albo orientują się, kiedy jest już po wszystkim. Po prostu użyczają swoich twarzy dla zdjęć i migawek, uświetniają jakąś tłumną kolację lub wielkoświatowy bal i składają podpisy na dokumentach podkładanych im przez doradców pod koniec podróży. To, co mogą sobie zatem powiedzieć, niemal nigdy

nie ma najmniejszego znaczenia, a co gorsze i najbardziej krępujące, bardzo często nie mają sobie absolutnie nic do powiedzenia. Wszyscy tłumacze, i tekstowi, i żywego słowa, wiemy o tym, niemniej jednak zawsze musimy być obecni podczas owych spotkań w cztery oczy z trzech zasadniczych powodów: najwyżsi rangą dostojnicy w zasadzie nie znają języków obcych; gdyby nas tam nie było, uznaliby, że ich paplaninie nie przydaje się odpowiedniej wagi, jeśli zaś dojdzie do scysji, zawsze będzie można winę zrzucić na nas.

W owej konkretnej sytuacji wysokiej rangi oficjel hiszpański był rodzaju męskiego, a równie wysokiej rangi oficjel brytyjski żeńskiego, więc widocznie uznano za rzecz wielce właściwą, że odpowiednio pierwszy tłumacz będzie również męskiego rodzaju, drugi zaś, czyli „sieć” – żeńskiego, celem stworzenia partnerskiej i seksualnie zrównoważonej atmosfery. Znalazłem się na swym krześle tortur pomiędzy obydwójkiem przywódców, Luiza zaś na swym cierpiętniczym krześle nieco z mojej lewej, to znaczy między żeńską przywódczynią a mną, ale trochę cofnięta, niczym nadzorująca i złowieszcza postać lustrująca mój kark, którą dostrzec mogłem (niewyraźnie) jedynie kątem oka (za to doskonale widziałem jej skrzyżowane i wysoce długie nogi, i nowe buty od Prądy, markę miałem najbliżej). Nie będę zaprzeczać, że zwróciłem na Luizę uwagę i to bardzo (ale mimowolnie, właśnie), wchodząc do osobistego saloniku (całkowicie bezguście), kiedy została mi przedstawiona i zanim zajęliśmy swoje miejsca, podczas gdy fotografowie robili zdjęcia, a wysokiej rangi oficjele udawali, że rozmawiają już ze sobą przed kamerami telewizyjnymi; udawali, bo ani nasz oficjel wysokiej rangi nie znał słowa po angielsku (no dobrze, odważył się na „Good luck” przy pożegnaniu), ani brytyjska wysokiej rangi oficjel słowa po hiszpańsku (choć powiedziała mi „Buen dia” zgniółszy moją dłoń w żelaznym uścisku). Podczas gdy pierwszy mamrota! po hiszpańsku niesłyszalne dla kamerzystów i fotografów słowa zupełnie od rzeczy, nieustannie patrząc na goszczoną przez siebie osobę i szeroko się do niej uśmiechając, jakby prawil jej wyłącznie dusery (dla mnie to, co

mamrotał, było słyszalne; o ile pamiętam, powtarzał cały czas: „Raz, dwa, trzy, raz, jak miło razem spędzimy czas”), ona zaś mełła w ustach nonsensy w swoim języku prześcigając się w uśmiechach (zgodnie z zaleceniami udzielanymi w świecie anglosaskim fotografowanym osobom mówiła: „Cheese, cheese” przeplatając to zbitkami onomatopeicznymi i nieprzetłumaczalnymi jak: „Tweedle tweedle, biddle diddle, twit and fiddle, tweedle twang”).

Jeśli o mnie chodzi, to przyznaję, że również uśmiechałem się, nawet bardzo i mimowolnie, do Luizy podczas owych prolegomenów, kiedy nasza ingerencja nie była jeszcze potrzebna (obdarzała mnie zaledwie półuśmiechami, koniec końców była tu po to, żeby mnie nadzorować), a kiedy stała się niezbędna i już siedzieliśmy, to wówczas żadną miarą nie mogłem zwracać na nią uwagi, ani uśmiechać się do niej z uwagi na opisane już ustawienie, ponoć służących do siedzenia, narzędzi tortur. Prawdę mówiąc, nim ingerencja nasza stała się potrzebna, upłynęło jeszcze trochę czasu, z chwilą bowiem, gdy dziennikarze zostali poproszeni o opuszczenie saloniku („Starczy tego” powiedział nasz wysoki dostojnik, unosząc dłoń, tę z obrączką) i szambelan czy faktotum zamknął drzwi od zewnątrz i zostaliśmy sami we czwórkę, gotowi do eminentnej rozmowy, ja ze swoim blokiem notesowym, a Luiza ze swoim na kolanach, zapadła nagle przejmująca cisza, najzupełniej niespodziewana i w stopniu najwyższym krępująca. Zadanie moje było nader delikatne, a uszy szczególnie czujnie czekały na pierwsze sensowne słowa, które poddałyby mi właściwy ton, a ja powinienem je natychmiast przetłumaczyć. Spojrzałem na naszego przywódcę i spojrzałem na ich przywódczynię, i znów spojrzałem na naszego. Ona przyglądała się swoim paznokciom z zakłopotaniem i palcom o kremowym odcieniu z pewnej odległości. On obmacywał sobie kieszenie marynarki i spodni, nie jak osoba, która nie jest w stanie znaleźć tego, czego naprawdę szuka, ale jak ktoś, kto pozoruje, że nie jest w stanie znaleźć, by zyskać na czasie (gdy, na przykład, konduktor poprosi o bilet osobę, która go nie ma). Zacząłem czuć się

jak w poczekalni u dentysty i przez chwilę nawet ogarnęło mnie przerażenie, że tylko patrzeć jak nasz mandatariusz wyciągnie i rozda nam kolorowe tygodniki. Odważyłem się odwrócić ku Luizie głowę z pytaniem w brwiach, ona zaś uczyniła gest ręką (niekarzący), nakazując mi cierpliwość. Wreszcie wysoki rangą Hiszpan wyciągnął z kieszeni metalową i już z dziesięć razy namacaną papierośnicę (cokolwiek tandetną) – i zapytał swą koleżankę po szczeblu:

– No dobra, bardzo będzie przeszkadzać, jak sobie zapalę?

Pospieszyłem z tłumaczeniem.

– Do you mind if I smoke, Madam? – powiedziałem.

– Nie, proszę pana, jeśli będzie pan wypuszczał dym ku górze – odpowiedziała brytyjska przywódczyni, odrywając wzrok od paznokci i obciągając spódnice, ja zaś pospieszyłem z przekładem, tak jak uczyniłem to przed chwilą.

Wysoki rangą oficjel zapalił cygaretkę (miała rozmiar i kształt papierosa, ale ciemnokasztanowego koloru, rzekłbym, że to cygaretką), zaciągnął się parę razy, mając się na baczności, by wypuszczać dym w stronę sufitu, na którym, jak zauważyłem, widniały plamy. Znow zapanowało milczenie, ale po chwili on wstał ze swojego głębokiego fotela, podszedł do stolika na którym przypadkiem stało zbyt wiele butelek i przygotował sobie whisky z lodem (zdziwiło mnie, że przedtem nie została mu podana przez kelnera czy kamerdynera) i zapytał:

– Pani nie pije, prawda?

A ja przetłumaczyłem pytanie i w następstwie odpowiedź, dodając jednak ponowne „proszę pani”.

– Nie o tej porze, więc jeśli pan pozwoli, nie będę panu towarzyszyć – i angielska dama raz jeszcze obciągnęła już mocno obciągniętą spódnice.

Nudzić już mnie zaczęły te długie przerwy i ta rozmowa, nierozmowa lub raczej banalna wymiana oderwanych zdań. W innych zupełnie okolicznościach, gdy też służyłem za tłumacza prominentnym osobom (Hiszpan i Włoch), odnosiłem przynajmniej wrażenie, że jestem niemal niezastąpiony ze swą pełną znajomością języków, którymi władam. Nie żeby od razu rozprawiano o wielkich rzeczach, ale trzeba było jednak oddać bardziej skomplikowaną składnię i bogatsze słownictwo, których przekład mógł nastreczyć problemów komuś średnio znającemu języki, w przeciwieństwie do tego, z czym miałem teraz do czynienia: ze wszystkim, co do tej pory zostało powiedziane, dziecko by sobie poradziło.

Zwierzchnik nasz z powrotem usiadł ze szklanką whisky w jednej dłoni, z cygaretką w drugiej, upił łyżek, westchnął ciężko, odstawił szklankę, spojrzął na zegarek, poprawił poły marynarki, które sam wcześniej wygniółł siadając na nie całym ciężarem ciała, raz jeszcze obmacał się po kieszeniach, zaciągnął się i wypuścił większe kłęby dymu, uśmiechnął się niezbyt chętnie (brytyjska przywódczyni uśmiechnęła się również, ale już zupełnie wbrew chęci i podrapała się w czoło długimi paznokciami, którym ze zdumieniem przyglądała się na początku, przez chwilę czuć było w powietrzu zapach pudru) i wówczas zrozumiałem, że oboje są w stanie spędzić owe, wyznaczone im, trzydzieści lub czterdzieści pięć minut tak, jakby siedzieli w poczekalni kancelarii doradcy podatkowego czy notariusza, ograniczając się do przeczekania przewidzianego czasu do chwili, gdy ordynans lub famulus znowu otworzy drzwi niczym więzienny strażnik, który beznamiętnie obwieszcza: „Koniec widzenia”, czy pielęgniarka, która wywrzaskuje nieprzyjemnie: „Następny!”. Ponownie odwróciłem się ku Luizie, by tym razem ukradkiem skwitować sytuację (chyba chciałem do niej syknąć przez zęby „Ale cyrk”), ale tyle zyskałem, że uśmiechając się, stanowczo uniosła palec wskazujący ku ustom, by lekko popukawszy nim o wargi nakazać mi zachowanie milczenia. Wiem, że nigdy nie zapomnę tych uśmiechniętych ust przeszytych palcem wskazu-

jącym, który nie był w stanie przekreślić uśmiechu. Chyba właśnie wtedy, jak mi się wydaje (albo wtedy jeszcze bardziej), pomyślałem, iż bliższe poznanie owej młodszej ode mnie i tak świetnie obutej dziewczyny nie byłoby ze szkodą dla mnie. Chyba też, jak mi się wydaje, właśnie owo zespolenie ust i palca wskazującego (otwarte wargi i pieczęć palca wskazującego, wargi wygięte i prosty, przecinający je palec wskazujący) ośmieliło mnie, by darować sobie wierność przy następnym pytaniu, które w końcu, wyciągnawszy brelok pękający od kluczy i bawiąc się nim niestosownie, zadał nasz bardzo wysokiej rangi oficer:

– Może poproszę o herbatę dla pani? – powiedział.

A ja nie przetłumaczyłem, to znaczy chcę powiedzieć, że to, co włożyłem po angielsku w jego usta, nie było jego uprzejmym pytaniem (z elementarza i cokolwiek spóźnionym, co prawda, to prawda), ale tym oto innym pytaniem:

– Proszę mi powiedzieć, czy jest pani lubiana w swoim kraju?

Poczułem osłupienie Luizy za moimi plecami, więcej, zobaczyłem, jak natychmiast spłoszone nogi stają niemal na baczność obok siebie (wysoce długie nogi, nieustannie w zasięgu mojego wzroku, tak jak nowe i drogie buty firmy Prada, potrafi wydawać pieniądze albo dostała od kogoś w prezencie) i przez kilka sekund, wcale nie krótkich (poczułem, jak przestkach przeszywa mi kark), czekałem na jej ingerencję i jej denuncjację, jej poprawkę i reprimendę albo natychmiastowe przejęcie tłumaczenia, „sieć” po to jest. Ale te sekundy minęły (raz, dwa, trzy i cztery) i nic nie powiedziała, być może (pomyślałem wówczas) dlatego, że przywódczyni Anglii nie wyglądała na obrażoną i odpowiedziała niezwłocznie, więcej, z pewnego rodzaju hamowanym zapalem:

– Bardzo często się właśnie nad tym zastanawiam – powiedziała i po raz pierwszy założyła nogę na nogę dając spokój swej pensjonarskiej spódnicy i ukazując białawe i graniaste kolana. – Głosują na ciebie, to prawda, i to nie raz. Zostajesz wybrany, i to nie

raz. A mimo to, człowiek, co dziwne, nie odnosi wrażenia, że dzięki temu go lubią czy kochają.

Przetłumaczyłem to dokładnie, choć w taki sposób, by w wersji hiszpańskiej zniknęło „właśnie nad tym” z pierwszego zdania, a dla naszego przywódcy zabrzmiało jak spontaniczna brytyjska refleksja, którą, nawiasem mówiąc, przyjął najwidoczniej z zadowoleniem jako temat rozmowy, popatrzył bowiem na damę z niewielkim tylko zaskoczeniem, za to z większą sympatią i, radośnie pobrzękując swymi licznymi kluczami, odpowiedział:

– To prawda. Oddane głosy nie dają żadnej co do tego pewności, choćbyśmy jak najlepiej wykorzystali nasz mandat. Proszę zważyć na to, co powiem, osobiście wydaje mi się, że dyktatorzy, rządzący, na których nigdy nie głosowano i nie wybrano demokratycznie, są bardziej lubiani i kochani w swoich krajach. Oczywiście i bardziej nienawidzeni, bez wątpienia, ale i mocniej kochani przez tych, którzy ich kochają, i których stale, zresztą, przybywa.

Uznałem, że ostatnie stwierdzenie „których stale, zresztą, przybywa” jest nieco przesadne, jeśli nie fałszywe, wobec tego wszystko przetłumaczyłem należycie, prócz tych słów (pomiąłem je i ocenzurowałem w sumie), i jak poprzednio czekałem na reakcję Luizy. Szybko założyła znowu nogę na nogę (jej kolana złociste, krągłe), ale to był jedyny sygnał wskazujący, iż spostrzegła moją inwencję. Może, pomyślałem, nie dyskwalifikuje jej całkowicie, choć wydawało mi się, że czuję wciąż wbite w mój kark jej zdumione albo też oburzone spojrzenie. Nie mogłem się ku niej odwrócić, to było nieszczęście.

Przywódczyni jakby się ożywiła:

– Ależ jak najbardziej – powiedziała. – Ludzie w dużym stopniu kochają, bo ich się zmusza do kochania. To samo dotyczy stosunków osobistych, nieprawdaż? Ileż to związków nie jest

związkami, bo jedno z dwojga i tylko jedno, uparło się, że muszą być związkami i zmusiło drugie, by też tego chciało?

– Zmusiło czy przekonało? – zapytał nasz wysoki ranga, a ja spostrzegłem, że jest bardzo zadowolony ze swojego, pełnego niuansów, uszczegółowienia, wobec tego ograniczyłem się do przetłumaczenia tego tak, jak się wyraził. Potrząsał pękiem niezliczonych kluczy, zanadto nimi pobrzękując, nerwowy człowiek, przeszkadzał mi słuchać, tłumacz żywego słowa potrzebuje ciszy, by móc sprostać swemu zadaniu.

Przywódczyni przyjrzała się swym wypiełgnowanym i długim paznokciom, teraz bardziej z bezwiedną kokieterią niż z urazą czy nieufnością, z jaką poprzednio to uczyniła, udając zdziwienie. Obciągnęła spódnicę, ale bez skutku, bo ciągle miała nogę założoną na nogę.

– To jedno i to samo, nie sądzi pan? Różnica istnieje tylko w następstwie czasowym – co jest pierwsze, co poprzedza, bo jedno przeistacza się w drugie, a to drugie przeistacza się w to pierwsze, nieustannie. To wszystko ma coś z *faits accomplis*, jak mówią Francuzi. Jeśli całemu krajowi nakazuje się kochać swych rządzących, to w końcu cały kraj dochodzi do przekonania, że naprawdę ich kocha, a przynajmniej przychodzi mu to łatwiej niż gdyby mu tego nie nakazano. My nie możemy niczego nakazywać i w tym tkwi problem.

Podobnie jak ją i mnie naszły wątpliwości, czy ostatnie stwierdzenie nie jest zbyt drażliwe dla demokratycznych uszu naszego wysokiego ranga i po sekundzie wahania i rzucie oka na inne i lepsze nogi, które mnie pilnowały, postanowiłem, że pomnę: „i w tym tkwi problem”. Nogi nie poruszyły się, ja zaś natychmiast zorientowałem się, że moje demokratyczne skrupuły były nieuzasadnione, bo Hiszpan odpowiedział nader stanowczym uderzeniem kluczy o stół:

– I w tym tkwi problem, w tym tkwi nasz problem, że nigdy nie będziemy mogli tego rozkazać. Bo proszę zważyć, ja nie mogę robić tego, co robił nasz dyktator, Franco, i zwoływać wieców na placu Oriente – tutaj zmuszony byłem przetłumaczyć „na dużym placu”, uznałem bowiem, że pozostawienie nazwy własnej „Oriente” mogłoby wprowadzić angielską damę w zakłopotanie – by tłumy udzieliły nam entuzjastycznego poparcia, chcę powiedzieć – gabinetowi, jesteśmy jedynie częścią gabinetu, bo tak jest, nieprawdaż? On to robił bezkarnie, pod byle pretekstem i mówiło się, że ludzie zbierali się na tych wiecach i wiwatowali na jego cześć pod przymusem. Tak, to prawda, ale prawdą jest również, że tłumy szczelnie wypełniały cały plac, są zdjęcia, filmy dokumentalne, które nie kłamią i nie wszyscy przecież szli tam pod przymusem, szczególnie w ostatnich latach, kiedy represje już nie były tak ciężkie, albo mogły dotknąć wyłącznie urzędników państwowych, jakaś sankcja, zwolnienie z pracy. Wielu ludzi było już przekonanych, że go kocha, a dlaczego? Bo przedtem zostali do tego zmuszeni, przez dziesiątki lat. Kochać to przyzwyczajenie.

– Och, drogi przyjacielu – wykrzyknęła pani wysokiej rangi – nawet pan sobie nie wyobraża, jak świetnie pana rozumiem, nawet pan sobie nie wyobraża, co bym dała za tego rodzaju akt poparcia. Tego rodzaju demonstracja jedności narodu, niczym na jakimś wielkim święcie, ma miejsce w moim kraju, niestety, wyłącznie wtedy, kiedy protestują. To przygnębiające, jak nie wysłuchując nas, nie czytając naszych ustaw, znieważają nas, cały gabinet, oczywiście, jak pan słusznie zauważył, tymi swoimi napastliwymi transparentami, bardzo to deprymujące.

– I wierszykami. Układają wierszyki – wtrącił nasz zwierzchnik. Ale tego nie przetłumaczyłem, bo wydawało mi się to nieistotne, poza tym nie zdążyłem; angielska dama kontynuowała swój lament, nie zwracając uwagi na swego rozmówcę:

– Czy rzeczywiście nigdy nie są w stanie udzielić nam głośnego poparcia? Pytam: zawsze robimy wszystko źle? Mnie głośnego poparcia udzielają wyłącznie członkowie mojej partii, jasne więc, że nie mogę całkowicie wierzyć w ich szczerość. Tylko w czasie wojny jesteśmy popierani, nie wiem, czy pan wie, ale tylko wtedy, kiedy zmuszeni jesteśmy kraj nasz postawić w stan wojny, i wtedy...

Przywódczyni brytyjska zamyśliła się, urywając w pół słowa, jakby wspominała niegdysiejsze wiwaty, które już nie powrócą. Zdjęła nogę z nogi wstydliwie i ostrożnie, i po raz kolejny energicznie obciągnęła spódnicę, cudem zdołała ściągnąć ją jeszcze o dwa palce. Kierunek, w jakim, z mojej winy, zmierzała rozmowa, zaczął mi się bardzo, ale to bardzo nie podobać. Wielkie nieba, pomyślałem (ale bardzo chciałem powiedzieć o tym Luizie), tych demokratycznych polityków trawia dyktatorskie tęsknoty, jakikolwiek sukces i jakakolwiek aprobata zawsze będą dla nich jedynie bladym spełnieniem totalitarnych, drzemających w głębi ich duszy pragnień, pragnień całkowitej jednomyślności i zgody wszystkich na wszystko, i im to częściowe spełnienie bliższe będzie owej niemożliwej totalności, tym większa będzie ich euforia, choć zawsze będzie im i tak za mało; wysławiają odmiennność, w rzeczywistości jednak dla nich wszystkich odmiennność jest przekleństwem i kulą u nogi. Należycie przetłumaczyłem wszystko, co brytyjska dama powiedziała, poza ostatnim zdaniem o wojnie (nie chciałem, żeby naszemu wysokiemu rangą oficjelowi myśl jakaś błysła), i miast tego włożyłem w jej usta następującą prośbę:

– Przepraszam, czy mógłby pan schować klucze? Bardzo mi ostatnio dokuczają wszelkie hałasy, byłabym wdzięczna.

Nogi Luizy nie zmieniły pozycji, wobec czego, kiedy nasz przywódca przeprosił, rumieniąc się nieco, i schował natychmiast olbrzymi pęk kluczy z powrotem do kieszeni marynarki (pewnie miał dziury w kieszeni od takiego ciężaru), odważyłem się ponownie go zdradzić, bo powiedział:

- Tak, jak najbardziej, kiedy zrobimy coś dobrze, nikt nie zwołuje manifestacji, żebyśmy się dowiedzieli, że im się podobało.

Ja zaś, przeciwnie, postanowiłem skierować go ku obszarom bardziej osobistym, mniej niebezpiecznym, moim zdaniem, i znacznie bardziej interesującym i kazałem mu powiedzieć przejrzystą angielszczyzną:

- Chciałbym zapytać, jeśli nie poczyta mi pani tego za zbytnią śmiałość, czy w swoim życiu uczuciowym zmusiła pani kogoś, by panią pokochał?

W tym samym momencie zrozumiałem, że pytanie jest zbyt śmiałe tym bardziej, gdy kierowane jest do Angielki, byłem więc przekonany, że tym razem Luiza tego pytania nie przepuści, więcej, zarzuci swoją sieć, zadenuncjuje mnie i wyprosi z pokoju, larum podniesie, jak to możliwe, dosyć już tego, fałszerstwo i farsa, to nie są żarty. Moja kariera ległaby w gruzach. Patrzyłem z uwagą i z trwogą na wspaniałe i nie trzymające się kurczowo swej spódnicy nogi, teraz zresztą miały dość czasu do namysłu i na reakcję, bo brytyjskiej damie zeszło na przemyśleniu dobrych parę sekund, nim zareagowała. Patrzyła na naszego wysokiego rangą z wpółotwartymi ustami i z badawczym wyrazem twarzy (za dużo szminki, która wbijała się jej między zęby), on zaś, wobec milczenia, przezeń wszak niesprowokowane-go i przypuszczalnie dlań niepojętego, wyciągnął kolejną cygaretkę i przypalił od niedopałka poprzedniej, powodując (bez dwóch zdań) jak najgorsze wrażenie. Ale błogosławione nogi Luizy nie poruszyły się, nadal założone były jedna na drugą, choć może nieco się zakołysały: zauważyłem tylko, że jeszcze bardziej się wyprostowała na swym morderczym krześle, jakby wstrzymywała oddech, może bardziej przerażona możliwą odpowiedzią niż nienaprawialną już niedyskrecją; a może, pomyślałem, skoro pytanie i tak już padło, ona również ciekawa jest odpowiedzi. Nie wydała mnie, nie sprostowała, nie interweniowała, siedziała cicho i pomyślałem sobie, że jeśli już na tyle mi pozwoliła, to mogłaby

również pozwolić mi na wszystko przez całe moje życie, albo pół mojego życia jeszcze nieprzeżytego.

– Hm. Hm. Nie raz, nie raz, proszę mi wierzyć – odezwała się wreszcie angielska przywódczyni i w jej wysokim głosie pojawiło się drżenie odległego wzruszenia, tak odległego, iż najprawdopodobniej mogło zostać przywołane jedynie w tej postaci, w nagle opanowanym przez drżenie władcym głosie. – Rzeczywiście zastanawiam się, czy ktokolwiek kochał mnie choć raz, nieprzymuszany wcześniej przeze mnie, nie wyłączając dzieci, no tak, ale dzieci są najbardziej przymuszane. W moim przypadku zawsze tak było, jednak zastanawiam się również, czy istnieje ktoś taki na świecie, któremu coś podobnego się nie przydarzyło. Wie pan, ja nie wierzę w te historie opowiadane przez telewizję; ludzie, którzy się spotykają i kochają bez najmniejszych kłopotów, oboje są wolni i otwarci, żadne z nich nie ma wątpliwości ani przedwczesnych skrupułów. Nie wierzę, by kiedykolwiek rzeczywiście tak było, nigdy, nawet pomiędzy całkiem młodymi. Jakikolwiek związek pomiędzy ludźmi to zawsze splot problemów, nacisków, zniewag, również i poniżeń. Wszyscy zmuszają wszystkich, nie tyle do czegoś, czego nie chcemy, ile raczej do tego, o czym nie wiemy, czy chcemy, bo niemal nikt nie wie, czego naprawdę nie chce, a tym bardziej, czego chce naprawdę i nie ma sposobu, żeby się tego, właśnie tego, dowiedzieć. Gdyby nikt nikogo nigdy nie przymuszał, świat by się zatrzymał, wszystko unosiłoby się w globalnej i ciągłej niepewności, bez końca. Ludzie chcą tylko spać, przedwczesne skrupuły sparaliżowałyby nas, to straszne wyobrażać sobie, co stać się może w wyniku uczynków jeszcze niepopołnionych, okropne, dlatego też my, rządzący, jesteśmy tak nieodzowni, jesteśmy tutaj po to, żeby podejmować decyzje, których inni, obezwładnieni swoimi wątpliwościami i brakiem woli, nigdy by nie podjęli. My słuchamy ich strachu. „Śpiący i zmarli są niczym malowidła tylko”, powiedział nasz Szekspir, a ja czasem myślę, że w ogóle wszyscy ludzie są tym jedynie, malowidłami, obecni śpiący i przyszli zmarli. Dlatego

głosują na nas i płacą nam za to, żebyśmy ich budzili, żebyśmy przypominali im, że jeszcze nie wybiła ich godzina, która i tak wybije, ale byśmy, mimo wszystko, dysponowali tymczasem ich wolą. Ale oczywiście, należy robić to w taki sposób, by nadal sądzili, że do nich należy wybór, tak jak ludzie łączą się w pary wierząc, że dokonali wyboru na jawie. Bo to już nie tak, że jedno z nich zostało zmuszone przez drugie, czy przekonane, jak kto woli; bez wątpienia oboje zostali zmuszeni, w takim czy innym momencie długiego procesu, który doprowadził do tego, że się związali, nie sądzi pan? A później trwali w swoim związku przez czas jakiś albo aż do śmierci. Czasami zmusiło ich do tego coś z zewnątrz albo ktoś, kto już przestał być obecny w ich życiu, zmusza ich przeszłość, własne niezadowolenie, własna historia, nieszczęśliwa biografia. Albo nawet rzeczy, o których nic nie wiedzą i wiedzieć nie są w stanie, część naszego dziedzictwa, które każde z nas niesie w sobie i którego nie znamy, któż może wiedzieć, kiedy został zapoczątkowany ten proces...

Podczas gdy ja tłumaczyłem długą refleksję wysokiej rangą damy (powstrzymałem się od przełożenia „Hm. Hm.” i zacząłem od „... zastanawiam się, czy ktokolwiek...”, nadając ich dialogowi większą spójność), kobieta mówiła i milkła, patrząc w podłogę ze skromnym i nieobecnym uśmiechem, być może nieco zawstydzona, z wyprostowanymi i spoczywającymi na udach dłońmi, tak jak kładą je często próżnujące kobiety w pewnym wieku, patrząc na mijający wieczór, choć ona nie próżnowała, a do wieczora było daleko. I podczas gdy tłumaczyłem ów wywód niemal symultanicznie i zastanawiałem się, skąd pochodzi ten cytat z Szekspira („The sleeping, and the dead, are but as pictures”, powiedziała, a ja wahałem się, czy powiedzieć „śpiący” i czy powiedzieć „malowidła” w chwili, gdy słyszałem, jak ulatują z jej wymalowanych ust) i zastanawiałem się również, czy to wszystko nie jest na tyle zawilym wywodem, iż nasz przywódca może nie pojąć go dokładnie, pogubi się i nie znajdzie jakiejś szlachetnej odpowiedzi, poczułem, jak głowa

Luizy zbliżyła się do mojej, do mojego karku, jakby ją przysunęła lub nachyliła, żeby lepiej usłyszeć obydwie wersje, nie zważając na dzielący nas dystans, o, właśnie, na niewielki pomiędzy nami dystans, który teraz, po przesunięciu się jej do przodu (przesunięciu twarzy: nosa, oczu i ust; podbródka, czoła i policzków) jeszcze bardziej się skrócił, do tego stopnia, że mogłem poczuć jak oddycha tuż przy moim lewym uchu, jej oddech nieznacznie poruszony albo przyspieszony teraz muskał moje ucho, płatek ucha, jakby to był szept tak cichy, że aż pozbawiony treści i znaczenia, jakby do przekazania miał być oddech jedynie i samo szeptanie, i być może lekkie drżenie piersi, która nie muskała mnie, ale czułem, że jest blisko, coraz bliżej, niemal na mnie i zupełnie nieznaną. To pierś innej osoby nas osłania, tylko wtedy, kiedy ktoś jest za nami, za naszymi plecami, czujemy, że naprawdę mamy w kimś oparcie, poplecznika, jak mawiano kiedyś, tak jak i w angielskim, *to backy* kogoś, kogo nawet nie widzimy, a kto osłania nasze plecy swoją pierśią, która niemal nas muska i w końcu zawsze nas muska, czasem zaś ów ktoś kładzie nam na ramieniu swą dłoń, uspokajając nas jej dotykiem i podtrzymując. Śpi tak albo uważa, że tak śpi większość małżeństw i większość związków, oboje na dobranoc przekręcają się na ten sam bok, tak że jedno odwrócone jest plecami do drugiego przez całą noc i w pełni przekonane, że jest osłaniane przez niego lub przez nią, przez tego drugiego, a gdy w środku nocy zbudzi się z koszmarne snu lub nie może zasnąć spokojnie, gdy gorączka go trawi lub wydaje mu się, że jest samotny i opuszczony w ciemnościach, wystarczy tylko się odwrócić i wtedy ujrzeć, tuż obok, twarz osoby, która osłania, która pozwoli obcałować wszystko, co w twarzy jest całowalne (nos, oczy i usta; podbródek, czoło i policzki, to cała twarz) albo, na wpół śpiąca, położy dłoń na ramieniu, żeby uspokoić lub podtrzymać, a może chwycić się nawet kurczowo.

Teraz wiem, że cytat z Szekspira pochodził z *Makbeta* i że porównanie to pada z ust jego żony, chwilę po tym, jak Makbet wraca po zabiciu śpiącego króla Dunkana. Stanowi część rozproszonych argumentów, czy raczej luźnych zdań, które Lady Makbet co i raz rzuca, by umniejszyć to, co jej mąż uczynił czy popełnił przed chwilą i jest już nieodwracalne, i między innymi mówi mu, że nie powinien myśleć „so brainsickly of things”, trudne do przetłumaczenia, słowo „brain” bowiem oznacza „mózg”, „sickly” zaś „chorobliwy” lub „chory”, choć tu jest przysłówkiem; dosłownie więc mówi mu, że nie powinien myśleć o rzeczach tak chorym mózgiem albo tak chorobliwie mózgiem, nie wiem za dobrze, jak to powtórzyć w moim języku, na szczęście angielska dama posłużyła się wówczas akurat nie tymi słowami. Teraz, kiedy już wiem, że cytat jest z *Makbeta*, nie potrafię nie zauważyć (a może pamiętać), że za naszymi plecami jest również ten, kto nas podjudza, ten ktoś, kogo nawet nie widzimy, również szepce nam do ucha, język jest jego orężem i narzędziem, język, który niczym deszczowa kropla spadająca po burzy z okapu, w to samo ciągle miejsce, wpierw rozmiękcza w tym punkciku ziemię, by wreszcie w nią wniknąć, przeniknąć, wydrążyć otwór, a może nawet wyżłobić kanalik, a nie jak kropla z kranu, która znika w odpływie, nie zostawiając żadnego śladu na białym porcelicie, i nie jak kropla krwi, która natychmiast tamowana jest czym popadnie, szmatą, bandażem albo ręcznikiem, a czasem wodą albo ręką, tylko ręką tego, który się wykrwawia, o ile jeszcze jest przytomny i nie zranił sam siebie, ręką, która podąża w stronę brzucha albo ku piersi, by zatkać otwór. Język przy uchu to również pocałunek, który najskuteczniej przełamuje opór osoby broniącej się przed całowaniem i przekonuje ją, czasem to nie oczy ani palce, ani usta pokonują opór, ale wyłącznie język, który bada i rozbraja, szepcze i całuje, przymusza nieomal. W słuchaniu czai się największe niebezpieczeństwo, słuchać to wiedzieć, to być zorientowanym i być wtajemniczonym, uszy pozbawione są powiek, które

mogłyby instynktownie zamknąć się przed tym, co wypowiedane, nie mogą ochronić się przed tym, co zaraz się usłyszy, zawsze jest za późno. Bo Lady Makbet nie tylko nakłania Makbeta, ale przede wszystkim jest wtajemniczona, wie o dokonaniu morderstwa niemal od chwili, kiedy morderstwo zostało popełnione; gdy jej mąż wrócił, usłyszała bezpośrednio z jego ust „I have done the deed”, „Uczyńłem ten uczynek” albo „Popełniłem ten czyn”, choć słowo „deed” dzisiaj rozumie się bardziej jako „wyczyn bohaterski”. Ona słyszy wyznanie o tym uczynku, czynie czy wyczynie i tym, co czyni z niej naprawdę współniczkę, nie jest wcześniejsze podjudzanie Makbeta, nawet nie wcześniejsze przygotowanie całej oprawy ani późniejsze współdziałanie, oględziny trupa i miejsca zbrodni, by wskazać na służbę jako winnych, ale to, że wie o tym czynie i jego dokonaniu. Dlatego chce to zbagatelizować, może nie tyle, by uspokoić przerażonego Makbeta z rękami splamionymi krwią, ile po to, by umniejszyć i odpędzić własną wiedzę, swoją wiedzę: „Śpiący i zmarli są jak malowidła tylko”; „Osłabiasz swą szlachetną moc, myśląc o tym wszystkim tak chorobliwym mózgiem”; „Nie wolno myśleć tak o takich czynach: inaczej zwariujemy od tego”; „Nie gub się przygnębiony w swoich myślach”. To ostatnie zdanie wypowiada po tym, jak udawszy się z determinacją do komnaty, wraca umazawszy twarze służących krwią zabitego („Jeżeli krwawi...”), by ich oskarżyć. „Moje ręce mają twoją barwę”, oświadcza Makbetowi; „lecz wstyd mi, że mam serce tak białe”, jakby chciała zarazić go swoją beztroską w zamian za zarażenie się przelaną krwią Dunkana, chyba że „białe” oznacza tu „blade i zatrwożone” albo „strachliwe”. Lady Makbet wie, jest zorientowana i to jest jej przewina, ale zbrodni nie popełniła, choćby i strasznie nad tym ubolewała, czy zapewniała, że ubolewa; splamienie sobie rąk krwią zabitego to gra, to udawanie, fałszywe związanie się z tym, który zabija, bo nie można zabić dwa razy, a uczynek już jest uczyniony: „I have done the deed” i nigdy nie ma wątpliwości, kim jest „ja”: nawet gdyby Lady Makbet ponownie wbiła sztylety w pierś zamordowanego Dunkana, nie zabiłaby go przez to i nie przyczyniłaby się do tego, to już było zrobione. „Trochę wody nas

oczyści (albo „może nas oczyści”) z tego uczynku”, mówi Makbetowi, wiedząc, że wobec niej to prawda, literalna prawda. Upodabnia się do niego i w ten sposób zabiega, by on upodobnił się do niej, do jej serca tak białego: nie tyle dzieli winę z nim w tym momencie, ile stara się usilnie, by dzielił z nią jej nieodwracalną niewinność lub jej tchórzostwo. Podjudzanie to tylko i wyłącznie słowa, przethumaczalne, bezpieczeństwa słowa, które powtarza się z ust do ust i z języka na język, i z wieku na wiek, zawsze te same, podjudzające do tych samych czynów już w czasach, kiedy na świecie jeszcze nikogo nie było i nie było języków ani uszu do ich wysłuchania. Czyny, same czyny, o których nikt nigdy nie wie, czy chce widzieć, jak zostają popełniane, czyny mimowolne, wszystkie czyny, które raz popełnione są już od słów niezależne i wymazują je, i zostają oddzielone od potem i przedtem, to one są jedyne i nieodwracalne, podczas gdy istnieje ponowienie i odwołanie, powtórzenie i potwierdzenie dla słów, mogą być zdementowane i zadajemy sobie kłam, może być zniekształcenie i zapomnienie. Winnym jest się tylko ich słuchania, co jest nie do uniknięcia i chociaż prawo nie uniewinnia tego, który powiedział, tego, który mówi, on wie, że w rzeczywistości nic nie uczynił, nawet jeśli przymusił swym językiem tuż przy uchu, pierśią tuż przy plecach, oddechem przyspieszonym, dłonią swą na ramieniu i niezrozumiałym szeptem, który nas nakłania.

To Luiza pierwsza położyła mi dłoń na ramieniu, ale wydaje mi się, że to ja zacząłem ją przymuszać (zmuszać do kochania mnie), choć nigdy nie jest to trud jednostronny i jest rzeczą niemożliwą, by trwał nieustannie, a jego skuteczność zależy w dużej mierze od tego, czy osoba zmuszana przejmuje ów trud od czasu do czasu na siebie. Wydaje mi się, że to ja, mimo wszystko, zacząłem i że do ubiegłego roku, do naszego ślubu przynajmniej, i do naszej podróży poślubnej, to ja proponowałem wszystko, co zostało przyjęte: przyzwyczajanie się do spotkań, kolacje na mieście, kino, odprowadzanie jej pod dom, całowanie, takie dobieranie zleceń i wyjazdów, byśmy mogli przez parę tygodni razem pracować za granicą, zostawanie czasem na noc u niej w mieszkaniu (proponowałem to, owszem, ale w końcu zawsze odchodziłem po pocałunkach i czułościach w pełni przytomności), a później szukanie nowego mieszkania dla nas dwojga, by się pobrać. Wydaje mi się, że to również ja zaproponowałem, byśmy się pobrali, może dlatego, że jestem starszy, a może dlatego, że nigdy przedtem tego nie robiłem, nie żeniłem się i nie proponowałem ślubu, to ostatnie raz tylko i to półgębkiem i postawiony pod ścianą. Luiza akceptowała wszystko po kolei, najpewniej nie wiedząc, czy rzeczywiście tego chce lub też (jej szczęście) wiedząc, ale bez potrzeby zastanawiania się nad tym, to znaczy, po prostu robiąc to tylko. Po ślubie zaczęliśmy widywać się rzadziej, co, jak mówią, zdarza się często, ale w naszym przypadku nie wynikało to z ogólnego zubożenia, towarzyszącego temu, co odbiera się jako osiągnięcie celu lub kres czegoś, lecz z zewnętrznych i przejściowych czynników, z kolidowania terminów otrzymywanych przez nas zleceń: Luiza postanowiła ograniczyć swoje wyjazdy i ośmiotygodniowe pobyty za granicą, ja z kolei musiałem nadal to robić, a nawet przedłużać to jeden, to drugi pobyt i coraz częściej wyjeżdżać, by mieć z czego pokrywać koszty związane z naszym nowym, tak nienaturalnie zapoczątkowanym domem. A przez rok niemal, rok poprzedzający nasz ślub, zupełnie

na odwrót, staraliśmy się, by nasze wyjazdy zbiegały się, ona w Madrycie, kiedy ja byłem w Madrycie, ona w Londynie, kiedy ja w Genewie, a nawet parę razy w Brukseli w tym samym czasie, oboje. A przez rok niemal, pierwszy rok naszego małżeństwa, na odwrót, spędzałem poza domem znacznie więcej czasu niż chciałem, nie będąc w stanie, przez moment choćby, przywyknąć do własnego życia małżeńskiego ani do dzielonej poduszki, ani do nowego domu, który przedtem nie był domem żadnego z nas, Luiza zaś przebywała przez prawie cały czas w Madrycie, urządzając ten dom i bliżej poznając moją rodzinę, przede wszystkim Ranza, mojego ojca. Po każdym powrocie z podróży w owym okresie, zastawałem nowe meble albo zasłony, nawet jakiś nowy obraz, przez co czułem się dziwnie obco i musiałem na nowo wytyczać domowe szlaki, które zdawało mi się, że już opanowałem za ostatnim pobytom (teraz otomana stała tam, gdzie nie było przedtem otomany, na przykład). Odnotowywałem również pewne zmiany zachodzące w Luizie, drobne zmiany o skutkach całkowicie drugorzędnych, na które jednak bardzo zwracam uwagę: długość włosów, rękawiczki, poduszczyki w zakietach, lekka zmiana odcienia kredki do ust, nawet nieznacznie odmienny sposób chodzenia, mimo że pozostała przy tym samym typie obuwia. Nic takiego, nic rzucającego się od razu w oczy, ale zauważalne jednak po ośmiu tygodniach nieobecności, a tym bardziej po kolejnych ośmiu. W pewnym sensie drażniło mnie odnajdywanie owych minimalnych, ale już dokonanych zmian, bez mojego udziału i poza mną, jakby sam fakt, że nie byłem tego świadkiem (nie zobaczyć jej po fryzjerze, nie wygłosić swego zdania o rękawiczkach), wyłączało siłą rzeczy mój ewentualny na nie wpływ i na nasze małżeństwo, które jest, bez wątpienia, stanem wywierającym największy wpływ na ludzi, powodującym największy w nich zamęt, tym samym wymagającym w pierwszym jego okresie dużej czujności. Luizę odmieniało ono w odpowiednim porządku, wprawdzie w szczególności, jak to bywa zawsze w przypadku kobiet, gdy poddawane są procesowi głębokiego przeistaczania, ale zacząłem mieć wątpliwości, czy to ja, czy też ja w naszym małżeństwie kieruję

tym przeistoczeniem, warunkując je przynajmniej. Nie podobało mi się również, że nasz nowy dom, dysponujący nieograniczonymi możliwościami, zaczynał odzwierciedlać to tu, to tam gust, który nie był gustem Luizy, a i nie do końca moim, choć byłem z nim zżyty, a nawet mogłem po części go odziedziczyć. Nowy dom zaczynał upodabniać się nieco, zaczynał nieco przypominać dom mojego dzieciństwa, to znaczy, dom Ranza, mojego ojca, jakby to on służył wskazówkami podczas swoich wizyt albo też samą swą obecnością tworzył potrzeby, które z braku mojej stałej obecności i zdecydowanych osądów Luizy, dokonywały się po drodze. Moje biurko, odnośnie do którego pozostawiłem dość mgliste instrukcje, w rezultacie było niemal repliką biurka, którego wykonanie, wydając bardzo dokładne instrukcje, mój ojciec zlecił dwadzieścia pięć lat temu stolarzowi z Segowii, słynnemu Fonfriasowi, z którym zawarł wówczas znajomość podczas jakichś wakacji letnich: ogromne biurko, zbyt duże jak na niewielką liczbę tłumaczeń, w kształcie U prostokątnego i pełnego szuflad, których nie potrafiłbym i nie potrafię zapamiętać. Regały, które ja najchętniej pomalowałbym na biało (choć zapomniałem o tym uprzedzić), okazały się, gdy wróciłem z jednej z moich podróży, regałami w kolorze mahoni (ale nie z mahoni, to prawda), ale nie tylko to: mój ojciec, Ranz, zadał sobie trud, by rozpakować czekające na mnie skrzynie i ustawić moje książki według porządku, w jakim zawsze ustawiał swoje książki, grupowane nie działami tematycznymi, lecz językami, a w ich ramach autorami, chronologicznie, według roku urodzenia. W prezencie ślubnym podarował nam trochę pieniędzy (sporo właściwie, okazał się hojny), ale trochę później, kiedy byłem nieobecny, podarował nam dwa cenne obrazy, które zawsze wisiały w jego domu (mały Martin Rico i Boudin, jeszcze mniejszy) i w ten oto sposób przeniosły się do mojego domu Wenecja i Trouville, przepiękne oba, a mimo to wolałbym widzieć je nadal tam, gdzie wisiały przez dziesiątki lat, a nie w salonie mojego domu, który z Wenecją i Trouville, choćby i w miniaturze (przystań San Trovaso i plaża), kojarzyły się nieuchronnie z moim młodzięcym

wspomnieniem salonu tamtego domu. Dotarł również, bez mojej wcześniejszej wiedzy, fotel na biegunach, mebel nader kultywowany przez moją kubańską babcię, a teściową Ranza, kiedy, w czasach mojego dzieciństwa przychodziła do nas w odwiedziny, i który to fotel, po jej śmierci, zawłaszczony został przez mojego ojca, nie tyle, by się w nim bujać w samotności, ile po to, by przybierać w nim oryginalne pozy podczas przyjmowania bardzo częstych wizyt różnych małżeństw i przyjaciół.

Nie tyle, by się w nim bujać. Nie tyle, by się w nim bujać w samotności, o ile ktokolwiek wie, co się z kimkolwiek dzieje w samotności. Ale mój ojciec nigdy by się nie bujał, przeciwnie, ale to wprost przeciwnie, odebrałby to jako coś w rodzaju prywatnej kapitulacji, jako potwierdzenie tego, czego zawsze usiłował, a raczej czego zdołał uniknąć, to znaczy, starości. Ranz, mój ojciec, jest starszy ode mnie o trzydzieści pięć lat, ale nigdy nie był stary, nawet teraz. Przez całe swoje życie oddala ten stan, zostawiając go na później, a może nie biorąc go w ogóle pod uwagę i choć niewiele można zrobić, jeśli chodzi o postępujące zmiany w wyglądzie i w spojrzeniu (może coś niecoś więcej przeciwko temu pierwszemu), jest to ktoś, w którego zachowaniu czy usposobieniu nigdy nie dostrzegłem upływu lat, nigdy najmniejszej zmiany, nigdy nie uwidocznił się w nim jakikolwiek ślad powagi i zmęczenia, które, w miarę jak dorastałem, pojawiały się u mojej matki, i nie przygasł w jego oczach blask, który z rzadka zakładane okulary na zmęczone oczy nagle wymazały z jej spojrzenia, ani nie było po nim widać, by podatny był na przeciwności i poniżenia, które wyznaczają egzystencję wszystkich osobników, i nie było takiego dnia przez całe jego życie, w którym poniechałby dbałości o swój wygląd zewnętrzny, zawsze, od samego rana, elegancki, jakby gotowy do udziału w jakiejś ceremonii, choćby w ogóle nie zamierzał wychodzić z domu, ani nie oczekiwał żadnej wizyty. Zawsze pachnący wodą kolońską, tytoniem i miętą, czasami trochę alkoholem i skórą, jakby właśnie przyjechał z zamorskich kolonii. Niespełna rok temu, kiedy Luiza i ja

pobraliśmy się, sprawiał wrażenie starszego, eleganckiego i uśmiechniętego mężczyzny, z ukontentowaniem odmłodzonego, kpiarsko i fałszywie oszołomionego. Jak sięgam pamięcią, zawsze nosił płaszcz narzucony na ramiona, nigdy nie wkładając rąk w rękawy, na poły rzucając wyzwanie zimnu, na poły w geście wyznania niezachwianej wiary w całokształt zewnętrznych detali, których rezultatem byłby mężczyzna elegancki lub przynajmniej niczym nieskrępowany. Rok temu włosy miał niemal bez uszczerbku, białe i gęste, i najskrupulatniej uczesane z przedziałkiem po prawej (przedziałek bardzo wyraźny, od dziecka), nie dopuszczając, by mu spłwiała, głowa w kwiatkach bawełny albo polarna głowa, która sztywno wylaniała się z koszul przestarannie wyprasowanych i z krawatów o bardzo żywych kolorach, bardzo wdzięcznie dopasowanych. Wszystko w nim było zawsze wdzięczne, od usposobienia z pozoru żarliwego po umiarkowanie bezceremonialny sposób bycia, od łobuzerskiego spojrzenia (jakby go wszystko bawiło, albo we wszystkim widział coś zabawnego) po jego nieustanne i urocze żarty, postrzeleniec i kpiarz. Rysy może miał nie całkiem idealne, a mimo to zawsze uważany był za osobnika przystojnego, który znajdował upodobanie w tym, że podoba się kobietom, ale właściwie zadowalał się zachowywaniem odpowiedniego dystansu. Kto poznałby go niespełna rok temu, ten (a Luiza poznała go niedawno) ujrzałby w nim pewnie czerstwego, sfatygowanego i niegodzącego się ze zmurszeniem uwodziciela, a może na odwrót, kobieciarza teoretyka, nigdy niewyeksplotowanego, kogoś, kto ma wszelkie warunki, by wieść intensywne życie romansowe, ale kto, ze względu na wydumaną wierność lub z braku rzeczywistej okazji czy nawet śmiałości, zrejterowałby poddany próbie; ktoś, kto zawsze odkładałby, jak starość, wypróbowanie w praktyce swej uwodzicielskiej siły, być może nie chcąc nikogo zranić. (My – dzieci – nic nie wiemy o rodzicach albo późno zaczynamy się nimi interesować). Tym, co w jego twarzy szczególnie zwracało uwagę, były niewiarygodnie czujne oczy, porażające czasami dzięki oddaniu i skupieniu, z jakimi potrafiły spoglądać, jakby to, na co

spoglądały, zawsze było najważniejsze, godne nie tylko obejrzenia, ale również wnikliwego przestudiowania, wyczerpującej obserwacji, ogarnięcia, dla zachowania w pamięci każdego uchwyconego obrazu, jak kamera, która nieufna wobec zwykłego mechanicznego procesu rejestrowania tego, co postrzegane, zmuszona jest do najwyższego wysiłku i całkowitego ze swej strony zaangażowania. Te oczy uwznioślały to, czemu się przyglądały. Te oczy były bardzo jasnego koloru, ale bez odrobiny błękitu, koloru kasztanowego tak przyblakłego, że dzięki tej bladości nabierały przejrzystości i połyskliwości, barwy białego wina niemal, kiedy nie jest to młode wino, i padało na nie światło, w cieniu zaś lub w nocy koloru octu prawie, płynne oczy, oczy drapieżnego ptaka bardziej niż kota, zwierząt, których oczy najczęściej przybierają taką właśnie gamę kolorów. Jego oczy za to, pozbawione statycznej koncentracji czy zdumienia spojrzeń tych zwierząt, były ruchome, iskrzące się, ozdobione długimi, ciemnymi rzesami, które amortyzowały żwawość i napięcie ich nieustannych przeskoków, patrzyły z czcią i w skupieniu, a zarazem nie traciły ze swego pola widzenia niczego, co działo się w pokoju czy na ulicy, niczym oczy doświadczonego oglądacza obrazów, który nie potrzebuje drugiego rzutu oka, by wiedzieć, co jest namalowane w głębi obrazu, bo swymi wszechobejmującymi oczami potrafiłby odtworzyć od razu kompozycję, tuż po jej obejrzeniu, gdyby i one potrafiły rysować. Innym przykuwającym uwagę rysem w twarzy Ranza i jedynym, który odziedziczyłem, były jego usta, mięsiste, zbyt wyraziste, jakby zostały dodane w ostatniej chwili i należały do innej osoby, niepasujące trochę do reszty, odseparowane od niej, usta kobiety na męskiej twarzy, jak wielokrotnie mówiono mi o moich ustach, ustach kobiecych i czerwonych odziedziczonych po kto wie której z prababek czy protoplastek, pewnie kobiecie zapatrzonej w swą urodę, która nie chciała, by te usta zniknęły wraz z nią z tego świata, więc przekazuje je nam z pokolenia na pokolenie, nie przejmując się naszą płcią. I jeszcze trzeci rys, brwi gęste i zawsze uniesione, i wygięte w łuk, już to jedna brew, już to druga lub obie na raz, w geście przejętym

przypuszczalnie w okresie młodości od ostatnich aktorów z początku lat trzydziestych, który to gest teraz, po tylu dziesiątkach lat, był jedynie wyjątkowo osobliwą i już bezwolną pozostałością, zapomnianym szczegółem w systematycznym niweczeniu, jakiemu poddaje nas czas, niweczeniu tego, czym się stajemy i co w trakcie owego stawania się robimy. Mój ojciec unosił gęste brwi, wpiętych płowe, później zaś białe, z byle powodu albo nawet i bez powodu, jakby wyginanie ich w łuk teatralnie dopełniało jego tak wnikliwy sposób patrzenia.

Zawsze tak na mnie patrzył, nawet gdy jeszcze byłem dzieckiem i musiałem podnosić wzrok ku jego niedostępnie wysokiemu ogromowi, chyba że kuczał albo siedział, albo leżał. Teraz jesteście podobnego wzrostu, ale jego oczy wciąż patrzą na mnie z lekką ironią tych brwi, jak otwarte parasolki, i z przeszywającym skupieniem źrenic, czarnych plamek słonecznych tęczęwek, jak dwa kręgi tej samej tarczy. Albo patrzył tak do niedawna. Tak spojrział na mnie w dniu mojego ślubu z Luizą, młodą żoną tego, który już dzieckiem nie był, ale znał go od dziecka i jak dziecko traktował przez zbyt wiele czasu, by uważać go za już nie dziecko, podczas gdy ja, pannę młodą, poznał już jako osobę dorosłą, więcej, jako pannę młodą. Pamiętam, że w trakcie uroczystości zatrzymał mnie i wziął na bok, w pokoiku przyległym do wynajętego przez nas salonu w ślicznym starym Kasynie na ulicy Alcala 15, już po złożeniu podpisów przez świadków (fałszywych świadków, świadczących przyjaźni, świadków ku ozdobie). Zatrzymał, kładąc dłoń na moim ramieniu (dłoń na ramieniu), podczas gdy tamci zaczęli opuszczać pokój, wracając do salonu, wreszcie zostaliśmy sami. Wówczas zamknął drzwi i usiadł w dużym fotelu, ja zaś, skrzyżowawszy ręce, oparłem się nimi o stół, obaj byliśmy ubrani nader ślubnie, on bardziej, ja mniej, choć był to cywilny ślub, cywilny jedynie. Ranz zapalił cieniutkiego papierosa, z tych, które zwykł palić nie zaciągając się, gdy pokazywał się publicznie. Uniósł swoje brwi do granic możliwości, wygięły się w ostrołuk, uśmiechnął się

rozbawiony i wycelował żarliwe spojrzenie w moją twarz, w owej chwili znajdująca się powyżej jego twarzy. I powiedział mi:

– No dobrze, ożeniłeś się już. A teraz co?

On pierwszy zadał to pytanie lub, dokładniej mówiąc, on pierwszy sformułował pytanie, które ja zadawałem sobie od samego rana, od ceremonii i wcześniej nawet, bo od poprzedniego wieczoru. Całą noc spałem płytkim, niespokojnym snem, przypuszczalnie śpiąc, ale sądząc, że męczy mnie bezsenność, śniąc, że nie śpię, niekiedy budząc się naprawdę. Około piątej nad ranem zacząłem zastanawiać się, czy nie zapalić lampy, bo to była już wiosna, więc mogłem dostrzec przez podniesioną żaluzję zapowiedź świtu na ulicy i mogłem, w mojej sypialni, rozpoznać swoje rzeczy i meble. „Już nie będę więcej sam spać, chyba że od czasu do czasu albo w podróży”, przebiegło mi przez myśl, gdy wahałem się, czy mam zapalić światło, czy też mam patrzeć, jak świt rozlewa się nad budynkami i nad drzewami. „Od jutra i przypuszczalnie przez wiele lat, nie będę mógł poczuć, że pragnę ujrzeć Luizę, bo wystarczy mi otworzyć oczy, żeby ją zobaczyć. Nie będę mógł się zastanawiać, jaką dziś ma twarz, jak będzie ubrana, bo od dzisiaj będę ciągle widział jej twarz i być może będę widział, jak się ubiera, może nawet słuchając moich sugestii, jeśli powiem jej, jakie są moje upodobania. Od jutra nie będzie tych wszystkich drobnych niewiadomych, które niemal przez rok wypełniały mi dzień po dniu lub sprawiały, że dni te przeżyte zostały w najwspanialszy ze wszystkich sposobów, czyli w stanie niejasnej nadziei lub niejasnej niewiedzy. Będę wiedział za dużo, będę wiedział o Luizie więcej, niż chcę wiedzieć, będę miał przed sobą wszystko, co mnie w niej interesuje i wszystko, co mnie nie interesuje, nie będzie już przebierania i wybierania, cienia, odrobiny choćby wybierania, które zakładało, że trzeba do siebie zadzwonić, umówić się, odnaleźć się oczyma szukającymi się przy wejściu do kina lub między restauracyjnymi stolikami, albo też wyszykować się i ruszyć, by złożyć sobie wizytę. Nie będę widział rezultatu, lecz jedynie proces, który może wcale mnie nie interesuje. Nie wiem, czy chcę wiedzieć,

jak zakłada i wygładza rajstopy, i poprawia w pasie i w pachwinie, ani też wiedzieć, ile czasu spędza w łazience rano, czy używa kremów na noc lub w jakim jest humorze, kiedy się budzi i widzi mnie u swego boku. Wydaje mi się, że nie chcę zastać jej w nocy pod kołdrą w nocnej koszuli czy w piżamie, bo chcę rozbierać ją z tego, w czym przyszła, pozbawiać ją wyglądu, jaki miała przez cały dzień, a nie tego, do którego właśnie się doprowadziła przy mnie, sam na sam w naszej sypialni, być może odwracając się do mnie plecami. Wydaje mi się, że nie chcę tej fazy pośredniej, jak również nie chcę, prawdopodobnie, wiedzieć zanadto, jakie są jej wady czy też na bieżąco i przymusowo orientować się w tych, które zaczną się ujawniać z biegiem miesięcy i lat, i które nie będą znane innym spotykającym ją, spotykającym nas, osobom. Wydaje mi się też, że nie chcę mówić o nas, mówić *poszliśmy* albo *zamierzamy kupić fortepian*, albo *będziemy mieli dziecko*, albo *mamy kota*. Być może będziemy mieli dziecko i nie wiem, czy tego chcę, choć nie sprzeciwiałbym się. Wiem za to, że chcę zobaczyć ją, jak śpi, zobaczyć jej twarz, kiedy zapadnie w nieświadomość albo będzie w letargu, poznać jej pogodny albo zły wyraz twarzy, wzburzony lub spokojny, dziewczęcy lub postarzały, kiedy nie myśli o niczym albo nie wie, o czym myśli, gdy nie gra, gdy nie zachowuje się w sposób wystudiowany, jak robimy to wszyscy w mniejszym lub większym stopniu w obecności świadka, choćby nawet świadek ten w ogóle nas nie obchodził i był naszym ojcem lub naszą żoną czy mężem. Widziałem ją już, jak spała, w niejedną noc, za mało jednak, żeby dowiedzieć się, jaka jest we śnie, w którym wreszcie przestajemy niekiedy być podobni do siebie samych. Dlatego też pewnie jutro się żenię, dzień po dniu jest powodem, również dlatego, że jest to logiczne i dlatego, że nigdy dotąd tego nie zrobiłem, najważniejsze rzeczy robi się z przyczyn logicznych i żeby ich spróbować lub, co na jedno wychodzi, dlatego że okazują się nieuchronne. Kroki, które człowiek stawia pewnej nocy na chybił trafił i bez żadnych konsekwencji, w końcu prowadzą po jakimś czasie lub w abstrakcyjnej przyszłości do sytuacji nieuchronnej i już znalazłszy

się w tej sytuacji, z niedowierzającą nadzieją zadajemy sobie pytanie: «A gdybym nie wszedł do tego baru? A gdybym nie poszedł na to przyjęcie? A gdybym nie odebrał tego wtorkowego telefonu?». Zadajemy sobie te pytania w naiwności, przez chwilę wierząc (ale tylko przez chwilę), że w przeciwnym wypadku nie poznalibyśmy Luizy i nie znajdowalibyśmy się na skraju sytuacji logicznej i nieuchronnej, o której z tych właśnie względów nie jesteśmy już w stanie wiedzieć, czy chcemy jej czy też nas przeraża, nie jesteśmy w stanie wiedzieć, czy chcemy tego, co do dnia dzisiejszego wydawało nam się, że chcemy. Ale zawsze poznajemy Luizę, naiwnością jest zadawanie sobie jakichkolwiek pytań, bo tak, a nie inaczej jest ze wszystkim, przyjscie na świat zależy od przypadkowego ruchu, od zdania wypowiedzianego przez kogoś nieznanego na drugim krańcu świata, od zinterpretowanego gestu, od dłoni na ramieniu i szeptu, który mógł pozostać niewyszeptany. Każdy postawiony krok i każde słowo wypowiedziane przez kogokolwiek w jakichkolwiek okolicznościach (z wahaniem lub z przekonaniem, szczerze lub nieszczerze), wywołują niewyobrażalne reperkusje u kogoś, kto nas nie zna i poznać wcale nie ma zamiaru, u kogoś, kto nie narodził się albo tkwi w niewiedzy, iż będzie musiał nas ścierpieć, i przeobrażają się dosłownie w kwestie życia lub śmierci, życie tak wielu ludzi i tak wiele śmierci ma swój tajemniczy początek w tym, czego nikt nie dostrzega i nikt nie pamięta, w piwie, które w końcu, niepewni, czy zdamy, wypijamy w dobrym humorze, który skłonił nas do okazania sympatii osobie, przed chwilą nam przedstawionej, nieświadomi, że przed chwilą osoba ta na kogoś nawrzeszczała lub wyrządziła komuś krzywdę, w torcie, dla kupna którego zatrzymaliśmy się w drodze na obiad do domu naszych rodziców i którego w końcu nie kupiliśmy, w ogromnej chęci wysłuchania czyjegoś głosu, choć nic a nic nas nie obchodzi, co ten głos mówi, w ryzykanckim, niemniej wykonanym, telefonie, w pragnieniu pozostania w domu, któremu nie czynimy zadość. Wychodzenie, mówienie, robienie czegokolwiek, ruszanie się, patrzeć i słuchanie, i bycie słuchanym wystawia nas na stałe ryzyko, nawet zamknięcie się i zamilknięcie,

spokój i bezruch nie ratują nas przed ich konsekwencjami, przed sytuacjami logicznymi i nieuchronnymi, przed tym, co dziś jest niechybne, a było tak nieoczekiwane niemal rok temu, czy cztery, dziesięć, sto lat temu, nawet wczoraj. Myślę właśnie, że jutro żenię się z Luizą, ale już jest piąta i to już dzisiaj się żenię. Noc należy do dnia poprzedniego w naszych odczuciach, ale nie w poczuciu czasu zegarków, mój na stoliku wskazuje piątą piętnaście, budzik piątą czternaście, oba są niezgodne z doznawanym jeszcze przeze mnie wrażeniem, wrażeniem, że to jeszcze wczoraj, a nie już dziś. Za siedem godzin. Być może Luiza również nie śpi i leży z otwartymi oczyma w swoim łóżku o piątej piętnaście, przy zgaszonym świetle, sama, mógłbym zadzwonić, równie sama jak ja, ale przestraszyłbym ją, po raz ostatni sama, nie licząc wyjątkowych przypadków i podróży, oboje dużo podróżujemy, trzeba to będzie zmienić, mogłaby pomyśleć, że dzwonię, żeby wszystko odwołać w samym środku nocy, żeby cofnąć się i podważyć to, co logiczne i uchronić się przed tym, co nieuchronne. Nikt w żadnej chwili nie może być pewien nikogo, nikt nie powinien wierzyć zanadto, i pewnie myśli «A teraz co? Co teraz?» albo myśli, że nie jest pewna, czy chce widzieć mnie, jak codziennie się gołę, maszynka strasznie hałasuje, a na brodzie pojawiają mi się gdzieniegdzie siwe włosy, wyglądam starzej, kiedy się nie gołę, więc codziennie się gołę, strasznie hałasując, zrobię to, jak wstanę, późno już, a ja jeszcze nie śpię, jutro muszę dobrze wyglądać, za siedem godzin powiem wobec świadków, wobec własnego ojca, że będę u boku Luizy, wobec jej rodziców, że taka jest moja intencja, powiem to urzędowo i głośno, i zostanie to zaprotokołowane, poświadczone i wpisane do akt”.

– No właśnie – odpowiedziałem ojcu. – A teraz co?

Ranz uśmiechnął się jeszcze bardziej i wypuścił w powietrze efektownie tańczący kłęb dymu, którym się nie zaciągnął. Zawsze tak palił, kunsztownie.

– Ta dziewczyna bardzo mi się podoba – powiedział. – Podoba mi się bardziej niż którakolwiek z tych, któreś mi do tej pory pokazywał przez te wszystkie twoje lata kolibra w amoku, nie, nie protestuj, kolibra. Nie nudzę się przy niej, co raczej jest rzadkością w kontaktach między ludźmi, które dzieli taka różnica wieku, aczkolwiek nie wiem, czy do tej pory była wobec mnie tak pełna uwagi, bo miała wyjść za ciebie za męża, czy też dlatego, że nie była tego pewna, tak jak ty przypuszczalnie byłeś miły dla tych jej rodziców idiotów i miłym być przestaniesz za parę miesięcy, jak sądzę. Małżeństwo wszystko zmienia, najmniejsze głupstwo, nawet w obecnych czasach, wbrew temu, co się wam wydaje. To, co do tej pory między wami było, będzie miało niewiele wspólnego z tym, co was czeka w najbliższych latach, w jakimś tam stopniu sam to zauważysz, choćby jutro. Co najwyżej pozostaną wam tylko stare i zużyte żarty z dawnych czasów, cienie, które nie zawsze będzie wam łatwo odzyskać. I głębokie uczucie, rzecz jasna. Tęsknić będziecie za tymi minionymi miesiącami, kiedy układaliście się przeciwko innym, przeciwko komukolwiek, chcę powiedzieć, kiedy stroiliście sobie wspólne żarty; za parę lat będziecie tworzyć układy wyłącznie przeciwko sobie. Dobra, nic strasznego, nie przejmuj się, nieuniknione żale, to normalne w przedłużanym wspólnym życiu, zgrzyty do wytrzymania, z których zazwyczaj nawet nie chce się rezygnować.

Mówił, jak zwykle, powoli, starannie dobierając co poniektóre słowa (*koliber, układy, cienie*) nie tyle, żeby wyrazić się jak najprecyzyjniej, ile by wywołać wrażenie i upewnić się, że słuchany jest z uwagą. Zmuszał do ustawicznej baczności, nawet jeśli słyszało się to już tysiąc razy. Ale tego, o ile pamiętam, nigdy jeszcze nie mówił, zaskakując mnie również użytym przez siebie, pełnym dwuznaczności tonem, co prawda jak zwykle ironicznym, ale ze znacznie mniejszym, tak dlań charakterystycznym taktem: jego dygresje ocierały się o intryganctwo, nawet jeśli w paru momentach nawiedzały mnie podobne myśli albo i gorsze, od czasu gdy z Luizą

ustaliliśmy dzień, który już był dzisiejszym dniem. Przyjemniejsze też mnie nawiedzały, ale to nie to samo co ich wysłuchiwać.

– Nieźle mi na przyszłość rokujesz – odparłem mu. – Nieźle na duchu podtrzymujesz, tego się po tobie nie spodziewałem; tam na zewnątrz wyglądałeś na bardziej zadowolonego.

– Bo i jestem zadowolony, bardzo zadowolony, wierz mi, bardzo, bardzo zadowolony, zapytaj kogokolwiek, świętuję już cały dzień, od samego rana. Zanim wyszedłem z domu, wypilem za wasze zdrowie, sam, do lustra, kieliszek reńskiego, rieslinga, otworzyłem butelkę tylko i wyłącznie po to, reszta się zmarnuje. Sam widzisz, jak się cieszę, dla jednego porannego i samotnego toastu zmarnować całą butelkę wyśmienitego wina.

I powiedziawszy to, uniósł brwi, przybierając niewinny wyraz twarzy, na którą to niewinność tym razem składała się pycha i udawane zdziwienie.

– Wobec tego co chcesz mi powiedzieć?

– Nic szczególnego, nic szczególnego. Chciałem tylko pobyc z tobą sam na sam przez kilka minut, zatęsknić za nami na pewno nie zatęsknią, po ceremonii już nie jesteśmy ważni, weselne przyjęcia należą do zaproszonych gości, a nie do tych, którzy się pobierają czy te przyjęcia wydają. Świetny pomysł z wynajęciem tej sali, nie sądzisz? Chciałem tylko zapytać cię o to, o co cię zapytałem, a teraz co? Ale ty nie odpowiadasz.

– Teraz nic – odpowiedziałem. Byłem nieco zirytowany jego zachowaniem, a poza tym miałem ochotę wrócić do Luizy i przyjaciół, towarzystwo Ranza zaś nie było dla mnie żadną pociechą, w każdym razie taką, jakiej w tej chwili oczekiwałem. Zatrzymanie mnie na boku w najmniej właściwej chwili było w jakiejś mierze typowe dla mojego ojca, ale w innej mierze było dlań nietypowe. Bo trochę nietypowe było to, że nie ograniczył się do poklepania mnie po ramieniu i złożenia życzeń, choćby wyłącznie konwencjonalnych i

przez kilka minut. Podciągnął sobie sportowe skarpetki przez nogawki spodni, by następnie leniwie skrzyżować swoje długie nogi.

– Nic? Jak to nic? No nie, tak nie można zaczynać, na pewno coś ci wpadnie do głowy, długo nosiłeś się z ożenkiem i w końcu to zrobiłeś, może nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jeśli obawiasz się tego, że zostanę dziadkiem, nie przejmuj się, nie sądzę, abym był w nieodpowiednim wieku dla podjęcia się tego zadania.

– To miałeś na myśli z tym „a teraz co”?

Ranz nieco wyniośle dotknął swych polarnych włosów, jak to czasem czynił bezwiednie. Poprawiał je sobie albo raczej wykonywał gest poprawiania, bo ledwie je muskał opuszkami palców, jakby mimowolnie chciał je poprawić, ale zarazem bał się ich dotknąć, co właśnie sobie uprzytamniał. Nosił grzebień, ale nie używał go przy innych, choćby tym innym był jego własny syn, dziecko, które już nie było dzieckiem albo w jego oczach nadal nim było, pomimo przeżycia już połowy życia.

– Ach, nie, skądże, i wcale mi nie spieszno, a i wy nie powinniście się spieszyć, nie żebym chciał się wtrącać, ale tak mi się wydaje. Chcę tylko wiedzieć, jak sobie radzisz w tej nowej sytuacji, właśnie teraz, gdy zaczynasz w niej być, po prostu. To wszystko, zwykła ciekawość.

I rozkrzyżował ręce, kierując ku mnie otwarte dłonie jak ktoś, kto chce okazać, że nie ma w nich ukrytej broni.

– Nie wiem, nie radzę sobie ani tak, ani siak, nijak, kiedyś ci o tym powiem. Jak sądzę, mogłeś się spodziewać, że dzisiaj nie będę sobie tym łamał głowy.

Opierałem się o stół, pozostawiono na nim zbyteczne podpisy zapóźnionych świadków. Podniosłem się nieco, pierwszy znak, że uznaję rozmowę za zakończoną i chcę wrócić na przyjęcie; ale on nie podchwycił mojego gestu, gasząc w odpowiedzi papierosa albo zdejmując nogę z nogi. Dla niego rozmowa powinna była jeszcze

trochę potrwać. Pomyślałem, że chce mi powiedzieć coś konkretnego, ale nie wie jak albo nie jest przekonany, czy rzeczywiście chce mi to powiedzieć. I to już było bardzo charakterystyczne dla Ranza, który niejednokrotnie zmuszał innych do odpowiadania na pytania, których nie stawiał albo do podjęcia tematu, o którym słowem nie wspomniał, choć właśnie ten i tylko ten temat chodził mu po przykuwającej uwadze białą talku głowie. Za dobrze go znałem, żeby mu to ułatwić.

– Spodziewać – powiedział. – Nie sędzę, żeby czegokolwiek można było się spodziewać. Ja, na przykład, nie spodziewałem się już, że się ożenisz. Jeszcze rok temu założyłbym się, że nie, zresztą, co tu gadać, założyłem się z Custardoyem i z Rylandsem listownie i straciłem co nieco pieniędzy, sam widzisz. Świat pełen jest niespodzianek, a i tajemnic. Wydaje nam się, że coraz lepiej poznajemy najbliższych, ale czas niesie z sobą więcej niewiadomych niż wiadomych, jeśli to ze sobą porównać, to wie się o najbliższych coraz mniej, strefa cienia jest coraz większa. I choć ta druga strona może być również coraz jaśniejsza, zawsze więcej jest cieni. Luiza i ty macie pewnie swoje sekrety, jak sędzę. – Zamilkł na parę sekund, ale widząc, że nie odpowiadam, dodał: – Ale, rzecz jasna, ty możesz znać wyłącznie swoje, bo w przeciwnym wypadku jej sekrety nie byłyby już żadnymi sekretami.

Uśmiech nie schodził mu z ust, tak wyrazistych i tak podobnych do moich, mimo że jego były już nieco bledsze i osaczone pionowymi zmarszczkami wyrastającymi z podbródka i z miejsca po wąsach, które nosił za młodu, sądząc po zdjęciach z tamtego okresu, bo ja już go z wąsami nigdy nie widziałem. Jego słowa zabrzmiały poniekąd złowrogo (w pierwszej chwili pomyślałem, że wie coś o Luizie i że odczekał, aż będzie po ślubie, by mi to zakomunikować), ale to raczej nie był ten ton, nawet nie było w nim dwuznaczności. Gdyby nie lęk przed przesadą, powiedziałbym, że był to ton bezradności. Tak jakby zagubił się od razu po pierwszych słowach i już nie wiedział, jak wrócić tam dokąd podążał. Mogłem mu pomóc

albo i nie. Uśmiechał się przyjaźnie z cieniutkim papierosem w rękę, już wypalonym, więcej popiołu niż filtra, od dłuższego czasu już go nie strząsał, przypuszczalnie nie gasił go, żeby nie pogłębiać swej bezradności. Wziąłem popielniczkę, przysunąłem i przytrzymałem, i dopiero wtedy odłożył niedopałek, potarł palce, przypalony filtr śmierdział. Splótł dłonie, duże, jak całe jego ciało i jego mączasta głowa, jego wiek był na nich bardziej widoczny, choć bez przesady, owszem, pokryte były zmarszczkami, ale nie plamkami. Teraz uśmiechał się uprzejmie, jak to miał w zwyczaju, z litością niemal, całkiem serio, jego oczy patrzyły niewinnie, jego oczy jak gęste krople mocnego alkoholu albo octu, siedzieliśmy raczej w cieniu. Nie był starym człowiekiem, nigdy nim nie był, jak już mówiłem, ale nagle ujrzałem przed sobą człowieka podstarzałego, o właśnie, przestraszonego. Jest taki pisarz o nazwisku Clerk lub Lewis, który napisał o sobie samym po śmierci żony i zaczął od słów: „Nikt mi nigdy nie powiedział, że żal może być uczuciem tak podobnym do strachu”. Być może właśnie żal rysował się w uśmiechu Ranza, mojego ojca. Matki, wiadomo, zaczynają płakać i odczuwają coś podobnego do żalu, kiedy synowie im się żenią, być może mój ojciec z jednej strony odczuwał radość ojcowską, z drugiej zaś żal, który odczuwałaby moja matka, moja zmarła matka. Żal zastępczy, strach zastępczy, żal i strach innej osoby, której twarz zapomnieliśmy już nieco obydwaj, to zastanawiające, jak rozwiewają się z czasem rysy tych, którzy już nas nie widzą, ani my ich już nie widzimy, bo złość i pretensje, bo co z oczu, bo wyczerpanie, albo jak przywłaszczają je sobie fotografie zawsze zastygłe w jednym tylko dniu, moja matka została bez okularów, bez swych okularów na zmęczony wzrok, które w ostatnich latach zwykła nosić ponad potrzebę, została utrwalona na zdjęciu, które wybrałem z jej dwudziestu ośmiu przeżytych przez nią lat, kobieta młodsza niż ja w tej chwili, z odprężonym wyrazem twarzy, z przygaszonym nieco spojrzeniem, które nie było, jak mi się wydaje, jej normalnym spojrzeniem, bo oczy jej zazwyczaj się śmiały, jak oczy mojej hawańskiej babci, jej matki, obie śmiały się do siebie, często razem wybuchały śmiechem, ale to prawda, że i u jednej, i u

drugiej pojawiała się niekiedy dłuższe spojrzenie pełne żalu lub strachu, moja babcia niekiedy zatrzymywała swój fotel na biegunach i nieruchomiała z nieobecny spojrzeniem, z oczami bez wyrazu, nie mrugając powiekami jak przebudzona przed chwilą i niczego jeszcze nierozumiejąca osoba, niekiedy nieruchomiała wpatrzona w zdjęcia albo w portret swej córki, która odeszła z tego świata, zanim się urodziłem, wpatrywała się w nią przez minutę, może dłużej, przypuszczalnie nie myśląc o niczym, nie wspominając nawet, odczuwając żal albo zaprzeszy strach. I moja matka też tak czasem się w nią wpatrywała, w swoją oddaloną siostrę, przerywała lekturę i zdejmowała okulary na zmęczone oczy, nie odrywając palca od książki, by nie zapomnieć, na której jest stronie, w drugiej ręce przytrzymując okulary, nieruchomiała niekiedy wpatrzona w pustkę, a niekiedy w zmarłych, w twarze, które widziało się, jak dorastają, ale się nie starzeją, twarze o konkretnych wymiarach, które stały się płaskie, twarze w ruchu, z których widokiem w bezruchu nagle się oswajamy, i nie z nimi, ale z ich wizerunkiem, żywa twarz mojej matki zatrzymywała się, by im się przyjrzeć, z oczami roztkliwionymi być może wskutek dźwięków katarynki, które o każdej porze dochodziły z madryckich ulic w latach mojego dzieciństwa, a dotarcie pierwszych taktów powodowało, że na chwilę przystawali wszyscy obecni w tym czasie w domu, matki i dzieci leniwe albo chore i służące, i wszyscy podnosili wzrok, a nawet wychodzili na balkon lub wyglądali przez okno, by raz jeszcze zobaczyć to, co zawsze można było zobaczyć, śniadego mężczyznę w kapeluszu i z katarynką, mechanicznego grajka, który przerywał podśpiewywanie kobiet albo je do podśpiewywania pobudzał i sprawiał, że oczy roztkliwiały się przez chwilę wszystkim w domu albo mojej matce dłużej niż przez chwilę, żal i strach nie są ulotne. Matki, dzieci i służące zawsze reagowały na ten dźwięk, podnosząc oczy, prężąc szyje niczym zwierzęta i tak samo reagowały na falujący dźwięk gwizdawki ulicznych szlifierzy; kobiety zastanawiały się przez chwilę, czy noże w domu są odpowiednio ostre czy też trzeba zbiec na ulicę, przerywając swoje zajęcia czy też swoją niezaradność w myśleniu i

pamiętaniu o ostrzach, a może pograżając się nagle i nieoczekiwanie w swoich sekretach, sekretach skrywanych i w przeżytych, to znaczy w tych, które znały i których nie znały. I niekiedy wtedy właśnie, gdy podnosiły głowę zwabione mechaniczną muzyką czy powtarzającym się i zbliżającym się przez całą ulicę świstem gwizdawki, ich wzrok padał na portrety nieobecnych, przez pół życia rzucając spojrzenia na wciąż zagadkowe fotografie lub obrazy o nieruchomych oczach lub głupawych uśmiechach i przez całe życie, albo pół, tej drugiej osoby, syna, siostry, wdowca, czując na sobie te same głupawe i nieruchome spojrzenia z fotografii, nie wiadomo kiedy zrobionych, bo nie zawsze ten, który patrzy, o tym pamięta: moja babcia rzucająca spojrzenia na swoją zmarłą córkę, a moja matka na swoją siostrę zmarłą i zastąpioną; mój ojciec i ja patrzący na nią, a ja już się szykuję, by patrzeć na niego, Ranza, mojego ojca; i moja ukochana Luiza, świeżo poślubiona w salonie obok, nieświadoma tego, że zdjęcia, które nam dziś zrobiono, staną się kiedyś przedmiotem jej spojrzeń, gdy przed sobą nie będzie miała nawet połowy swego życia, moje zaś dobiegnie już końca. Ale nikt nie zna porządku zmarłych ani porządku żywych, komu pierwszemu pisany jest żal albo komu wpierw strach. Równie dobrze Ranz przejawiał teraz żal i strach, ponownie obecne w jego uśmiechniętym, współczującym i uspokojonym wyrazie twarzy, w jego dłoniach splecionych i bezczynnych, i już bez papierosa, w jego sportowych skarpetkach z ręcznie podciągniętych, by nigdy nie można było dostrzec nawet kawałka łydki, kawałka starczego ciała, żylastego jak mięso Verum-Verum, ciała i mięsa z fotografii, w jego jaskrawym krawacie, ciut za szerokim jak na obecne gusta, ale w dobranych gustownie kolorach, choć w swej wytworności aż nazbyt szeroko wiązany. Widać było, że mu dobrze w tym fotelu, jakby był właścicielem madryckiego kasyna na czas wynajmu, ale i widać było, że coś go uwiera, nie pomagałem mu w tym, by powiedział mi to, co mu chodzi po głowie, co postanowił mi zakomunikować – albo jeszcze nie postanowił – w dniu mojego ślubu, kiedy zatrzymał mnie w tym pokoju obok sali bankietowej, położywszy mi dłoń na

ramieniu. Teraz stało się dla mnie jasne: nie, że nie wiedział jak, ale że przesady go paraliżowały, co przynosi szczęście, a co pecha, powiedzieć czy zamilczeć, nie zamilczeć czy nie powiedzieć, pozwolić, by wszystko płynęło swym dotychczasowym nurtem, niczego nie przywołując i nie wywołując czy też wtrącić słówko, by na ten nurt wpłynąć, wysławić wszystko czy też zachować przestrogi dla siebie, alarmować czy też nie podsuwać żadnych myśli, czasem podsuwają nam myśli ci, którzy nas przed nimi przestrzegają, podsuwają, bo przestrzegają i powodują, że przychodzi nam na myśl coś, o czym nigdy byśmy nie pomyśleli.

– Sekrety? O czym ty mówisz? – zapytałem go.

Ranz spłonął się nieco, albo tak mi się wydawało, doprowadziwszy do kulminacji i kresu zarazem swą chwilową bezradność; natychmiast jednak zgasił rumieniec na swych policzkach, rzadko przez starsze osoby tolerowany, a z nim swój uśmiechnięty i nieco głupawy, spowodowany żalem albo strachem, a może i jednym, i drugim, wyraz twarzy. Wstał, teraz obaj jesteśmy podobnego wzrostu, i ponownie położył mi swą ogromną dłoń na ramieniu, ale przodem do mnie stojąc, i popatrzył na mnie z bliska, z bardzo bliska, intensywnie, ale nie znacząco, jego dłoń na moim ramieniu spoczywała niemal jak miecz pasujący na rycerza kogoś, kto był dotąd giermkim za ledwie: wybrał coś pośredniego lub insynuację, nie zdecydował się, a może było to jedynie odroczenie. Przemówił z powagą i spokojem, już bez uśmiechu, jego króciutkie zdanie wypowiedziane zostało bez tego uśmiechu, pojawiającego się zawsze na jego mięsistych jak moje ustach, a który, już po wypowiedzeniu zdania, natychmiast powrócił. Następnie wyjął kolejnego wąskiego papierosa ze swojej starej papierośnicy i otworzył drzwi. Pokój wypełnił się wrzawą, w oddali zaś ujrzałem Luizę rozmawiającą z dwiema przyjaciółkami i z byłym narzeczonym, do którego czuję antypatię, ale patrzyła w stronę naszych zamkniętych dotąd drzwi. Ranz ruchem ręki wykonał ku mnie gest pożegnania albo przestrogi, albo pokrzepienia (jakby chciał powiedzieć „Do

rychłego” albo „Głowa do góry” albo „Uważaj na siebie”) i wyszedł, wyszedł z pokoju przede mną. Zobaczyłem, że natychmiast wchodzi na wysokie obroty, wybucha gromkim śmiechem i dowcipkuje z jakąś panią, nie mam pojęcia z kim, bez wątpienia z kimś z listy Luizy, z jej listy gości zaproszonych na mój własny ślub, których nigdy przedtem nie widziałem i nigdy już nie zobacę, najpewniej. A może ta pani zaproszona była przez mojego własnego ojca, jak teraz pomyślę: zawsze miał dziwnych znajomych albo takich, których znam nie najlepiej.

Oto rada, jaką mi Ranz wyszeptał:

– Jedno ci tylko powiem. Jeśli będziesz miał sekrety, lub już je masz, nie zwierzaj się jej. – I już z pojawiającym się znowu uśmiechem dodał: – Życzę szczęścia.

Podpisy świadków zostały w tamtym pokoju i nie wiem, czy ktoś się nimi zajął i gdzie się teraz podziewają, może wylądowały w śmieciach razem z pustymi tackami i z odpadkami po bankiecie. Ja na pewno ich nie wziąłem z owego stołu, o który opierałem się przez czas jakiś, ubrany zdecydowanie w strój pana młodego, w dniu, w którym właśnie tak powinienem był się ubrać.

Wczoraj usłyszałem, ku swojemu zdziwieniu, jak na ulicy gra katarynka; już ich prawie nie ma, relikty. Podniosłem natychmiast wzrok, jak w dzieciństwie, za głośno grała i przeszkadzała mi w pracy, jej dźwięki zbyt tkwiły w pamięci, żebym mógł na czymkolwiek się skoncentrować. Wstałem i podszedłem do okna, żeby zobaczyć, kto na niej gra, ale w polu mojego widzenia nie było ani grajka, ani instrumentu, stali za rogiem, zasłaniał ich budynek z naprzeciwka, który z kolei nie zabiera mi światła, to niski budynek. Nie całkiem ich zasłaniał, to prawda, bo jednak na samym rogu mogłem dostrzec kobietę w średnim wieku, z cygańskim warkoczem, ale ubraną bez żadnych folklorystycznych odjazdów (ot, ubrana normalnie), która stała bokiem do mnie i trzymała w ręku talerzyk plastikowy, spodeczek niemal, pewnie miała kłopot z zebraniem zbyt wielu monet, bo musiała natychmiast opróżnić spodeczek, chowając zawartość do kieszeni albo do torby, by znowu był pusty, no może nie całkiem, kilka monet pewnie zostawiała, pieniądź ciągnie pieniądź. Posłuchałem sobie czas jakiś katarynki, wpierw madrycki chotis, następnie coś andaluzyjskiego, nie do rozpoznania, później paso doble, jakiś walczyk i wtedy wyszedłem na taras, żeby sprawdzić, czy spomiędzy kwiatów mógłbym dojrzeć kataryniarza, wyszedłem pewien, że się nie da, bo nawet jeżeli taras – wystający jak każdy taras – przybliżał mnie nieco do ulicy, to przecież znajdował się po prawej stronie mojego okna, tuż obok, właśnie, i właściwie ograniczał mi jeszcze bardziej widok na to, co działo się za rogiem, w ukryciu, ja patrzyłem na lewo od siebie. Niewielu było przechodniów, więc kobieta z warkoczem nadaremnie potrząsała raz i drugi plastikowym talerzykiem, pobrzękując monetami, które, być może, sama tam wrzuciła, pieniądź ciągnie pieniądź. Wróciłem do swojego biurka, usiłując odizolować się od katarynkowych melodii, ale bez skutku, włożyłem więc marynarkę i zszedłem na ulicę, zdecydowany przerwać koncert. Przeszedłem na drugą stronę i wreszcie zobaczyłem śniadego mężczyznę w starym kapeluszu, z

białym, bardzo przyszywanym, wąsikiem, mężczyzną o ogorzałej skórze i miłym wyrazie twarzy, o skośnych, uśmiechniętych oczach, rozmarzonych nieco albo czymś pochłoniętych, podczas gdy prawą ręką kręcił korbką, i wybijał rytm o chodnik lewą stopą, obie stopy obute w plecionkowe buty z wierzchu białe, reszta w kolorze brązowym, prawie przykryte zbyt długimi i zbyt szerokimi nogawkami. Grał jakieś paso dobie tuż pod moim domem. Wyjąłem banknot z kieszeni i trzymając go w ręku, powiedziałem mu:

– Dam to panu, jeśli przejdzie pan tam dalej. Ja tu mieszkam i pracuję w domu. A przy tej muzyce nie da się pracować. Zgoda?

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej, skinął głową i, przytakując, dał zarazem znak kobiecie z warkoczem, choć nie było to potrzebne: od razu podeszła z pustym niemal talerzykiem, ujrawszy banknot w moim ręku. Wyciągnęła talerzyk, a ja położyłem na nim zielony papierek, który poleżał zaledwie sekundę, talerzyk znowu niemal pusty, a banknot w kieszeni. W Madrycie pieniądze nigdy nie przechodzą z ręki do ręki.

– Dziękuję – powiedziałem. – Ale proszę przenieść się na tamten róg, dobrze?

Śniady mężczyzna znowu przytaknął, a ja ponownie przeszedłem przez ulicę do siebie. Dotarłszy do pokoju na piątym piętrze, rzuciłem okiem przez okno w odruchu nieufności, bo choć muzykę było jeszcze słychać, docierała ona słabiej, z oddali, i raczej nie powinna mi była przeszkadzać. Ale jednak wyjrzałem, żeby na własne oczy sprawdzić, czy opuścili mój róg. „Tak, proszę pana, już idziemy”, powiedziała Cyganka i słowa dotrzymali.

Dziś zdaję sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze, i co mniej istotne, nie powinienem był zachowywać się tak natarczywie z chwilą, gdy przyjęli pieniądze i zaakceptowali warunki umowy: „Ale na tamten róg, dobra?” z wyprzedzeniem podając w wątpliwość dotrzymanie przez nich umowy (najgorsze było to obraźliwe „dobra?”). Druga rzecz jest o wiele poważniejsza, bo *mając* pieniądze,

zawyrokowałem o ruchach dwóch osób wczoraj rano. Nie chciałem, żeby stali na tym rogu ulicy (na *moim* rogu) i wysłałem ich na inny, nie przez nich wybrany róg; wybrali mój, być może przez przypadek, ale równie dobrze z jakiegoś powodu, może mieli jakiś powód, żeby stać na *moim*, a nie na tamtym rogu, ale ja w ogóle się tym nie przejąłem i nie zainteresowałem, żeby się tego dowiedzieć, i ot, tak po prostu kazałem im przenieść się o całą przecznicę, tam, gdzie z własnej woli wcale nie chcieli stanać. Nie zmusiłem ich, to prawda, to była transakcja albo pakt, mnie opłacało się wydać banknot, żeby pracować w spokoju (pracując, zarobię więcej banknotów), a dla nich stanie na *moim* rogu nie jest kwestią życia, bez wątpienia woleli przenieść się na tamten i wzbogacić się o mój banknot niż pozostać na *moim* bez banknotu, dlatego zgodzili się i przenieśli. Można nawet pomyśleć, że były to łatwe pieniądze, musieliby stać godzinami, żeby z drobnych monet skąpych przechodniów, których i tak prawie nie było, uzbierać taką sumę. Nic poważnego, drobny incydent, bez znaczenia, bez szkody dla nikogo, mało tego, w którym wszystkie strony wyszły na swoje. Ale jednak wydaje mi się, że rzeczą naprawdę poważną jest to, że ja mogłem zdecydować, bo miałem pieniądze i żadnego problemu nie stanowiło dla mnie ich wydanie, gdzie ma grać na swojej katarynce śniady mężczyzna, a kobieta z warkoczem trzymać wyciągnięty talerzyk. Kupiłem ich kroki, kupiłem ich przenosiny wczoraj rano, kupiłem również na chwilę ich wolę. Mogłem grzecznie poprosić, bardzo proszę, naświetlić im sytuację i pozwolić, by mężczyzna zdecydował, oni przecież też pracowali. Ale pewniejsze wydało mi się zaoferowanie im pieniędzy i postawienie warunku uzależniającego ich otrzymanie: „Dam to panu, jeśli pan sobie pójdzie”, powiedziałem, „jeśli pójdzie pan sobie na tamten róg”. Później zacząłem to i owo tłumaczyć, ale w rzeczywistości tłumaczenia te były zbyteczne, nie musiałem tego robić, jeśli już proponowałem mu pieniądze, dla niego to było dużo, dla mnie nic, byłem pewien, że je przyjmie, na jedno by wyszło, gdybym miał wspomniawszy mu później o swojej pracy, jak zrobiłem, powiedział: „Bo taką mam zachciankę, żeby sobie pan

poszedł i już”. Tak w istocie rzeczy było, choć nie powiedziałbym mu tego, wysłałem go na tamten róg, bo taką miałem zachciankę. To był miły katarzyniarz, niewielu ich już, relikw przesłości i mojego dzieciństwa, powinienem mu okazać więcej szacunku. Gorzej, że przypuszczalnie on teŝ wolał, ŝeby wszystko stało siê tak, jak siê stało, a nie tak, jak sobie teraz wyobraŝam, ŝe stać siê powinno, to znaczy, wolałby mój banknot od mojego szacunku. Mogłem mu powiedzieć, ŝe bardzo proszę, by przeniósł siê w inne miejsce, wyjaśniwszy mu przedtem sprawę i dać mu banknot póŝniej, gdyby okazał siê wyrozumiały i uczynny, napiwek miast łapówki, „za kłopot”, zamiast „precz mi z oczu”; ale miêdzy jednym a drugim nie ma róŝnicy, bo w obu zawarte jest *jeśli*, i niewaŝne, czy otwarcie sformułowane czy domysłne, czy pojawia siê przed, czy po. W pewnym sensie to, co zrobiłem, było najklarowniejsze i najporządniejsze, bez hipokryzji, bez fałszywej czułości, dla nas obu opłacalne, to wszystko. Ale i tak kupiłem go i zdecydowałem o jego krokach, a na rogu, na który go wysłałem, być może przejechał go samochód dostawczy, który wlaśnie w tym miejscu zjechał z jezdni i wpadł na chodnik, a nie przejechałby śniadego mężczyzny, gdyby ten nadal stał na pierwszym, wybranym przez siebie, rogu. I już po walczyku; leŝący kapelus, zakrwawiony wąsik. Mogło być teŝ na odwrot, co oznaczałoby oczywiście, ŝe uratowałem mu życie, wyrzucając go stamtąd.

Ale to tylko domysły i hipotezy, podczas gdy zdarzają siê przypadki, ŝe życie innych, życie innego (całokształt życia, jego dalszy ciąg, a nie parę zwykłych kroków), zaleŝy od naszych decyzji i wahań, od naszego tchórzostwa albo odwagi, od naszych słów i naszych rąk, czasami równieŝ od tego, czy mamy pieniądze, a oni nie mają. W pobliŝu domu Ranza, to znaczy w pobliŝu domu, w którym mieszkałem przez całe dzieciństwo i młodość, jest sklep papierniczy. W sklepie tym zaczęła pracować bardzo wcześnie, bo w wieku trzynastu lub czternastu lat, dziewczyna niemal w moim wieku (prawie moja rówieśniczka), może trochê młodsza, córka

właściciela. Sklepek jest trochę staroświecki i skromny, jedno z tych miejsc, o których postęp zapomina i zostawia gdzieś na boku, by tym dobitniej podkreślać swoje totalitarne osiągnięcia, przez tyle lat prawie nieodnawiany, może trochę bardziej w ostatnich latach, po śmierci ojca zaczęto bardziej dbać o sklepik, trochę go unowocześniono i pewnie lepiej zarabiają. Wtedy, kiedy miałem piętnaście czy czternaście lat, na pewno zarabiali bardzo mało i dlatego dziewczynka musiała tam pracować, przynajmniej w tamtych czasach, popołudniami. Ta dziewczynka była śliczna, bardzo mi się podobała, chodziłem do tego sklepu papierniczego niemal codziennie, żeby popatrzeć na nią, bo zamiast kupować od razu wszystko, co było mi potrzebne, raz kupowałem ołówek, następnego dnia zeszyt, gumkę trzeciego dnia, by następnego wrócić po kałamarz. Wymyślałem sobie własne potrzeby, sporo, za dużo kieszonkowego zostawiłem w tym sklepie. Ociągałem się również z wyjściem i pogwizdywałem, czekając, aż mnie obsłużą, jak to ówczesni chłopcy w moim wieku, robiłem wszystko, żeby właśnie ona mnie obsłużyła (czekałem czujnie, kiedy była wolna, żeby natychmiast otworzyć usta), a nie ojciec czy matka, przesiadywałem tam dłużej niż trzeba i radości starczało mi na całą noc, jeśli obdarzony zostałem uśmiechem albo miłym spojrzeniem, albo przynajmniej dającym do myślenia, ale przede wszystkim odchodziłem radosny, myśląc o abstrakcyjnej przyszłości, wszystko było odroczone, dziewczynka była tam każdego popołudnia, dzień w dzień, zawsze było wiadomo, gdzie jest i nie było żadnego powodu, by przyszłość stała się konkretna i przestała być przyszłością. Mój wiek ówczesny przestawał być moim ówczesnym wiekiem, tak jak i wiek dziewczyny, która dorastała i wciąż była śliczna, przez wiele lat, nawet teraz rano, od szesnastego roku życia, mniej więcej, przebywała w sklepie przez cały dzień, pracowała przez cały czas, podczas gdy ja byłem na uniwersytecie, ona nie studiowała. Nie rozmawiałem z nią, kiedy chodziliśmy do szkoły i potem też się do niej nie odzywałem, po pierwsze nie miałem odwagi, a później czas już minął, to właśnie jest mankament abstrakcyjnej przyszłości,

kiedy się na tym poprzestaje: choć nadal się jej przyglądałem, zajęty byłem innymi sprawami i w zmiennej terażniejszości nie zachodziłem już tak często do sklepiku papierniczego. Słowa do niej nie skierowałem poza prośbami o papier, ołówki, teczki i gumki, i dziękuję bardzo. Nie wiem więc, jaka ona jest, tym samym, jaki ma charakter, jakie są jej gusta, czy przyjemnie się z nią rozmawia, jaka jest w dobrym humorze, a jaka w złym, co myśli o czymkolwiek, czy się śmieje i jak całuje. Wiem tylko, że się w niej kochałem, gdy miałem lat piętnaście, tak jak się wtedy kocha albo wciąż się kocha to, co niezaczone, właśnie w przekonaniu, że to będzie na zawsze. Ale poza tym ośmielałem się jeszcze powiedzieć, że sposób, w jaki patrzyła i uśmiechała się (wówczas) sprawiał, że chciało się ją kochać na zawsze i to już nie zależało od moich piętnastu lat, bo mówię to teraz. Miała i ma na imię Nieves. Teraz minęło kolejne piętnaście albo i więcej lat, od kiedy nie mieszkam w domu Ranza, ale czasami, idąc do niego z wizytą, lub wracając z wizyty od niego czy zachodząc po niego, by zabrać go na kolację do La Trainera czy do innej znajdującej się jeszcze dalej restauracji, wstępowałem do sklepu papierniczego z nie całkiem utraconego przyzwyczajenia, żeby coś tam kupić i zawsze, w ciągu tych wielu lat, natykałem się na tę dziewczynę, która już nie była dziewczyną, widziałem ją, kiedy miała dwadzieścia trzy lata i dwadzieścia sześć, dwadzieścia dziewięć i trzydzieści trzy lub cztery, bo tyle sobie teraz liczy. Widziałem ją na parę dni przed ślubem z Luizą, jest jeszcze kobietą młodą, musi być, przecież zawsze wiedziałem, w jakim jest wieku, mniej więcej, to znaczy jest nieco młodsza ode mnie. Musi być, ale nie wygląda, nie jest już śliczna i nie wiem, dlaczego już nie jest, bo przecież jeszcze jest w wieku, w którym mogłaby być. Pewnie zbyt wiele już lat tkwi od rana do wieczora w tym sklepie papierniczym (ale nie w nocy i nie w niedziele, ani w soboty od południa, ale to i tak za dużo), sprzedając swoje artykuły dzieciom, które nie patrzą już na nią jak na rówieśniczkę ani na ukochaną, ale już od dawna jak na starszą panią; Żadne z tych dzieciaków nie darzy jej już, bez wątpienia, uwielbieniem, być może nikt już jej nie uwielbia, nawet ja, który nie

jestem już dzieckiem, może tylko mąż, pewnie z tej samej dzielnicy i pewnie też tkwiący już od lat w jakimś innym sklepiku od rana do wieczora, sprzedając lekarstwa albo zmieniając koła. Nie wiem, być może męża w ogóle nie ma. Wiem tylko, że ta młoda kobieta, która już na młodą nie wygląda, zbyt długo ubiera się na tę sama modłę, w swetry i bluzki z zaokrąglonym kołnierzykiem, w plisowane spódnice i białawe pończochy, zbyt długo już wciąż wchodzi po drabinie, by sięgnąć po taśmę do maszyny do pisania swymi połamanymi paznokciami poplamionymi atramentem, jej smukła sylwetka nabrała trochę ciała, piersi, które widziałem rozkwitające, coraz bardziej okwitłe, wzrok znużony i coraz bardziej podkrażone oczy, spuchnięte od niewyspania powieki, które przesłaniają jej piękne niegdyś oczy; a może podkrażone tylko od tego, co od dzieciństwa przed sobą miały. Wtedy, kiedy tam byłem i zobaczyłem ją, na parę dni przed moim planowanym ślubem, na parę chwil nim wpadłem po mojego ojca, by zabrać go i zjeść gdzieś razem obiad, przyjemnie i wesoło, przebiegła mi po głowie próżna myśl, której się cokolwiek wstydzę, ale której mimo wszystko nie potrafiłem całkiem odrzucić albo, dokładniej rzecz ujmując, która powraca co jakiś czas jak coś, co już tysiąc razy zapominane i tyleż razy przypominane, a mimo to zawsze ociągamy się, żeby temu zaradzić i jednak wolimy, by ciągle było zapominane i przypominane po równo albo na przemian, żeby tego całkiem nie zapomnieć. Pomyślałem, że dziewczynka ta, Nieves, byłaby kimś zupełnie innym, gdybym kochał ją nie tylko z daleka, gdybym już dorosły odezwał się do niej i zaczął z nią spotykać, a ona chciałaby mnie pocałować, o czym, czy chciałaby, nigdy się nie dowiem. Wiem oczywiście, że nic o niej nie wiem, na pewno brakuje jej ciekawości świata i ambicji, i zainteresowań, ale jestem przynajmniej pewien paru rzeczy: że nie ubierałaby się tak, jak się ubiera i opuściłaby ten sklep papierniczy, już ja bym się tym zajął. Może byłaby jeszcze śliczna i wyglądałaby młodo, to może za dużo powiedziane, ale już sama możliwość, że byłoby tak, wystarcza, żebym czuł się oburzony, nie na siebie, bo rozmawiałem z nią tylko o ołówkach, ale na sam fakt lub na samą, ponownie,

możliwość, że widomy wiek i wygląd jakiejś osoby mogą zależeć od drugiej osoby, która się z nią stykała, i od posiadania pieniędzy. To dzięki pieniądзом można by bez wahania sprzedać sklep, co da więcej pieniędzy, pieniądze pomniejszają strach i kupują nowe ubrania co sezon, pieniądze pozwalają, by czyjś uśmiech i spojrzenie były kochane, tak jak na to zasługują, i trwały znacznie dłużej niż tylko dany i właściwy im czas. Inne osoby w sytuacji Nieves nie tkwiłyby tam, zdołałyby wyjść z tak wygodnej abstrakcyjnej przyszłości i z tego wszystkiego, co w niej otwarte i przez nią zamykane; ale nie mówię o hipotetycznych osobach, ale o tamtej dziewczynce, której zawsze mglista postać chroniła noce mych piętnastu lat. Dlatego też moje próżne myśli nie były dokładnie zarozumiałym wariantem bajek o książętach i wieśniaczkach, profesorach i kwiaciarkach, dżentelmenach i chórzystkach, choć coś niecoś z pychy w nich było i zostały, być może, spowodowane moim nieuchronnie bliskim ślubem i tym, że poczułem się zdrajcą, i kimś lepszym, i ocalonym na chwilę, lepszym od Nieves i zdrajcą Nieves, i ocalony, bo nie stałem się kimś takim jak ona. Nie o sobie myślałem, ale o całokształcie jej życia, o jego dalszym ciągu, przez sekundę wierząc, że władny byłem inaczej nim pokierować, że nawet jeszcze mogę je odmienić, w identyczny lub podobny sposób, w jaki wczoraj rano pokierowałem miejscem i krokami miłego kataryniarza z mojej przeszłości i kobiety z warkoczem. Wiem, że dziewczynka ze sklepu papierniczego zobaczyłaby więcej rzeczy i inne kraje, i nie tylko w sierpniu, wiem, że stykałaby się z ludźmi znacznie różniącymi się od tych, wśród których się obraca i których zna, wiem, że dysponowałaby większymi pieniędzmi i nie pogrzebałaby się pod strużynami i kauczukowymi włóknami. Ale zupełnie nie wiem, jak śmiałem o tym wszystkim pomyśleć, jak śmiem dzisiaj jeszcze dopuszczać, by ta próżna myśl wracała, miast odpędzić ją raz na zawsze, jak mogłem uznać za oczywiste, że życie ze mną byłoby dla niej lepsze, w sumie lepsze. Nigdy nie ma w sumie, myślę, i kim byłaby ona, pomyślałem, nie dopuszczając myśli, że ja też nie

byłbym tym, kim jestem i być może wszystkie moje dni spędzałbym razem z nią w sklepie papierniczym.

– Masz wkłady do tego pióra?

O to ją właśnie zapytałem, wyjmując z kieszeni niemieckie pióro, które kupiłem w Brukseli i które bardzo mi się podoba, bo ma stalówkę czarną i matową.

– Pokaż – powiedziała, otwierając pióro i przyglądając się niemal pustemu wkładowi. – Chyba nie, ale poczekaj, popatrzę w pudłach na górze.

Wiedziałem, że nie będzie miała tych wkładów, i pomyślałem, że powinna wiedzieć, że ich nie ma. A mimo to przyciągnęła starą drabinę i ustawiła po swej stronie lady, na lewo ode mnie, i ciężko, jakby miała dwadzieścia lat więcej niż miała (ale dźwigała ten czas i w górę, i w dół), zaczęła wspinać się po szczeblach, by, zatrzymawszy się na piątym, stamtąd wziąć się do przeszukiwania kartonowych pudeł, które i tak do niczego się nam nie przydadzą. Patrzyłem na nią odwróconą do mnie plecami, na jej buty na niskich obcasach, spódnicę w kratkę niedzisiejszej uczennicy, jej nieco za szerokie już biodra i zbyt luźno zapięty pasek jej prześwitującego przez bluzkę stanika; i jej ładny kark, jedyne, co zostało nietknięte. Przeglądała pudła, trzymając w ręku moje rozkręcone pióro, żeby mieć wkład na oku i móc go dopasować, trzymała je bardzo ostrożnie. Gdybym w tej chwili stał tam, gdzie i ona stała, położyłbym dłoń na jej ramieniu albo pogładziłbym ów kark, z ogromną czułością.

Trudno sobie wyobrazić, bym spędził tu wszystkie swoje dni, nigdy nie brakowało mi pieniędzy i ciekawości, ciekawości i pieniędzy, nawet kiedy nie dysponuję większymi kwotami i pracuję, żeby na siebie zarobić, jak teraz i od czasu, kiedy opuściłem dom Ranza, dawno, bardzo dawno temu, i choćbym pracował tylko przez sześć miesięcy w roku. Ten, kto wie, że będzie je miał, w dużej mierze już je ma, ludzie chętnie służą zaliczkami, wiem, że będę

dysponować dużymi pieniędzmi, kiedy mój ojciec umrze, i że wtedy będę mógł sobie pracę właściwie darować, jeśli będę chciał, kiedy byłem dzieckiem już miałem pieniądze, żeby kupować bardzo dużo ołówków, a poza tym odziedziczyłem już część po śmierci mojej matki i nieco mniej, ale wcześniej, po śmierci babki, mimo że nie one te pieniądze zarobiły, śmierć czyni bogatymi tych, którzy nimi nie byli i nigdy by z samych siebie nimi nie zostali, wdowy i córki, a może czasem zostaje tylko sklep papierniczy, który uwiązuje córkę i niczego nie rozwiązuje.

Ranzowi zawsze wiodło się dobrze, a tym samym i jego synowi, bez większych może zbytków albo jedynie z takimi, jakie przynosiła jego profesja, a nawet przez tę profesję były wymagane. Zbytki lub bogactwo mego ojca to obrazy i parę rzeźb, przede wszystkim obrazy i wiele rysunków. Teraz nie jest już zawodowo czynny, ale przez wiele lat (lata generała Franco, ale i następne) był jednym z etatowych ekspertów muzeum Prado, nigdy dyrektorem czy wicedyrektorem, nigdy kimś na świeczniku, po prostu najzwyczajszym etatowym pracownikiem przesiadującym całe ranki w biurze, w sposób uniemożliwiający, własnemu synowi na przykład, snucie choćby domysłów, co właściwie tam robi, przynajmniej gdy syn jeszcze był dzieckiem. Z czasem zacząłem nabierać pojęcia, mój ojciec spędzał dni całe rzeczywiście zamknięty w gabinecie obok arcydzieł i niekoniecznie arcydzieł malarstwa, które kochał namiętnie. Dni całe tuż obok nadzwyczajnych obrazów, jak ślepiec, bez możliwości wychynięcia nawet, by na nie popatrzeć, albo popatrzeć, jak patrzą na nie zwiedzający. Badał, katalogował, opisywał, skreślał z ewidencji, analizował, opiniował, wpisywał do ewidencji, telefonował, sprzedawał i kupował. Ale nie zawsze tam przebywał, dużo też podróżował na zlecenie instytucji i osobników, do których z czasem dotarły wieści o jego przymiotach, więc był przez nich wynajmowany, by wydawał opinie i przeprowadzał rzeczoznawcze ekspertyzy, obrzydliwe określenia, ale takich właśnie używają ci, którzy tychże dokonują. Po jakimś czasie był już konsultantem wielu

muzeów północnoamerykańskich, pośród nich muzeum Getty'ego z Malibu, Waltersa z Baltimore i Gardnera z Bostonu, jak również doradcą kilku fundacji czy też przestępczych banków południowoamerykańskich i prywatnych kolekcjonerów, ludzi zbyt bogatych, by jeździć do Madrytu i odwiedzać nasz dom, i to Ranz udawał się do Londynu lub Zurychu, Chicago lub Montevideo czy Hagi, wydawał opinię, polecał lub nie polecał sprzedaży czy kupna, pobierał procent lub wynagrodzenie rzeczowe i wracał. Z biegiem lat robił coraz większe pieniądze, nie tylko dzięki procentom i pensji eksperta w Prado (skromniutkiej), ale dzięki swej postępującej stopniowo i niefrasobliwej korupcji; prawdą jest, że wobec mnie nigdy nie miał najmniejszych obiekcji, by głośno przyznawać się do swych nie całkiem legalnych praktyk, więcej, nawet chełpił się nimi o tyle, o ile każde zmyślne oszustwo wobec przezornych i wielkich zasługuje po części na aplauz, jeśli pozostaje bezkarne i nie zostaje wykryte, to znaczy, jeśli nie tylko sprawca pozostaje nieznany, ale nierozpoznane pozostaje samo oszustwo. Korupcja w tej branży nie jest zresztą czymś szczególnie groźnym, polega po prostu na tym, by od pewnego momentu, w sposób niezauważalny i niedający się udowodnić, reprezentować interesy strony sprzedającej, zamiast interesów strony kupującej, która zazwyczaj kontraktuje eksperta (a kiedyś sama może być stroną sprzedającą). Getty Museum czy też Walters Art Gallery wynajmujące mojego ojca otrzymywały informacje o autorstwie i stanie obrazu, którego kupno rozważały. Mój ojciec przekazywał raporty w zasadzie rzetelne, niemniej zachowywał dla siebie informację, która, gdyby była znana i brana pod uwagę, znacząco obniżyłaby wartość i cenę dzieła, na przykład, iż odnośnemu obrazowi brakuje iluś tam centymetrów, które ktoś kiedyś wyciął, żeby obraz zmieścił się w gabinecie właściciela, albo że para całkowicie drugorzędnych i znajdujących się w tle postaci została podretuszowana, żeby nie powiedzieć przemalowana. Porozumienie ze sprzedającym co do przemilczenia owych szczegółów może oznaczać podwojenie stawki procentowej od wyższej kwoty, sporo pieniędzy dla przemilczającego i jeszcze więcej

dla sprzedającego; jeśli zaś kiedyś błąd eksperta zostanie ujawniony, ekspert zawsze może powiedzieć, że otóż to, że chodzi tylko i wyłącznie o błąd w sztuce, nie ma nieomylnych ekspertów, wprost przeciwnie raczej, popełnienie błędu przez eksperta jest nie do uniknięcia, ważniejsze, że ich oceny w wielu innych przypadkach są trafne, co pozwala im zachować zdobyty prestiż, błędy zaś bardzo dobrze sprzedają. Mój ojciec, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości, ma dobre oko i jeszcze lepszą rękę (obrazu należy dotykać, żeby wiedzieć, to nieodzowne, czasem nawet nieco polizać, nie powodując, oczywiście, żadnych ubytków i szkód), a w takich krajach jak Hiszpania przymioty te były przez wiele lat bezcenne, biorąc pod uwagę, że nieznane były lub zbyt kosztowne analizy chemiczne (również omylne nawiasem mówiąc) i wiarygodność ekspertów zależała jedynie od emfazy i przekonania, z jakimi wydawali swoje sądy. Hiszpańskie kolekcje prywatne (publiczne również, aczkolwiek w znacznie mniejszym stopniu) pełne są falsyfikatów i właściciele ich spotyka ogromna przykrość, kiedy teraz decydują się je sprzedać i wreszcie przekazują je renomowanemu domowi aukcyjnemu. Zdarzały się przypadki pań, które mdlały *in situ* na wieść, że ich, przez całe życie ich, boski mały El Greco jest bosko sfalszowanym małym El Greco. Zdarzały się przypadki starszych dżentelmenów, którzy niemal natychmiast przystępowali do podcinania sobie żył po otrzymaniu informacji ponad wszelką wątpliwość, że ich, przez całe życie, ukochany flamandzki obraz na desce jest ukochanym fałszywym flamandzkim obrazem na desce. W gabinetach domów aukcyjnych niejeden sznur autentycznych pereł rozsypał się po podłodze i złamano niejedną laskę ze szlachetnego drewna, a ostre i tnące eksponaty chowane są w witrynach od czasu, gdy jeden z pracowników został pokiereszowany i nikt się nie dziwi kamizelkom kuloodpornym i karetkom. Fachowcy od czubków są mile widziani.

Przez dziesiątki lat ekspertyzy w Hiszpanii robił każdy, komu nie zbywało na próżności, bezczelności czy zuchwałości:

antykwarium, księgarz, krytyk sztuki, przewodniczka po Prado, z tych z identyfikatorem, bedel, sprzedawca pocztówek albo jego prawa ręka, wszyscy oceniali i wydawali swoje ostateczne opinie i wszystkie opinie przyjmowane były jako absolutnie wiarygodne, równo, jak leci. Ktoś, kto się naprawdę na tym znał, był bezcenny, tak jak to jeszcze jest na całym świecie, ale tu jeszcze bardziej, tu, i tym bardziej wtedy. A mój ojciec wiedział i dotąd wie więcej niż znakomita większość. Biorąc to pod uwagę, miałem swoje wątpliwości czy pośród przypadków jego niefrasobliwych korupcji nie było jednak znacznie cięższego przypadku, którym się nigdy nie chwalił. Ekspert ma jeszcze, poza już wymienionymi, dwa albo trzy sposoby wzbogacenia się. Pierwszy jest legalny i polega na kupowaniu dla siebie samego, od kogoś, kto się nie zna albo jest w kłopotach (na przykład podczas wojny lub po niej, w tym czasie oddaje się arcydzieła za paszport lub słoninę). Przez lata całe Ranz kupował również dla swego domu, a nie tylko dla kontraktującej go osoby: od antykwariuszy, księgarzy, krytyków sztuki, przewodniczek po Prado, tych z identyfikatorami, bedeli, sprzedawców pocztówek a nawet ich prawych rąk, od przeróżnych ludzi, kupił od nich cuda za grosze: pieniądze, które płacono mu w Malibu, Bostonie czy w Baltimore inwestował w sztukę dla siebie samego, albo dokładniej rzecz ujmując, nie inwestował, może co najwyżej dla swoich potomków, nigdy bowiem nie chciał odsprzedać niczego, co stanowiło jego własność, to ja będę sprzedawał. Mój ojciec posiada skarby, które nic go nie kosztowały, pośród nich zaś i takie, o których nic nie wiadomo. Z bremeńskiego Kunsthalle, w Niemczech, zniknął w 1945 roku jeden obraz i szesnaście rysunków Dürera; historia mówi, że przepadły podczas bombardowań albo że zrabowali je Rosjanie, raczej to ostatnie. Pośród tych rysunków znajdował się jeden noszący tytuł *Głowa kobiety z zamkniętymi oczyma*, inny zatytułowany *Portret Katarzyny Cornaro* i trzeci znany jako *Trzy lipy*. Ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam, ale w kolekcji rysunków Ranza znajdują się trzy, odnośnie do których przysięgłbym, że są Dürera (ale ze mnie żaden ekspert, żebym się wypowiadał, a ojciec

zawsze się śmieje, kiedy go o to pytam, nie odpowiada mi), bo na jednym z nich widać głowę kobiety z zamkniętymi oczyma, serce mi mówi, że na drugim mam do czynienia z żywym portretem Katarzyny Cornaro, na trzecim zaś, wypisz wymaluj, widzę trzy lipy, choć nie znam się najlepiej na drzewach. A to tylko jeden przykład. Biorąc pod uwagę zróżnicowanie cen na rynku sztuki, nie wiem, jaka może być wartość całej jego kolekcji (mój ojciec i w tym przypadku się śmieje, gdy go o to pytam i odpowiada mi: „Dowiesz się, kiedy nie będziesz miał innego wyjścia jak zbadać to samemu. To się zmienia w zależności od dnia, jak cena złota”), ale możliwe, że zmuszony będę pozbyć się tylko jednej sztuki, może dwóch, kiedy on umrze i problem sprzedania czegoś czy też nie będzie moją wyłącznie sprawą, żeby dać sobie spokój z tłumaczeniami i z podróżami, gdy nie będę już chciał tego robić.

O najlepszych obrazach, jakie Ranz zawsze miał w domu wystawione na widok (nie za wiele), przyjaciołom i gościom nieustannie mówił, że chodzi o kopie (z kilkoma rozsądnymi wyjątkami: Boudin, Martin Rico i im podobni), wspaniałe kopie Custardoya ojca i kilka świeższej daty Custardoya syna. Drugim sposobem, jakim dysponuje ekspert dla wzbogacenia się, jest oddanie swojej wiedzy nie w służbę interpretacji, ale na rzecz akcji, to znaczy: doradzać fałszerzowi i kierować nim, aby jego dzieła były, w miarę możliwości, jak najdoskonalsze. Nie ulega chyba wątpliwości, iż ekspert, który doradza fałszerzowi, powstrzyma się od informowania kogokolwiek o tych falsyfikatach, zrealizowanych pod jego okiem i zgodnie z jego sugestiami. Za to rzeczą mocno prawdopodobną jest to, że fałszerz odstępuje mu jakiś procent z sumy otrzymanej za sprzedaż jednego z owych realizowanych pod kuratelą obrazów prywatnemu kolekcjonerowi czy muzeum, czy bankowi po otrzymaniu pozytywnej ekspertyzy innego eksperta, jak również jest rzeczą prawdopodobną, że inny ekspert jednak zdecyduje się poinformować o fałszerstwach dokonywanych według instrukcji tego pierwszego. Jednym z najlepszych przyjaciół Ran za

był Custardoy ojciec, teraz zaś Custardoy syn, obaj wspaniali kopiści każdego niemal obrazu z jakiegokolwiek epoki, choć do ich najlepszych imitacji, takich przy których oryginał i kopia mogły być nie do odróżnienia, należały kopie osiemnastowiecznych malarzy francuskich, przez wiele lat nie zanadto docenianych (więc nikt, tym samym, nie molestował ich falsyfikowaniem), dziś zaś docenianych ponad miarę, po części dzięki przewartościowaniom zadeklarowanym w ostatnich dekadach przez samych ekspertów. W domu Ranza znajdują się dwie wspaniałe kopie małego Watteau i malusieńkiego Chardina, pierwsza Custardoya ojca, druga zaś Custardoya syna, któremu zlecił jej wykonanie zaledwie trzy lata temu, tak przynajmniej powiedział. Custardoy ojciec miał jakieś problemy i nieprzyjemności tuż przed swoją śmiercią, już ponad dziesięć lat temu: został aresztowany i niebawem zwolniony, bez rozprawy sądowej: bez wątpienia mój ojciec wykonał parę telefonów ze swego gabinetu w Prado do osób, które po śmierci Franco nie całkiem jeszcze utraciły swoje wpływy.

Ale niezależnie od znaczących kwot, jakie Ranz mógł zarabiać i pomnażać dzięki Malibu, Bostonowi i Baltimore, Zurychowi, Montevideo i Hadze, dzięki swym prywatnym przysługom i nader już prywatnym usługom świadczonym sprzedającym, nawet dzięki swym ewentualnym radom udzielanym Custardoyowi Starszemu, teraz zaś równie dobrze okazjonalnie udzielanym radom dla Młodszego, jego fortunę i zbytek stanowi, jak już mówiłem, osobista kolekcja rysunków i obrazów, może paru rzeźb, choć nie wiem jeszcze i, na razie, wiedzieć nie będę, jak wysoko sięga owa fortuna i ów zbytek (mam nadzieję, że pozostawi po swej śmierci dokładny spis pedantycznego eksperta). Nigdy nie chciał pozbywać się niczego, żadnej ze swych domniemanych kopii ani żadnego z najpewniejszych autentyków, i w tym właśnie należy upatrywać, niezależnie od jego niefrasobliwych korupcji, szczerą jego powołania i jego niekłamana miłość do malarstwa. Na dobrą sprawę podarowanie nam miniaturowego Boudina i maleńkiego Martina

Rico w prezencie ślubnym musiało go kosztować wiele zdrowia, choć może je nadal w domu widywać. Pamiętam z czasów, kiedy pracował w Prado, jaka ogarniała go panika na wieść o jakimkolwiek wypadku czy stracie, w przypadku jakiegokolwiek uszczerbku czy najdrobniejszego zniszczenia, czy też jego paniczny strach przed muzealnymi strażnikami i woźnymi, których, jak mawiał, należałoby jak najlepiej opłacać i dogadzać im, i dbać o ich dobre samopoczucie, od nich bowiem zależało nie tylko bezpieczeństwo i stan obrazów, ale po prostu ich istnienie. *Dworki*, mawiał, istnieją wyłącznie dzięki łaskawości i codziennej wielkoduszności strażników, którzy, gdyby tylko chcieli, mogliby zniszczyć je w każdej chwili, dlatego należy łechtać ich dumę, dbać o ich radosny nastrój i zadowalający stan psychiczny. Sam, chwytając się różnych sposobów (nie należało to do jego kompetencji, do niczyich kompetencji), dowiadywał się, jak się żyje personelowi dozorującemu poszczególne sale i eksponaty, czy są spokojni, czy na odwrót, jacyś niespokojni, czy dławią ich długi, czy też jakoś sobie radzą, czy ich żony lub mężowie (personel jest mieszany) dobrze się z nimi obchodzą, czy też zadręczają, czy dzieci są ich szczęściem i dumą, czy małymi psychopatami doprowadzającymi ich do szału, i tak interesował się nimi nieustannie, czuwał nad nimi, a wszystko po to, by chronić dzieła mistrzów przed ewentualnymi wybuchami wściekłości czy atakami tłumionych urazów. Mój ojciec był w pełni świadom, że mężczyzna czy kobieta, którzy całymi dniami zamknięci są w jednej i tej samej sali, i patrzą wciąż na ten sam obraz, całymi godzinami do wczesnego popołudnia, a czasem i do późnego wieczoru, i siedzą na krzesełeczku, i nic innego nie robią tylko bacznie śledzą odwiedzających i patrzą na płótna (zabroniono nawet rozwiązywania krzyżówek), mogą w końcu zwariować i stać się zagrożeniem dla otoczenia lub też może się w nich zrodzić śmiertelna nienawiść do tych obrazów. Z tej właśnie przyczyny, przez wszystkie lata spędzone w Prado, osobiście zajmował się tym, by co miesiąc przydzielać strażnikom muzealnym inną salę, by przynajmniej do trzydziestu dni ograniczyć ich przymusowe gapienie się wciąż w te

płótna, uśmierzając tym samym ich nienawiść lub zmieniając obiekt nienawiści, zanim będzie za późno. Świadom był również rzeczy następującej: jeśliby nawet strażnika miała spotkać jakaś kara, nawet ciężkie więzienie, to gdyby ów strażnik postanowił, choćby jutro, zniszczyć *Dworki*, *Dworki* zostałyby tak samo zniszczone jak Diirery z Bremy, o ile te zostały zniszczone w trakcie bombardowania, nie byłoby bowiem strażnika, który mógłby zapobiec zniszczeniu, jeśli tego zniszczenia miałyby dokonać ów strażnik dysponujący całym czasem świata dla przeprowadzenia swego haniebnego zamiaru, i prócz niego samego nikogo w pobliżu, kto by mu w tym przeszkodził. Sytuacja nieodwracalna, nie byłoby sposobu ich odzyskania.

Wyszedł kiedyś ze swego gabinetu tuż przed zamknięciem muzeum, kiedy większość odwiedzających opuściła już gmach, i natknął się na starego strażnika imieniem Mateu (pracował tam dwadzieścia pięć lat) bawiącego się jednorazową zapalniczką tuż przy rogu Rembrandta, konkretnie przy dolnym lewym rogu obrazu zatytułowanego *Artemizja*, z roku 1634, jedynym pewnym Rembrandcie muzeum Prado, na którym tytułowa Artemizja, o rysach twarzy bardzo zbliżonych do Saskii, żony i nierzadko modelki genialnego malarza, patrzy kątem oka na słabo widoczny puchar podawany jej przez młodą służącą, która klęczy odwrócona nieomalże plecami. Scenę tę interpretowano na dwa sposoby, jako przedstawiającą Artemizję, królową Halikarnasu, tuż przed wypiciem pucharu z prochami Mauzolosu, jej zmarłego męża, dla którego kazała wznieść grobowiec, jeden z siedmiu cudów świata starożytnego (stąd mauzoleum), albo przedstawiającą Sofonisbę, córkę kartagińczyka Hasdrubala, która chcąc uniknąć ujęcia przez Scypiona i jego sprzymierzeńców, dopominających się oficjalnie jej wydania, poprosiła swego dopiero co poślubionego małżonka Masynisę o puchar z trucizną w prezencie ślubnym, puchar, który jak głosi opowieść, został jej podany w imię wierności w niebezpieczeństwie, choć Sofonisba należała nie tylko do Masynissy, bo

przedtem była żoną wodza Numidyjczyków, Syfaksa, któremu na dobrą sprawę została wykradziona przez drugiego męża-lupieżcę (tegoż Masynisę) podczas dziwnego zdobycia Cirty, dziś Konstantyny w Algierii. Spoglądając na obraz trudno, wobec powyższego, stwierdzić, czy na cześć i chwałę Mauzolososa pić będzie Artemizja mężowskie prochy czy też Sofonisba mężowską truciznę z winy Masynissy; aczkolwiek z owego ukradkowego spojrzenia tak jednej jak drugiej wydaje się, że tak jedna jak i druga niebawem spożyją, nie bez rozterek, raczej jakiś zdradziecki wywar. Tak czy owak, w głębi pojawia się głowa staruchy, która przypatruje się bardziej pucharowi niż służącej czy samej Artemizji (gdyby to była Sofonisba, możliwe, że to starucha wsypała jej truciznę), nie widać jej za dobrze, w głębi obraz jest zbyt tajemniczym półmrokiem albo zbyt brudnym obrazem, a postać Sofonisby jest tak świetlista i zajmuje tyle miejsca, że istnienie staruchy czyni jeszcze bardziej niepewnym.

W owych czasach nie było samoczynnych alarmów przeciwpożarowych w Prado, ale były gaśnice. Mój ojciec, nie bez wysiłku, złapał za najbliższą z nich i choć nie miał pojęcia, jak jej użyć, nieudolnie chowając ją za plecami (straszny ciężar w jadowitym kolorze), zbliżył się powoli do Mateu, który zdołał osmalić już nieco róg obrazu, teraz zaś przesuwiał płomień tuż przy płótnie, w górę i w dół, z lewa na prawo i z powrotem, jakby chciał wszystko oświetlić, służącą i staruchę, Artemizję i puchar, jak również stolik, na którym leżą jakieś zapisane zwoje (może oficjalne żądanie Scypiona), i o który Sofonisba opiera się lewą ręką, raczej pulchną.

„Co tam słyhać, Mateu?”, odezwał się mój ojciec spokojnie. „Chcesz sobie dokładnie na obraz popatrzeć?”

Mateu nie odwrócił się, doskonale znał głos Ranza i wiedział, że ten codziennie, gdy zamykano muzeum, robi obchód po niektórych, wybranych na chybił trafił salach, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

„Nie”, odpowiedział całkiem naturalnie i rzeczowo. „Zastanawiam się, czy go nie spalić”.

Ojciec, jak opowiadał, mógł uderzyć go w rękę, żeby wytrącić mu zapalniczkę na podłogę, a następnie niegroźny już przedmiot jak najzręczniejsz i jak najdalej kopnąć. Ale ręce miał zajęte trzymaną za plecami gaśnicą, a poza tym już na samą myśl, że może chybić i tym samym spotęgować rozdrażnienie strażnika, odstąpił od tego zamiaru. Pomyślał, że może lepiej będzie czymś go zająć, zanim Mateu zrobi użytek z płomienia (substancje bitumiczne na pierwszy ogień), dopóki jednorazowa zapalniczka nie wypali się raz a dobrze, ale to mogło trwać zbyt długo, tym bardziej jeśli na domiar złego zapalniczka została świeżo nabyta. Pomyślał również, że można zacząć wzywać pomocy, ktoś by przybiegł, Mateu zostałby złapany i ogień nie przerzuciłby się na inne obrazy, ale i w takim przypadku żegnaj jedyny pewny Rembrandcie na pewno pędzla Rembrandta w Prado, żegnaj Sofonisbo i żegnaj Artemizjo, a nawet Mauzolosie i żegnaj Masynisso, i Saskio, i Syfaksie. Znów go zapytał:

„A co ty gadasz, Mateu, tak bardzo ci się nie podoba?”

„Nie cierpię tego grubego babsztyla”, odpowiedział Mateu. Mateu nie mógł strawić Sofonisby. „Nie cierpię tego grubego babsztyla z perłami”, powtórzył (a prawdą jest, że Artemizja jest gruba i na tym Rembrandcie ma perły na szyi i na czole). „Już chyba ładniejsza jest ta mała służąca, która podaje jej puchar, ale nijak się nie da zobaczyć jej twarzy”.

Mój ojciec nie mógł powstrzymać się od kpiarskiego komentarza, to znaczy zadziwionego i logicznego:

„No rzeczywiście”, powiedział. „Tak został namalowany, rzecz jasna, gruby babsztyl *en face*, a służąca odwrócona plecami”.

Piroman Mateu gasił zapalniczkę co jakiś czas, na parę sekund, ale nie odrywał jej od płótna, tylko po tych kilku sekundach

ponownie ją zapalał, by przygrzać Rembrandta. Nie patrzył na Ranza.

„I w tym właśnie szkopuł”, powiedział, „właśnie w tym, że został tak namalowany raz na zawsze, a teraz nie wiemy, co tam się dzieje, sam pan widzi, panie Ranz, nie ma metody, no, nie ma jak zobaczyć twarzy tej dziewczyny i nie ma sposobu, żeby się wywieść, po jaką cholere ta starucha w głębi, bo tylko widać tego grubego babsztyla z dwoma naszyjnikami, która łapie się za ten puchar i łapie, i złapać nie może. Może go w końcu, kurwa, wypije i będę mógł zobaczyć tę dziewczynę, jeśli się odwróci”.

Mateu, człowiek obyty z malarstwem, człowiek sześćdziesięcioletni, z czego dwadzieścia pięć lat przeżył w Prado, nagle zapragnął dalszego ciągu sceny z Rembrandta, którego nie rozumiał (nikt go nie rozumie, Artemizję i Sofonisbę różni wszystko, to różnica między wypiciem zmarłego a wypiciem śmierci, między potęgowaniem życia a odbieraniem sobie życia, między przedłużaniem życia a zabiciem się). Oczywisty absurd, ale Ranz nie zrezygnował z przekonania go:

„Proszę jednak zrozumieć Mateu, że to niemożliwe”, powiedział, „wszystkie trzy są namalowane, czy pan tego nie widzi, namalowane. Napatrzył się pan filmów, ale to nie jest kino. Proszę zrozumieć, że nie ma sposobu, by zobaczyć je inaczej, to jest obraz. Obraz”.

„Dlatego go załatwię”, powiedział Mateu, znowu pieszcząc płótno płomieniem zapalniczki.

„A poza tym”, dodał ojciec, wciąż usiłując go czymś zająć, ale i nie mogąc powstrzymać się, żeby nie wtrącić swoich trzech groszy ścisłości (przemądrzały erudyta), „ta ozdoba na czole to nie jest naszyjnik, lecz diadem, aczkolwiek i jedno, i drugie zrobione jest z pereł”.

Ale tę uwagę Mateu puścił mimo uszu. Machinalnie zdmuchnął pyłki z munduru.

Podtrzymywana w dłoniach gaśnica zaczynała boleśnie wpijać się Ranzowi w przeguby, zrezygnował więc z dalszego chowania jej za sobą, by przelożywszy ją przed siebie, trzymać ją w ramionach niczym niemowlę. Strażnik Mateu natychmiast zauważył urządzenie.

„Zaraz, zaraz, co pan tutaj z tym robisz?”, zganiał swojego ojca. „To pan nie wie, że nie wolno ich zdejmować?”

Bo Mateu wreszcie się odwrócił, usłyszawszy huk powstały w wyniku niezdarnego posługiwania się gaśnicą, która podczas przenoszenia jej z za pleców trzasnęła o podłogę, aż drzazgi poszły, ale mój ojciec nie odważył się wykorzystać tej chwili zamieszania. Ale dało mu to do myślenia.

„Proszę się nie przejmować, Mateu”, powiedział, „biorę ją ze sobą, bo trzeba ją naprawić, nie działa”. I skorzystał z okazji, by odetchnąwszy z ulgą, postawić gaśnicę na podłodze. Wyjął jedwabną chusteczkę w czerśniowym kolorze, którą nosił dla ozdoby w kieszonce marynarki, bardziej dla ozdoby niż do użytku, i wytarł nią czoło, chusteczką miłą w dotyku i dla oka; harmonijnie współgrała z gaśnicą.

„Załatwię go, mówię panu”, powtórzył Mateu i pogroził zapalniczką Saskii.

„To bardzo cenny obraz, Mateu. Wart miliony”, odparł Ranz, usiłując sprawdzić, czy wzmianka o pieniądzach przyniesie otrzeźwienie.

Ale strażnik nadal bawił się zapalniczką, zapalając i gasząc, i zapalając, nie zawahał się jeszcze bardziej osmalić ramy, bardzo dobrej ramy, antyku.

„Jeszcze tego brakowało”, odpowiedział z pogardą. „Jeszcze tego brakowało, żeby ten zasrany babsztyl kosztował miliony, kurwa jej mać”.

Piękna rama przyczerniona. Ojciec mój pomyślał, że teraz powinien mu napomknąć coś o więzieniu, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Pomyślał jeszcze chwilę, pomyślał drugą chwilę i wreszcie zmienił taktykę. Nagle podniósł z podłogi gaśnicę i powiedział:

„Ma pan rację, Mateu, przyznaję panu całkowitą rację. Ale proszę go nie podpalać, bo inne obrazy mogłyby się zająć ogniem. Niech pan pozwoli, że ja to zrobię. Załatwię go gaśnicą, swoje waży. Tak przypierdolę temu babsztyłowi, że tylko mokra plama zostanie”.

I Ranz uniósł gaśnicę i zastygł z nią nad głową niczym ciężarówiec ze s z tanga, gotów cisnąć ją ze wszystkich sił w Sofonisbę i w Artemizję.

I wówczas właśnie Mateu zareagował całkiem serio.

„Zaraz, zaraz”, powiedział serio Mateu, „co pan zamierza, przecież uszkodzi pan obraz w ten sposób”.

„W drobny mak”, powiedział Ranz.

Nastąpił moment obustronnego niezdecydowania, ojciec mój z ramionami w górze podtrzymywał gaśnicę przeczerwona, Mateu z wciąż płonąca zapalniczką w dłoni, płomień w powietrzu, płomień w rozterce. Spojrzał na swojego ojca, spojrział na obraz. Ranz trzymał gaśnicę ostatkiem sił. Wówczas Mateu zgasił zapalniczkę, schował do kieszeni, rozwarł ramiona niczym zapaśnik i powiedział groźnie:

– Spokojnie, dobra? Tylko spokojnie. Żeby nie musiał użyć siły.

Mateu nie został zwolniony, bo ojciec mój nikogo nie poinformował o zaistniałym incydencie, a i ojca z drugiej strony strażnik też nie zadenuncjował, że ten chciał roznieść w proch Rembrandta niesprawną gaśnicą. Nikt więcej nie spostrzegł przypieczonej ramy (co najwyżej jakiś nazbyt ciekawski gość, któremu doradzono, by nie stawiał żadnych pytań, i następca Mateu, odpowiednio przekupiony), dość szybko zresztą została

zastąpiona bardzo podobną ramą, ale to już nie był antyk. Zdaniem Ranza, jeśli Mateu przez dwadzieścia pięć lat był wzorowym strażnikiem, to nic nie stało na przeszkodzie, żeby nadal nim był po przejściowym ataku szału. Więcej, przypisywał jego reakcję i zamach temu, że dotychczas nie było takich reakcji i zamachów i upatrywał dowód jego wiarygodności w tym, iż spostrzegłszy, że obraz mu nienawistny jest w niebezpieczeństwie i grozi mu agresja ze strony innego osobnika, na dodatek przełożonego, przedłożył swoje poczucie zawodowej odpowiedzialności nad szczerą chęć puszczenia z dymem Artemizji. Został natychmiast przeniesiony do innej sali, malarzy wczesnego malarstwa, gdzie postaci są znacznie mniej kragłe, a tym samym trudniej im wywoływać irytację (poza tym niektórzy prezentowani tam artyści są palinschematyczni, to znaczy opowiadają na tej samej płaszczyźnie czy w tej samej przestrzeni swoje pełne historie). Co się zaś tyczy reszty, to ojciec mój ograniczył się do większego zainteresowania jego codziennymi problemami, do podtrzymywania go na duchu wobec zbliżającej się starości i nie spuszczenia zeń oka podczas przyjęć, które dwa razy w roku, w dniu, gdy muzeum było zamknięte dla zwiedzających, organizowano dla całego personelu, zazwyczaj w dużej sali Velazquezów. Wszyscy pracownicy z rodzinami, od dyrektora (który pojawiał się z obowiązku jedynie na minutę i znikał) po sprzątaczkę (które największy harmider wznosiły i bawiły się, ile wlezie, bo musiały później zostać i posprzątać śmieci i odpadki po przyjęciu), spotykali się, żeby sobie popić, pojeść, pokonwersować i potańczyć (no, powiedzmy, że pokonwersować) na co półrocznej zabawie rodem z odpustowego placu wymyślonej przez mojego własnego ojca na wzór lub w oparciu o istotę karnawału, ku zadowoleniu strażników, dając im się wyżyć i pozwalając, by zapomnieli o ogładzie w miejscu, w którym w pozostałe dni powinni się nią byli wykazywać. Osobiście pilnował, by dania i napoje im serwowane, były takie, by plamy po nich nie rujnowały i nie niszczyły obrazów, w ten oto sposób tolerowano wiele aktów agresji i wybryków: gdy byłem dzieckiem na własne oczy widziałem lemoniadę na *Dworkach* i bezy na *Poddaniu Bredy*.

Przez wiele lat, gdy byłem dzieckiem, ale i później, jako kilkunastolatek, kiedy jeszcze niezdecydowanymi oczami patrzyłem na dziewczynę ze sklepu papierniczego, wiedziałem tylko, że ojciec mój, zanim ożenił się z moją matką, wpierw ożenił się z jej starszą siostrą, z Teresą Aguilera najpierw, a potem dopiero z jej siostrą Juana, z obydwoma dziewczynkami, o których wspominała czasem moja babcia, gdy opowiadała anegdoty z przeszłości, a raczej o obu mówiła po prostu „dziewczynki”, by odróżnić je od ich braci, których za to nazywała „kawalerami”. Nie wynika to jedynie z tego, że dzieci dość długo nie interesują się, kim byli ich rodzice przedtem, nim dla nich zaistnieli (zazwyczaj zainteresowanie takie pojawia się, gdy owe dzieci zbliżają się do wieku, w jakim byli rodzice, gdy rzeczywiście dla nich zaistnieli albo też, kiedy ich własne dzieci przywodzą im nagle na pamięć siebie samych z okresu dzieciństwa i wtedy pełni zdumienia pytają się o własnych rodziców, z którymi teraz łączy ich występowanie w tej samej roli), ale i z tego, że sami rodzice przyzwyczajają się, by nie rozbudzać u swych potomków nadmiernej ciekawości i do zachowywania wobec nich milczenia na własny temat, przemilczania tego, kim byli, a może po prostu zapominają. Niemal wszyscy wstydzą się swej młodości, to nie jest tak, że się za nią tęskni, jak się mawia, raczej się ją usuwa lub się od niej stroni i z łatwością lub z trudem, ale jednak zsyła się owe zaczątki w sferę koszmarów sennych lub powieści, lub w krąg tego, co nigdy nie istniało. Młodość się zataja, młodość jest niedostępnym sekretem dla tych, którzy nie znają już nas młodymi.

Ranz i moja matka nigdy nie zatajali małżeństwa Ranza z tą, która byłaby moją ciotką Teresą, gdyby żyła (albo nie byłaby nią), krótkotrwałego małżeństwa, o którego końcu wiedziałem tylko tyle, że nastąpiło w wyniku przedwczesnej śmierci, ale za to przez wiele lat nie wiedziałem (ale i nigdy o to nie pytałem), skąd ta nagła śmierć i przez wiele lat sądziłem, że wiem o niej tyle, ile wiedzieć trzeba, ale oszukiwano mnie, a kiedy wreszcie zapytałem, uzyskałem

kłamliwą odpowiedź, co jest kolejnym wybiegiem, do jakiego przyzwyczajają się rodzice, okłamywanie własnych dzieci co do swojej zapomnianej młodości. Powiedziano mi o chorobie, i to wszystko; mówiono mi o chorobie przez wiele lat, a trudno przecież podać w wątpliwość to, co wie się od dzieciństwa, trzeba czasu, żeby zacząć w to wątpić.

Wyobrażenie, jakie tym samym zawsze miałem o tym niedługim małżeństwie, było związane z myślą o błędzie, całkowicie zrozumiałą w oczach małego dziecka czy wyrostka, który woli myśleć o nieuchronności swych złączonych rodziców dla usprawiedliwienia swego własnego istnienia, a tym samym swojej własnej nieuchronności i swojego prawa (mam na myśli dzieci leniwe, normalne, takie, które nie chodzą do szkoły, gdy mają trochę gorączki i nie muszą trudnić się rozwożeniem rowerem pakunków od samego rana). Wyobrażenie było dość mgliste w każdym razie, a wytłumaczalny błąd tłumaczył się tym, iż Ranz mógł być przekonany, że kocha jedną z siostr, tę starszą, podczas gdy w rzeczywistości kochał tamtą, młodszą, ale może w chwili poznania ich obu na tyle młodszą, że mój ojciec nie mógł traktować jej poważnie. Być może tak mi to zostało opowiedziane, bardzo to prawdopodobne, przez matkę, choć raczej przez babkę, nie pamiętam, krótka odpowiedź, być może kłamliwa na dziecięce pytanie, na pewno Ranz nigdy mi o tych rzeczach nie mówił. Z łatwością również w wyobraźni dziecka mógł pojawić się zupełnie inny motyw, ten związany ze współczuciem: pocieszenie wdowca, zastąpienie siostry, ukojenie rozpaczony męża, zajęcie miejsca zmarłej. Moja matka mogła wyjść za mojego ojca trochę z litości, żeby nie został sam; albo i nie, mogła kochać go potajemnie od samego początku i pragnąć potajemnie, żeby przeszkoda, jej siostra Teresa, zniknęła. Albo, gdy już się stało, ucieszyć się przynajmniej z jednego powodu. Ranz nigdy niczego nie opowiedział. Ileś lat temu, gdy już byłem dorosły, spróbowałem go zapytać i potraktował mnie tak, jakbym jeszcze był dzieckiem. „A co cię to wszystko obchodzi?”, od-

powiedział i zmienił temat. Gdy spróbowałem raz jeszcze (byliśmy w La Dorada), wstał, by pójść do toalety, i uśmiechając się swym najlepszym uśmiechem, powiedział mi kpiarskim tonem: „Słuchaj, nie mam ochoty gadać o odległej przeszłości, to w złym guście i przypomina człowiekowi jego lata. Jeśli masz zamiar kontynuować, lepiej będzie, jeśli opuścisz to miejsce przed moim powrotem. Chcę zjeść spokojnie i to dzisiaj, a nie w jakimś tam dniu sprzed czterdziestu lat”. Jakbyśmy byli u siebie w domu, a ja byłbym małym dzieckiem, które można odesłać do pokoju, powiedział mi, żebym się wynosił, nawet na myśl mu nie przyszło, żeby się obrazić i wyjść z restauracji.

To prawda, że prawie nikt nigdy nie wspominał o Teresie Aguilera i to „prawie” też zaczęło zanikać od śmierci mojej kubańskiej babci, jedynej, która czasami wspominała o niej, jakby nie chciała albo nie mogła tego uniknąć, choć w jej domu Teresa była stale obecna i widoczna w postaci olejnego portretu pośmiertnego wykonanego na podstawie fotografii. I w moim domu, to znaczy, w domu mojego ojca, była i nadal jest fotografia czarno-biała, która posłużyła za model dla tego portretu i ku której Ranz i Juana posyłali z rzadka przelotne spojrzenia. Twarz Teresy na tej fotografii to twarz pełna ufności i powagi, to ładna kobieta z cienkimi, jakby pociągniętymi jedną kreską, brwiami i z niezbyt głębokim dołeczkiem na podbródku – wcięcie, cień – ciemne włosy zebrane nad karkiem, pośrodku przedziałek korzystnie podkreślający to, co nazywano wdowim czubkiem, długa szyja, duże, kobiece usta (ale zupełnie inne od moich czy mojego ojca), oczy, również ciemne, są szeroko otwarte i patrzą ufnie w obiektyw, w uszach dyskretne kolczyki, być może z masy perłowej, pomalowane usta mimo nader młodego wieku, ale zgodnie z zasadami dobrego wychowania, praktykowanymi w czasach, w których była młoda i jeszcze żyła. Cerę ma bardzo bladą, splecione dłonie, ramiona oparte o blat stołu lub biurka, raczej o blat stołu z pokoju jadalnego niż o blat biurka, chociaż trudno stwierdzić, bo niewiele można dostrzec,

a tło jest niewyraźne, może to zdjęcie zrobione w studiu fotograficznym. Ma na sobie bluzkę z krótkimi rękawami, być może była wiosna lub lato, może mieć dwadzieścia lat, może mniej, może jeszcze nie знаła Ranza albo właśnie go poznała. Była panną. Jest w niej coś, co teraz przypomina mi Luizę, mimo że widziałem to zdjęcie przez tyle lat, nim pojawiła się Luiza, przez wszystkie lata mojego życia, poza ostatnimi dwoma. Może wynika to z tego, że człowiek po trochu widzi wszędzie osobę, którą kocha i z którą współżyje. Ale obie mają na twarzach wyraz pełen ufności, Teresa na swoim portrecie, a Luiza we własnej osobie, nieustannie, jakby nie bały się niczego i nic im nigdy grozić nie mogło, Luizie przynajmniej wtedy, kiedy nie śpi, bo gdy śpi, jej twarz staje się bardziej podatna na lęki, a jej ciało jakby bardziej narażone na niebezpieczeństwa. Luiza jest tak ufna, że pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem, śniły jej się, powiedziała mi, złote uncje. Przebudziła się w środku nocy z powodu mojej obecności, popatrzyła na mnie nieco zdziwiona, pogłaskała mnie zewnętrzną stroną dłoni po policzku i powiedziała: „Śniły mi się złote uncje. Były jak paznokcie i bardzo się świeciły”; tylko ktoś bardzo niewinny czy naiwny może mieć takie sny i na dodatek jeszcze przyznawać się do nich. Teresie Aguilera mogłyby się przyśnić te złote, błyszczące uncje w noc poślubną, pomyślałem, spojrzawszy na jej portret w domu Ranza, kiedy poznałem Luizę i spędziłem z nią noc. Nie wiem, kiedy Teresie zrobiono tę fotografię i najpewniej nikt tak na pewno tego nigdy nie wiedział: jest niewielkich rozmiarów, oprawiona w drewnianą ramkę, stoi na półce i od śmierci Teresy jeśli już ktoś na nią patrzył, to z rzadka jedynie, tak jak się patrzy na dzbany czy inne ozdoby, nawet na obrazy wiszące w domach, przestaje się je oglądać z uwagą i z upodobaniem, gdy stają się trwałym elementem powszedniego pejzażu. Kiedy zmarła moja matka, również jej fotografia tam się pojawiła, w domu Ranza, większa; ponadto wisi tam również jej, niepośmiertny, portret namalowany przez Custardoya Starszego kiedy byłem dzieckiem. Moja matka, Juana, jest radośniejsza, choć obie siostry są do siebie podobne, szyje, rysy twarzy i podbródki są identyczne.

Moja matka uśmiecha się na swoim zdjęciu i uśmiecha się na obrazie, na jednym i drugim jest już starsza od swej starszej siostry na jej małej fotografii, rzeczywiście starsza, bo w wieku, którego Teresa nigdy nie dożyła, tym samym, z powodu śmierci, stając się bez wątpienia młodszą; nawet ja jestem starszy od niej, przedwczesne śmierci odmładzają. Moja matka uśmiecha się niemal tak, jak się śmiała: niewiele jej było trzeba do śmiechu, jak mojej babci; obie, już to mówiłem, zaśmiewały się niekiedy do rozpuku.

Ale ja jeszcze parę miesięcy temu nie wiedziałem, że moja niemożliwa ciotka Teresa zabiła się po powrocie ze swej podróży poślubnej z moim własnym ojcem, a powiedział mi o tym Custardoy Młodszy. Jest trzy lata starszy ode mnie i znam go od dzieciństwa, kiedy trzy lata to bardzo dużo, choć wówczas unikałem go, jak mogłem, a zaledwie zacząłem tolerować, gdy dorosłem. Przyjaźń czy wspólne interesy naszych ojców czasem prowadziły do tego, że i my mieliśmy ze sobą styczność, chociaż on zawsze trzymał się bliżej dorosłych, bardziej zainteresowany był ich światem, jakby już chciał doń przynależeć i poczynać sobie z pełną swobodą; ja go pamiętam jako podstarzałego chłopca albo nieudany okaz człowieka dorosłego, jako mężczyznę skazanego na przebywanie przez zbyt wiele czasu w niestosownym ciele dziecka i zmuszonego do niepotrzebnego zupełnie czekania, które wytrącało go z równowagi. Nie żeby od razu brał udział w rozmowach dorosłych, bo obca mu była przemądrzała elokwencja – słuchał tylko – raczej było to ponure i zupełnie nieodpowiednie dla małego chłopca, ale silniejsze od niego napięcie, które nakazywało mu zawsze zachowywać czujność i patrzeć przez okno, jak ktoś, kto patrzy na świat, który szybko ucieka przed jego oczyma i do którego jeszcze nie wolno mu wsiąść, jak więzień, który wie, że nikt na niego nie czeka i niczego się dlań nie wyrzeka tylko dlatego, że akurat on jest nieobecny i że z uciekającym światem odchodzi również jego czas; o tym wiedzą również ci, którzy umierają. Zawsze sprawiał wrażenie, że coś mu umyka i że boleśnie jest tego świadom; jeden z tych osobników, co to chcieliby żyć

dwoma, trzema, wieloma zyciami naraz, pomnażać się a nie ograniczać tylko i wyłącznie do siebie samych: do tych, których przeraża jednostkowość. Kiedy przychodził do nas do domu i musiał czekać, aż wizyta jego ojca u mojego ojca dobiegnie końca, podchodził do balkonu, odwracał się ode mnie plecami i tak stał przez piętnaście, dwadzieścia minut, pół godziny, nie zwracając najmniejszej uwagi na proponowane mu naiwnie przeze mnie gry i zabawy. Ale mimo zastygnięcia w bezruchu nie było spokoju ani zadumy w jego sztywno wyprostowanej postaci, ani w jego kościstych dłoniach, które odsłoniwszy zasłony czepiały się ich niczym palce więźnia, który raz i drugi przymierza się do krat, nie dowierzając ciągle ich istnieniu. Bawiłem się za jego plecami, starając się nie zwracać zanadto jego uwagi, we własnym pokoju sterroryzowany, unikając, jak się da, spoglądania na jego wygolony kark, a tym bardziej patrzenia w te jego męskie oczy łaknące wszystkiego co na zewnątrz i pragnące widzieć i poczynić sobie z pełną swobodą. Coś niecoś, jeśli chodzi o to ostatnie, Custardoy uzyskiwał, w tym stopniu przynajmniej, w jakim jego ojciec wtajemniczał go od wczesnych lat w arkana fachu kopisty, a może i fałszerza obrazów, płacąc nawet za zlecane mu w swym atelier prace. Dlatego Custardoy Młodszy dysponował większymi pieniędzmi od swych rówieśników, mógł korzystać z rzadko spotykanej samodzielności, stopniowo zaczął na siebie zarabiać; pociągała go ulica, a nie szkoła, mając trzynaście lat już chodził na dziwki, a ja zawsze się go trochę bałem, z powodu dzielących nas trzech lat, co dawało mu wystarczającą przewagę, żeby zawsze być nade mną górą w zdarzających się co jakiś czas bójkach, podczas których jego zaciętość osiągała już taki stopień ponuractwa, że po prostu wybuchał, jak i ze względu na jego charakter, obleśny i gburowaty, ale zimny nawet w chłopięcych bójkach. Kiedy bił się ze mną, bez względu na stawiany przeze mnie, choć zawsze skazany na porażkę, opór, czułem, że nie ma w nim ani zapalczywości, ani wściekłości, a jedynie wyrachowana gwałtowność i chęć podporządkowania za wszelką cenę. Choć parę razy odwiedziłem go w atelier, należącym

teraz do niego, przedtem zaś do jego ojca, nigdy nie widziałem go malującego, ani własnych obrazów, które nie cieszą się uznaniem, ani swych doskonałych kopii, dzięki którym zarabia pieniądze, wraz z portretami na zamówienie, charakteryzującymi się wspaniałą techniką, ale zanadto konwencjonalnymi: tyle godzin w spokoju, w zamknięciu, z pędzlami w ręku, wtłoczenie w drobiazgową precyzję, skupienie na płótnie, może tłumaczyć jego nieustanne napięcie i jego pasję do rozdwarzania się. Od lat chłopięcych nie czuł najmniejszych oporów przed rozprowadaniem przygód, jakich doświadczał, przede wszystkim seksualnych (od niego nauczyłem się niemal wszystkiego w okresie dorastania, a nawet wcześniej), i czasami zastanawiam się, czy sympatia, jaką zapalał doń mój ojciec w ostatnich latach, po śmierci Custardoya Starszego, nie ma aby jakiegoś związku z tymi opowieściami. Im starsi są mężczyźni obdarzeni niespokojnym duchem, tym bardziej chcą jeszcze żyć, a jeśli obecne ich możliwości do pewnego stopnia im to ograniczają, wówczas szukają towarzystwa osób zdolnych opowiadać im o życiu, które jest już poza ich zasięgiem, i tym przedłużać im życie zastępcze. Mój ojciec będzie chciał go słuchać. Wiem o dwu prostytutkach, które uciekły w popłochu po spędzeniu nocy z Custardoyem synem i nie chciały nawet słówkiem pisać, co tam się stało, i bez znaczenia było, że jeśli wziął obie razem do łóżka, to przecież mogły dodawać sobie nawzajem sił i otuchy, bo już odczuwane przez Custardoya, od dziecka niemal, pragnienie bycia wielokrotnym prowadziło do tego, że nie wystarczała mu już jedna osoba, a jedną z jego szczególnych i od dawna istniejących predylekcji była parzystość. Z latami Custardoy stał się bardziej dyskretny i o ile wiem, nawet on nie opowiada, dlaczego wywołuje takie przerażenie, choć mojemu ojcu, który jest kimś w rodzaju ojca chrzestnego może i opowiada. Mój ojciec będzie chciał go słuchać. Faktem jest, że już od lat często się widują, raz w tygodniu Custardoy odwiedza Ranza albo idą razem na kolację, może później do jakiegoś staromodnego lokalu, albo towarzyszą sobie przy załatwianiu różnych spraw, razem odwiedzają osoby trzecie, mnie na

przykład albo nawet Luizę pod moją nieobecność, nową synową, czasami. Custardoy pewnie bawi mojego ojca. Obecnie, blisko już czterdziestki, nosi się z opadającą na podgoloną specjalnie potylicę króciutką kitą ni to piracką, ni to toreadorską, baczki zaś ma zdecydowanie za długie jak na dzisiejsze trendy, ale niewątpliwie zwracają uwagę, bo są kręcone i o wiele ciemniejsze od jego gładkich jasnawych włosów, może nosi i kitkę, i baczki po to, by zanadto nie wyróżniać się w swym środowisku archaicznej cyganerii, choć jednocześnie ubiera się klasycznie i nazbyt konwencjonalnie – zawsze krawat, koniecznie – stara się ubierać nader wytwornie. Przez parę miesięcy nosi wąsy, następnie zaś goli je na jakiś czas, wyraz wątpliwości nie do rozstrzygnięcia lub też swoisty sposób, by wyglądać na kogoś istniejącego co najmniej w dwoistej postaci. Z wiekiem jego twarz całkowicie nabrała wyrazu, który już w dzieciństwie zaczynał się rysować i nabierał wyrazistości w latach jego młodości: jego twarz, tak jak i jego charakter, jest obleśna, gburowata i zimna, o szerokim czole, widocznych zakolach i nosie nieco haczykowatym, i długich zębach, rozjaśniających twarz, kiedy uśmiecha się uprzejmie, ale bez serdeczności, o bardzo ciemnych i ogromnych, zbyt szeroko rozstawionych oczach, niemal pozbawionych rzęs, i niedostatek ten i owo rozstawienie czynią nieznośnym jego obleśne spojrzenie, jakim obrzuca zdobywane lub kupowane przezeń kobiety czy mężczyzn, z którymi rywalizuje lub wreszcie świat przemijający, ale już z nim całkowicie przyłączonym, z nim, stanowiącym część jego najbystrzejszego nurtu.

To on właśnie parę miesięcy temu, albo niespełna rok temu, tuż po moim powrocie z Hawany i z Meksyku, z Nowego Orleanu i Miami, z podróży poślubnej, opowiedział mi, co się naprawdę przydarzyło mojej ciotce Teresie niemal czterdzieści lat temu. Szedłem właśnie do ojca, do jego domu, by przywitać się po powrocie i opowiedzieć o swojej podróży, kiedy w bramie natknąłem się na Custardoya Młodsze, na jego chudą, stojącą w zmięczeniu postać.

– Nie ma go – powiedział – musiał wyjść. – I żeby podkreślić, że chodzi o Ranza, uniósł oczy. – Poprosił mnie, żebym poczekał trochę na ciebie i powiedział ci o tym. Jakiś Amerykanin do niego zadzwonił, po czym Ranz wyskoczył jak z procy; ktoś, nie wiem kto, z jakiegoś muzeum, zadzwoni do ciebie późnym wieczorem albo jutro. Chodź, idziemy się czegoś napić.

Custardoy Młodszy wziął mnie pod ramię i ruszyliśmy. Poczułem jego zimną, żelazną rękę, której ucapienie aż za dobrze znałem od dziecka, był chłopakiem, a teraz jest mężczyzną o niebywalej sile, sile charakteru i skupienia. Ostatni raz widziałem go parę tygodni wcześniej, w tak już odległym dniu mojego ślubu, na który zaproszony został nie przeze mnie, ale przez Ranza, który wiele osób tak zaprosił; nie widziałem powodu, żeby oponować tak przeciw nim, jak i przeciw Custardoyowi. Wtedy nie było czasu, by z nim porozmawiać, ograniczył się, z chwilą dotarcia do Kasyna, jedynie do złożenia mi życzeń ze swym miłym i lekko złośliwym uśmiechem, widziałem go później z daleka już w trakcie przyjęcia, jak rozglądał się wokół łapczywie, no cóż, bardzo mi znajome zachowanie. Zawsze patrzył łapczywie na kobiety i na niektórych mężczyzn – na wstydliwych mężczyzn – gdziekolwiek by nie był, jego oczy ucapiały jak jego dłonie. W tym dniu nie miał wąsów, teraz zaś, parę tygodni później, już mu odrastały, zapuścił je podczas mojej podróży z Luizją. W Balmoral zamówił piwo, nic innego nie pił, zdradzał to już, burzący jego dotychczas szczupłą sylwetkę, zaokrąglający się brzuszek (ale zawsze przykrywał go krawatem). Przez jakiś czas mówił mi o pieniądzech, później o moim ojcu, który jego zdaniem był w dobrej formie, później znowu o pieniądzech, jakie zarabiał, jakby ostatnią interesującą go rzeczą był mój nowy stan cywilny, o to nie pytał mnie, o podróż też nie pytał, ani o pracę czy też moje przyszłe wyjazdy do Genewy, Londynu czy nawet Brukseli, nie mógł o nich wiedzieć, musiałby zapytać, nie pytał. Mój ojciec wyszedł, więc chciałem wrócić do domu, do Luizy, może pójść z nią do kina, nigdy nie miałem o czym gadać z Custardoyem. Mój ojciec wyszedł, bo

pewnie zadzwonił do niego ktoś z Malibu, albo z Bostonu czy z Baltimore, prawie już do niego nie dzwonią, choć wciąż dysponuje tym samym okiem i tą samą wiedzą, a może nawet lepszym okiem i większą wiedzą, rzadko kiedy radzi się starszych ludzi, może tylko w bardzo ważnych sprawach, pewnie ktoś jest przejazdem w Madrycie i nie miał z kim zjeść kolacji, on zaś pewnie pomyślał, że jest im potrzebny do opracowania jakiejś ekspertyzy, jakiś odnaleziony obraz, jakiś interes w Madrycie. Dałem do zrozumienia, że muszę już iść, ale wówczas Custardoy ponownie położył mi rękę na ramieniu – ciężką miał rękę – i w ten sposób mnie zatrzymał.

– Zostań jeszcze trochę – powiedział. – Jeszcze mi nic nie powiedziałaś o swej ślicznej żonie.

– Dla ciebie wszystkie są śliczne. Niewiele mam do powiedzenia.

Custardoy zapalał i gasił zapalniczkę. Uśmiechał się swoim długim uzębieniem i przyglądał się, jak płomień wyskakuje i znika. Na razie nie patrzył na mnie albo jedynie kątem jednego ze swych zbyt szeroko rozstawionych oczu, teraz rozjeżdżających się kontrolnie po całym lokalu.

– Coś w niej musi być, tak sobie myślę, jeśli postanowiłeś się ożenić po tylu latach, nie jesteś dzieckiem. Musisz mieć bzika na jej punkcie. Ludzie się pobierają, kiedy już nie mają innego wyjścia i wpadają w panikę, albo są już zrozpaczeni, albo dlatego, że nie chcą stracić osoby, której utraty nie są w stanie ścierpieć. Zawsze jest sporo obłędu w tym, co wydaje się najbardziej konwencjonalne. No dobra, gadaj, jaka jest ta twoja. Gadaj, jak ci ta twoja dziewczynka majstruje.

Custardoy był ordynarny i trochę dziecinny, jakby jego ustawiczne czekanie na wiek męski przez całe dzieciństwo coś z tego dzieciństwa przeszczepiło na jego wiek męski. Wysławiał się dość bezceremonialnie, choć przy mnie jednak trochę się hamował, chcę powiedzieć, że ograniczał częstotliwość i łagodził ton swych

impertynencji czy ordynarne słownictwo, ale tylko przy mnie, to znaczy, gdy byliśmy sami. Kogo innego poprosiłby bez większych ceregieli, by opisał mu brochę żony, może nawet sznyte, i opowiedział, jak się bzyka, słowa trudne do przetłumaczenia, które na szczęście nigdy nie padają na międzynarodowych forach; ja widocznie zasługiwałem na eufemizmy.

– Musiałbyś mi nieźle zapłacić – powiedziałem mu, by obrócić jego słowa w żart.

– Proszę bardzo, wchodzę. Ile? A na początek jeszcze whiskacza na drugą nóżkę.

– Żadnego whiskacza na żadną nóżkę, na pierwszą też nie mam ochoty. Daj mi spokój.

Custardoy sięgnął ręką do kieszeni, to jeden z tych mężczyzn, którzy trzymają banknoty luzem w kieszeniach spodni, sam do nich należę, prawdę mówiąc.

– Nie chcesz o tym mówić? Godne szacunku, nie chcesz o tym mówić. Twoje zdrowie i zdrowie twojej dziewczynki. – I łyknął nieco piwa. Rozejrzał się wokół wargami oblizując ślady po pianie, przy barze rozmawiały dwie trzydziestoletnie, mniej więcej, kobiety, jedna z nich, siedząca przodem (ale może i obydwie) miała odsłonięte udo, umyślnie albo nieumyślnie. Uda były zbyt opalone jak na wiosnę, uda niby-Mulatki, opalenizna basenowa i z tubki, w najlepszym wypadku. Teraz Custardoy skierował na mnie swoje oczy pozbacone okrasz lub ochrony. I dodał. – W każdym razie mam nadzieję, że będziesz miał więcej szczęścia niż twój ojciec, nie chcę krakać, odpukać w niemalowane. Temu się przytrafiło, Sinobrody odpada, całe szczęście, że się uspokoił, facet już ma swoje lata.

– Bez przesady – powiedziałem. Natychmiast pomyślałem o mojej zmarłej ciotce Teresie i mojej zmarłej matce Juanie, o nich myślał Custardoy łącząc śmierć jednej ze śmiercią drugiej, mocno przesadzając albo w zły wierze. „Sinobrody odpada”, powiedział.

„Krakać”, powiedział. Sinobrody odpada. Nikt nie kojarzy Sinobrodego.

– Tak uważasz? – powiedział. – No może, bo to jakby na twojej matce się zatrzymało, chwila nieuwagi i ciebie nie byłoby na świecie. Ale zobacz sam, ją też przeżył, na niego nie ma mocnych. Niech spoczywa w pokoju, nie? – dodał z prześmiewczą atencją. Mówił o Ranzie z szacunkiem, może nawet z podziwem.

Spojrzałem w stronę kobiet, które w ogóle nie zwracały na nas uwagi, pogrążone w rozmowie (zwierzenia z przeżyć, bez wątpienia), z której co jakiś czas docierało jakieś wyrwane zdanie wypowiedziane nieco głośniej („No nie, to supermocne”, usłyszałem, jak ze szczerym zdziwieniem mówiła ta odwrócona do nas plecami, ta druga pokazywała swe uda bez żadnego skrępowania, gdyby spojrzeć z innego kąta, to pewnie dałoby się zobaczyć skrawek majtek, domniemywałem, a jej supermocne, ciemne uda przywiodły mi na myśl Miriam z Hawany, kobietę, którą widziałem parę dni temu. To znaczy, przypomniały mi jej postać i nasunęły myśl, że pomyśleć o niej powinienem w innym momencie. Parę dni temu zaledwie, również Guillermo mógł, tak jak i my, wrócić.

– To sprawa przypadku, nikt nie zna dnia i godziny, równie dobrze mogło trafić na niego, a równie dobrze jeszcze zdaży nas obu pogrzebać. Moja matka żyła sporo lat.

Custardoy syn w końcu zapalił papierosa i odłożył zapalniczkę na stół, zrezygnował z płomienia, by zaciągając się podtrzymywać żar. Co jakiś czas odwracał się nieco, by przyjrzeć się trzydziestolatkom siedzącym przy barze i puszczał dym w ich stronę, miałem nadzieję, iż nie strzeli mu do głowy, żeby wstać i zagadać do nich; coś, co robił bardzo często i na całkowitym luzie, w sytuacjach, których nie poprzedzało żadne wcześniejsze spojrzenie, ani odwzajemnione, ani choćby zamienione z kobietą, do której niespodziewanie się odzywał. Tak jakby wiedział od pierwszej chwili, kto chce zostać zaatakowany i w jakich zamiarach, i nieważne gdzie,

w lokalu czy na przyjęciu, czy nawet na ulicy, a może to on wywołuje gotowość i zamiar. Zacząłem zastanawiać się, kogóż to zaatakował podczas mojego przyjęcia w Kasynie, widziałem go tam tyle co nic. Ponownie spojrział mi prosto w twarz swymi nieprzyjemnymi oczami, do których, mimo wszystko, byłem jednak bardzo przyzwyczajony.

– Proszę bardzo, może i przypadek. Ale trzy przypadki to trochę za dużo przypadku.

– Trzy przypadki?

W ten sposób po raz pierwszy w życiu usłyszałem, jak napomknięto mi o cudzoziemce, z którą nie łączy mnie żadne pokrewieństwo i o której teraz cośkolwiek wiem, ale dość mało, nigdy nie będę wiedział za dużo, są ludzie, którzy byli na świecie przez wiele lat i o których nikt niczego nie pamięta, jakby ich w rezultacie nigdy nie było, zresztą za tym pierwszym razem nawet nie wiedziałem, że napomyka się o niej właśnie ani o kim właściwie się napomyka, jeszcze nie wiedziałem o jej istnieniu („trzy przypadki to za dużo przypadku”). Z początku chciałem wierzyć, że to jakaś pomyłka albo przejęzyczenie, Custardoy zaś, z początku, też uznał to za przejęzyczenie, może zakładał, że powie mi jedynie o mojej ciotce Teresie, a może wcale nie zakładał, że opowie mi coś, o czym w owych dniach katastroficznych przeczuć i pierwszych małżeńskich kroków wolałbym nadal nic nie wiedzieć, choć trudno jest wiedzieć, czy chciało się wiedzieć, czy nadal nie wiedzieć o czymś, co już się wie.

– To znaczy, chcę powiedzieć dwa – pospieszył ze sprostowaniem Custardoy, może nie było w tym wszystkim jakiegokolwiek premedytacji ani żadnych złych zamysłów, aczkolwiek trudno byłoby dowieść istnienia w ogóle jakiegokolwiek zamysłu, zwykłego czy dobrego, Custardoy nie jest człowiekiem zanadto rozmyślającym, ale na pewno jest człowiekiem przemyślnym. Pospieszył również z uśmiechem (długie zęby przydawały jego ostrej twarzy serdeczności lub prawie serdeczności), wypuszczając zarazem kolejny kłęb dymu

w stronę obu kobiet: ta siedząca plecami, nie bardzo wiedząc, skąd ten dym, opędziła się zirytowaną ręką jak od komara. Custardoy z miejsca dodał: – Słuchaj i żeby nie było żadnych podejrzeń, że mam coś przeciwko twojemu ojcu, wprost przeciwnie, dobrze o tym wiesz. Ale żeby jedna z nich zabiła ci się tuż po ślubie, to nie wygląda na sprawę przypadku. To akurat nijak się ma do dnia i godziny śmierci, jak ty to mówisz.

– Zabiła ci się?

Custardoy przygryzł wargi zbyt wyraziście jak na spontaniczny odruch. A następnie przywołał kelnera, kiwając nań dwoma palcami, jednocześnie korzystając ze sposobności, by lubieżnym spojrzeniem obrzucić kobiety, które konsekwentnie nie zwracały na nas najmniejszej uwagi (choć jedna z nich już zwróciła uwagę na nasz dym, tak jak się zwraca uwagę na komara. Ta, która siedziała przodem, powiedziała głośno i radośnie: „No coś takiego coś takiego coś takiego, rzygać mi się chce”. Powiedziała to z zadowoleniem, już-już, a zaczęłyby się trząskać po swych strzaskanych udach). Custardoy za to równie uważnie zajęty był nimi, jak i rozmową ze mną, zawsze rozdwojony, zawsze marząc o tym, żeby być więcej niż jednym i znajdować się tam, gdzie właśnie go nie ma. Myślałem, że wstanie, więc twardo powtórzyłem, by mu w tym przeszkodzić: „Co to znaczy, żeby ci się zabiła?”. Ale ograniczył się do zamówienia jeszcze jednego piwa u kelnera.

– Jeszcze jedno piwo. Nie mów mi, że nic nie wiesz.

– O czym ty mówisz?

Custardoy przygładził swe odrastające wąsy i poprawił kitkę gestem, siłą rzeczy, kobiecym. Nie wiem, po co nosił tę pajacowatą i niedomytą kitkę, wyglądał jak wiejski rękodzielnik albo osiemnastowieczny kmiot. Zdmuchnął pianę. Jak na niemal czterdziestkę na karku potrafił dostosować się do mody, miał parę. A może w jego przypadku to wpływ malarstwa.

– Za dużo piany – powiedział. – No nie, to do chuja pana niepodobne – dodał – żebyś ty nic nie wiedział, no nie, niepodobne jak kochane rodziniki potrafią przed własnymi dziećmi coś ukrywać, kto wie, co ty wiesz o mojej, o czym ja, kurwa, nie mam zielonego pojęcia?

– Nie wiem – odpowiedziałem czym prędzej.

Znów zaczął bawić się płomieniem, zgasił papierosa, ale nie do końca, śmierdziało.

– Zdaje się, że narobiłem smrodu. Ranz się wkurwi. Nie wiedziałem, że nie wiesz, jak zmarła siostra twojej matki.

– Chorowała, zawsze tak mi mówiono. Nigdy nie pytałem za wiele. No powiedz, co takiego wiesz?

– Może to nieprawda. Ojciec mi to opowiadał, ale to już ileś lat z okładem.

– Co ci opowiadał?

Custardoy pociągnął nosem raz i drugi. Ani razu nie poszedł jeszcze do łazienki, żeby wniuchać działkę, ale nosem pociągnął tak, jakby właśnie stamtąd wrócił. Zapalił płomień, zgasił płomień.

– Nie mów Ranzowi, że ci powiedziałem, dobra? Nie chciałbym, żeby mnie skreślił. Może źle zapamiętałem albo źle zrozumiałem.

Nie odpowiedziałem, wiedziałem, że mi opowie, nawet gdybym mu niczego nie przyrzekł.

– A co takiego pamiętasz? Co takiego zrozumiałeś?

Custardoy zapalił kolejnego papierosa. Jego krygowanie się było fałszywe: nie mógł sobie odmówić, żeby nie pociągnąć sobie raz za razem, dwa razy i nie wypuścić kłębow dymu bez zaciągania się w kierunku trzydziestolatek (kłęby znacznie gęstsze i wolniej sunące od dymu, którym się przedtem zaciągnął). Ta, która siedziała odwrócona do nas plecami, odwróciła się na chwilę, bardzo mecha-

nicznie i dmuchnęła kątem ust, by odpędzić dym. Ona również pokazywała uda, te nie były jeszcze na basenie. Jej oko zdążyło już spocząć na Custardoyu, choć na kilka sekund zaledwie, tyle, ile jej koleżance zajęło sformułowanie stanowczej i nacechowanej pogardą opinii wobec osoby, o której mówiła: „Mam go już na widelcu, ale nie podoba mi się jego twarz, a forsy ma jak lodu, co byś zrobiła?”.

– Że twoja ciotka strzeliła sobie w łeb tuż po powrocie z podróży poślubnej z Ranzem. Ale że wyszła za niego za męża, to chyba wiedziałaś?

– Tak, wiem.

– Weszła do łazienki, stanęła przed lustrem, rozpięła sobie bluzkę, zdjęła stanik, odszukała serce i przyłożyła do piersi lufę pistoletu należącego do jej ojca, który wraz z częścią rodziny i z gośćmi przebywał w pokoju stołowym. Tyle pamiętam z tego, co opowiadał mi mój ojciec.

– W domu moich dziadków?

– Tak zrozumiałem.

– Mój ojciec tam był?

– Nie w tym momencie, przyszedł trochę później, tak mi się wydaje.

– Dlaczego się zabiła?

Custardoy pociągnął nosem, może lekkie, wiosenne przeziębienie, moda modą, ale nie należał do osób, które cierpiałyby na katar sienny, to zbyt obciachowe. Pokręcił głową.

– Pojęcia nie mam, mój ojciec też nie wiedział, jak sędzę, albo mi nie powiedział. Jeśli ktoś to w ogóle wie, to tylko twój ojciec, chociaż niekoniecznie, no bo skąd można wiedzieć, dlaczego ludzie się zabijają, to nie takie proste, nawet ci najbliżsi, wszyscy są pokręceni, wszyscy dostają po dupie, czasami bez powodu, za to prawie zawsze w tajemnicy, człowiek odwraca się twarzą do

poduszki i byle przeczekać, byle do jutra. I nagle przestają czekać. Nigdy nie rozmawiałem o tym z Ranzem, no bo jak tu pytać przyjaciela o żonę, która strzeliła sobie w łeb po wyjściu za niego za mąż? Choćby to było wieki temu. Nie wiem, ciebie może mógłbym o to zapytać, gdyby przytrafiło ci się coś podobnego, nie chcę krakać, odpukać w niemalowane. Ale nie przyjaciela, który jest o ileś lat starszy i wobec którego, co jak co, ale czuję szacunek. A szacunek wyklucza pewne rozmowy, do których nigdy nie dochodzi.

– Tak, szacunek wyklucza.

Znowu powiedział „krakać”, automatycznie zacząłem myśleć o przetłumaczeniu tego na angielski, francuski albo włoski – moje języki; nie znałem tego określenia w żadnym z nich, „oczy uroczone” tak, „evil eye”, „jet-tatura”, ale to nie to samo. Za każdym razem, gdy zapowiadał, że odpukuje w niemalowane, pukał nie w drewno, tylko w szkło kufla. Ja za to pukałem w swoje krzesło.

– Przykro mi, myślałem, że wiesz.

– Dzieciakom przekazuje się lukrowane wersje tego, co się dzieje albo tego, co się stało i sędzę, że później trudno jest sprowadzać je na ziemię. Trudno znaleźć ów moment, kiedy ktoś przestaje być dzieckiem, trudno wytyczyć granicę, kiedy jest już na tyle późno, żeby można było przyznać się do jakiegoś dawnego kłamstwa albo odkryć zatajaną prawdę. Przystaje się na to, by czas sobie płynął, jak sędzę, a kto kłamstwo powiedział, sam zaczyna w nie wierzyć, albo o nim zapomina, dopóki ktoś taki jak ty nie zrobi smrodu i nie rozwali tak usilnie i przez całe życie zachowywanego milczenia.

Jak po francusku „oczy uroczone” też nie wiedziałem. Wiedziałem, ale zapomniałem, „guignon” – nagle sobie przypomniałem. „Żebyś mi tylko pecha nie przyniosła takim gadaniem”, usłyszałem, jak mówiła strzaskana blondynka, ekspresywna kobieta, głos miała zachrypnięty, jedna z tych Hiszpanek, które nie kontrolują tonu swego głosu ani skutków swych słów, ani

gburowatości swoich gestów, ani długości swych spódnic, zbyt często Hiszpanki okazują wzgardę ustami i spojrzeniem, i despotycznymi gestami, i skrzyżowanymi udami, wyciągnięta ręka Miriam to hiszpańskie dziedzictwo na Kubie, ale i jej krzyki, i jej wysokie obcasy, i nogi jak noże sprężynowe („Mam cię”, „Na śmierć zatłukę”). Luiza taka nie jest, nowe pokolenia też pogardzają, ale z umiarkowaniem, Luiza jest delikatniejsza, choć obdarzona takim poczuciem prawości, które nakazuje jej niekiedy przyjęcie postawy pełnej powagi, niekiedy wiadomo, że nie ma z nią żartów; ona myśli, że teraz jestem z ojcem, ale mój ojciec nieoczekiwanie wyszedł i dlatego słucham rewelacji Custardoya, o ile są prawdziwe, ale raczej są, bo talentu do inwencji zawsze mu brakowało, w swych opowieściach zawsze ograniczał się do tego, co się zdarzyło lub jemu się przydarzyło, może dlatego musi sam przeżyć wszystko i sam doświadczać swoich rozdwojeń, bo tylko wtedy może je opowiedzieć, jedynie w ten sposób pojmuje niepojęte; są tacy, którzy znają wyłącznie spełnione fantazje, którzy niczego nie są w stanie sobie wyobrazić, a tym samym są mało przewidujący; umiejętność wyobrażania pozwala uniknąć wielu nieszczęść, kto antycypuje własną śmierć, rzadko kiedy się zabija, kto antycypuje śmierć innych, rzadko kiedy morduje, lepiej mordować i zabijać się w myślach, nie powoduje to żadnych skutków i nie zostawia śladów, nawet dalekim gestem ramienia, które chwyta, wszystko jest kwestią dystansu i czasu, jeśli jest się nieco dalej, nóż trafia w powietrze zamiast w pierś, miast zanurzać się w ciemne lub białe ciało jedynie przeszywa przestrzeń i nic się nie dzieje, jego trajektorii nie oblicza się i nie rejestruje, nie ma jej, nie karze się intencji, tylokrotnie nieudane próby są przemilczane i negowane nawet przez tych, którzy są ich celem, bo po tych próbach nic nie ulega zmianie, powietrze jest takie samo i skóra pozostaje nieotwarta i żywe mięso ciała nietknięte i nic się nie rozrywa, niczym nie grozi skotłowana poduszka, pod którą nie ma żadnej twarzy, a później wszystko jest takie jak przedtem, bo wzbieranie i uderzenie bez adresata, i duszenie bez ust to za mało, by zmienić stan rzeczy i związków, i nie

wystarczy powtórzenie ani upór, ani egzekucja nieudana, ani groźba, to zaostrza, ale nic nie zmienia, rzeczywistości się nie dodaje, to wszystko jest wyłącznie jak gest ucapiania Miriam i jej słowa („Mam cię”, „Jesteś mi to winien”, „Czekaj no”, „Ze mną do piekła”), które nie udaremniły późniejszych pocałunków i podśpiewywania w pokoju obok, przy boku leworęcznego mężczyzny, Guillermo mu było, któremu powiedziała: „Tak czy siak będziesz miał trupa – albo mnie, albo ja”. – Nie ma co gadać, smrodu narobiłem i tyle – powiedział Custardoy syn – ale myślę sobie, że jednak lepiej jest o wszystkim wiedzieć i lepiej później jest dowiedzieć się o wszystkim niż wcale. To zdarzyło się dawno temu, prawdę mówiąc co za różnica, jak twoja ciotka odwaliła kite.

Mój ojciec miał trupa, prawdziwą zmarłą, z tych, które nie mieszczą się w tym, że ani dnia, ani godziny, jak zauważył wcześniej Custardoy. Umiera bardziej ten, kto umiera z własnej ręki, może nawet jeszcze bardziej niż ten, kto umiera na moich rękach. Powiedział też: „Trzy przypadki to za dużo przypadku”, później się poprawił. Wahalem się, czy do tego wrócić, gdybym wrócił, gotów byłby opowiedzieć mi wszystko, co się rzeczywiście stało lub to, co rzeczywiście wiedział, byłem pewien, jakieś strzępy, albo coś nie do końca prawdziwego, cośkolwiek, ale tak, na pewno jest możliwe, że nie chce się nic wiedzieć, kiedy się jeszcze nie wie, później już nie, miał rację, lepiej o wszystkim wiedzieć, ale tylko wtedy, kiedy już się o tym wie (ja jeszcze nie wiedziałem). I wtedy, właśnie wtedy odżyło we mnie zagubione od dzieciństwa wspomnienie, od tamtego czasu – dzieciństwo – drobiazg, błahostka, rzecz na tyle nieistotna, że właśnie ona pierwsza powinna pójść w zapomnienie, owe mało ważne sceny, które wracają przelotnie, jakby były podśpiewywaniem albo przywidzeniem, albo raptownym spostrzeżeniem teraz tego, co już minione, samo wspomnienie już w trakcie wspominania podawane jest w wątpliwość. Bawiłem się sam moimi żołnierzkami w domu mojej hawańskiej babci, a ona wachlowała się, jak zwykle w te wszystkie sobotnie popołudnia, kiedy matka mnie z nią

zostawiała. Ale wtedy akurat moja matka była chora, więc to nie ona, ale Ranz przyszedł po mnie tuż przed kolacją. Rzadko widywałem ich razem, sam na sam, mojego ojca i moją babcie, zawsze moja matka pośredniczyła między nimi lub przynajmniej była między nimi obecna, ale nie wtedy akurat. Wieczorem rozległ się dzwonek i usłyszałem kroki Ranza przemierzające niekończący się korytarz krok w krok za służącą i zbliżające się do pokoju, w którym przebywałem razem z babcią, jak najspieszniej kończąc ostatnią na dziś zabawę, babcia zaś coś mruzczała, coś podśpiewywała, śmiała się kiedy-niekiedy z byle mojej odżywki, tak jak śmieją się z byle czego babcie zajmujące się swymi wnukami. Ranz był wtedy jeszcze młody, chociaż mnie mogło wydawać się inaczej, był ojcem. Wszedł do pokoju z płaszczem narzuconym na ramiona, w dłoni zdjęte przed chwilą rękawiczki, było chłodno, wiosna, moja babcia zaczynała wachlować się zawsze przed czasem, może taki miała sposób na przynaglenie lata, a może wachlowała się o każdej porze roku. Zanim Ranz zdążył cokolwiek powiedzieć, babcia natychmiast go zapytała: „Jak się czuje Juana?”. „Lepiej, chyba”, powiedział mój ojciec, „ale nie idę prosto z domu”. „Był już lekarz?” „Jak wychodziłem, jeszcze nie zajrzał, uprzedzał, że będzie mógł przyjść pod koniec dnia, może już tam jest. Możemy zadzwonić, jeśli chcesz”. Pewnie mówili coś więcej, może zadzwonili, ale moje wspomnienie (przy stoliku z Custardoyem) uczepiło się tego, co babcia powiedziała mojemu ojcu nieco później: „Pojąć nie mogę, że ty możesz w ogóle wychodzić gdzieś w jakichś tam swoich sprawach, mając w domu chorą Juanę. Pojąć nie mogę, że ty w ogóle nie zaczynasz natychmiast się modlić, słuwać przez ramię za każdym razem, gdy twoja żona się przeziębą. Dwie żeś już pochował, synu”. Przypomniałem sobie, a może zawsze pamiętałem, że moja babcia czym prędzej uniosła i przytknęła dłoń do ust, moja babcia zakryła sobie usta dłonią, na chwilę, jakby chcąc, by uwięzły tam słowa, które już z nich uleciały, a ja je usłyszałem, i nie zwróciłem na nie najmniejszej uwagi, a może i zwróciłem, ale tylko dlatego – jak teraz się okazuje – że zakryła sobie usta, by słowa te

zdusić. Mój ojciec nie odpowiedział, i ów brak odpowiedzi sprzed dwudziestu pięciu lat teraz nabiera znaczenia, lub dokładniej rzecz ujmując, nabrał niespełna rok temu, kiedy siedziałem naprzeciwko Custardoya i myślałem o tym, co powiedział: „Trzy przypadki to za dużo przypadku” i poprawił się, a później przypomniałem sobie, że babcia z kolei powiedziała, „Dwie żeś już pochował, synu” i natychmiast pożałowała tych słów. Powiedziała „synu” do Ranza, dwukrotnego zięcia albo zięcia podwójnego.

Nie wróciłem do tematu, w owej chwili nie chciałem nic więcej wiedzieć, zresztą Custardoy zбочzył w inne rejony.

– Masz ochotę na te dwie? – zapytał nagle. Odwrócił się niemal całkowicie i patrzył ostentacyjnie i bezceremonialnie na trzydziestolatki, które z kolei dostrzegały owo spojrzenie bezpośrednie, bez rżęs i szeroko rozstawione i nagle zniżały głos albo milkły raptownie, poczuwszy, że są obserwowane i taksowane, a może seksualnie podziwiane. Ich ostatnie zdanie przed przerwaniem rozmowy czy też jej ściszeniem, wygłoszone przez tę, która była odwrócona plecami, dotarło niemal w tej samej chwili co pytanie Custardoya, może słyszały je pomimo jednoczesności niemal obu wypowiedzi, Custardoy zadał mi pytanie pewnie po to, żeby i one je usłyszały, żeby wiedziały, żeby przygotowane były na to, że zaraz padnie. „Mam już dość facetów, nudzą mnie”, powiedziała ta o białych udach. „Masz ochotę na te dwie?”, powiedział Custardoy (to łatwe zwrócić na siebie uwagę, wystarczy podnieść głos). Wówczas wstrzymały oddech i spojrzały na nas, przerwa niezbędna, by sprawdzić, kto zacz nas pożąda.

– Pamiętaj, że się ożeniłem. Obie są twoje.

Custardoy wypił kolejny łyk piwa (ani śladu piany) i wstał z papierosami, i z zapalniczką w ręku. Jego kilka zaledwie kroków dzielących go od baru zabrzmiało niczym metaliczne wystrzały, jakby miał blaszki przybite do butów albo buty do stepowania, a

może podwyższone obcasy, bo nagle wydał mi się wyższy, gdy odchodził.

Śmieli się już w trójkę, kiedy wyjmowałem pieniądze z kieszeni spodni, kładłem je na stoliku i wychodziłem, by wrócić do domu, do Luizy. Wyszedłem, nie pożegnawszy się z Custardoyem (albo uczyniwszy to z daleka, ruchem ręki), ani z trzydziestolatkami, które pewnie przedzierzgną się w jego najserdeczniejsze i przerażone nieznajome po kwadransach piwa i gum do żucia, i dżinach, i tonikach, i kostkach lodu, i dymu z papierosów, i orzeszków, i śmiechów, i prochów, i języka tuż przy uchu, i słów również, których nie będę mógł usłyszeć, niezrozumiałego szeptu, który nas nakłania. Usta są zawsze pełne i jest to dostatek i obfitość.

Tej nocy, patrząc na świat ze swej poduszki, z Luizą u boku, jak to jest w zwyczaju u nowożeńców, z telewizorem przed nosem i z trzymaną w dłoniach książką, której nie czytałem, opowiedziałem Luizie to, co Custardoy Młodszy opowiedział mi, a czego ja nie chciałem, by mi opowiedział. Rzeczywistą więź w małżeństwach, a nawet i w parach tworzą słowa, a jeszcze bardziej od słów wypowiedzianych – wypowiedzianych z własnej woli – jeszcze bardziej słowa, których się nie przemilcza – których się nie przemilcza bez udziału naszej woli. Nie tylko w tym rzecz, że między dwojgiem ludzi dzielących poduszkę nie ma tajemnic, bo tak oboje postanowili – ale co jest na tyle groźne czy poważne, by zaczęło być tajemnicą, a co nie, jeśli z kolei jedynie się to przemilcza – ile w tym, że nie sposób nie gadać i nie opowiadać, nie komentować i nie wygłaszać, jakby to była najistotniejsza czynność wszystkich tych, którzy są ze sobą w związku, a przynajmniej w tym związku są od niedawna i obca im jest jeszcze konwersacyjna gnuśność. Bo nie tylko rzecz w tym, by z głową na poduszce wspominać przeszłość, a nawet dzieciństwo, a na pamięć i na język przychodziły najodleglejsze i najmniej znaczące drobiazgi i wszystkie nabierały wagi, i zaczęły wydawać się godne przywołania na głos, ani też byśmy byli gotowi opowiedzieć całe nasze życie osobie, która również opiera swoją głowę na naszej poduszce, jakbyśmy czuli potrzebę, by osoba ta mogła *widzieć* nas od początku – przede wszystkim od początku, to znaczy od lat dziecięcych – i mogła, dzięki opowieściom, *towarzyszyć* nam przez te wszystkie lata, w których się nie znaliśmy, ale podczas których, jak nam się teraz wydaje, czekaliśmy na siebie. I nie jest to również wyłącznie chęć do porównań czy szukania analogii lub przypadkowych zbieżności, pragnienie każdego z dwojga, by wiedzieć, gdzie przebywało drugie w różnych okresach życia jednego i drugiego, i móc pofantazjować o niemożliwym i niesprawdzalnym: co by było, gdyby poznali się *wcześniej* zakochanym zawsze wydaje się, że spotkali się ponie-

wczynie, jakby czas ich namiętności zawsze był nie w porę, albo nigdy nie był, patrząc wstecz, wystarczająco długotrwały (teraźniejszość jest nieufna), a może rzecz w tym, że trudno jest znieść myśl, iż nie było między nimi żadnej namiętności, choćby przeczuwanej, gdy oboje już byli na świecie, przyłączeni do jego najbystrzejszego nurtu, a mimo to odwrócenie od siebie plecami, nie znając się, w najmniejszym nawet stopniu tego nie pragnąc. I nie w tym rzecz, by ustanowić system dziennego przepytywania, od którego, z racji zmęczenia czy wskutek rutyny, żadne z małżonków nie jest w stanie uciec, więc wszyscy i tak odpowiadają. Rzecz raczej w tym, że życie z kimś, u boku kogoś, polega w dużej mierze na głośnym myśleniu, właśnie na tym, że o wszystkim myśli się dwa razy, a nie raz, bo raz w myślach, a ponownie w opowieści, małżeństwo zasadza się na opowieści. A może rzecz w tym, że przebywając w swoim towarzystwie tak długo i często (jak krótko i rzadko by to nie było w nowoczesnych małżeństwach, zawsze tak długo i często), oboje (ale przede wszystkim mężczyzna, który czuje się winny, gdy zbyt długo milczy) chcąc zająć czymś swego partnera, muszą sięgać po każdą swoją myśl, po wszystko, co im przyjdzie do głowy i wszystko, co im się przytrafia, i w ten oto sposób z myśli i przeżyć każdego z nich nie pozostaje nic, drobina najmniejsza, co nie zostałoby drugiej osobie przekazane lub raczej przetłumaczone małżeńsko. Przekazywane są również uczynki i myśli innych osób, które zwierzyły nam się z nich w zaufaniu, stąd nie bez powodu powszechna opinia, która głosi: „W łóżku mówi się wszystko”, nie ma sekretów między tymi, którzy je dzielą, łóżko jest konfesjonalem. Z miłości lub z tego, co jest jej esencją – z opowiadania, informowania, ogłaszania, komentowania, opiniowania, zabawiania, słuchania i śmiania się, i z daremnego planowania – zdradza się wszystkim innym, przyjaciołom, rodziców, braci, powinowatych i nie powinowatych, dawne miłości i przekonania, dawne kochanki, własną przeszłość i własne dzieciństwo, własny język, którym przestaje się mówić i, bez wątpienia, własną ojczyznę, to, co w każdej osobie jest sekretem, a może należy do przeszłości. Żeby

zjednać sobie osobę, którą się kocha, oczernia się całą istniejącą resztę, neguje się i zohydza wszystko, by zadowolić i zabezpieczyć na wszystkie strony jedną tylko osobę, która może odejść; moc wytyczonego przez poduszkę terytorium jest tak ogromna, że ruguje ze swych granic wszystko, co może się w nich znaleźć, i jest to terytorium, które samo przez się nie dopuszcza, by cokolwiek innego znalazło się na jego obszarze prócz małżonków lub kochanków, którzy w pewnym sensie *zostają sami* i dlatego mówią do siebie, i niczego, bezwiednie, nie przemilczają. Poduszka jest krągława i miękka, nierzadko biała, i po jakimś czasie krągłość owa i biel zastępują w końcu świat i jego słabe koło.

Powiedziałem Luizie w łóżku o mojej rozmowie i moich podejrzeniach, o ujawnionej mi gwałtownej (według Custardoya) śmierci mojej ciotki Teresy i o tym, iż bardzo możliwe, że mój ojciec był wielokrotnie, to znaczy trzykrotnie żonaty, ale to ostatnio ujawnione, trzecie małżeństwo było przypuszczalnie pierwszym i poprzedzało związki z siostrami, i o którym to małżeństwie, o ile w ogóle miało ono miejsce, nic nie wiedziałem. Luiza nie mogła pojąć, dlaczego nie chciałem dalej pytać, kobiety odczuwają ciekawość dla samej ciekawości, ich umysł jest umysłem tropiącym i plotkarskim, choć również niestałym, nie wyobrażają sobie albo nie przewidują natury tego, czego nie wiedzą, tego, co można w końcu dociec i tego, co można w końcu zrobić, nie wiedzą, że czyny popołniają się same lub że samo słowo, jedno nawet słowo, do ich popołnienia wystarczy, muszą spróbować, nie przewidują, może one rzeczywiście gotowe są wiedzieć niemal zawsze, w zasadzie nie obawiają się i nie wykazują najmniejszej nieufności wobec tego, co można im opowiedzieć, nie pamiętają, że z chwilą, gdy już wszystko wiadome, wszystko się zmienia, nawet ciało albo skóra, która się otwiera, albo coś się rozrywa.

– Dlaczego go nie wypytałeś o więcej szczegółów? – zapytała mnie.

Znowu leżała w łóżku, tak jak leżała owego wieczoru w Hawanie, parę dni temu zaledwie, ale teraz było to już albo miało być czymś normalnym, jak każdej nocy, w nocy ja też leżałem pod kołdrą, nowiuteńką (część wyprawy, domniemywałem, słowo dziwne i stare, nie wiem, jak się tłumaczy), nie była już chora ani nie sprawiał jej bólu uwierający stanik, bo miała na sobie koszulę nocną, którą parę minut wcześniej zakładała przy mnie w sypialni, a nie w łazience, w chwili jej zakładania odwróciła się do mnie plecami, jeszcze się nie przyzwyczaiała przebierać w obecności przypadkowej osoby, za parę lat, może miesięcy, nie zauważy nawet mojej obecności albo, być może, nie będę kimś przypadkowym.

– Nie wiem, czy chcę znać więcej szczegółów – odparłem.

– Jak to? Ja już po tym, co mi powiedziałaś, nie mogę wytrzymać z ciekawości.

– Dlaczego?

Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Zobaczyłem na ekranie Jerry'ego Lewisa, komika, stary film, może z czasów mojego dzieciństwa, słychać było tylko nasze głosy.

– Jak to dlaczego? Jeśli jest coś, czego można dowiedzieć się o kimś, kogo znam, to chcę to wiedzieć. Poza tym to twój ojciec. A teraz mój teść. Jak mam nie interesować się tym, co mu się przydarzyło? Tym bardziej, jeśli to ukrywał. Zapytasz go?

Przez chwilę się zawahałem. Pomyślałem, że chcę wiedzieć, nie tyle to, co się naprawdę wydarzyło, ile to, czy w słowach Custardoya kryła się prawda, zmyślenie czy plotka. Gdyby okazało się, że prawda, musiałbym zacząć zadawać następne pytania.

– Nie sądzę. Jeśli nigdy nie chciał ze mną w ogóle na ten temat rozmawiać, nie będę go do tego zmuszać, po tylu latach. Raz, nie tak dawno temu, zapytałem go o moją ciotkę i powiedział mi, że nie chce cofać się o czterdzieści lat. Nieomal wyrzucił mnie z restauracji, w której byliśmy.

Luiza zaśmiała się. Bawiło ją niemal wszystko, zazwyczaj dostrzegała jedynie tę zabawną stronę rzeczy czy zdarzeń, nawet tych najbardziej patetycznych czy przerażających. Życie z nią to życie wewnątrz komedii, właśnie, w wiecznotrwalej młodości, tak jak życie z Ranzem, może dlatego pragnęły żyć z nim dwie kobiety albo trzy. Aczkolwiek ona jest rzeczywiście młoda i może z czasem się zmienić. Luizie mój ojciec też przypadł do gustu, bawił ją. Chciała go posłuchać.

– Ja go zapytam – powiedziała.

– Ani mi się waż.

– Mnie by opowiedział. Kto wie, czy od lat już nie czeka, by w twoim życiu pojawił się ktoś taki jak ja, ktoś, kto mógłby pośredniczyć między nim a tobą; między wami, ojcami a synami, relacje są zawsze dziwnie toporne. Może nigdy nie opowiedział ci swojej historii, bo nie wiedział, jak to zrobić albo ty nie potrafiłeś odpowiednio się go o to zapytać. A mnie na pewno się to uda.

W telewizorze Jeny Lewis majstrował coś z odkurzaczem. Odkurzacze zachowywał się jak piesek i odmawiał posłuszeństwa.

– A jeśli tego się nie da opowiedzieć?

– Co chcesz przez to powiedzieć? Wszystko się da opowiedzieć. Trzeba tylko zacząć, słowo po słowie.

– Coś, czego już nie powinno się opowiadać. Coś, czego czas już minął, każdy czas ma swoje właściwe opowieści i jeśli nie wykorzystuje się sprzyjającej okoliczności, wówczas lepiej jest zamilknąć na zawsze, niekiedy. Sprawy ulegają przedawnieniu i potem są nie na czasie i nie na miejscu.

– Nie wydaje mi się, by czemukolwiek upływał przypisany mu czas, wszystko gdzieś tam jest i czeka spokojnie, aż pozwoli mu się na powrót. A poza tym wszyscy lubią opowiadać swoje historie,

nawet ci, którzy nie mają żadnej. Nawet jeśli opowieści są różne, znaczenie jest takie samo.

Przekręciłem się nieco, by spojrzeć na nią bardziej z przodu. Miała być tu zawsze, u mego boku, taki przynajmniej jest zamysł, stając się częścią mojej historii, w moim łóżku, które właściwie nie jest moim, ale naszym, a być może jej łóżkiem, byłem gotów cierpliwie czekać na godzinę jej powrotu, jeśli kiedyś odejść miała. Poruszywszy się, musnąłem jej pierś ramieniem, pierś okrytą lekką tkaniną i lekko widoczną poprzez tę tkaninę. Moje ramię zastygło tak, by muśnięcie trwało jak najdłużej, chyba że Luiza poruszyłaby się, by je przerwać.

– Ale zobacz sama – powiedziałem jej – osobami, które bardzo długo zachowują sekret, nie zawsze powoduje wstyd czy też chęć chronienia samych siebie, czasem robią to, żeby chronić innych albo dla zachowania przyjaźni lub miłości czy małżeństwa, żeby swoim dzieciom uczynić życie znośniejszym lub oszczędzić im lęków, bo i bez tego dość ich trzeba przeżyć. Być może po prostu nie chcą obarczać ludzi mówieniem o uczynku, który oby się nigdy nie zdarzył. Nie mówić o nim, to tak, jakby go trochę wymazać, trochę go zapomnieć, negować go, zachowanie wyłącznie dla siebie opowieści o nim może być z ich strony drobną przysługą wyświadczaną ludziom. Trzeba to uszanować. Być może nie chciałabyś wiedzieć o mnie wszystkiego, być może z czasem nie będziesz tego chciała, później, jak również, żebym z kolei ja wiedział wszystko o tobie. Nie chciałabyś, żeby nasze dziecko wiedziało o nas wszystko. O każdym z nas, z osobna, na przykład, zanim się poznaliśmy. Nawet my chyba nie wiemy wszystkiego o sobie ani z osobna przedtem, ani teraz razem.

Luiza odsunęła się trochę, ruchem całkowicie naturalnym, to znaczy, odsunęła swoją pierś z miejsca, w którym zastygło moje ramię, nie było już muskania. Wzięła papierosa ze swego nocnego stolika, przypaliła go, zaciągnęła się szybko dwa razy, spróbowała

strzepnąć popiół, który nie zdążył się nawet uformować, nagle zaczęła się nieco denerwować, spoważniała trochę, wbrew swoim nawykom. Po raz pierwszy między nami zostało wspomniane dziecko, żadne z nas do tej pory nigdy nie mówiło o takich planach, było za wcześnie, teraz też nie była pora, pierwsze napomknienie też nie było snuciem jakichkolwiek planów, lecz wzmianką jedynie hipotetyczną, żeby zilustrować inną sprawę. Nie patrząc na mnie, powiedziała:

– Nie ma wątpliwości, że będę chciała wiedzieć, czy nie zamierzasz mnie kiedyś zabić, jak ten mężczyzna z hotelu w Hawanie, ten Guillermo. – Powiedziała to, nie patrząc na mnie i powiedziała to szybko.

– Słyszałaś?

– Jasne, że słyszałam, byłam tam równie obecna jak ty, jak mogłam nie słyszeć?

– Nie wiedziałem, wydawało mi się, że gorączka cię uśpiła, dlatego nic ci o tym nie wspominałem.

– Następnego dnia też mi nic nie powiedziałeś, mimo że sądziłeś, że o niczym nie wiem. Mogłeś mi powiedzieć, tak jak mówisz mi wszystko. Chyba że istotnie nie mówisz mi wszystkiego.

Luiza nagle była obruszona, ale nie mogłem stwierdzić czy dlatego, że nie powiedziałem jej tego, co, jak sama przyznała, również słyszała, czy jej złość skierowana była przeciwko Guillerrowi, a może przeciwko Miriam, a może nawet przeciwko mężczyznom, kobiety obdarzone są większym poczuciem wspólnoty i często ich złość obejmuje jednocześnie wszystkich mężczyzn w ogóle. Równie dobrze mogła być zła, bo pierwsze napomknienie o dziecku było hipotetyczne i mimochodem, a nie wyznaniem zamiaru czy pragnienia.

Wzięła pilota do telewizora i zaczęła szybko przeskakiwać z kanału na kanał, by wrócić i poprzestać na tym samym co

poprzednio programie. Jerry Lewis usiłował jeść spaghetti: kręcił widelcem i kręcił, i teraz całe ramię miał obandażowane makaronem. Wpatrywał się weń z głębokim zdumieniem i rzucał się nań zębami. Zaśmiałem się jak dziecko, widziałem ten film w dzieciństwie.

– I co powiesz o tym Guillermo? – zapytałem. – Jak myślisz, co zrobi? – Teraz już mogłem odbyć rozmowę, której w swoim czasie nie chcieliśmy odbyć, ani Luiza, ani ja; gorączka. Być może wszystko czeka na podjęcie i powrót, ale nic nie wraca w takiej formie, w jakiej mogłoby zaistnieć, ale nie zaistniało. Teraz to już nie było ważne, Luiza wyraziła to brutalnie i niefrasobliwie, bo powiedziała mi: „Będę chciała wiedzieć, czy nie zamierzasz mnie kiedyś zabić”. Jeszcze na to nie odpowiedziałem, to takie łatwe nie odpowiadać na to, na co się nie chce odpowiadać, między tymi, którzy wszystko obgadują i mówią bez przerwy, słowa nakładają się, a myśli są ulotne i znikają, choć wracają niekiedy, jeśli się bardzo chce.

– Najgorsze z tego wszystkiego, że on nic nie robi – powiedziała Luiza. – Wszystko będzie jak dotąd, ta cała Miriam będzie czekać i czekać, a żona będzie umierać i umierać, o ile w ogóle jest chora albo istnieje, w co tamta zaczęła wątpić, i słusznie.

– Nie wiem, czy jest chora, ale na pewno istnieje – powiedziałem. – Ten człowiek jest żonaty – zawyrokowałem.

Luiza ciągle nie patrzyła na mnie, mówiła do Jerry'ego Lewisa i wciąż była zła. Jest młodsza ode mnie, być może nie widziała tego filmu w dzieciństwie. Chciałem nawet włączyć jej dźwięk, ale nie zrobiłem tego, oznaczałoby to koniec rozmowy. A poza tym, to ona trzymała pilota w jednej dłoni, w drugiej zaś wypalonego już do połowy papierosa. Było ciepło, ale nie za bardzo: zobaczyłem jej dekolt nagle zwilgotniały, świecił się nieco.

– Wszystko jedno, nawet gdyby umarła, on i tak nic nie robi, nie przywiózłby tej kobiety z Hawany.

– A dlaczego by nie? Ty jej nie widziałaś, a ja widziałem. Ładna była.

– Nie wątpię, ale prócz tego, że jest ładna, jest również marudna i on wie o tym albo to czuje. I zawsze będzie marudna, wszystko jedno, czy tu czy tam, czy jako kochanka, czy jako żona; jedyne potrzeby, jakie ta kobieta odczuwa, są potrzebami, które docierają do niej z zewnątrz, nastawiona jest tylko na tego drugiego, takich kobiet jest jeszcze dużo, nauczono je zajmować się sobą wyłącznie w związku z innym. – Luiza zatrzymała się na chwilę, ale tylko na chwilę, jakby chciała wycofać się ze słowa „nauczono”. – Może to nawet nie kwestia, czy je nauczono czy nie, one to po prostu dziedziczą, rodzą się znudzone sobą, dużo takich znałam. Przez pół życia czekają, ale tu nic się nie pojawia, a to, co się pojawia, przeżywają tak, jakby to nic nie było, a drugie pół życia wspominają i upajają się tym, co wydawało im się czymś tak mało ważnym albo w ogóle nieważnym. Takie były nasze babcie, nasze matki wciąż takie są. Z tej Miriam już żadnego na przyszłość pożytku, wyłącznie tyle, ile już jest, a będzie, co by się nie stało, coraz gorzej, po co więc zmieniać cokolwiek: urody coraz mniej, pożądania coraz mniej, powtórzeń coraz więcej. Ta kobieta zgrała już wszystkie swoje karty, od samego początku nie miała żadnej dobrej, nie ma w niej niespodzianki, nie może dać z siebie więcej niż to, co już daje. Ludzie się pobierają jedynie dlatego, że oczekują niespodzianki, pożytku, poprawy. No, nie zawsze. – Zamilkła na chwilę i dodała. – Bardzo mi żal tej kobiety.

– Dać z siebie więcej pewnie i nie da, ale za to może przestać być ciężarem i taki może być z niej pożytek na przyszłość. Mogłaby przestać być ciężarem, gdyby Guillermo ożenił się z nią kiedyś. Są i tacy mężczyźni.

– To znaczy jacy mężczyźni?

– Mężczyźni, którzy sami ze sobą się nudzą i zajmuje ich tylko związek z innym czy z inną. Nawet im dobrze z tym, że ciągle się im

marudzi, marudzenie pomaga im przeżyć kolejny dzień, zajmuje ich, usprawiedliwia, tak samo jak kobiety, które im marudzą.

– Ten Guillermo nie jest taki – zawyrokowała Luiza (oboje lubimy wyrokować).

Ale wreszcie spojrzała na mnie, choć z ukosa, nieufnym wzrokiem – odziedziczona nieufność – albo tak mi się zdawało. Pojawiło się jeszcze jedno pytanie, bardzo możliwe, nawet prawdopodobne, a nawet konieczne, ale równie dobrze mogła zadać je Luiza, jak i ja mogłem je zadać: „Dlaczego ożeniłeś się ze mną?” czy też „Dlaczego wyszłaś za mnie?”. Albo „Jak sądzisz, dlaczego wyszłam za ciebie za męża?” czy też „A dlaczego się z tobą ożeniłem, jak sądzisz?”.

– Custardoy zapytał mnie dziś wieczór, dlaczego ożeniłem się z tobą. – To był mój sposób na zadanie pytania, nie zadając pytania.

Luiza zrozumiała, iż oczekiwać należałoby, że powie: „I co mu odpowiedziałeś?”. Równie dobrze mogła nic nie powiedzieć, ma takie samo wyczucie słowa jak ja, uprawiamy ten sam zawód, mimo że ona teraz mniej pracuje. Milczała przez chwilę, za pomocą pilota ponownie zaczęła przeskakiwać z kanału na kanał, to trwało sekundy, i ponownie wróciła lub odzyskała Jerry'ego Lewisa, który teraz tańczył z ubranym wytwornie mężczyzną w ogromnym i pustym salonie. Tym mężczyzną, poznałem go i natychmiast go sobie przypomniałem, był aktor George Raft, specjalizujący się przez lata w rolach gangsterów, a poza tym wspaniale tańczący bolera i rumbę, grał w słynnym *Człowieku z blizną*. Jerry Lewis nie wierzył, że on to właśnie on („No nie, pan nie jest George'em Raftem, owszem, jest pan do niego podobny, ale to nie pan, pan tylko może marzyć o tym, żeby nim być”) i zmuszał go do odtańczenia bolera, tak jak tańczył bolero George Raft, a przecież to nie był nikt inny jak właśnie Raft. Obaj tańczyli objęci na środku pustego salonu, po ciemku, obie postacie oświetlone przez reflektor. To była komiczna scena i dziwna zarazem. Tańczyć jak tańczy ktoś z niedowiarkiem,

by dowieść owemu niedowiarkowi, że jest się właśnie tym kimś. Ta scena była w kolorze, pozostałe zaś czarno-białe, a może to nie był film, tylko składanka słynnego komika. Gdy skończyli tańczyć i odsunęli się wstydliwie, pamiętam, że Lewis mówił Raftowi, tak jakby robił mu wielką łaskę: „Wystarczy, wierzę panu, że jest pan autentycznym Raftem” (ale wciąż mieliśmy dźwięk wyłączony, więc nie słyszałem go teraz, słowa były niedokładnym wspomnieniem z mojego dzieciństwa, po angielsku być może powiedział „the real Raft” albo „Raft himself”). Luiza nie powiedziała „I co odpowiedziałeś?”, lecz:

– I odpowiedziałeś mu?

– Nie. Jego interesuje tylko łóżko i o nie tak naprawdę mnie pytał.

– I nie odpowiedziałeś mu.

– Nie.

Luiza zaczęła się śmiać, nagle odzyskała dobry i właściwy jej humor.

– No nie, przecież to rozmowa dzieciaków z piaskownicy – powiedziała, śmiejąc się.

Zdaje mi się, że się trochę zaczerwieniłem, ale tak naprawdę czerwieniłem się za Custardoya, nie za siebie, znali się wówczas tyle co nic, więc czułem się, wobec Luizy, odpowiedzialny za Custardoya, który był z mojego kręgu, przyjaciel od lat, nie do końca, człowiek czuje się odpowiedzialny za wszystko, co może mu przysporzyć wstydu, a wszystko może przynieść wstyd wobec osoby, którą się kocha (w pierwszych chwilach jej kochania), z tego też względu popełnia się zdradę wobec kogokolwiek, ale przede wszystkim popełnia się zdradę wobec własnej przeszłości, której zaczyna się nie cierpieć, którą się przekreśla i odrzuca (nie było w niej tej, która nas ratuje i czyni nas lepszymi, która nas uszlachetnia albo przynajmniej sądzimy, że nas uszlachetnia, dopóki ją kochamy).

– Dlatego nie chciałem w ogóle podejmować tematu – powiedziałem.

– A to szkoda – powiedziała. – Bo teraz mógłbyś mi opowiedzieć, co takiego mu powiedziałeś.

Teraz mnie odebrało ochotę do śmiechu, tyle razy, z powodu kilku sekund jest się w przeciwfazie. Ale śmiech ma czas, zazwyczaj.

Czułem się nieswojo. Wstyd mnie ogarnął. Jakiś czas milczałem. Po co opowiadać. Niemniej odezwałem się:

– A więc nie wierzysz, że Guillermo kiedykolwiek zabije swoją chorą żonę? – Wróciłem do Hawany i do tego, co spowodowało jej nagłą powagę. Chciałem, żeby znowu była poważna.

– A gdzie tam zabije, a gdzie tam zabije – odpowiedziała pewna siebie. – Nikt nikogo nie zabija tylko dlatego, że prosi go o to ktoś, kto może sobie odejść. Już by to dawno zrobił, bo to, co niemożliwe, staje się możliwe, jeśli krótko się nad tym zastanawiasz, ale naprawdę staje się niemożliwe, jeśli zaczynasz nad tym myśleć za długo. I wiesz, co się stanie? Ten człowiek pewnego dnia przestanie przyjeżdżać na Kubę, zapomną o sobie, on pozostanie żonaty do końca życia i obojętne czy z chorą, czy zdrową żoną, a jeśli nawet z chorą, to zrobi wszystko, co w jego mocy, by wróciła do zdrowia. To jego gwarancja. Będzie miał kochanki i owszem, i będzie się starał, żeby były z tych, co to nie marudzą. Na przykład mężatki.

– To by ci sprawiło przyjemność?

– Nie, tak po prostu będzie.

– A ona?

– Ona jest mniej przewidywalna. Może szybko znaleźć innego mężczyznę i to, co z nim przeżyje będzie wydawać jej się czymś mało ważnym albo w ogóle nieważnym. Może również się zabić, jak zapowiadała, gdy stwierdzi, że on już nie przyjeżdża. Może również

czekać, a później wspominać. W każdym razie jest przegrana. Sprawy nigdy nie potoczą się tak, jak by chciała.

– Mówi się, że ludzie, którzy zapowiadają, że się zabijają, nigdy się nie zabijają.

– Idiotyzm. Wszystko jest możliwe.

Zabrałem jej z rąk pilota. Odłożyłem na nocny stolik książkę, którą przez cały czas trzymałem w rękach, nie przeczytawszy ani linijki. To był *Pnin* Nabokova. Nie skończyłem jej, a zaczęła mi się bardzo podobać.

– A co z moim ojcem i z moją ciotką? Bo teraz okazuje się, że się zabiła, tak przynajmniej twierdzi Custardoy.

– Jeśli chcesz wiedzieć, czy zapowiadała mu swą śmierć, to nie pozostaje ci nic innego, jak go zapytać. Chyba nie chcesz, żebym ja go o to zapytała, prawda?

Ociągałem się z odpowiedzią:

– Nie. – Zastanowiłem się przez chwilę, a później powiedziałem:
– Sądzę, że nie. Muszę się nad tym dłużej zastanowić.

Włączyłem dźwięk filmowej antologii Jerry'ego Lewisa. Luiza zgasła światło po swojej stronie i odwróciła się, jakby zamierzała zasnąć.

– Zaraz zgaszę – powiedziałem.

– Światło mi nie przeszkadza. Ale wyłącz dźwięk telewizora, proszę.

Jerry Lewis siedział teraz na widowni kinowej z torbą prażonej kukurydzy w rękach, przed rozpoczęciem seansu. Gdy klaskał, cała kukurydza wysypywała się na głowę siedzącej przed nim nobliwej i siwowłosej starszej pani. „Och, proszę pani”, mówił, „prażona kukurydza rozsypała się pani we włosach, pozwoli pani, że ją pozbieram” i w piętnaście sekund rujnował starszej pani pracowicie

upiętą fryzurę. „Och, proszę siedzieć spokojnie”, mówił, targając i wicherząc palcami jej fryzurę, która zamieniła się w zmierzwione włosy bachantki. „Co za włosy”, mówił z oburzeniem. Zaśmiałem się, tej krótkiej sceny nie widziałem w dzieciństwie, na pewno, po raz pierwszy widziałem ją i słyszałem.

Spełniłem prośbę Luizy i ponownie wyłączyłem dźwięk. Nie byłem śpiący, ale kiedy dwoje śpi razem, musi istnieć jakiś minimalny przynajmniej kompromis dotyczący takich godzin jak ta, kiedy idziemy spać, kiedy wstajemy, kiedy jemy obiad, kolację; śniadanie to coś innego, pomyślałem, że nie kupiłem mleka, a przyrzekłem, że się tym zajmę, Luiza będzie rano zła. Chociaż to dobra dziewczyna.

– Zapomniałem kupić mleka – powiedziałem jej.

– Dobrze, jutro zejdę – odpowiedziała. Wyłączyłem telewizor i pokój ogarnęły ciemności, lampka z mojej strony nie została zapalona, bo nie zacząłem czytać. Przez parę sekund nic nie widziałem, później moje oczy przyzwyczyły się trochę do ciemności, ale tylko trochę. Luiza lubi spać przy spuszczonej żaluzjach, ja nie. Przekręciłem się, odwracając się do niej plecami, nie powiedzieliśmy sobie dobranoc, ale może nie ma potrzeby, byśmy zawsze mówili sobie dobranoc, noc w noc, przez wszystkie czekające nas w przyszłości lata. Ale może jednak tej nocy jeszcze.

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc – odpowiedziała.

Powiedzieliśmy sobie tylko i wyłącznie dobranoc, nie dodając żadnego z zazwyczaj przez nas używanych przydomków lub czułości; pary nie potrafią się bez nich obejść, bez wielu, przynajmniej jednego, by ulegać złudzeniu, że są kimś innym lub nie zawsze jedną i tą samą osobą, unikając w ten sposób zwracania się do siebie swymi prawdziwymi imionami, które zachowują na czas ostrych kłótni, wzajemnych animozji lub kiedy mają sobie do

przekazania złą wiadomość, na przykład, że któreś z nich zostanie opuszczone. Mój ojciec też pewnie obdarzany był przydomkami, przez co najmniej trzy kobiety, i pewnie wszystkie brzmiały dlań identycznie, podobnie, jak powtórzenie, mylił się pewnie, a może nie, z każdą kobietą było może inaczej, kiedy miał do przekazania jakąś złą wiadomość pewnie mówił do nich Juano albo Tereso, albo owym trzecim imieniem, którego nie znam, ale którego ojciec pewnie nie zapomniał. Z moją matką miał przeżyć wspólnie wiele lat, z moją ciotką Teresą żył krótko, może równie krótko jak my dotąd z Luizą, miało nie być i nie było dla nich przyszłych lat, może nawet miesięcy, zabiła się, jak twierdzi Custardoy. A trzecia, która była pierwsza, jak długo była, jak mówili do siebie, kiedy się żegnali i odwracali się do siebie plecami albo ona do niego tylko, albo tylko on do niej i przytulali się każde z nich oddzielnie do wspólnej poduszki, którą dzielili (tak się tylko mówi, bo zawsze są dwie poduszki).

– Ja nie będę chciał wiedzieć, gdy będziesz miała kiedyś zamiar mnie zabić – powiedziałem w ciemnościach do Luizy.

Chyba zabrzmiało to strasznie poważnie, bo Luiza odwróciła się i od razu poczułem na plecach, zgubione przeze mnie jakiś czas temu, muśnięcie znajomej mi piersi i w tej samej chwili poczułem wsparcie i ochronę. Odwróciłem się i wówczas poczułem na skroniach jej dłonie, które mnie pieściły lub karmiły, i poczułem jej pocałunki na nosie, oczach, ustach, na podbródku, czole i policzkach (to cała twarz). Moja twarz pozwoliła całować wszystko, co na twarzy jest całowalne, bo w tej właśnie chwili i po tym zdaniu – nie kryjąc przed nią swej twarzy – to ja teraz Luizę chronilem i wspierałem.

Niedługo po tym, jak już mówiłem, gdy za nami już była i podróż poślubna, i lato, zostałem ponownie zmuszony do różnych wyjazdów, tym razem w związku z moją pracą tłumacza tekstowego i tłumacza żywego słowa (teraz już bardziej tego drugiego) w międzynarodowych instytucjach i organizacjach. Ustaliliśmy z Luizą, że przez jakiś czas ona będzie mniej się angażować w pracę, by poświęcić się urządzaniu naszego wspólnego i nowego (nienaturalnie) domu, póki nie uda nam się maksymalnie zsynchronizować naszych obecności i nieobecności lub też zmienić nawet charakter naszej pracy. Na jesieni, w połowie września, zaczyna się w Nowym Jorku okres sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, trwający do trzech miesięcy, i tam właśnie musiałem jechać, podobnie jak w poprzednich latach, kiedy nie znałem jeszcze Luizy, w charakterze pracownika sezonowego (niemało ich potrzeba podczas sesji), by przez osiem tygodni tłumaczyć, następnie wrócić do Madrytu i siedzieć kołkiem, i nie tłumaczyć przez co najmniej następne osiem tygodni.

Niewiele ma się rozrywek w takich miastach, nawet w Nowym Jorku, bo haruje się ciężko przez pięć dni w tygodniu, dwa ostatnie dni okazują się zaś tak fałszywe (jak wtęt), a człowiek jest już tak wyczerpany, że jest w stanie jedynie poświęcić się odzyskiwaniu sił na następny tydzień, pospacerować trochę, popatrzeć z daleka na narkomanów i przyszłych przestępców, pochodzić po sklepach (w niedzielę, na szczęście, niemal wszystko jest otwarte), czytać przez cały dzień ogromniastego „New York Timesa”, pić soki energizujące lub wieloowocowe i oglądać telewizję z dziewięćdziesięcioma kanałami (z łatwością można trafić na jednym z nich na Jerry'ego Lewisa). Marzy się tylko o tym, by dać wytchnienie uszom i językowi, ale to niemożliwe, bo jednak w końcu zaczyna się znowu słuchać i gadać, nawet jeśli jest się samemu. To nie mój przypadek. Większość tak zwanych sezonowych wynajmuje obskurne pokoiki na

czas swego pobytu, zawsze tańsze od hoteli, umeblowane apartamenciki ze ślepią kuchnią, w których nikt nie jest w stanie się zdecydować, czy ma gotować, czy ma nie gotować, czy da się wytrzymać, czy się nie da wytrzymać zapachów tego, co jeść będą lub już zjedli, a może raczej spożywać obiad i kolację wyłącznie w mieście, co jest i męczące, i bardzo drogie, w mieście, w którym nic nie kosztuje tyle, ile twierdzi się, że kosztuje, ale zawsze piętnaście procent więcej z tytułu obowiązkowego napiwku w restauracjach plus osiem procent za wszystko z tytułu lokalnego podatku nowojorskiego (rabunek w biały dzień, w Bostonie tylko pięć procent). Ja mam szczęście, że w Nowym Jorku mieszka moja hiszpańska przyjaciółka, która gości mnie serdecznie przez osiem zgromadzeniowych tygodni. Mieszka tam na stałe, to koleżanka po fachu, która pracuje jako etatowy tłumacz dla Narodów Zjednoczonych i w Nowym Jorku jest już od dwunastu lat, ma miłe, a nie obskurne mieszkanie, pozbawione ryzyka, że kuchenną wonią przesiąknie i salon, i sypialnie (w rachitycznych apartamencikach, jak wiadomo, wszystko stanowi jedną marną całość). Znam ją znacznie dłużej i jeszcze sprzed jej wyjazdu z Hiszpanii, z czasów uniwersyteckich, oboje byliśmy studentami, chociaż ona jest cztery lata starsza ode mnie, co oznacza, że teraz ma trzydzieści dziewięć i że miała rok mniej, kiedy przyjechałem tam po swoim ślubie, z okazji, o której właśnie mówię lub mam zamiar mówić. Wtedy, kiedy byliśmy studentami, w Madrycie, czyli już piętnaście lat temu, przespaliśmy się ze sobą dwa razy, w różnych okolicznościach, a może trzy, nawet cztery razy (nie więcej), najpewniej żadne z nas nie pamięta zbyt dobrze ani pierwszego razu, ani żadnego następnego, niemniej wiemy o nich i świadomość tego faktu, znacznie bardziej świadomość niż sam fakt, pozwala zachowywać się nam względem siebie z delikatnością i zarazem z daleko idącą ufnością, chcę powiedzieć, że mówimy sobie wszystko i nie żałujemy sobie słów otuchy albo słów żartobliwych, albo dodających odwagi, kiedy spostrzegamy, że słowa te są nam potrzebne, jednemu lub drugiemu. Tęsknimy również za sobą (odrobinę), kiedy nie jesteśmy

razem, to jedna z takich osób (w życiu każdego jest takich cztery, pięć i naprawdę boleśnie odczuwa się utratę każdej z nich), które zwykło się powiadamiać o każdym zdarzeniu, to znaczy, o których od razu się myśli, kiedy coś mu się przydarza, zabawnego czy dramatycznego, i dla których takie przypadki i anegdoty się gromadzi. I nawet przystaje się skwapliwie na przeróżne porażki i niepowodzenia, bo będzie można o nich opowiedzieć owym pięciu osobom. „Muszę to opowiedzieć Bercie”, myśli sobie człowiek (ja myślę tak bardzo często).

Pięć lat temu Berta miała wypadek samochodowy. Jedna noga była strasznie okaleczona, z wieloma otwartymi ranami, stwierdzono *osteomyelitis*, myślano o amputacji, nogę w końcu uratowano, ale utraciła część kości udowej, którą trzeba było skrócić, w rezultacie kuleje nieco od tamtej pory. Nie tyle, by nie nosić butów na wysokim obcasie (i nosi je z gracją), ale jeden z obcasów musi być zawsze nieco wyższy i grubszy, robią je dla Berty na obstalunek. Te nierówne obcasy trudno zauważyć, jeśli się o nich nie wie, ale można zauważyć, że trochę kuleje, szczególnie gdy jest zmęczona lub jest u siebie, w domu, gdzie nie wysiła się już nad uszlachetnieniem swego chodu: zamknawszy drzwi za sobą i wrzuciwszy klucze do torebki przestaje dbać o pozory i udawać, utyka w dwójnasób. Pozostała jej również blizna na twarzy, drobiazg, na tyle drobiazg, że nie chciała jej usunąć i poddać się zabiegowi chirurgicznemu, jest to jakby półksiężyc na prawym policzku, który czasami, po źle przespanej nocy albo gdy spotka ją coś niemiłego, albo jest bardzo zmęczona, ciemnieje i staje się bardziej widoczny. Wtedy, przez parę chwil, mam wrażenie, że ma brudną plamkę, że czymś się umorusała i zwracam jej na to uwagę. „To blizna”, przypomina mi o bliźnie przybierającej niebieską barwę albo fioletowosiną.

Młodo wyszła za męża, po części właśnie dlatego wyjechała do Ameryki i tam znalazła sobie posadę. Rozwiodła się po trzech latach, by po następnych dwóch znowu wyjść za męża, a po roku znów się rozwieść. Od tamtej pory nic nie układało jej się na długo. Od

wypadku, czyli od lat sześciu czuje się stara, zupełnie bezzasadnie i powątpiewa w możliwość uwiedzenia jakiegokolwiek mężczyzny (na dłużej, ma się rozumieć). To ładna kobieta, o rysach, które zawsze były rysami dojrzałej kobiety, dzięki temu w jej wyglądzie nie zaszły od czasów naszej studenckiej młodości zbyt drastyczne zmiany. Na starość będzie miała przyjemną aparycję, nie ulegnie tym daleko idącym zmianom, które czynią wręcz nierozpoznawalnymi co poniektóre twarze z naszej przeszłości, albo naszą własną twarz, na którą nigdy nie patrzymy właściwie. Ale jak bardzo bezzasadne, moim zdaniem, nie byłyby jej odczucia, prawdą jest, że im ulega i choć nie poddała się jeszcze i nie dała całkowicie za wygraną, jej związki z mężczyznami skażone były w ostatnich latach owym obsesyjnym i mimowolnym przekonaniem, związki pełne udręki, jeszcze nie całkiem obojętne, jakimi przypuszczalnie będą niebawem. W tych latach, kiedy okresowo przebywałem w określonym charakterze w mieście, w którym żyje Berta, przez jej dom przewinęło się sporo rozmaitych osobników (w większości Amerykanie, trochę Hiszpanów, trafił się nawet jeden Argentyńczyk; większość docierała tu odprowadzając ją, inni dzwonili i umawiali się na miście, niewielu przychodziło po nią, co poniektóry miał nawet klucze), którzy nie okazali najmniejszego zainteresowania moją osobą, a tym samym nie okazywali najwidoczniej zainteresowania jej osobą (zainteresowania na dłuższą metę; chcę powiedzieć, że człowiek pragnie poznać, a nawet być miłym wobec przyjaciół osoby, z którą być może spędzi razem trochę czasu). Każdy z owych osobników rozczarował ją lub opuścił, najczęściej już po jednej spędzonej wspólnie nocy. Z każdym z tych osobników wiązała jakieś nadzieje i nie było żadnego, z którym nie wiązałyby jakichś dalszych planów, nawet podczas pierwszej nocy, która niemal zawsze zapowiadała się jako noc ostatnia i rzeczywiście zawsze tę zapowiedź spełniała. Coraz trudniej jest jej zatrzymać kogokolwiek, lecz z coraz większą euforią usiłuje tego dokonać (jeszcze nie wybiła, tak sobie mówię, godzina zarówno całkowitej obojętności, jak i cynizmu).

Kiedy byłem tam po moim ślubie, od połowy września do połowy listopada, od dwóch lat mniej więcej próbowała spotykać się z mężczyznami za pośrednictwem agencji, a od roku wysyłała swoje ogłoszenia do działów kontaktów osobistych (*personals* się nazywają) wybranych gazet i pism. Nagrała sobie taśmy wideo dla agencji, które z kolei – po uiszczeniu opłaty – wysyłano do zainteresowanych kimś takim jak ona. Wyrażenie absurdalne, ale takiego właśnie się używa i używa go również Berta, „osoby zainteresowane kimś takim jak ja”, to znaczy, Berta upodabniająca się do jakiegoś założonego, ale nieistniejącego modelu, zamiast kreowania własnego. Na wideo tym Berta mówi, siedząc na swojej sofie (pokazała mi je, zachowała oryginał, ci z agencji robili i wysyłali kopie), jest na nim ładna, bardzo elegancka, wygląda na osobę opanowaną i spokojną, wydaje się młodsza, mówi po angielsku twarzą do kamery, pod koniec wypowiada parę konwencjonalnych zdań po hiszpańsku, by zainteresować innych, ewentualnie samotnych, Hiszpanów, mieszkających tu na stałe lub czasowo, albo takich, którzy lubią odrobinę egzotyki, albo tych, których w Ameryce nazywają *hispanos*. Mówi o tym, co lubi, o swych upodobaniach, o swych przekonaniach (niewiele przekonań), nic o swojej pracy, wspomina o wypadku, wspomina o tym, że lekko utyka, z przeproszającym uśmiechem, wymagane było ujawnienie ewentualnych defektów fizycznych, żeby nikt nie czuł się oszukany; później widać, jak krząta się po mieszkaniu, podlewa kwiaty, kartkuje książkę (Kundera, błąd, fatalny błąd), z muzyką w tle (słyszać wiolonczelę Bacha w tle, banał), w kuchennym fartuchu, jak pisze listy przy biurku przy świetle elektrycznym. Są to krótkie taśmy, trzy, do pięciu minut, bardzo wyważone i spokojne. Ona również je (właśnie dlatego używam liczby mnogiej) otrzymywała po uiszczeniu niewielkiej opłaty, taśmy wideo mężczyzn, którzy widzieli albo i nie widzieli jej kasety i chcieli ją poznać, albo dać się poznać nieznanym kobietom. Otrzymywała parę takich kaset w tygodniu, podczas mego pobytu oglądaliśmy je razem, śmieliśmy się, służyłem jej moimi radami, aczkolwiek czułem się całkowicie niezdolny udzielać jej tych

rad na serio, wydawało mi się to wszystko wyłącznie zabawą, trudno mi było uwierzyć, że Berta może w ogóle czegokolwiek oczekiwać od któregokolwiek z tych osobników. Muszą to być zupełnie normalni faceci, dziwni i podejrzani, myślałem sobie, żeby bawić się w coś tak cudacznego. Ale gdy o tym myślałem, zapominałem, że Berta też się w to bawi, a przecież była moją przyjaciółką, całkowicie godną mojego zaufania. Agencja była poważnym przedsiębiorstwem, a przynajmniej na takie wyglądała, wszystko było pod kontrolą do dnia pierwszego spotkania, niczego w skrajnie złym guście, cenzurowali wideo, jeśli zachodziła taka potrzeba, wszystko wyważone i spokojne. W korespondencyjnych kontaktach osobistych już było inaczej, tu nikt nikogo nie kontrolował, nie było żadnego pośrednika i natychmiast wkraczano w materię cielesną, korespondenci prosili natychmiast o niedwuznaczne wideo, a następnie lubieżne, używali śmiałych słów, sypali odrażającymi dowcipami, w których Berta nie widziała już nic zdroźnego, nic nie jest odrażające w tym, w czym się uczestniczy; nic, co przeradza się w nawyk. Szybko przestała niemal interesować się tym, co nadchodziło z agencji, choć nadal prosiła o taśmy, dla podtrzymania wiary, że może jeszcze liczyć na świat pełen wyważenia i spokoju, prowadząc w zamian bogatą korespondencję i wymieniając się taśmami wideo z dziwnymi, albo raczej zupełnie normalnymi mężczyznami, ludźmi posiadającymi twarz i ciało, ale nie posiadającymi jeszcze imion, ludźmi z inicjałami albo z pseudonimami, pamiętam niektóre z tych, o których mi mówiła, „Taurus”, „VMF”, „De Kova”, „The Graduate”, „Weapons”, „MC”, „Humbert”, „Sperm Whale” albo „Gauczo”, takie były ich przydomki. Wszyscy uśmiechali się do kamery bez żenady, domowe wideo, niewątpliwie sami się filmowali, sami w domu, mówiąc do ściany, do nieznanej, jeszcze nieznanej osoby, a kto wie, kto wie, a może i do świata całego, który nic o nich nie wiedział i wiedzieć nie chciał. Niektórzy wypowiadali swoje kwestie z poduszki, leżąc na łóżku, w majtkach lub w kąpielówkach, z brzuchem wciągniętym, z torsem wysmarowanym olejkami, jakby byli kulturystami. Ale nie byli. Ci

najodważniejsi (im starsi tym zuchwalsi) stawali nago przed kamerą, na baczność niemal, ale mówili, jakby nigdy nic, nie czyniąc najmniejszej aluzji do tego, co nazbyt często nie stanowiło żadnego powodu do chluby. Berta śmiała się na ich widok i ja też się śmiałem, ale z przykrością, bo wiedziałem, że Berta obśmiawszy się, odpowie któremuś z nich i wyśle mu swoje wideo, i umówi się, i nawet przyprowadzi go do domu. A w takich momentach, zamknawszy drzwi i wrzuciwszy klucz do torebki, nadal będzie prostować swój chód i, mimo że już u siebie w domu, nie ustanie w wysiłkach, aby skryć swoje kuśtykanie, przynajmniej dopóki nie dotrze do sypialni, łóżko nie jest do chodzenia.

W dwa tygodnie po moim przyjeździe do Nowego Jorku, w roku mego ślubu (to był koniec tygodnia, już drugi i już z widocznymi oznakami gromadzącego się zmęczenia), Berta pokazała mi list, wysłany na skrytkę pocztową specjalnie przez nią wynajętą dla korespondencji *personals*. Gdy przebywałem w Nowym Jorku, dawała mi je zazwyczaj do czytania, pragnąc podzielić się ze mną płynącymi z nich uciechami (strapieniem nie dzieliła się już później tak chętnie), ale w tym przypadku chciała również sprawdzić, czy w tym liście widzę to samo, co ona.

– Co o tym myślisz – powiedziała, podając mi go.

List napisany był po angielsku, na maszynie i nic w nim specjalnego nie było, ton był swobodny, ale grzeczny, nawet wstrzeźliwy, rzec można, jak na tego rodzaju korespondencję. Osobnik natrafił na ogłoszenie Berty w dziale *personals* jakiegoś miesięcznika i wyrażał swoje zainteresowanie nawiązaniem kontaktu. Zaznaczał, że przebywać będzie w mieście przez parę miesięcy (co, jak sam przyznawał, mogło stanowić zachętę, ale i przeszkodę z drugiej strony) i dodawał, że tym niemniej na Manhattan przyjeżdża z dość dużą częstotliwością, parę razy w roku (co jest wielce obiecujące i wygodne, mówił, bo stanowi gwarancję, że nie będzie mowy o zmęczeniu). Jakby nie miał wprawy w pisaniu

tego rodzaju listów i nie wiedział, że przyjęte jest, iż z początku używa się wyłącznie pseudonimu lub przydomka lub inicjałów, więc z góry prosił o wybaczenie, że podpisuje się jedynie „Nick” (podpis ręcznie) i usprawiedliwiał się dodając, że w związku ze swą pracą „na arenie lub niwie zbyt widzialnej lub eksponowanej” („as I work in a very visible arena”, tak brzmiały dokładnie jego słowa) powinien chwilowo zachowywać się nader dyskretnie, jeśli nie powściągliwie, jeśli nie tajemniczo. Tak mówił „jeśli nie powściągliwie, jeśli nie tajemniczo”.

Po przeczytaniu listu powiedziałem Bercie to, czego oczekiwała:

– Ten list napisał Hiszpan.

Angielski był poprawny, w miarę, ale dawało się wyczuć pewną nieporadność, jeden błąd był ewidentny, sporo zaś zwrotów było nie tyle nieangielskich, ile po prostu były kalkami z kastylijskiego: tak Berta, jak ja, jak Luiza jesteśmy przyzwyczajeni do wylapywania owych kalek naszych ziomków, kiedy mówią lub piszą w obcych sobie językach. Ale jeśli ów mężczyzna był Hiszpanem, to zwracanie się do Berty po angielsku zakrawało na szczególne dziwactwo lub absurd, bo ogłoszenie, które zamieszczała i co miesiąc opłacała w owym piśmie przede wszystkim mówiło o jej pochodzeniu: „Young woman from Spain...”, tak się bowiem zaczynało, choć trochę się wstydziła, gdy miało dojść do spotkania, że ma czelność przedstawiać się nadal jako „young”: szykując się na nie, stwierdzała, że wygląda okropnie, wszędzie dostrzegała wyłącznie zmarszczki, nawet po kolagenie, nawet tam, gdzie ich nie było. W liście „Nicka” intrygowała ją szczególnie „arena bardzo widzialna”. Muszę przyznać, że od czasu, gdy zaczęła nawiązywać wstępne czy przedwstępne kontakty z nieznanymi, nigdy nie widziałem jej tak podnieconej po otrzymaniu nowego odzewu na jej ogłoszenie. „Arena bardzo widzialna!”, wykrzykiwała raz za razem, trochę się śmiejąc, co po części spowodowane było pretensjonalnością i komicznością sformułowania, a po części wynikało z entuzjazmu wobec kolejnej

nadziei. „Gdzie on pracuje? Arena bardzo widzialna, to wyglada na kino albo na telewizje. Moze to spiker? Nie powiem, wielu z nich mi sie podoba, no tak, ale jezeli to Hiszpan, to nie mam pojecia, nie znam ich, ale moze ty ich znasz?” Zaczynala nad czyms sie zastanawiac i po jakiejś chwili dodawala: „A moze to sportowiec albo polityk, chociaz nie, skadze, polityk nie mialby odwagi. Ale w Hiszpanii ludzie sie nie patyczkuja. Przyznac sie, ze sie pracuje na arenie bardzo widzialnej, to tak jakby przyznac, ze jest sie slawnym. Dlatego pewnie chce z poczatku uchodzic za Amerykanina. Kto to moze byc?”

– Być może cała ta arena to fałszywy trop, pułapka, żeby zaprezentować się w jak najlepszym świetle i wzbudzić zainteresowanie. Jak widać na twoim przykładzie, w pełni mu się to udaje.

– Być może, w każdym jednak razie wyrażenie jest zabawne. Arena. To bardzo amerykańskie, ale skąd to wziął, jeśli jest Hiszpanem?

– Z telewizji, skąd człowiek uczy się wszystkiego. Być może wcale nie jest sławny, tylko jemu się tak wydaje. Moze to makler giełdowy albo lekarz, a moze przedsiębiorca, i wydaje mu się, że jest kimś ważnym, a tym samym, że zajmuje eksponowane stanowisko, gdy w rezultacie nikt takich ludzi nie zna, a szczególnie tu, w Ameryce.

Przyklaskiwałem jej odkrywczym pomysłem i złudnym nadziejom, bo była to jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić. Właśnie, jedyną rzeczą jaką mogłem zrobić to słuchanie jej, okazywanie zainteresowania jej światem, dodawanie otuchy, przykładanie wagi do tych samych rzeczy, do których ona przykladała i nieokazywanie pesymizmu, to naczelna zasada przyjaźni, jak mi się wydaje.

– Moze to piosenkarz? – mówiła.

– A moze pisarz? – odpowiadałem.

Berta przesłała odpowiedź na skrytkę pocztową podaną przez „Nicka”, „P.O.Box”, tak nazywa się skrytka po angielsku, używają ich wszyscy, miliony skrytek rozsiane są po całym kraju. O ile jednak, w czasie mej bytności w Nowym Jorku, Berta pokazywała mi każdy list, każde wideo każdego ze swych korespondentów, o tyle nie czyniła tego ze swoimi pisemnymi odpowiedziami, które wysyłała, nie zachowując kopii i nie pozwalając mi do nich zajrzeć, i świetnie to rozumiem, bo można od biedy znieść pobłażliwy osąd własnych uczynków nie widzianych nigdy w całości i zanikających przecież, ale nie własnych słów czytelnych w całej swej okazałości i trwałych (nawet gdyby bezpośredni osąd miał być bezwiedny i życzliwy ze strony osoby, która ów osąd formułuje, ale go nie wyraża). Parę dni później nadeszła odpowiedź na jej odpowiedź, czyli kolejny list, którego mi nie pokazała. Odpowiedź ta napisana była w nieodmiennie przyzwoitej, choć niepewnej angielszczyźnie, a więc w języku, w którym i Berta odpisała, żeby, jak mi powiedziała, nie urazić jego lingwistycznych ambicji i nie rozczarowywać, ale była znacznie krótsza od pierwszego listu i bardziej chutliwa, jakby moja przyjaciółka dała mu do tego pretekst, a może nie, może w następnym podejściu owo minimum wymaganych i nieodzownych przy nawiązywaniu kontaktu form przejawiało skłonność do zaniku. List ten podpisał nie jako „Nick”, tylko jako „Jack”, imię, które „na bieżący tydzień” bardziej mu pasowało, twierdził, i podpis znowu był odręczny, „c” i „k” były identyczne w obydwu. Już prosił ją o wideo, żeby poznać jej twarz i głos, i przeproszał, że jeszcze nie wysyła swojego (co oznacza, że Berta pierwsza go o to prosiła): ale będąc wciąż na etapie instalowania się w mieście w związku z planowanym pobytem dwumiesięcznym, nie znalazł czasu, by nabyć kamerę lub zasięgnąć informacji, gdzie wideo takie mogliby mu zrobić, przyśle je następnym razem. Tym razem nie było żadnego odniesienia do jego areny i niczego więcej o sobie nie opowiadał, jedynie trochę mówił o Bercie, której poświęcił odrobinę miejsca, by przez chwilę (trzy linijki) wyobrazić ją sobie w jej intymności. Ponadto używał przekomicznych, a niewulgarnych określeń, zdania żywcem przenie-

sione z rzewno-słodkich piosenek: „Wyobrażam już sobie moment, kiedy będę cię rozbierał i pieścił delikatną skórę”, coś takiego. Dopiero na końcu, tuż przed podpisem, „Jack” zęgnął się z łobuzerską brutalnością, jakby już nie mógł się powstrzymać: „Chcę cię jebać”, walił po angielsku. Ale odniosłem wrażenie, że zostało to napisane na zimno, jakby w formie bezlitosnego przypomnienia, żeby sobie Berta czasem nie pomyślała, że to mogło nie figurować w układanym przez nich programie. A może był to sposób na zatarcie wcześniejszych śmieszności rzewno-słodkich albo próba wysondowania wytrzymałości i słownictwa (tolerancja leksykalna) swego korespondenta. Bercie nie brakowało wytrzymałości i poczucia humoru wobec tych i więcej rzeczy: wciąż się śmiała, świeciły się jej oczy, kuląła mniej, czuła się dowartościowana, zapominając przez chwilę, że dla tego mężczyzny, który jej pragnął albo chciał ją jebać, była wciąż tylko i wyłącznie paroma literami, inicjałami, zapowiedzią kogoś, „BSA”, słowami napisanymi w języku, który nie był ani jej, ani jego językiem; i że z chwilą, gdy wreszcie ją zobaczy lub zobaczy jej wideo, a ona stanie się kimś więcej, może się zdarzyć, że przestanie być pożądana, a nawet jebliwa, jak już jej się to niejednokrotnie przydarzało; i że po zaspokojeniu pożądania – o ile doszłoby do zaspokojenia – może zostać odrzucona, jak spotykało to ją niemal za każdym razem, od dawna, choć nie wiedziała lub nie chciała wiedzieć dlaczego.

Świadoma była tego wszystkiego (po chwili), ale odpowiedziała „Jackowi”, tak jak odpowiedziała „Nickowi” i posłała mu kopię swego wideo z agencji, i zaczęła czekać. W dniach oczekiwania była nerwowa, ale i ożywiona, bardzo dla mnie czuła, tak jak potrafią być czułe kobiety, kiedy żyją jakąś nadzieją, chociaż Berta zawsze odnosi się do mnie z czułością. Pewnego wieczoru, gdy wróciwszy z pracy przed nią, wziąłem pocztę z jej skrzynki, zdradziła się jak nigdy wcześniej. Ledwo otwarłszy drzwi i wrzuciwszy klucze do torebki (i nie oddawszy się natychmiast domowej krzątaninie, bo nie mogła,

zaprzątnięta jedną tylko myślą), natychmiast ruszyła w moją stronę i z miejsca, nie witając się nawet, zapytała:

– Wzięłeś pocztę, czy nic nie było?

– Wziąłem. Poczta do ciebie jest na stoliku. Ja dostałem list od Luizy.

Szybko znalazła się przy stoliku i przejrzała koperty (jedną, drugą, trzecią), i odłożyła, i nie otworzyła żadnej, póki nie zdjęła płaszcza, nie zajrzała do łazienki ani do lodówki i nie założyła mokasynów, w których jeszcze trudniej było jej utrzymać równowagę. Tej nocy nie wyszliśmy, ani ona, ani ja, na miasto i podczas gdy ja oglądałem teleturniej *Family Feud*, a ona czytała (nie Kunderę, na szczęście), powiedziała mi:

– Ale ze mnie idiotka, coś ze mną niedobrze, zapominam o wszystkim, myślałam, że w skrzynce może być coś od Areny Widzialnej. A przecież jeśli odpisze, to na skrytkę, a nie pod ten adres, bo go nie zna, tak jak nie zna mojego imienia i nazwiska, no, ale skoro się nie myśli. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Jak myślisz, odpowie?

– Odpowie, odpowie. Jak może nie odpisać po obejrzeniu cię na wideo – odpowiedziałem jej.

Nie odezwała się, zaczęła oglądać ze mną kolejną konkurencję w *Family Feud*, Później powiedziała:

– Za każdym razem, kiedy czekam na odpowiedź, przeraża mnie myśl, że jej nie będzie, ale również myśl, że nadejdzie. Wszystko później jest katastrofą, ale dopóki wszystko dopiero ma się stać, odnoszę wrażenie absolutnej czystości i nieskończonych możliwości. Czuję się, jakbym miała piętnaście lat, zero sceptycyzmu, to dziwne. Nie jestem w stanie nie robić sobie nadziei. Większość tych facetów, z którymi się spotykam to niewyjściowe typy, odrażające, i czasem wychodzę w końcu z nimi i idę z nimi na kolację, i nie tylko, wyłącznie dlatego, że poprzedzani są

oczekiwaniem i listami, w każdym innym przypadku nie przeszedłabym nawet przez ulicę w towarzystwie żadnego z nich. Przypuszczam, że wobec mnie odczuwają to samo. – Przerwała na chwilę, a może czekała na kolejne pytanie w *Family Feud*. I kontynuowała: – Dlatego stanem idealnym jest stan oczekiwania i niewiedzy, najgorsze jest to, że gdybym wiedziała, iż stan taki trwać może w nieskończoność, pewnie przestałby mi się podobać. Sam zobacz, nagle pojawia się facet, który, nieważne z jakiego powodu, sprawia mi szczególną frajdę, choć nic o nim nie wiem, jak ów Nick czy Jack, o co mu chodzi z tą zmianą imion, rzadki przypadek. Dopóki go nie znam, a szczególnie, póki nie zobaczę jego wideo, o ile je przyśle, czy jego zdjęcia, czuję się niemal szczęśliwa. Od dłuższego już czasu to jedyne dni, w czasie których czuję się naprawdę zadowolona i radosna. Później przysyłają mi te prześmieszne kasety, które w ich mniemaniu mają być bardzo śmiałe; to plaga to wideo, ale mimo wszystko i tak najczęściej się z nimi umawiam, myśląc, że wszystko to, co poprzedza bezpośrednio spotkanie, w rzeczywistości się nie liczy. To zbyt nienaturalne, myślę sobie, ludzie zachowują się zupełnie inaczej, kiedy spotykają się twarzą w twarz. Tak jakbym dawała im jeszcze jedną szansę, puszczając w zapomnienie to, czego nie wykorzystali przy pierwszej okazji, albo jakbym tę szansę dawała samej sobie. To ciekawe, ale wideo, pomimo sztuczności sytuacji, w jakiej jest zazwyczaj nagrywane, nigdy nie kłamie. Zważ, że wideo ogląda się bezkarnie, jak telewizję. Nigdy nie przyglądamy się komuś bezpośrednio z taką uwagą i z takim tupetem, bo wiemy, że w każdej innej sytuacji ten drugi też na nas patrzy albo że może nas przyłapać na tym, iż go ukradkiem podpatrujemy. To diabelski wynalazek, zniszczył ulotność tego, co się zdarza, możliwość oszukiwania się i przeinaczania na dowolny sposób tego, co się naprawdę zdarzyło. Zniszczył wspomnienie, niedoskonałe i poddające się manipulacji wspomnienie, selektywne i zmienne. Teraz człowiek nie może wspominać tego, co jest zarejestrowane, jak mu w duszy gra, no bo po co wspominać, jeśli wie, że może to, po prostu, znowu zobaczyć, nawet w tempie wolniejszym niż miało to

miejsce w rzeczywistości. Nijak nie da się tego przeinaczyć. – Berta mówiła z trudem, chromą nogę osłaniała na fotelu własnym ciałem, a w rękę trzymała książkę, jakby nie była jeszcze zdecydowana czy przerwać lekturę, czy przerwać oglądanie mojego teleturnieju: mówiła, tym samym jakby w nawiasie, to znaczy wcale nie chcąc aż tyle mówić. – Dobrze przynajmniej, że filmuje się tylko niektóre momenty z całego życia, ale momenty te, popatrz, nigdy nie kłamią, bardziej ze względu na spojrzenie osoby, która je obserwuje niż z powodu przypuszczalnego autentyzmu filmowanej sceny. Kiedy oglądam wideo tych mężczyzn, żal mi serce ściska, choćbym i zaśmiewała się do łez, i później wychodziła z niektórymi z nich. Żal mi serce ściska, a jeszcze bardziej, kiedy ich widzę, jak przychodzą w swych wystudiowanych i okropnych garniturach, z prezerwatywami w kieszeni, żadnemu nie zdarza się o nich zapomnieć, bo wszyscy myślą: „Well, just in case”. Gdyby choć jeden z nich nie pomyślał tego, pierwsza noc mogłaby okazać się jeszcze gorsza, a może zakochałabym się w nim. Tak, teraz znów mam nadzieję i jestem oczarowana tym Nickiem czy Jackiem, dziwnym Hiszpanem, który pragnie uchodzić za Amerykanina, to chyba zabawny facet, no i ta jego arena widzialna, no, komu wpadłoby do głowy z czymś takim się wyrywać? Jakoś mi lepiej w tych dniach, a nawet radośniej, bo czekam na jego odpowiedź i czekam na jego wideo, no tak, zgoda, i dlatego, że jesteś tutaj. I co będzie? Ano, jego wideo będzie ohydne, ale przejrzę je parę razy i w końcu się do niego przyzwyczaję, w końcu przestanie wydawać mi się aż tak fatalny, a jego wady zaczną mnie w końcu urzekać, bo taki to i jedyny pożytek z możliwości powtórzenia, które zniekształca wszystko i przekształca w coś bliskiego i znajomego; to, co odpycha w życiu, zaczyna w końcu przyciągać, jeśli widzisz to ileś razy na ekranie telewizora. Ale ja, tak w głębi, będę wiedzieć, że tej twarzy chodzi jedynie o to, by mnie pewnej nocy przejechać i tyle, co zdażył mi już zapowiedzieć, a później zniknie, i za jedno, czy mi się spodoba czy nie, za jedno, czy będę chciała, żeby zniknął, czy nie będę tego chciała. Chcę go zobaczyć i nie chcę zobaczyć, chcę go poznać i chcę, żeby nadal

pozostał kimś nieznanym, chcę, żeby mi odpowiedział i chcę, żeby jego odpowiedź nigdy nie nadeszła. Ale jeśli nie nadejdzie, wpadnę w rozpacz, w dołek, pomyślę, że kiedy mnie zobaczył, nie spodobałam mu się, a to zawsze boli. Nigdy nie wiem, czego mam chcieć.

Berta, nie zdając sobie z tego sprawy, zakryła twarz otwartą książką: poczuwszy dotyk papieru wypuściła książkę z rąk i zakryła twarz rękoma, zgodnie ze swym zamiarem. Nie płakała, zasłaniała się tylko trochę, przez chwilę. Przestałem oglądać *Family Feud*, wstałem i podszedłem do niej. Podniosłem książkę z podłogi i położyłem dłoń na jej ramieniu. Ujęła ją i pogłaskała (ale to była sekunda), by następnie bardzo powoli ją zdjąć albo odepchnąć delikatnie.

Nie było twarzy na wideo „Nicka” czy „Jacka”, który za trzecią sposobnością raczył nazywać się „Bill”, „być może będzie to moje ostateczne imię, a może nie”, pisał nieodmiennie po angielsku na karteczce załączonej do wideo, a „i” było identyczne z „i” Nicka. Być może kaseta nadeszła tego samego dnia, w którym nie była w stanie nadejść do domu i oczywiście nie nadeszła, tylko Berta odebrała ją dwa dni później, kiedy zajrzała do swej skrytki w najbliższym urzędzie pocztowym, gdzie otrzymywała swoją bardzo osobistą, a zarazem raczej bardzo bezosobową korespondencję. Była jeszcze w płaszczu, kiedy wszedłem owego wieczoru do domu, przyszła parę minut przede mną, pewnie przyszedłbym przed nią, gdyby nie zaszła na pocztę i nie zaczęła nerwowo, tracąc nawet nieco czasu, przekręcać kluczyka w zamku srebrzystej skrzynki. Miała w ręku paczkę (paczkę w kształcie taśmy wideo), uniosła ją i, uśmiechając się, potrząsnęła nią, żeby pokazać mi, żeby mi zakomunikować. Stała nieruchomo, więc nie utykała.

– Obejrzymy to razem po kolacji? – zapytała mnie pewna odpowiedzi.

– Dziś wieczorem mam kolację na mieście. Nie wiem, o której wrócę.

– Dobra, jeśli wytrzymam, to poczekam do twojego powrotu. A jeśli nie wytrzymam, to zostawię ci kasetę na telewizorze i obejrzysz ją sobie później, przed snem, a jutro sobie o tym porozmawiamy.

– A nie możemy zobaczyć jej teraz?

– Nie, nie jestem jeszcze gotowa. Chcę jeszcze parę godzin poczekać, chcę się nacieszyć tym, że wiem, że mam kasetę, ale nie muszę jej jeszcze oglądać. Będę czekać na ciebie jak długo się da.

Gotów byłem odwołać swoje spotkanie. Berta wolała obejrzeć wideo ze mną, żeby czuć podczas jego oglądania, że jest pod opieką albo żeby przydać mu wagi wizualnej, którą werbalnie przydawała już od wielu dni. To było wydarzenie, może nawet uroczystość, nie wolno lekceważyć tego, do czego przyjaciele przykładają jakąkolwiek wagę. Ale moje spotkanie miało charakter spotkania niemal roboczego, wysokiej rangi urzędnik hiszpański, przyjaciel mego ojca, przebywający z wizytą w mieście, z angielskim do zaakceptowania, nie najpewniejszym jednak, poprosił czy nie przyjąłbym zaproszenia jego żony i jego (ona młodsza) na kolację z drugim małżeństwem, senatorem amerykańskim i jego amerykańską żoną (ona młodsza), by dotrzymać towarzystwa paniom, podczas gdy panowie konwersować będą o swych mętnych interesach, a przy okazji służyć mu pomocą w angielskim na wypadek gdyby, co było możliwe, takiej pomocy potrzebował. Panie były młodsze, owszem, ale również były frywolnie pokreconymi wariatkami, które po kolacji uparły się, że teraz czas na tańce i dopięły swego: tańczyły ze mną i z innymi osobnikami ileś godzin (nigdy z zatopionymi w swych mętnych brudach mężami) i przytulały się bardzo, ale to bardzo, szczególnie Hiszpanka, której piersi wbijające się w moją pierś wydawały mi się być z czystego silikonu, może jak drewno namoczone, nie śmiałem sprawdzić tego namacalnie. Obie pary pieniędzy miały w bród, światowe życie prowadziły i prowadziły interesy, wstrzykiwały plastiki, rozprawiały o Kubie ze znajomością rzeczy, bywały w miejscach, w których wszyscy tańczą przytuleni. Wróciłem do domu

po drugiej, na szczęście jutro była sobota (fakt, tylko ze względu na to, że kolacja była w piątkowy wieczór, zgodziłem się na nią). Świeciła się lampka, w której świetle Berta zwykła czytać i pewnie dziś czytała, i którą zazwyczaj zostawiała zapaloną, kiedy szła spać, a mnie jeszcze nie było, lub też ja zostawiałem zapaloną, jeśli było na odwrót. Nie chciało mi się spać, w uszach wciąż huczało mi od muzyki, w rytm której tańczyłem z obiema frywolnymi wariatkami, i od szumu męskich głosów przygotowujących plany dla nowej Kuby (wielokrotnie musiałem tłumaczyć, wysokiej rangi urzędnik państwowy miał jednak problemy). Spojrzałem na zegarek, wiedząc, która jest godzina i przypomniałem sobie wówczas zapowiedź Berty, „Będę czekać na ciebie jak długo się da”. Nie dało się czekać, aż się tańce skończą. Na telewizorze, jak uprzedziła, leżała kaseta z bilecikiem, bilecikiem „Billa” („być może będzie to moje ostateczne imię”), o którym już wspominałem. Taśma była krótka, jak zwykle taśmy tego rodzaju, zatrzymana była na końcu, nie została przewinięta. Włożyłem ją, by przewinać do początku, wciąż miałem na sobie płaszcz. Usiadłem na nim, przygniatając go, fałdy, nigdy nie należy tego robić, później człowiek tygodniami nie może się pozbyć wyglądu portretu pamięciowego. Włączyłem wideo i zacząłem oglądać, siedząc na swoim płaszczu. Przez trzy, cztery minuty obraz był wciąż taki sam, żadnej zmiany, kamera nieruchoma, a w kadrze widać było jedynie tors bez twarzy, ujęcie nie obejmowało głowy mężczyzny (widać było od góry jedynie szyję, wystającą grdykę), a u dołu dochodziło jedynie do pasa, sztywno, niemal na baczność wyprostowanej, postaci. Mężczyzna był w szlafroku kąpielowym, w bladoniebieskim szlafroku kąpielowym świeżo założonym albo świeżo upranym, mógł to być jeden z tych szlafroków, jakie oddają do dyspozycji swych klientów luksusowe hotele. Chociaż chyba nie, bo na wysokości piersi, z lewej strony, można było odczytać dyskretne inicjały „PH”, może nazywał się Pedro Hernandez. Widać było również jego przedramiona, trzymał je skrzyżowane ukrywając dłonie, rękawy szlafroka kąpielowego nie były zbyt długie, model kimono, nieokrywający owłosionych, mocnych i przypuszczalnie

długich ramion, skrzyżowanych, suchych, niemokrych, nie stanął przed kamerą prosto spod prysznicą czy prosto z wanny, być może szlafrok kąpielowy był sposobem na uniknięcie pokazania się w rozpoznawalnej czy w jakkolwiek znaczącej odzieży, ubraniowy anonim: jedyną widoczną i pewnie stanowiącą jego własność rzeczą był czarny i spory zegarek na prawym nadgarstku (dłonie ukryte pod ramionami), może leworęczny albo najzwyczajniej dziwak. Mówił po angielsku, nieodmiennie, ale akcent, jeszcze bardziej niż listy, zdradzał w nim Hiszpana. Niemożliwe, żeby ten człowiek wierzył w to, że może uchodzić za Amerykanina wobec Hiszpanki stale mieszkającej w Nowym Jorku i pracującej jako tłumaczka (ale on o tym nie mógł wiedzieć), mówiąc tak jak mówił; a jednak tak mówił, język jako przebranie, jako fałszywy trop, głos nieznacznie się zmienia, kiedy odzywa się w nie swoim języku, wiem, co mówię, nawet jeśli włada się nim nie najlepiej, ale bez wysiłku (mężczyzna nie mówił źle, miał tylko akcent). Rozchyłony nieco kołnierz szlafroka kąpielowego pozwalał dostrzec trójkąt jego piersi, również bujnie owłosionej, parę siwych włosów, ale tylko parę, owłosienie było zdecydowanie ciemne. W tym szlafroku kąpielowym, bujnie owłosiony przypominał mi Seana Connery'ego, wielkiego aktora, bohatera mojego dzieciństwa: kiedy robił za agenta z licencją na zabijanie, bardzo często pojawiał się na ekranie w ręczniku albo w szlafroku, albo w kimonie, o ile dobrze pamiętam. Natychmiast nałożyłem mężczyźnie bez twarzy oblicze Connery'ego, trudno słuchać kogoś w telewizorze nie wyobrażając sobie jego rysów. W pewnej chwili w kadrze pojawił się jego podbródek, opuścił go, na parę zaledwie sekund, jakby był przecięty, choć nie był, zarys dołeczka, wcięcie, wgłębienie w kości, ale nie na skórze, choć przez skórę przebijało (nie pamiętam, czy aktor Sean Connery ma przecięty podbródek). Przez ponad minutę widać było niemal nieruchomy obraz torsu ze skrzyżowanymi ramionami (ale oddychać – oddychał) i nie było nic słychać, jakby mężczyzna włączył kamerę, ale jeszcze nie czuł się gotów do wypowiedzenia swych słów, a może jeszcze je dobierał albo powtarzał w pamięci. W rzeczywistości

słyszeć było, cichutko w tle, jakąś muzykę, jakby gdzieś daleko włączony był radioodbiornik albo telewizor. Już chciałem przewinać taśmę do przodu, żeby sprawdzić, czy dalej następuje w ogóle jakaś zmiana i czy w ogóle jest tam jakiś przekaz, kiedy „BiU” wreszcie ruszył. Miał wibrujący głos. Choć znizony niemal do szeptu, był nieco ostry, prawie piskliwy, ten głos nie pasował do włochatego mężczyzny ani tym bardziej do Seana Connery'ego. Grdyka mu chodziła. Gdy mówił, robił dziwne pauzy, jakby wcześniej, zanim zdecydował się usiąść przed kamerą, napisał, prostymi i krótkimi zdaniami, swój tekst, a teraz go recytował. Powtarzał niekiedy te zdania, jednak nie sposób było się domyślić, czy robi to w charakterze środka retorycznego, czy też całkiem bezwiednie, poprawiając błędną wymowę. Efekty były ponure. Zdania nie tylko były krótkie jak rozkazy, ale jak rozkazy kategoryczne i ostre. Jego głos był jak piła. Jego głos był jak ten głos z Hawany zza balkonu i zza ściany, jak głos Guillerma, po angielsku William, a zdrobniale Bill, a nie Nick czy Jack. „Otrzymałem twoje wideo, dziękuję”, mówił głos w swojej zrozumiałej, choć zhispanizowanej angielszczyźnie, na którą przetłumaczył swój tekst i z której ja teraz, po jakimś czasie, tłumaczę. „To prawda, że jest obiecujące. Jesteś bardzo atrakcyjna. Ale w tym problem. Ze jest tylko obiecujące. To za mało. To za mało. Dlatego ja też wysyłam ci coś częściowego. Niekompletnego. Dla ciebie zobaczenie mojej twarzy byłoby tak jak dla mnie zobaczenie twojego ciała. Twojego ciała. Dla was, kobiet, twarz jest ważna. Oczy. Tak mówicie. Dla mężczyzn twarz z ciałem. Albo ciało z twarzą. Tak to jest. Mówiłem ci już, że pracuję na arenie bardzo widzialnej”. („A very visible arena”, powtarzał i ostatnie słowo wymawiał z hiszpańska, nie był w stanie tego uniknąć ze względu na hiszpańskie pochodzenie słowa. Odchyliłem się do tyłu. Płaszcz jeszcze bardziej mi się zmiętosił). „Bardzo widzialnej. Nie mogę ujawnić się nieznannej mi osobie tak po prostu. Jeśli nie jestem przekonany, że warto. Żeby przekonać się o tym, muszę zobaczyć cię całą. Całą. Muszę zobaczyć cię nagą. Najdokładniej jak można. Mówisz, że miałaś wypadek. Mówisz, że trochę utykasz. Trochę. Ale

nie pokazujesz mi, jak bardzo trochę jest to trochę. Chciałbym zobaczyć tę zranioną nogę. Jak wygląda po wypadku. Zobaczyć twoje cycki. Twoją cipę. Szeroko rozwartą, w miarę możliwości. Zobaczyć twoje cycki. Twoją cipę. Są pewnie cudowne. Dopiero, gdy je zobaczę, moglibyśmy się spotkać. Tak to jest. Jeśli twoje cycki, twoja cipa i twoja noga przekonają mnie, że warto ryzykować. Jeśli cię to nadal interesuje. Być może nie będziesz już chciała tego kontynuować. Pomyślisz, że jestem zbyt bezpośredni. Brutalny. Okrutny. Nie jestem okrutny. Nie mogę tracić zbyt wiele czasu. Nie mogę niepotrzebnie ryzykować. Podobasz mi się. Jesteś bardzo ładna. Naprawdę. Nie kłamię. Jesteś bardzo ładna. Ale po tym, co mi przysłałaś, wiem tak mało o tobie, jak ty o mnie teraz. Niewiele ciebie zobaczyłem. Nie jestem okrutny. Chcę zobaczyć więcej. Przyślij mi to. Przyślij mi. Wtedy dam ci się zobaczyć. Jeśli warto. Myślę, że będzie warto. Nadal chcę cię jebać. Teraz jeszcze bardziej. Teraz jeszcze bardziej. Tak to jest”. Nagranie trwało jeszcze parę sekund, już bez głosu, bez zmiany planu, włochaty trójkąt i skrzyżowane ręce, czarny zegarek na prawym nadgarstku, nieruchoma grdyka, która poruszała się przy mówieniu, dłonie schowane, nie mogłem dojrzeć, czy nosi obrączkę na palcu serdecznym, jak Guillermo, widziałem obrączkę z mojego balkonu. Następnie tors wstał i odchodząc w swoje lewo zniknął z pola widzenia (wciąż długi szlafrok), i przez parę jeszcze sekund mogłem zobaczyć to, co do tej pory zasłaniał, poduszkę, duże łóżko lub łożo małżeńskie niepościelone, u którego nóg usiadł, żeby się sfilmować. I natychmiast ekran pokrył się kaszą, a wskaźnik chronometryczny zatrzymał się, to była nowa taśma, z tych piętnasto-, dwudziestominutowych, które zaczynają wypierać listy, może zdjęcia, bo listy zostały już wcześniej wyparte. Gdy zgasilem ekran, pozbawiając się jego światła, dużo silniejszego od światła lampki do czytania, zobaczyłem za swoimi plecami Bertę, odbitą w ciemnym teraz szkle kineskopu i odwróciłem się. Stała w szlafroku, z sennym wyrazem twarzy lub raczej bezsennym, ile to już razy, zanim przyszedłem, oglądała tę taśmę i słuchała jej, a teraz wylazła z

sypialni, żeby jeszcze raz ją obejrzeć, teraz w moim towarzystwie albo towarzysząc mi w moim pierwszym oglądaniu wideo.

Trzymała ręce w kieszeniach szlafroka, była boso, włosy miała potargane, pewnie od nieustannego przewracania głowy na poduszce, ładnie wyglądała bez makijażu. Utykałaby, gdyby się ruszyła, była boso. Nie ruszyła się. Z głowy już mi uleciała muzyka moich tańców, ale nie Kuba z rozmów. Wyjęła dłonie z kieszeni i skrzyżowała ręce, identycznie jak zrobił to „Bill”, żeby przemówić do niej, ale nie dać się pokazać; oparła się plecami o ścianę i powiedziała mi:

– Sam widzisz.

Mój płaszcz zaczynał wyglądać jak psu z gardła. Wstałem.

– Właśnie widzę – odpowiedziałem.

Przez kilka następnych dni czekałem, żeby to Berta pierwsza o nim zagadnęła, o „Nicku” czy o „Jacku”, czy o „Billu”, czy o Arenie Widzialnej, a może o Pedro Hernandezie lub być może o Guillermie, tym od Miriam, choć tę możliwość zacząłem dość szybko odrzucać, nigdy bowiem nie ufamy naszemu pierwszemu wrażeniu, gdy dotyczy czegoś lub kogoś, kto wymusza na nas drugie wrażenie i trzecie, i kolejne, kogoś, czyje słowa lub obraz pozostają zbyt długo w naszej pamięci, niczym przebój taneczny chodzący nam po głowie. Ale w ciągu tych dni, w ciągu najbliższego weekendu (cała sobota i niedziela), Berta nic nie powiedziała albo nie chciała wywoływać tego tematu; jak kręciła się po mieszkaniu, tak i wyszła, jakby roztargniona, nie żeby w złym humorze, ale i nie w dobrym, bez owej radosnej nerwowości z dni pełnych oczekiwania, zadając mi nawet więcej niż zazwyczaj pytań o moje plany, o moje, wciąż dopiero co zawarte małżeństwo i o wciąż nowy dom, o mojego ojca, o Luizę, którą знаła jedynie ze zdjęcia i przez telefon. Jeśli ja często myślałem o „Billu”, myślałem sobie, to niemożliwe, żeby Berta o niczym innym nie myślała jak tylko o nim, to do niej mówił ze swego szlafroka, to ją chciał zobaczyć jeszcze bardziej i więcej, nim postanowi się z nią zobaczyć, ów mężczyzna, który łaknął tylu rękojmi. Nikt z nas nie użył aparatu wideo podczas owego weekendu, jakby miało to przynieść pecha albo było czymś skażone i kasetą „Billa” przeleżała w aparacie nietknięta przez nikogo, nieprzewinięta, w środku, ponownie zatrzymana w końcówce, a więc w stanie, w jakim i ja ją wpierw znalazłem, a później zostawiłem.

Ale już w poniedziałek, kiedy każde z nas udało się rano do pracy, wróciwszy wieczorem do domu zastałem Bertę, która musiała przyjść tuż przede mną (torebka jeszcze otwarta, w torebce klucz, płaszcz zdjęty, ale jeszcze na sofie), z wideo na ekranie. Przeglądała je po raz kolejny, włączając co chwila stop klatkę, zatrzymując to w jednym miejscu, to w drugim, zupełnie niepotrzebnie, bo, jak już

tłumaczyłem, obraz był wciąż ten sam przez trzy, cztery minuty nagrania. Dni były już dość krótkie, zmierzchało, był poniedziałek, praca w ONZ-ecie wykańczała mnie, sądziłem, że i Bertę wykańczała, po pracy potrzebna jest jakaś rozrywka, a nie słuchanie. Ale Berta słuchała i słuchała. Nic nie powiedziałem, przywitałem się tylko, udałem się do swego pokoju, potem do łazienki, odświeżyłem się, a gdy wróciłem do salonu, ona wciąż badawczo przeglądała taśmę, zatrzymując ją i na chwilę uruchamiając, by ponownie zatrzymać.

– Zauważyłeś, że w pewnej chwili widać mu podbródek? – powiedziała. – O, tutaj. – Miała obraz zastopowany w miejscu, w którym „BiU” pochyła podbródek wchodząc nim w kadr.

– Tak, zauważyłem to już, wtedy, w nocy – odpowiedziałem. – Ma podbródek prawie przecięty.

Wstrzymała się z następnym pytaniem przez sekundę (ale tylko przez sekundę).

– Po takim szczególe nie byłbyś w stanie go rozpoznać, prawda? To znaczy gdybyś się nagle z nim spotkał. Gdybyś zobaczył jego twarz w jakimś innym miejscu.

– A skądże, niemożliwe – odparłem. – A dlaczego pytasz?

– Nawet gdybyś wiedział, że o niego chodzi? To znaczy wiedząc przedtem, że to musi być on?

Przyjrzałem się zastygłemu na ekranie podbródkowi.

– Gdybym wiedział, może, może mógłbym to stwierdzić. A dlaczego?

Berta wyłączyła pilotem wideo i obraz zniknął (obraz, który mógł wrócić, gdyby tylko chciała). Znowu zaczęła mieć spojrzenie rozpalone albo ożywione.

– Słuchaj, ten facet mnie intryguje. To skurwiol, ale zastanawiam się, czy nie wysłać mu tego, o co mnie prosi. Nigdy

przedtem tego nie robiłam, z nikim, żaden się nie odważył poprosić o to w ten sposób, a ja nigdy, w odpowiedzi na jakąkolwiek sprośną inscenizację nie wysłałam własnej w tym stylu, chyba mi wierzysz. Ale, tak naprawdę, to może być całkiem zabawne wreszcie to zrobić. – Berta nie chciała wysilać się w szukaniu usprawiedliwień, dlatego przerwała i po prostu zmieniła ton, uśmiechnęła się. – W ten sposób moje ciało zostałoby zachowane dla potomności, choć byłaby to pewnie krótka potomność, wszyscy w końcu kasują taśmy i nagrywają na nich coś innego. Ale zrobiłabym sobie kopię na starość.

– Twoja noga też dla potomności, co? – powiedziałem.

– Jeśli chodzi o nogę, to jeszcze zobaczymy, a to skurwysyn jeden. – Rysy jej stężały przez chwilę, gdy klęła (ale tylko przez chwilę). – Ale zanim się zdecyduję, muszę go przedtem zobaczyć, wiedzieć o nim coś więcej, drażniący jest ten szlafrok bez twarzy. Muszę wiedzieć, jaki on jest.

– Ale nie będziesz go mogła zobaczyć, dopóki mu tego nie wyślesz, jak mówi, a i tak nie możesz mieć żadnej gwarancji. Będzie musiał się na to zgodzić, skurwysyn jeden. – Moja twarz tężała, jak sądzę, już od początku rozmowy, nie tylko podczas przeklinania. A może nawet od trzech nocy.

– Ja nie mogę już nic zrobić, bo on widział moje wideo i zna moją twarz. Ale ciebie nie widział; nawet nie wie, że istniejesz. Znamy numer jego skrytki pocztowej, do której musi od czasu do czasu zajrzeć. Wy badałam, gdzie to jest, skrytka jest na Kenmore Station, to niedaleko. Mógłbyś tam pójść, namierzyć skrytkę, mieć na nią oko, poczekać i zobaczyć jego twarz, kiedy przyjdzie odebrać pocztę.

Powiedziała: „Znamy”, włączała mnie w swoją ciekawość i w swoją sprawę, a może i więcej. Upodobała mnie do siebie.

– Zwariowałaś? A kto go wie, kiedy on tam zajdzie, dni całe może tam nie zachodzić. O co ci chodzi? Chcesz, żebym całutki dzień spędził na poczcie?

Spojrzenie Berty zamgliło się rozdrażnieniem. Wielka u niej rzadkość. Postanowiła już, co należy zrobić, nie znosiła sprzeciwu, nawet najdrobniejszych zastrzeżeń.

– Nie, nie o to mi chodzi. Chcę tylko, żebyś przez kilka najbliższych dni zajrzał tam, w wolnych chwilach, po wyjściu z pracy, pół godziny, może będziesz miał szczęście, nic więcej. Żebyś przynajmniej spróbował. A jeśli przez te kilka dni szczęście nie dopisze, trudno, damy sobie z tym spokój. Ale spróbować nie zaszkodzi. W tych dniach on będzie czekać na moją odpowiedź, wideo, którego mu jeszcze nie poślę, może codziennie będzie sprawdzać, czy już nie nadeszło. Jeśli jego pobyt związany jest z jakąś pracą, to najprawdopodobniej zajęty jest od dziewiątej do piątej, więc bardzo możliwe, że na pocztę zajdzie po pracy, po piątej, ja zazwyczaj tak robię. Może szczęście dopisze. – Znowu użyła liczby mnogiej, powiedziała „damy sobie z tym spokój”. Widocznie spojrzałem na nią z namysłem bardziej niż z oburzeniem, bo już uspokojona dodała: – Bardzo cię proszę – uśmiechnęła się. Półksiężyc, blizna jednak przybrała bardzo niebieską barwę: ledwie się powstrzymałem, by nie wytrzeć jej policzka.

Trzy razy poszedłem na pocztę przy Kenmore Station, pierwszy raz następnego popołudnia, po pracy, drugi raz po dwóch dniach, w czwartek tego samego tygodnia, również po wyczerpującym dniu tłumaczeń. Spędziłem tam nie pół godziny, jak proponowała Berta, ale, w obu przypadkach, niemal godzinę, padając ofiarą lęku ogarniającego tych wszystkich, którzy czekają na próżno, strachu przed tym, że tuż po naszym odejściu osoba, która tak długo zwlekała, zaraz nadejdzie, jak bez wątpienia przydarzyło się to Mulatce Miriam owego upalnego wieczoru w Hawanie, kiedy chyżo powłóczyła obcasem na drugą stronę esplanady, a Guillermo nie pojawiał się, a

ona nie odchodziła. Nie pojawił się Guillermo również we wtorek, ani we czwartek, czy „Bill” albo „Jack” lub „Nick” czy też Pedro Hernandez. Na szczęście w Nowym Jorku nie brakuje osobników zachowujących się podejrzanie, a nawet kryminogennie o każdej porze i w każdym miejscu, by ktokolwiek zwracał uwagę na osobnika w płaszczu, z gazetą i z książką, stojącego w urzędzie pocztowym, gdzie energiczni ludzie odbierali lub nadawali paczki, a od czasu do czasu wpadał tam ktoś pospiesznie, z kluczykiem w ręku, by otworzyć swoją posrebrzaną skrytkę, zapuścić w nią ramię, poszperać i wyjąć czasami stertę listów, a czasem wciąż pustą dłoń. Ale żaden z tych spieszących się osobników nie skierował się ku P.O. Box 524, którą od początku miałam namierzoną.

– Jeszcze raz – poprosiła mnie Berta w piątkowy wieczór, tydzień po otrzymaniu wideo; po siedmiu dniach to, co nas pociągnęło na dno, wyciąga potem na powierzchnię, zdarza się tak, niekiedy. – Jutro rano, w weekend, może jest tak zajęty, że może tam zaglądać tylko w soboty.

– Albo jest tak wolny, że wpadał tam codziennie o byle jakiej godzinie, kiedy mnie tam akurat nie było. To nie ma sensu, stałem tak kołkiem po godzinie za każdym razem.

– Wiem i jestem ci bardzo za to wdzięczna, nawet nie wiesz jak bardzo. Ale tylko jeszcze raz, proszę, spróbuj w weekend. A jeśli nie, to dajemy spokój.

– No dobrze, dajmy na to, że się pojawi i co? Co ci to da, że go zobaczę? Że ci go opiszę, tak? Nie jestem pisarzem. A skąd ja mogę wiedzieć, że ci się będzie mógł podobać. A poza tym mógłbym cię okłamać i powiedzieć ci, że jest przystojny, gdy w rzeczywistości będzie obrzydliwy, albo że jest obrzydliwy, a w rzeczywistości jest wielkiej urody, przecież i tak ci wszystko jedno. Nie pošlesz mu albo zrezygnujesz z wysłania tego, o co cię prosi, tylko dlatego, że mieć będzie taką, a nie inną, w zależności od mojego opisu, twarzyczkę. Co zrobisz, jeśli ci powiem, że to potwór, albo że ma wygląd

szubienicznika? Na jedno wyjdzie. Może najwyżej ci to powiem po to, żebyś nie wysyłała mu niczego i po prostu przestała się z nim zadawać.

Nie było reakcji Berty na moje ostatnie zdania, sędzę, że nie chciała sprawdzać, dlaczego wołałem, by przestała się zadawać, albo raczej wiedziała i miała po dziurki w nosie wysłuchiwanie tego rodzaju uwag.

– Nie wiem, nie mam pojęcia, jak zareaguję na to, co mi powiesz. Ale muszę wiedzieć coś więcej, znieść nie mogę, że ten facet widział moją twarz i mnie w moim domu, a ja figę, a nie jego twarz, i wszyscy figę, bo nikt jej nie widział, to znaczy ty jej nie widziałeś; Arena Widzialna, co za spryciarz. Jeśli tylko zdołasz go zobaczyć, to coś zdecyduję. Nie wiem jeszcze co, ale wtedy zadecyduję. Poszłabym sama, ale poznałby mnie, a wtedy już na pewno nie chciałby o niczym słyszeć.

W tym momencie dałbym każde pieniądze, żeby nie słyszeć o niczym.

Następnego dnia rano, w piątą sobotę mojego pobytu (to już październik), udałem się z ogromniastym „New York Timesem” na Kenmore Station, gotów odczekać kolejną godzinę albo i więcej: kto czeka, choćby i niechętnie, zaczyna w końcu ulegać pragnieniu, by wyczerpać wszystkie swoje możliwości do końca, a może czekanie przechodzi w nałóg. Identycznie jak we wtorek i w czwartek zająłem swoje miejsce obok kolumny, która służyła mi za oparcie, zarazem za osłonę, albo i za podporę, dzięki której mogłem dać wytchnienie, od czasu do czasu, jednej ze stóp (odchyliwszy nogę jak do kopnięcia) i zagłębiłem się w lekturze dziennika, nie na tyle jednak, by nie mieć oka na każdego pojawiającego się na poczcie osobnika, który podchodziłby do swojej skrytki i otwierał ją, już to opieszale, już to niecierpliwie, i zamykał ją z powrotem już to z zadowoleniem, już to z powstrzymywaną furją. Była sobota, więc i ruch mniejszy, i kroki na marmurowej posadzce rozbrzmiewały mniej bojaźliwie albo

łatwiej je można było wychwycić, co sprawiało, że wystarczało mi jedynie podnosić wzrok za każdym razem, gdy pojawiał się któryś z użytkowników P.O. Boxów. Po czterdziestu minutach (byłem już na stronach sportowych) rozległy się kroki zdecydowanie wyrazistsze i łatwiejsze do wychwycenia od pozostałych, jakby podeszwy miały metalowe blaszki albo kobieta wysokie obcasy. Podniosłem wzrok i ujrzałem zbliżającego się szybkim krokiem osobnika, który, ledwie go zoczyłem, wydał mi się Hiszpanem, ze względu na rodzime spodnie przede wszystkim, spodnie z mojego kraju są w mig rozpoznawalne i mają szczególny krój, nie mam pojęcia, na czym polega specyfika tego kroju, niemniej to on właśnie sprawia, że niemal wszyscy moi rodacy wyglądają, jakby mieli zbyt proste nogi, a tyłek za wysoko (nie jestem pewien, czy ten krój wpływa korzystnie na ich wygląd). (To wszystko przyszło mi jednak na myśl później). Nie musiał się rozglądać i szukać, tylko od razu podszedł do *mojej* skrytki 524 i zaczął szukać kluczyka w kieszeni patriotycznych spodni. Może otworzyć 523 albo 525, pomyślałem, podczas gdy szukał kluczyka (w kieszonce od zapalniczki, w kieszonce przy pasku, ale to trwało sekunde). Miał wąsy, był w sumie godziwie ubrany, bez wątplenia był Europejczykiem (ale równie dobrze mógł być z Nowego Jorku albo z Nowej Anglii), miał około pięćdziesięciu lat (ale dobrze się trzymał, a raczej, był dobrze utrzymany), w miarę wysoki, przeszedł obok mnie tak szybko, że kiedy chciałem przyjrzeć się jego twarzy, już mijały mnie jego plecy, już szukał kluczyka, już stał przy swojej skrytce. Instynktownie złożyłem gazetę (błąd), zacząłem go obserwować (kolejny błąd) i zobaczyłem, jak otwiera numer 524 i zanurza ramię w głębi przepastnej skrzynki. Wyciągnął kilka kopert, trzy lub cztery, żadna z nich nie mogła być jeszcze od Berty, wniosek: korespondował nie tylko z nią, może wszystkie jego korespondentki były wścibskimi kobietami, ludzie piszący do *personals* nie ograniczają się do jednej próby, choć w określonym momencie, jak teraz Berta (ale niekoniecznie „Bill”), mogą pewnie skupić się na jednym tylko osobniku i zapomnieć o reszcie, całkiem nieznanym. Zamknął skrytkę i odwrócił się, przeglądając koperty

bez oznak zadowolenia, ale i bez złości (jedna z nich wyglądała mi na paczkę, mogła to być kaseta, sądząc po kształcie i rozmiarach). Zatrzymał się po dwóch krokach, następnie znów ruszył, przyspieszając znów i gdy mnie mijał jego spojrzenie skrzyżowało się z moim, które nie było już wpatrzone w gazetę. Być może też rozpoznał we mnie Hiszpana, kto wie, czy nie po kroju spodni. Popatrzył na mnie patrząc, chcę powiedzieć, że przez chwilę utkwiał we mnie oczy z rozmysłem, a zatem, pomyślałem, jeśli znów mnie spotka, niewątpliwie mnie rozpozna (a ja jego). Z aktora Seana Connery'ego, prócz owłosienia, którego teraz nie demonstrował (miał na sobie marynarkę i krawat, i przewieszony przez ramię ciemny płaszcz, jak osoba, która wyskoczyła na chwilę z samochodu prowadzonego przez kogoś innego), miał tylko duże i nieukrywane zakola i brwi, które unosiły się srodze, a później opadały równie srodze i rozciągały się aż ku skroniom, przydając mu, jak Connery'emu, ostrego wyrazu. Nie zdołałem przyjrzeć się podbródkowi i porównać, ale czoło miał, owszem, pofałdowane widocznymi, choć nie postarzającymi zmarszczkami, przypuszczalnie gestykulujący mocno człowiek. Nie był brzydki, przeciwnie, prawdopodobnie był atrakcyjny, może nawet swoiście przystojny w swoistym typie mężczyzny wciąż zajętego i dojrzałego, i zdecydowanego, mężczyzny z pieniędzmi w bród, prowadzącego światowe życie (od niedawna być może): pewnie prowadzi interesy, być może bywa w miejscach, w których wszyscy tańczą mocno przytuleni, bez wątpienia rozmawia o Kubie ze znajomością rzeczy, jeśli to był Guillermo – Guillermo od Miriam. Ale nie wstrzykuje sobie plastików, nie pozwalałoby mu na to jego własne, ostre, świdrujące spojrzenie.

Pomyślałem, że mógłbym pośledzić go trochę, był to jakiś sposób na przedłużenie oczekiwania, które w rzeczywistości już się skończyło. Gdy zobaczyłem, jak opuszcza pocztę, gdy wykalkulowałem sobie, że zamykające się za nim drzwi wahadłowe przygłuszą odgłos moich butów na niedyskretnym marmurze, ruszyłem za nim

równie szybkim krokiem, by nie tracić dystansu. Stojąc już w drzwiach, zobaczyłem, jak podchodzi do taksówki i nie wsiadając do niej, płaci i odprawia ją, pewnie postanowił przespacerować się trochę, dzień był ładny (nie założył płaszcza, przerzucił go sobie przez ramię, zobaczyłem, że płaszcz był koloru ultramaryny, elegancik; ja już byłem w płaszczu, który jest w kolorze dla płaszczy tradycyjnym, czyli jasnobieżowym). Szedł przeglądając co jakiś czas koperty, nagle, nie zwalniając kroku, otworzył jedną z nich, szybko przeczytał jej zawartość, przedarł jedno i drugie, zawartość i kopertę, i wrzucił do mijanego w pędzie kosza. Nie odważyłem się szperać w koszu, wstyd mnie ogarnął na samą myśl, zresztą bałem się go zgubić. Szedł prosto przed siebie, patrzył przed siebie, jeden z tych mężczyzn, którzy zawsze noszą głowę wysoko, żeby zyskać na wzroście albo sprawiać wrażenie osoby dominującej. Wciąż trzymał w ręku pozostałe koperty i paczkę z kasetą wideo (to była kasetka, na pewno). Wówczas, przyjrzawszy się dłoni, zobaczyłem obrączkę na palcu serdecznym tej jego prawej dłoni, odwrotnie niż ja, bo ja noszę ją na lewej dłoni, od paru miesięcy, przyzwyczailem się już jakoś. Znowu, nie zwalniając kroku, otworzył kolejną kopertę i zrobił to samo, co z poprzednią, ale tym razem podarte resztki schował do kieszeni marynarki, być może dlatego, że nie było kosza pod ręką (kulturalny mężczyzna). Zatrzymał się, by rzucić okiem na wystawione w witrynie książki, w Scribner's, na Piątej Alei, o ile dobrze pamiętam; nic go widać nie zainteresowało albo jego uwagę przyciągnęła jedynie witryna, bo szybko ruszył dalej. Korzystając z tego chwilowego postoju założył płaszcz, nie, nie założył, ale narzucił na ramiona, nie wkładając rąk do rękawów, tak jak to robił przez całe życie i nadal robi Ranz, mój ojciec, za to nigdy tego nie zrobi wielu Amerykanów (gangsterzy wyłącznie, George Raft). Szedłem za nim w niewielkiej odległości, pewnie zbyt małej jak na zalecaną w takich przypadkach odległość, ale ja nigdy nikogo nie śledziłem. On nie miał co podejrzewać, choć nie przechadzał się, jak zwykle się przechadzać, szedł zbyt szybko, zatrzymując się jedynie na światłach i to też nie zawsze, w soboty jest mniejszy ruch. Szedł,

jakby mu się spieszyło, ale nie na tyle, by skorzystać z taksówki. Wracał sobie piechotą tam, dokąd wracał, ale było oczywiste, że miejsce powrotu ma już ustalone, być może pośpiech i potrzeba oczekiwania brały się z owej paczki trzymanej przezeń w dłoni, przypuszczalnie owa kasetka nie miała na kopercie żadnej adnotacji o nadawcy, a tylko bilecik wewnątrz, może „Bill” sądził, że to wideo mojej przyjaciółki Berty, „BSA” dla niego, może sądził, że w tej właśnie chwili niesie ją naga w swej dłoni. Znów się zatrzymał, tym razem przed megaperfumerią czy perfumerią-gigantem, prawdopodobnie dobrze odurzony zmasowanym zapachem, jakim buchały na ulicę wymieszane wonie wszystkich marek. Wszedł, a ja za nim (pomyślałem, że czekanie przy drzwiach na jego wyjście może jednak zwracać uwagę). Nie było tam ekspedientek, klienci krążyli z pełną swobodą, wybierali swoje wody i płacili przy wyjściu. Zobaczyłem, jak zatrzymuje się przy stoisku Niny Ricci i tam, oparłszy się na chwilę łokciami o szkło, otworzył trzecią kopertę i przeczytał, ale już wolniej, wysłany w niej list: tego listu nie podarł, wylądował w kieszeni płaszcza o tak pretensjonalnym kolorze (podarty list trafił do marynarki, to uporządkowany człowiek). Wziął tester, skropił lewy nadgarstek, na którym nie nosił zegarka, w ogóle nic. Odczekał przepisowe ileś sekund, a następnie delikatnie powąchał swój nadgarstek, bez szczególnego wrażenia, bo ruszył dalej, aż dotarł do innego, mniej reprezentacyjnego stoiska oferującego produkty przeróżnych firm. Tym razem pod Eau de Guerlain nadstawił drugi nadgarstek – pewnie opryskał czarny i duży zegarek. Powąchał (pasek od zegarka) po iluś tam sekundach przyjętej przez wtajemniczonych normy i chyba mu się zapach spodobał, bo zdecydował się nabyć flakonik. Zabawił jeszcze czas jakiś w dziale męskim, teraz testował dwa zapachy na zewnętrznych stronach jednej i drugiej dłoni, niebawem skażone będzie miał wszystko, co się da, przeróżnymi woniami. Wziął flakon amerykańskiej marki o biblijnej nazwie, Jerycho albo Jordan czy też Jordache, nie pamiętam, chciał zaznajomić się z produkcją lokalną. Ja wziąłem Trussardi kobiece, jak już jestem żonaty, to zawsze się przyda, pomyślałem (myślałem

często o Luizie), a równie dobrze mogłem podarować je Bercie (wzięłem drugi flakonik, pomyślawszy o tym). To właśnie wtedy, w kolejce do kasy (on w swojej kolejce, ja w swojej, a między nami jeszcze jedna kolejka, on już prawie przy swojej kasie, ja nieco dalej) odwrócił głowę i zobaczył mnie, i rozpoznał bez wątpienia. Jego oczy były świdrujące, a więc takie, jakimi wydały mi się już w urzędzie pocztowym, ale niczego w swym przeszywającym przenikaniu nie okazywały: ani zdziwienia, ani skrępowania, ani podejrzliwości (ani strachu, ani groźby), świdrujące, ale szklane, jakby jego przenikanie było ślepe, jakby był jedną z tych telewizyjnych postaci, które uważają się za głębokie osobowości zapominając, że nie mogą nimi być, wpatrując się cały czas w kamerę, nigdy zaś w kogoś. Wyszedł i znowu ruszył przed siebie, a ja, mimo wszystko, za nim, choć wiedziałem, że zostałem zdekonspirowany. Teraz, owszem, zatrzymywał się częściej, i udawał, że przygląda się kolejnym wystawom, że sprawdza czas swojego zegarka z czasem zegarów ulicznych i oglądał się za siebie, by sprawdzić, czy idę za nim, a ja musiałem udawać, że kupuję w budkach pisma i hot dogi, na które do pewnego stopnia i tak miałem ochotę. Ale jego marsz nie trwał długo: dotarłszy do 59 Ulicy „Bill” skręcił gwałtownie w lewo i straciłem go z oczu na parę sekund, a gdy dotarłem do miejsca, w którym możliwe było, że znowu znajdzie się w polu mojego widzenia, cudem zdołałem dostrzec, jak pokonuje biegiem schodki z markizą luksusowego Plaza Hotel i znika w drzwiach jeszcze całkiem żwawo, wśród ukłonów uniformów i czapek portierskich, którym się nie odklonił. W ręku trzymał swoje wideo i torebkę ze swoimi perfumami, a ja w swoich rękach różne pisma i ogromniastego „New York Timesa”, torebkę z moimi perfumami i hot dog. Dystans dzielący go od rogu do hotelu musiał pokonać w niezłym tempie, w nadziei, że dobiegnie, zanim zauważę, dokąd biegnie: Plaza Hotel, słynna nazwa, PH, dyskretne inicjały, szlafrok był pożyczony, a on nie nazywał się Pedro Hernandez.

To wszystko opowiedziałem Bercie, słowem oczywiście nie wspominając jej o moich domysłach, że osobnik ów jest być może tym samym osobnikiem, który kazał czekać i doprowadził pewnego wieczoru w Hawanie do wściekłości Mulatkę Miriam obdarzoną mocnymi nogami, ogromną torebką i gestem ucapienia, mężczyzną żonatym, i to z chorą żoną, a może zdrową. Berta wysłuchiwała wszystkiego z nieukrywaną zachłannością i z powstrzymywanymi oznakami triumfu (poczucie triumfu wynikało z ostatecznego sukcesu jej pomysłu: moich wizyt na Kenmore Station, przede wszystkim). Nie byłem w stanie jej okłamywać mówiąc, że „Nick”, „Jack” lub „Bill” jest potwornie obrzydliwy, bo nie był, i tak jej to powiedziałem. Nie mogłem jej również powiedzieć, że ma wygląd szubienicznika, bo nie miał, i tak jej powiedziałem, choć mnie osobiście niekoniecznie musiał się podobać jego nadęty płaszcz i jego świdrujące i nieodgadnione oczy, i jego brwi raz opuszczone, raz podniesione jak brwi Connery'ego, i jego wąs wypielęgnowany, i jego podbródek z cienistym dołeczkiem, i jego głos jak piła. Tym głosem pewnie prowadzi interesy i mówi o Kubie ze znajomością rzeczy. Tym głosem uwiódł Bertę. Nie podobał mi się. Bercie podarowałem pierwszy flakonik Trussardiego.

Minęło parę dni, podczas których ani Berta, ani ja nie wspomnieliśmy nawet o nim (ja perswadująco milczałem, ona zaś namyślała się), dni intensywnej pracy w Narodach Zjednoczonych: podczas jednej z przedpołudniowych sesji musiałem tłumaczyć przemówienie tego samego wysokiego rangą oficjela z mojego kraju, którego słowa przeinaczyłem, gdy poznawałem Luizę. Tym razem powstrzymałem się, byliśmy w Zgromadzeniu, ale podczas gdy przekładałem na angielski i w światowe słuchawki jego hiszpańską pompatyczność i jego meandryczne i błędne koncepty, siłą rzeczy przypomniałem sobie o ówczesnym spotkaniu i wyraźnie o tym, o czym mówiono wtedy za moim pośrednictwem, podczas gdy Luiza oddychała za moimi plecami (jej oddech tuż przy moim lewym uchu niczym szept, a jej pierś niemal muskała moje plecy). „Ludzie w

dużym stopniu kochają, bo ich się zmusza do kochania”, powiedziała wtedy angielska przywódczyni. A następnie dodała: „Jakikolwiek związek pomiędzy ludźmi to zawsze splot problemów, nacisków, zniewag, również i poniżeń”. I nieco później: „Wszyscy zmuszają wszystkich nie tyle do czegoś, czego nie chcemy, ile raczej do tego, o czym nie wiemy, czy chcemy, bo niemal nikt nie wie, czego naprawdę nie chce, a tym bardziej, czego chce naprawdę i nie ma sposobu, żeby się tego, właśnie tego, dowiedzieć”. I kontynuowała swój wywód, podczas gdy nasz wysokiej rangi oficjel zachowywał milczenie, być może zmęczony już tym przemówieniem albo jakby się czegoś uczył: „Czasami zmusza ich do tego coś z zewnątrz albo ktoś, kto już przestał być obecny w ich życiu, zmusza ich przeszłość, własne niezdecydowanie, własna historia, nie-szczęśliwa biografia. Albo nawet rzeczy, o których nic nie wiedzą i wiedzieć nie są w stanie, część naszego dziedzictwa, które każde z nas niesie w sobie i którego nie znamy, któż może wiedzieć, kiedy został zapoczątkowany ten proces...” Na koniec powiedziała: „Zastanawiam się czasem, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy siedzieli spokojnie, gdybyśmy wszyscy byli martwi, bo koniec końców tego jedynie w głębi ducha pragniemy, jedyna idea przyszłości, do której się przyzwyczajamy, a w jej obliczu nie ma wątpliwości ani uprzednich skrupułów”. Nasz przywódca siedział cicho, angielska przywódczyni zaś, która w tych dniach jesiennych utraciła już swoje przywództwo i nie brała udziału w nowojorskim Zgromadzeniu, zaczerwieniła się po swoim fałszywym monologu, usłyszawszy długie milczenie, jakie po nim nastąpiło i wybiło ją z jej przesyconego emocjami transu. Po raz kolejny podałem im pomocną dłoń i włożyłem w jej usta niezaistniałą propozycję: „A może odbylibyśmy przechadzkę po ogrodach? Słońce w całej glorii”. (Wymyśliłem ją, posiłkując się tym anglicyzmem, aby przydać wiarygodności zdaniu). I wyszliśmy we czwórkę, by odbyć przechadzkę po ogrodach, w promieniach świecącego w całej glorii słońca, w dniu, w którym Luiza i ja się poznaliśmy.

Obecnie nasz wysokiej rangi oficjel nadal pełnił swój wysoki urząd, może dzięki swej pompatyczności i swym konceptom meandrycznym, i równie błędnym, co koncepty przywódczyni brytyjskiej, ale jej to nie pomogło w zachowaniu swego stanowiska (pewnie jest to kobieta rozgoryczona i bez wątpienia myśląca, a to w polityce oznacza kopanie sobie samemu grobu). Po przemówieniu natknąłem się na niego i na jego świtę w korytarzu (kończył się mój dyżur, a jemu gratulowano nieszczercze jego perory), a że go znałem, więc pomyślałem sobie, że się z nim przywitam wyciągając dłoń i zwracając się doń tytułem związanym z piastowanym przezeń urzędem, poprzedzonym słowem „panie”. Głupota z mojej strony. On mnie w ogóle nie poznał, choć to ja właśnie przekręcałem jego słowa w przeszłości i w jego usta wkładałem niestworzone rzeczy, na które sam by nigdy nie wpadł, za to wpadło na mnie znienacka dwóch ochroniarzy i złapało mnie za wyciągniętą dłoń, i za dłoń niewyciągniętą, i wykręcili mi obie za plecy, trzymając mnie z tak potworną siłą (miażdżąc mi je, a mnie paraliżując), że przez chwilę myślałem, że już w obręczkach jestem, to znaczy w kajdankach. Na szczęście wysoki urzędnik Narodów Zjednoczonych, który widocznie mnie kojarzył i był akurat nieopodał, zidentyfikował mnie od razu jako pracującego tu tłumacza, doprowadzając w ten sposób do uwolnienia mnie przez tych, którzy osłaniali i chronili naszego wysokiej rangi oficjela. On odchodził już korytarzem ze swoimi kłamliwymi gratulacjami i swym karygodnym brzękiem kluczy (maniakalny miłośnik swoich kluczy, z rąk ich nie wypuszczał). Przypatrując się, jak się oddala, zauważyłem, że jego spodnie również są ogólnokrajowe i na modłę słynnego i wszechrozpoznawalnego kroju. Obnoszenie się z czymś innym przez tak reprezentacyjnego reprezentanta naszego dalekiego kraju poczytane byłoby za hańbę.

Opowiadałem tę historyjkę Bercie tej samej nocy, w domu, ona zaś, wbrew swoim dotychczasowym przyzwyczajeniom, gdy opowiadałem jej tego typu historyjki, nie słuchała ani rozbawiona,

ani zadziwiona, ani tym bardziej zaciekawiona, jej myśli były bowiem wyłącznie skupione na tym, co jej w tym dniu chodziło po głowie, czy w tych dniach, plan jakiś, „Bill” bez wątpienia.

– Pomógłbyś mi nakręcić wideo? – zapytała mnie z miejsca, gdy dotarłem do końca opowieści o tym, co mi się przytrafiło.

– Pomóc ci? Jakie wideo?

– Daj spokój, nie rób z siebie idioty. Wideo. Wyślę mu taśmę. Zdecydowałam się, wyślę mu ją. Ale przy tego typu wideo nie mogę sfilmować samej siebie, nie wyszłoby dobrze. Kadrowanie i to wszystko, kamera nie może być nieruchoma, musi się ruszać. Pomógłbyś mi? – Przybrała lekki ton, niemal żartobliwy. Widocznie spojrzałem na nią z idiotycznym wyrazem twarzy, bo dodała (i przeszła w nielekki wcale ton): – Nie patrz na mnie z takim idiotycznym wyrazem twarzy i odpowiedz mi. Pomożesz mi? To oczywiste, że jeśli mu nie wyślemy tego wideo, nie da już znaku życia.

Odparłem (nie przemyślałem początkowo swoich słów):

– No to nie da i co? Takie to straszne? Stanie się coś poważnego? Kto to jest? Pomyśl. Kto to jest? A jeśli mu nie damy, to jakie to ma znaczenie? Jeszcze możemy mu nie dać, on jest jeszcze nikim, nawet nie widziałaś jego twarzy.

Ona znów użyła liczby mnogiej: „jeśli mu nie wyślemy”, powiedziała, uznając już moje uczestnictwo za przesądzone. Być może była już po części usprawiedliwiona jej użyciem od chwili, gdy poszedłem na Kenmore Station i w inne miejsca, dochodząc aż do markizy Plaza Hotel. Ja też jej użyłem, upodabniając się do niej, zarażając się od niej, „jeśli mu nie damy”, „jeszcze możemy mu nie dać”. Zrobiłem to niechcący.

– Dla mnie to jest ważne, dla mnie to strasznie poważne. Włączyłem telewizor, to była pora emisji *Family Feud*, programu nadawanego codziennie, obrazy mogły pomóc w załagodzeniu

powstającego konfliktu, może w przytłumieniu słów, nie da się nie rzucić okiem od czasu do czasu na włączony ekran.

– Dlaczego nie postarasz się o wynegocjowanie jakiegoś spotkania? Napisz jeszcze raz, może odpowie, mimo że nie wyślesz mu tego, o co prosi.

– Nie chcę już tracić czasu. Pomożesz mi czy nie? Jej ton nie miał już w sobie żadnej lekkości, był rozkazujący lub prawie. Spojrzałem na ekran. Powiedziałem:

– Wolałbym tego nie robić.

Ona też spojrzała. Powiedziała:

– Nie mam nikogo, kogo mogłabym o to poprosić.

I milczała już przez całą noc, ale nie w moim towarzystwie, tylko krążąc między kuchnią a sypialnią. Kiedy przechodziła, pachniała Trussardim.

Ale w weekend, jak zwykle, trudno było nie wpadać na siebie w domu (to był mój szósty już weekend tutaj, zbliżała się data mojego powrotu do Madrytu, do mojego nowego domu z Luizą, rozmawiałem z nią parę razy w tygodniu, nigdy o niczym, jak to bywa w prędkich, nieco miłosnych i na dodatek międzykontynentalnych rozmowach) i w sobotę Berta znów zaczęła mnie męczyć. „Muszę sobie zrobić to wideo”, powiedziała, „muisz mi pomóc”. W ostatnich dniach utykała nieco bardziej niż zazwyczaj, jakby nieświadomie chciała wzbudzić we mnie litość. Absurd. Nie odpowiedziałem, a ona dalej: „Nikogo nie mogę o to prosić. Myślałam o tym, jedyną osobą, której mogłabym zaufać jest Julia, ale ona nic nie wie o tym wszystkim, wie o agencji i że pisuję do *personals*, i że od czasu do czasu wychodzę z kimś i nic z tego nie wynika, ale nawet nie wie, że wysyłam i otrzymuję wideo, ani że kończę z kimkolwiek w łóżku. Nie wie nic o Arenie Widzialnej, ty za to wiesz od początku, nawet widziałeś jego twarz, nie stawiaj mnie w takiej sytuacji, że będę musiała opowiadać wszystko komuś innemu, ludzie nie potrafią

trzymać języka za zębami. Wstyd by mi było, gdyby koledzy się dowiedzieli. Musisz mi pomóc”. Przerwała na chwilę, wahała się, powiedzieć czy nie powiedzieć, i w końcu powiedziała (wola zawsze powolniejsza od języka): „Koniec końców, i to dodatkowo przemawia za moją prośbą, ty widziałeś mnie już naga”.

„Jakikolwiek związek między ludźmi to zawsze splot problemów, nacisków, zniewag, również i poniżeń”, pomyślałem. „Wszyscy zmuszają wszystkich”, pomyślałem. „Ten osobnik, Bill, zmusił już Bertę, Berta usiłuje zmusić mnie, Bill uciekł się do nacisków, znieważył ją również i już ją poniżył, zanim się poznali, może ona nie zdaje sobie sprawy albo w głębi ducha nic ją to nie obchodzi, żyje utwierdzona w swoich racjach, Berta naciska na mnie, żeby mnie przekonać, tak jak Miriam naciskała na Guillerma, żeby się z nią ożenił, i być może Guillermo naciska na swą hiszpańską żonę, żeby wreszcie umarła. Ja naciskałem na Luizę i ją zmusiłem, lub Luiza mnie, to nie do końca jasne, a na kogóż też naciskał w swoim czasie mój ojciec, albo kto go w swoim czasie znieważył i zmusił lub jak to się stało, że w jego życiu doszło do dwóch śmierci, może uciekł się do nacisków przy jednej z nich, nie chcę wiedzieć; kiedy się nie wie, świat jest wyważony i spokojny, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy siedzieli spokojnie. Ale nawet gdybyśmy siedzieli spokojnie, to i tak są problemy i naciski, i poniżenia, i zniewagi, i jest też obowiązek, niekiedy sami siebie zmuszamy do obowiązku, poczucie obowiązku się to nazywa, być może do mojego obowiązku należy pomóc Bercie we wszystkim, o co mnie poprosi, należy przykładac wagę do tych samych rzeczy, do których przyjaciele ją przykładają, jeśli odmówię jej pomocy, znieważę ją i poniżę, każda odmowa jest zawsze zniewagą i naciskiem; jest prawdą, że ją widziałem naga, ale to było dawno temu, wiem o tym, ale tego nie pamiętam, minęło piętnaście lat, ona jest starsza i kuleje, wówczas była młoda i nie miała jeszcze wypadku, a jej nogi były równej długości, ale po co jej było odwoływać się do tego, nigdy nie wspominaliśmy naszej, tak nikłej

przeszłości, nikłej samej w sobie i wobec tak długiej terażniejszości, ja też byłem młody, tamto się zdarzyło i zarazem się nie zdarzyło, jak wszystko; po co robić i nie robić, po co mówić tak albo nie, po co męczyć się jakimś „być może” albo „to zależy”, po co mówić, po co milczeć, po co odmawiać, po co wiedzieć cokolwiek, jeśli nie zdarza się nic, z wszystkiego, co się zdarza, bo nic nie zdarza się nieprzerwanie, nic nie trwa i nie utrwała się, i niczego nie wspomina się bezustannie; to, co się zdarza, jest identyczne z tym, co się nie zdarza, to, co odrzucamy lub puszczamy mimo siebie, jest identyczne z tym, co bierzemy i chwytamy, to, czego doświadczamy jest identyczne z tym, czego nie próbujemy, koncentrujemy całą naszą inteligencję i wszystkie nasze zmysły, i całą energię na mozolnym rozpoznawaniu tego, co zostanie, a może już jest, zniwelowane, dlatego też pełno w nas wyrzutów i straconych okazji, poświadczeń i potwierdzeń, i okazji wykorzystanych, gdy w istocie nic się nie potwierdza i wszystko się traci. A może nawet nigdy nic się nie zdarza”. „Dobrze, ale zróbmy to szybko, teraz, od razu”, powiedziałem Bertie. „Pospieszmy się”. I, całkowicie usprawiedliwiony, użyłem liczby mnogiej w swych ponagleniach.

„Zrobisz mi je?”, odparła z nieukrywaną i z okazaną nagle wdzięcznością, i z ulgą.

„Powiedz mi tylko, co mam zrobić, a ja już to zrobię. Ale szybko, już, przygotuj się, im szybciej zaczniemy i skończymy, tym lepiej”.

Berta podeszła do mnie i pocałowała mnie w policzek. Wyszła z salonu i poszła po swą kamerę, ale szybko wróciliśmy do pokoju, z którego przyniosła kamerę, bo na scenerię wideo wybrała swoją sypialnię, niepościelone łóżko. Jedliśmy właśnie śniadanie, było jeszcze rano.

To ciało nie miało nic wspólnego z ciałem, które pamiętałem czy też nie pamiętałem, choć, prawdę mówiąc, teraz patrzyłem na nie tylko przez kamerę, filmując ujęcia i zbliżenia, jakie sama mi

sugerowała, jakby oglądanie tego ciała nie wprost było jakimś sposobem na nieprzyglądanie mu się, za każdym razem, gdy przerywaliśmy filmowanie na parę sekund, by zastanowić się nad nową pozycją albo zróżnicować ujęcie (ja – zróżnicować, ona – zastanowić się), ja patrzyłem w ziemię, albo w głąb, w ścianę i w poduszkę, w tło jej postaci, moim szklanym wzrokiem. Berta wpięrow usiadła w nogach łóżka, tak jak „Bill” w swym bladoniebieskim szlafroku kąpielowym, i w tym poszła w jego ślady, założyła swój szlafrok (jej był biały), poprosiwszy mnie wpięrow, bym poczekał, aż weźmie prysznic, wyszła z nieco wilgotnymi włosami i opięta szlafrokiem, potem go nieco rozchyliła, przyzwalając następnie, by nadal jej się rozchyłał przy piersiach, mimo zaciśniętego jeszcze paska, nie pamiętałem tych dojrzałych piersi lub z upływem czasu, a może z każdym dotykim, tak wspaniale wymodelowanych, nie byłem skory wierzyć, że jest to biust wstrzykiwany, tak jakby, od czasu gdy przestałem je widywać, przeistoczyły się albo nabrały macierzyńskich cech, co spowodowało, że poczułem się nie tylko żenująco niedyskretny, ale również zmieszany (być może jak ojciec, który przestał widywać swoją córkę naga, kiedy córka przestała być dzieckim, i widzi ją nagle dorosłą, w następstwie wypadku albo nieszczęścia). Całe jej ciało, to, co stopniowo przybliżał mi obiekt, było silniejsze niż ciało, które obejmowałem w Madrycie piętnaście lat temu, może regularnie pływała albo gimnastykowała się przez dwanaście lat swego pobytu w Ameryce, w kraju, w którym dbają o ciało i modelują ciało, i nic więcej. Ale prócz tego, że prężniejsze, było również starsze, ciemniejsze, tak jak ciemniejsza jest skórka zaczynającego gnić owocu, tu i ówdzie pojawiały się fałdki przy pachach, w talii, wyżłobione strefy gdzieś wskutek owych cienistych pęknięć, dostrzegalnych wyłącznie z bliska (rozstępy niemal białe, jakby pomalowane zostały najciemniejszym pędzelkiem na desce), a piersi zdecydowanie, bardziej niż powinny, oddzielone od siebie, zbyt wielka przerwa między nimi, nie dla nich pewnego rodzaju dekolty. Berta wyzbyła się wstydu, albo tak to przynajmniej wyglądało, ale ja się nie wyzbyłem, z trudem przypominałem sobie

co i raz, że filmuję to dla innych oczu, dla oczu „Billa” albo Guillerma, oczu świdrujących i nieodgadnionych osobnika z Plaza Hotel, PH, to jego wzrok przeszywająco przenikliwy i szklany zarazem, widzieć będzie to, co ja teraz widziałem, dla jego oczu to było, a nie dla moich szklanych, ale nie przeszywająco przenikliwych oczu, ja tego ciała nie widziałem, choć wybrany przeze mnie kąt widzenia będzie tym, pod jakim jemu przypadnie je zobaczyć, ode mnie zależało (ale i od Berty), co on później zobaczy na swym ekranie, ani więcej, ani mniej, tylko i wyłącznie to, co my postanowimy, co nagramy dla potomności tak krótkiej. Berta wykonała ruch, dzięki któremu płaszcz kąpielowy ześliznął się do pasa, choć ciągle był przewiązany paskiem i nadal okrywał nogi, odsłonięte zostały jedynie piersi (ale odsłonięte całkowicie). Filmowałem jej twarz tylko sporadycznie, gdy kamera w ruchu obejmowała ją przelotnie, może chcąc wyraźnie odgraniczyć znaną twarz (nos, oczy i usta; podbródek, czoło, policzki, to cała twarz) od nieznanego ciała, ciała, które było starsze i silniejsze, a może tylko zapomniane. W niczym nie przypominało ciała Luizy, ciała, do którego wówczas byłem i nadal jestem przyzwyczajony, choć w owej chwili zdałem sobie sprawę, że nigdy nie przyglądałem się ciału Luizy tak dokładnie, przez obiektyw kamery; ciało Berty, to ciało Berty, było jak mokre drewno, w które wbija się noże sprężynowe, ciało Luizy jak niedyskretny marmur, po którym niesie się odgłos kroków, młodsze i mniej zmęczone, mniej ekspresyjne i bardziej nietknięte. Nie rozmawialiśmy w trakcie filmowania, kamera wideo rejestruje również głosy podczas nagrania, być może dla mojej przyjaciółki Berty było już po zabawie, a i ulgi wcale nie odczuwała, dla mnie nigdy nie było w tym zabawy i ulgi też nie oczekiwałem, głosy tłumią to, co się dzieje, komentarz tonuje zdarzenia, opowiadanie o nich również, zrobiliśmy przerwę, przestałem filmować, wszystko trwało bardzo krótko, trzeba było nagrać tylko kilka minut (nie więcej), ale jeszcze nie skończyliśmy. Ja patrzyłem coraz bardziej oczyma „Billa”, które ja widziałem, ale nie widziała ich Berta, nie moje to były oczy, ale jego oczy, nikt nie będzie mógł mi zarzucić, że

patrzyłem tym spojrzeniem, że patrzyłem patrząc, jak mówiłem wcześniej, bo to nie byłem właściwie ja, ale on poprzez moje oczy, jego szklane i moje szklane, moje coraz bardziej przesywająco przenikliwe. Ale ona nie знаła tych oczu, jeszcze nie skończyliśmy. „Jeszcze cipa”, powiedziałem Bercie i nie wiem, jak mogłem jej to powiedzieć, jak odważyłem się jej to powiedzieć, ale zrobiłem to. „Brakuje nam jeszcze cipy”, powiedziałem jej i użyłem liczby mnogiej, żeby się wrobić, a może by załagodzić to, co mówiłem, dwa słowa jedynie, później cztery, powtórzone dwa pierwsze w drugim zdaniu (mówiłem ustami „Billa” być może). Berta nie odpowiedziała, nic nie powiedziała, nie wiem, czy patrzyła na mnie, ja nie patrzyłem na nią (w tym momencie jeszcze nie kręciłem), lecz w głąb jedynie, w ścianę i w poduszkę, z której, w rezultacie, chorzy i nowożeńcy widzą świat, a i kochankowie. Rozwiązała pasek i rozsunęła poły płaszcza kąpielowego również na wysokości brzucha, jeszcze okrywała sobie nim nogi, właśnie, można było zobaczyć uda od ich wewnętrznej strony i na to przyzwałała, ale nie od przodu, i nic poniżej, reszty, poły płaszcza kąpielowego opadały pionowo niby bładoniebieska kaskada ukrywając krańce (a może biała kaskada), jedna poła dłuższa, druga krótsza, jedna krótsza, druga dłuższa, i zacząłem kręcić, zbliżając się, parę sekund wideo, dla potomności ulotnej, Berta zrobi kopię, tak mówiła. Jedna poła płaszcza natychmiast nałożyła się na drugą, z tą samą niemal chwilą, gdy sfilmowałem koniec jej ud i cofnąłem się nieco z kamerą. Pomyślałem, że jej blizna na twarzy jest teraz pewnie cała sina, ciągle na nią nie patrzyłem, ale jeszcze musiałem jej coś powiedzieć, jeszcze nie skończyliśmy, jeszcze nam brakowało tego, czego „Bill”, „Jack” albo „Nick” od nas żądał, brakowało nam nogi. Zapaliłem papierosa i po chwili z papierosa opadł na niepościelone łóżko rozżarzony ognek, ale wygasł po drodze i nie wypalił dziury. I wtedy zdołałem jej to powiedzieć albo powiedział jej to „Bill”, albo powiedział jej to Guillermo naszym głosem jak piła. „Teraz noga”, powiedzieliśmy, powiedziałem. „Brakuje nam teraz nogi” powiedzieliśmy, „pamiętaj, że Bill chce ją zobaczyć”.

Jeśli to wszystko przychodzi mi teraz na pamięć, to dlatego, iż to, co wydarzyło się później, niewiele później i wciąż w Nowym Jorku, podobne było pod jednym względem (tylko pod jednym, jak sądzę, a może pod dwoma albo trzema) do tego, co wydarzyło się jeszcze później (ale niewiele później), kiedy wróciłem do Madrytu, do Madrytu z Luizą, gdzie ponownie zaczęły mnie nękać przeczucia katastrofy towarzyszące mi od ceremonii ślubnej, które jeszcze nie zanikły (nie do końca przynajmniej i być może już nigdy nie znikną). Choć rzecz może wiązać się z trzecim rodzajem dyskomfortu, różniącym się od dwóch poprzednich i trapiących mnie w czasie podróży poślubnej (szczególnie w Hawanie), a nawet przedtem, nowe i nieprzyjemne odczucie, które być może, jak i drugie, sam sobie wymyśliłem, uroiłem albo wydumałem, odpowiedź niezbędna, ale niewystarczająca na porażające pytanie związane z początkowym dyskomfortem „A teraz co?”, pytanie, na które odpowiada się raz i drugi, a mimo wszystko pojawia się ciągle; albo co i raz powraca, albo po prostu ciągle jest, wciąż nierozstrzygnięte, mimo każdorazowo udzielanej odpowiedzi, jak bajka o dobrej fajce, którą opowiada się wszystkim dzieciom, doprowadzając je do rozpacz, i którą opowiadała mi moja hawańska babcia w owe popołudnia, kiedy matka zostawiała mnie u niej, popołudnia upływające pośród piosenek i zabaw, i bajek, i spojrzeń bezwiednych ku portretom tych, którzy umarli, albo w popołudnia, podczas których babcia patrzyła, jak mija czas miniony. „Chcesz, żebym opowiedziała ci bajkę o dobrej fajce?”, mówiła z dobroduszną złośliwością moja babcia. „Tak”, odpowiadałem jak wszystkie dzieci. „Nie pytam się, czy tak, czy nie, ale o to, czy chcesz, żebym opowiedziała ci bajkę o dobrej fajce”, śmiejąc się kontynuowała moja babcia. „Nie”, zmieniałem odpowiedź jak wszystkie dzieci. „Nie pytam się czy nie, czy tak, ale o to, czy chcesz, żebym opowiedziała ci bajkę o dobrej fajce”, śmiała się coraz bardziej babcia i śmiała, mimo rozpacz, mimo krańcowego zmęczenia, bawiąc się tym, że zrozpaczonemu

dziecku nigdy nie przyjdzie na myśl właściwa odpowiedź, przerywająca błędne koło – „Chcę, żebyś opowiedziała mi bajkę o dobrej fajce”, najzwyczajsze powtórzenie jako ratunek, pełna wypowiedź, która dziecku nie przychodzi na myśl, bo jeszcze żyje w „tak” i w „nie” i nie trudzi się jakimś „być może” czy „to zależy”. Ale to inne pytanie, obecne pytanie, jest gorsze i powtórzenie go nic nie daje i nic nie dało lub nie udzieliło odpowiedzi, lub go nie przekreśliło raz na zawsze, gdy odbiłem je swojemu ojcu w Kasynie na Alcala 15, kiedy zadał mi je głośno, gdy po ceremonii mojego ślubu zostaliśmy sami w pokoju. „No właśnie”, powiedziałem. „A teraz co?” Wywinać się od tego pytania można tylko w jeden sposób i nie jest nim powtórzenie go, lecz jego całkowity brak, zanik, niezadawanie go i niedopuszczanie do tego, by ktokolwiek komukolwiek je zadawał. Ale to niemożliwe i być może właśnie dlatego, żeby na nie odpowiedzieć, trzeba wymyślać sobie problemy i doznawać lęków, i ulegać podejrzeniom, i myśleć o abstrakcyjnej przeszłości zbyt chorym mózgiem albo mózgiem zbyt chorobliwie myśleć, „so brainsickly of things”, jak powiedziane zostało Makbetowi, by tak nie czynił; widzieć, czego nie ma, żeby coś było, bać się choroby lub śmierci, opuszczenia lub zdrady i stwarzać sobie zagrożenia, poprzez osobę pośredniczącą choćby, choćby przez analogię lub symbolicznie i może właśnie to nakłania nas do czytania powieści i doniesień o wypadkach, i oglądania filmów, szukanie analogii, symbolu, szukanie rozpoznania, a nie poznania. Każda opowieść i relacja zniekształca, relacjonowanie zdarzeń, opowiadanie o nich, zniekształca zdarzenia i je przeinacza, i niemal je neguje, wszystko, o czym się opowiada, co się relacjonuje, staje się irrealne i bliżej nieokreślone, nawet jeśli jest prawdziwe, prawda nie zależy od tego, że rzeczy się tak *miały* lub *zdarzyły*, ale od tego, że są utajone, że się o nich nie wie, że się o nich nie opowiada, bo gdy się je relacjonuje lub ujawnia, lub demonstruje, bodaj i w tym, co wydaje się najbardziej realne, w telewizji lub w gazecie, w tym, co nazywa się rzeczywistością lub życiem, lub życiem rzeczywistym nawet, stają się częścią analogii czy symbolu i już nie są zdarzeniami, lecz

przeistaczają się w rozpoznawanie. Prawda wcale nie jest jasna jak słońce, jak się twierdzi, bo jedyną prawdą jest ta, której się nie zna i nie przekazuje, nie tłumaczy się na słowa ani obrazy, prawda utajona i niezbadana i być może właśnie dlatego tyle się opowiada albo opowiada się wszystko, żeby nigdy nic się nie stało i nie zdarzyło, z chwilą, gdy już zostało to opowiedziane.

Nie bardzo wiem, co to takiego było, to, co wydarzyło się po moim powrocie lub dokładniej rzecz ujmując, nie wiem i wiedzieć nie będę pewnie przez długie lata, co się stało podczas mojej nieobecności. Wiem tylko, że w deszczową noc, już w domu, u boku Luizy, gdy minął tydzień od mojego powrotu z Nowego Jorku, po ośmiu tygodniach pracy i dotrzymywania towarzystwa Bercie, wstałem z łóżka i opuściłem poduszkę, i poszedłem do lodówki. Było zimno albo lodówka mnie tak schłodziła, zaszedłem do łazienki i założyłem szlafrok (kusiło mnie, żeby użyć płaszcza kąpielowego jako szlafroka, ale zrezygnowałem), a następnie, gdy z kolei Luiza poszła się kąpać do łazienki, ja zaszedłem na chwilę do mego gabinetu, by nawet nie siadając przejrzyć jakieś teksty, z coca-colą w rękę i już senny. Deszcz padał, tak jak zwykł często padać w bezchmurnym Madrycie, jednostajnie i nużąco, niezakłócany najmniejszym podmuchem wiatru, który zburzyłby tę monotonię, jakby wiedział, że będzie padać ileś tam dni, więc ani mu się nie spieszyło, ani w nim nie było zaciekłości. Spojrzałem za okno, na drzewa i na padające z pastorałów latarni snopy świateł podświetlające deszcz i jakby go posrebrzające, i wówczas zobaczyłem ludzką postać na tym samym rogu, na którym później stanąć mieli katarzyniarz i Cyganka z talerzykiem i warkoczem, na tym samym rogu, widocznym z mojego okna jedynie częściowo, postać mężczyzny, który w odróżnieniu od ulicznych grajków, całkowicie wchodził w pole mojego widzenia, bo chronił się przed zmoknięciem, a może nie zanadto, pod okapem budynku nie zabierającego mi światła i stojącego naprzeciwko naszego domu, opierając się o jego ścianę i jak najdalej od jezdni, samochód raczej by go nie przejechał, a poza

tym ruch był niewielki. Chronił się również pod kapeluszem, rzadki widok w Madrycie, może częstszy w deszczowe dni, kapeluszy używają starsi panowie jak Ranz, mój ojciec. Ale owa postać (to zauważy się natychmiast) nie była postacią starszego pana, lecz w miarę młodego i wysokiego, i sztywno wyprostowanego mężczyzny. Rondo kapelusza i ciemność i odległość nie pozwalały mi ujrzeć jego twarzy, chcę powiedzieć, dostrzec rysów twarzy (widziałem białą plamę każdej twarzy w mrokach, twarz tej postaci znajdowała się zbyt daleko od najbliższego snopa światła), bo właśnie tym, co pchnęło mnie do uważnego przyjrzenia mu się, była jego uniesiona głowa i spoglądanie w górę, a dokładnie – albo tak sądziłem – w nasze okna, lub inaczej mówiąc, w miejsce, znajdujące się w tej chwili na lewo ode mnie, czyli w okna naszej sypialni. Mężczyzna, ze swojego miejsca, nie był w stanie niczego wewnątrz tamtego pokoju zobaczyć, jedyne, co mógł widzieć – i może wypatrywał – to zapalone lub zgaszone światło, albo może – pomyślałem sobie – cienie naszych postaci, cień Luizy lub mój cień, gdybyśmy odpowiednio blisko podchodzili, a może i podchodziliśmy, nie pamiętałem. Mógł czekać na jakiś znak, zapalające się i gasnące światła, tak jak i oczyma, od niepamiętnych czasów dawano sobie znaki, zamykanie i otwieranie oczu, wymachiwanie z daleka pochodniami. Prawda, że rozpoznałem go natychmiast, mimo iż nie byłem w stanie dostrzec rysów jego twarzy, postaci z dzieciństwa pozostają w pamięci na zawsze i nieomylnie są rozróżnialne w każdym miejscu i o każdej porze od pierwszego rzutu oka, choćby od tamtego czasu zmieniły się lub urosły albo się zestarzały. Potrzeba mi jednak było paru sekund, bym uwierzył własnym oczom i uzmysłowił sobie, że przed oczyma mam, w kapeluszu i w deszczu Custardoya Młodszego, wpatrującego się w nasze najin-tymniejsze okno, czekającego, wypatrującego niczym ktoś zakochany, trochę jak Miriam albo nawet ja sam parę dni wcześniej, Miriam i ja w dwóch różnych miastach, za oceanem, Custardoy tutaj, na rogu mojej ulicy. Ja nie wyczekiwałem jak zakochany, ale na pewno czekałem i zapewne czekałem, by nastąpiło wreszcie to, na co czekał również, być może,

Custardoy, by w końcu w naszej sypialni zgasło światło, a on mógł sobie wyobrazić Luizę i mnie, jak śpimy, odwróceny do siebie plecami, a nie wtuleni w siebie przodem obejmując się jeszcze przed snem. „Co tam robi Custardoy?”, pomyślałem, „to przypadek, deszcz go zaskoczył, akurat gdy przechodził w pobliżu, schronił się więc pod okapem stojącego naprzeciwko budynku, krępuje się zadzwonić do drzwi i wejść, jest późno, ależ nie, skądże, on tam waruje, stoi już tam czas jakiś, na to wygląda, sądząc z jego zachowania i z tego, że podniósł kołnierz marynarki, który szczelnie dociska swymi kościstymi rękami, wznosząc szeroko rozstawione, czarne i ogromne oczy pozbawione niemal powiek ku naszej sypialni, czego tak wygląda, czego szuka, czego chce, dlaczego patrzy; wiem, że w czasie mej nieobecności zaszedł tu parę razy z Ranzem odwiedzić Luizę, mój ojciec go przyprowadził, z krótką wizytą, jak się to mawia, wizyta teścia i jego przyjaciela, i niby mojego, pewnie zakochał się w Luizie, ale on przecież się nie zakochuje, nie wiem, czy ona wie coś o tym, dziwne, w taką deszczową noc, kiedy ja już wróciłem, stać moknąc na ulicy jak pies”. Takie były moje pierwsze, szybkie i chaotyczne, myśli. Usłyszałem, jak Luiza opuszcza łazienkę i wraca do naszej sypialni. I już z sypialni zawołała mnie, po imieniu, i powiedziała (rozdzielała nas ściana, ale jedne i drugie drzwi wychodzące na korytarz otwarte): „Nie idziesz spać? Chodź już, zrobiło się późno”. Jej głos brzmiał tak naturalnie i beztrudnie, jak podczas wszystkich ostatnich dni, które upłynęły od mojego powrotu, już tydzień, tak jak brzmiał kilka minut temu, gdy szeptała mi słowa raczej miłosne na dzielonej przez nas wspólnej poduszce. I zamiast jej powiedzieć, co się dzieje, co widzę, co myślę, powstrzymałem się, tak jak się powstrzymywałem przed wyjściem na taras i przed krzyknięciem do Custardoya po imieniu i zapytania wręcz: „A ty co tam robisz?”, zadając to samo pytanie, które nie znając mnie, zadała mi Miriam z esplanady, naturalnie i po prostu, tak jak każdy zwraca się do kogoś, kogo bardzo dobrze zna. I odpowiedziałem jakby nigdy nic, i nie zdradzając się, że coś się dzieje (nie zdradzając się z podejrzeniami, choć jeszcze o tym nie

wiedziałem): „Możesz już zgasić światło, jeśli chcesz, mnie się jeszcze nie chce spać, przejrzę sobie tekst, nad którym pracuję”. „Dobrze, ale nie siedź za długo”, odparła i zobaczyłem, po zaciemnionym korytarzu, że zgasła światło. Zamknąłem ostrożnie swoje drzwi, następnie zgasilem swoje światło, małą lampkę, którą zapaliłem w pokoju, gdzie pracuję przeglądając teksty, i wtedy zdałem sobie sprawę, że wszystkie nasze okna toną już w ciemnościach. Wyjrzałem znowu przez swoje okno, Custardoy syn wciąż spoglądał w górę, twarz wzniesiona, biała plama zwrócona ku ciemnemu niebu, mimo okapu deszcz w nią bije, krople na policzkach być może zmieszane z potem, a nie ze łzami, deszczowa kropla spadająca z okapu w to samo ciągle miejsce, by wpierw rozmiękczyć w tym punkciku ziemię, wreszcie wnikać w nią, przeniknąć, wydrażyć dziurkę, a nawet wyźłobić kanalik, jak dziurka i kanalik Berty, które widziałem i nagrałem, i Luizy, w których, parę minut temu zaledwie, bawiłem. „Zaraz sobie pójdzie”, pomyślałem, „gdy zobaczy zgaszone światła, pójdzie sobie, tak jak ja odstąpiłem od czekania, gdy zobaczyłem zgaszone światło w domu Berty, parę dni temu. Ale wtedy był to umówiony znak, ja też czekałem na ulicy, jak Custardoy teraz, jak Miriam znacznie wcześniej, tyle tylko, że Miriam nie wiedziała, że z góry obserwują ją dwie twarze czy białe plamy i dwie pary oczu, Guillerma i moje, a teraz Luiza nie wie, że z dołu śledzi ją, nie widząc jej, para oczu, Custardoy zaś jest nieświadom, że tam w górze, z wysokości ciemnego nieba czuwają baczenie nad nim moje oczy, podczas gdy wciąż pada deszcz, który w świetle latarni wygląda jak żywa rtęć albo srebro. Za to my dwoje, Berta i ja w Nowym Jorku, wiedzieliśmy, gdzie każde z nas w tej chwili przebywa, a przynajmniej mogliśmy się tego domyślać”. „Zaraz odejdzie”, pomyślałem, „musi odejść, żebym mógł wrócić do swojej sypialni, do Luizy i przestał zajmować się jego obecnością; nie mógłbym zasnąć ani osłonić własnym ciałem pleców śpiącej Luizy ze świadomością, że Custardoy wciąż tam tkwi na ulicy. Tyle razy widziałem go w dzieciństwie, jak gapił się przez okno mojego pokoju, tak jak ja się teraz gapię, spiesząc się do wszystkiego co na

zewnątrz, łaknąc świata, do którego już należy i od którego oddzielały go balkon i szyby, odwrócony do mnie plecami i swym ogolonym karkiem, i terroryzując mnie w moim własnym pokoju, był dzieckiem, które napawało strachem i jest człowiekiem, który napawa strachem, jest mężczyzną, który od pierwszej chwili wie, kto chce zostać zaatakowany i w jakich zamiarach, i nieważne gdzie, w lokalu czy na przyjęciu, czy nawet na ulicy, jak również, bez wątpienia, w domu, do którego udał się z wizytą lub zaszedł, a może to on wywołuje gotowość i zamiar, w Luizie na pewno nie było ani jednego, ani drugiego przed moim wyjazdem, odwrotnie niż u Berty, u której i jedno, i drugie było już przed moim przyjazdem, i w czasie mojego pobytu, i będą po moim wyjeździe, jestem pewien. Czy nadal będzie widywać się z Billem, który na imię ma Guillermo, czy ponownie się z nim widziała? A może Guillermo wrócił już do Hiszpanii, tak jak i ja, po swoim, planowanym na dwa miesiące, pobycie w Nowym Jorku; z naszej trójki tylko Berta nie ruszała się z miejsca, muszę do niej zadzwonić, ja wyjechałem, ale zostałem wpłątany i upodobniony, liczba mnoga staje się konieczna, w rezultacie wszędzie się pojawia, czego Custardoy teraz od nas chce, czego on tu, u nas, szuka?”.

Ja niczego nie chciałem i niczego nie szukałem, gdy czekałem poza domem Berty, zupełnie nieoczekiwana sprawa, coś, czego w ogóle nie braliśmy pod uwagę. To był siódmy z moich ośmiu planowanych w Nowym Jorku weekendów, a więc następny po opowiedzianym już przeze mnie weekendzie, kiedy to nakręciłem kilkuminutowy zaledwie film, a w dniach poprzedzających ów przedostatni mój weekend korespondencja znacznie się ożywiła, nasze wideo zostało wysłane w poniedziałek (ale Berta nie zrobiła kopii), z odpowiednim skutkiem, albo „Billowi” wydało się ono na tyle atrakcyjne, że gotów był zaryzykować. Odpowiedział jedynie krótką notką, bez słowa usprawiedliwienia, że nie wysyła niczego w podobnym stylu i nie ujawnia jeszcze swojej twarzy, załączając najmarniejsze bodaj zdjęcie, za to proponując spotkanie w najbliższą

sobotę, koperta dotarła do nas dopiero w piątek, na pewno w piątek, bo Berta w owym tygodniu zaglądała do swojej skrytki na Old Chelsea Station codziennie po pracy. Notka „Billa”, jak zawsze, była nieodmiennie po angielsku, ale sposób, w jaki zaproponowano spotkanie, z dnia na dzień, był bezbłędnie hiszpański. „Rozpoznam cię”, twierdził, w Oak Bar hotelu Plaza, w miejscu, w którym umawiano się przed pójściem do teatru, na kolację, czy nawet do opery, nieświadom, że Berta wie, iż jest to zarazem miejsce, w którym się zatrzymał, właśnie, miejsce, w którym miał swoją poduszkę. Ale na ten właśnie wieczór Berta była już, i to od kilku tygodni, umówiona na kolację ze swą przyjaciółką Julią i z paroma innymi osobami, ja też byłem zaproszony, i postanowiła, że lepiej będzie nie uprzedzać, iż nie będzie jej na kolacji, unikając w ten sposób już to nagabywania i namawiania, żeby jednak przyszła, już to ewentualnych odwiedzin, gdyby wymawiała się jakąś przypadłością, więc na mnie padło, że pojawiwszy się w portowej restauracji, musiałem przeprosić w jej imieniu i usprawiedliwić jej nieobecność nieznośną wprost migreną, sam czując się pośród tych ludzi intruzem, bo ledwo ich znałem.

Przed wyjściem, podczas gdy ja się goliłem i szykowałem, Berta stroiła się (zapewne przez upodobnienie), żeby wreszcie spotkać się z „Billem” i z „Jackiem”, i z „Nickiem”, i w milczeniu walczyliśmy o lustro w łazience i o samą łazienkę. Ona była cała niespokojna, a ja pachniałem Trussardim. „Jeszcze nie skończyłeś?”, odezwała się nagle, widząc, że jeszcze się golę. „Nie wiedziałem, że już wychodzisz”, odparłem, „mogłem ogolić się w pokoju”. „Nie, nie, wychodzę dopiero za godzinę”, brzmiała jej sucha odpowiedź, ale ubrana już była, bardzo wyszukanie, musiała się tylko umalować, co, o ile było mi wiadome, szło jej bardzo szybko (buty zakładała jeszcze szybciej, pewnie miała bardzo czyste nogi). Ale jeszcze nie założyłem krawatu, kiedy ponownie weszła do łazienki ubrana zupełnie inaczej, choć równie wyszukanie. „Ślicznie wyglądasz”. „Wyglądam potwornie”, odpowiedziała, „nie wiem, w co się mam

ubrać, a jak mi w tym?”. „Chyba lepiej ci było w tamtym, ale w tym też wyglądasz ślicznie”. „W tamtym? Przecież dopiero się ubrałam”, powiedziała, „to, co miałam poprzednio to było na po domu, a nie na ten wieczór”. „No, ale było ci w tym dobrze”, odpowiedziałem, myjąc szkło kontaktowe i z luźno zwisającym z szyi krawatem. Wyszła i po kilku minutach znowu się pojawiła, ale w kolejnej kreacji, bardziej wyzywającej, jeśli to słowo ma jakikolwiek sens, przypuszczam, że ma, skoro nierzadko trafia się na nie przy opisie strojów kobiecych i istnieje we wszystkich językach, jakie znam, tyle języków razem nie zwykło się mylić. Spojrzała na siebie w lustrze z daleka, by w miarę możliwości jak najwięcej zobaczyć (w mieszkaniu brakowało dużego lustra, usunąłem się na bok i przerwałem wiązanie krawata); zgięła nogę i dłonią przeciągnęła po spódnicy przykrótkiej nieco i bardzo wąskiej, jakby w obawie, że jakaś urojona fałdka zesześci jej tyłek, a może poprawiła sobie niesforne majtki obciągając okrywający je materiał. Chciała w ubraniu wyglądać jak najlepiej; „Bill” widział ją już naga, na ekranie, co prawda tylko na ekranie.

– Nie boisz się troszkę? – zapytałem.

– A czego mam się niby bać?

– Wiesz, nieznajomy facet, nigdy nie wiadomo. Nie chcę krakać, ale, jak sama powiedziałaś, na świecie pełno takich facetów, z którymi lepiej nawet przez ulicę nie przechodzić.

– Większość tych facetów pracuje na arenach widzialnych: widzimy ich na co dzień w Narodach Zjednoczonych i wszyscy z nimi jakoś przechodzą przez ulice. A zresztą jest mi wszystko jedno. Zdażyłam się przyzwyczaić, gdybym się bała, nie poznałabym nikogo. Zawsze można się cofnąć, jak pech to pech, mówi się trudno i cześć. No, nie zawsze, czasem jest już za późno.

Przeglądała się co i raz, przodem, jednym bokiem, drugim bokiem, plecami, ale nie pytała mnie, czy lepiej jej było przedtem, czy teraz jest jej lepiej, a ja już nie chciałem się wtrącać nieproszony. Poprosiła mnie.

– Wyglądam fatalnie, nie wiem, czy nie utylam – powiedziała.

– Daj spokój, wyglądasz bardzo dobrze, parę dni temu uważałaś, że jesteś za chuda – powiedziałem i dodałem, by po prostu przestała krzywo na siebie patrzeć i zaprzętnęła sobie uwagę czymś innym niż wydawaniem uwag sobie niełaskawych: – Gdzie cię zabierze, jak myślisz?

Podstawiła pod kran miniaturową szczoteczkę, by następnie uczesać sobie nią brwi ku górze, chcąc im dodać większej wyrazistości.

– Biorąc pod uwagę, że umówił się ze mną w hotelu, i że się nie certoli, przypuszczam, że będzie chciał zabrać mnie od razu do pokoju. Ale ja nie mam najmniejszego zamiaru tego wieczoru rezygnować z kolacji.

– Może zorganizował już kolację na górze, jak w filmach o uwodzicielach.

– To się może przeliczyć. Nie zapominaj, że jeszcze nie widziałam jego twarzy. Może nawet drinka odmówię, jak ją zobaczę. – Berta dodawała sobie animuszu, nie czuła się najpewniej, nagle chciała dopuścić myśl, że sprawy mogą przybrać inny obrót niż przybrać musiały, że jeszcze trzeba ją było przekonać, to znaczy uwieść. A wiedziała, jaki przybiorą obrót, bo w dużej mierze od niej to zależało, uwiedziona już była, zanim „Nick” do niej napisał, dzięki gotowości i zamiarom, bo to właśnie najskuteczniej przekonuje i najskuteczniej uwodzi. I dzięki temu dodała szybko, jakby w mojej obecności nie chciała oszukiwać się dłużej niż chwilę: – Aha, i nie martw się, jeśli nie wrócę, może nie przyjdę na noc.

Opuściłem łazienkę, a krawat zawiązałem już sobie w pokoju, korzystając z ręcznego lusterka. Byłem niemal gotów do wyjścia, moje, czyli jej spotkanie zaplanowane było na wcześniejszą godzinę niż jej spotkanie ostateczne, czyli nie moje. Włożyłem marynarkę i z płaszczem już przewieszonym przez ramię znów podszedłem do

drzwi łazienki, by się pożegnać, ale teraz już nie miałem śmiałości, by przekroczyć jej próg, jakbym już będąc wyszykowany nie miał do tego prawa, pomimo nieprzestrzegania przez oboje pewnych zasad dobrego wychowania, przez dwoje przyjaciół, którzy obejmowali się jeszcze nie śpiąc, piętnaście lat temu.

– Mógłbym cię o coś prosić? – nagle zapytałem, zaglądając do środka (nagle, bo jeszcze nie wiedziałem, czy ją w ogóle o to poproszę i jeszcze się nad tym zastanawiałem, kiedy już to powiedziałem).

Nie oderwała od siebie wzroku (szukała w sobie lub wymyślała sobie skazy, teraz z pęsetką przed lustrem, cała ona). Powiedziała:

– Mów.

Znowu zacząłem nad tym myśleć i znowu odezwałem się, nie wiedząc, czy mam to w ogóle zrobić (tak jak w czasie tłumaczenia, kiedy czasem wyprzedzam nieco słowa tłumaczonej wypowiedzi, bo zgaduję już, co będzie dalej), wciąż jeszcze się zastanawiając: „Jeśli ją poproszę, zażąda wyjaśnień”.

– Nie sprawiłoby ci kłopotu, gdybyś w trakcie rozmowy wspomniała mu od niechcienia imię Miriam i przyjrzała mu się, jak zareaguje, a później mi opowiesz?

Berta pociągnęła mocno za włoszek z brwi, na który już wydała wyrok, a teraz przytrzymała pęsetką. W tym momencie spojrzała jednak na mnie.

– Imię Miriam? Po co? Wiesz coś? To jego żona?

– Nie, nic nie wiem, coś chcę tylko sprawdzić, taki pomysł.

– Zaraz, zaraz – odparła i zaczęła zginać i prostować palec wskazujący lewej ręki, jakby wołając mnie do siebie albo jakby mówiła: „Gadaj”, albo „Wy tłumacz się”, albo „Mów”. Trzepot.

– Naprawdę nic nie wiem, to nic takiego, to tylko podejrzenie, moje urojenie, a zresztą teraz nie mam czasu, muszę tam być punktualnie, żeby ich uprzedzić o twojej nieobecności, jutro ci

opowiem. Jeśli będziesz pamiętać i będziesz mogła, po prostu rzuć to imię w rozmowie, nieważne jak, powiedz, że odwołałaś kolację z przyjaciółką, która ma tak na imię, cokolwiek, chodzi tylko o imię. Ale delikatnie.

Bertę interesowało to, co nieznane, wszyscy interesują się tym, żeby coś sprawdzić i wrócić z uzyskanymi informacjami, nawet jeśli nie wiedzą po co.

– Zgoda – powiedziała – spróbuję. A ja mogłabym cię o coś prosić?

– Mów – odpowiedziałem.

Odpowiedziała bez namysłu, a może przemyślała sobie wszystko wcześniej i była zdecydowana, żeby mnie o to zapytać.

– Masz prezerwatywy, żeby mi odstąpić? – powiedziała szybko i jakby od niechcena, i już na mnie nie patrząc (malowała sobie usta malusieńkim pędzelkiem, bardzo starannie).

– Chyba mam jakieś w neseserze – odpowiedziałem tak naturalnie, jakby poprosiła mnie o pęsetkę, swoją miała jeszcze na umywalce; ale była to naturalność tak naciągana, że nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dodać: – Wydawało mi się, że o niczym innym nie marzysz jak tylko o tym, żeby któryś z twoich absztyfikantów właśnie ich nie miał.

Berta zaczęła się śmiać i powiedziała:

– Owszem, ale nie chcę ryzykować, że właśnie Arena Widzialna nie będzie ich miał.

W jej śmiechu była autentyczna radość, tak jak była w jej podśpiewywaniu, które zdołałem jeszcze usłyszeć (pewnie czesała się przed lustrem, już sama, bez mojej obecności opartej o futrynę drzwi, które nie były drzwiami do mojej sypialni), kierując się ku wyjściu, śmiech i podśpiewywanie kobiet szczęśliwych, jeszcze nie babć, i nie wdów, i już nie starych panien, ów śpiew nieznaczący i

bez adresata, i przez nikogo nieoceniany, który teraz nie był preludium snu ani oznaką zmęczenia, lecz jedynie głupim uśmiechem albo oznaką i preludium tego, co pożądane, albo odgadywane, albo tego, co już wiadome. Ale stało się coś nieprzewidzianego, co, jeśli zastanowić się z perspektywy czasu, wcale nie było nieprzewidziane. Wróciłem ze swojej kolacji około północy i, jak zwykle, kiedy jestem sam, przed położeniem się do łóżka, włączyłem telewizor, by przez parę minut przeskakując z kanału na kanał dowiedzieć się, co podczas mej nieobecności wydarzyło się na świecie. I tym właśnie byłem ciągle zajęty, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe, które parę minut temu zamknąłem za sobą, ale nie na zasuwkę, i pojawiła się Berta. Nie schowała klucza do torebki, trzymała go w dłoni. Utykała mniej niż kiedykolwiek albo udawała jak nigdy, nie utykała. Płaszcz miała rozpięty, zauważyłem, że nie ma na sobie stroju, w którym widziałem ją w łazience, kto wie, ile razy jeszcze się przebierała od mojego wyjścia. Był to kolejny wyzywający i śliczny strój, ona zaś miała na twarzy wymalowany pośpiech (albo lęk, albo zakłopotanie, a może to noc, twarz nocnej urody).

– Dzięki Bogu, że jeszcze się nie położyłeś – powiedziała.

– Wróciłem przed chwilą. Co się dzieje?

– Bill jest na dole. Nie chce, żebyśmy poszli do jego hotelu, prawdę mówiąc nawet mi nie wspomniał, że w ogóle zatrzymał się w jakimś hotelu. Chodzi mu o to, że nie chce, żebyśmy poszli tam, gdzie się zatrzymał, chce przyjść tutaj. Powiedziałam, że goszczę przyjaciela, który przyjechał na parę dni, a on powiedział, że nie chce świadków, no to normalne, nie? Co robimy?

Była na tyle subtelna, iż również teraz użyła liczby mnogiej, choć należało się domyślać, że już nie mnie owa liczba obejmuje, ale czekającego na dole Billa, a może całą naszą trójkę.

– To, co robiliśmy za naszych studenckich czasów, jak sądzę – powiedziałem wstając i przywołując inną liczbę mnogą, wyłącznie

naszą, tę, która kiedyś zaistniała była w przeszłości. – Trochę sobie pochodzę.

Żadnych wątpliwości, tego oczekiwała. Nie oponowała, prosiła o to.

– To nie potrwa długo – powiedziała – godzinę, półtorej, nie wiem. Na Czwartej Alei, idąc w dół, jest miejsce gdzie można coś zjeść na szybko, czynne przez całą dobę, trafisz, jest ogromne. Zresztą, nie jest jeszcze tak późno, dużo miejsc jest jeszcze czynnych. Nie jesteś zły?

– Nie, skądże. Jeśli o mnie chodzi, to nie musisz się spieszyć, może lepiej trzy godziny?

– Nie, to tak długo nie potrwa. Wiesz, możemy zrobić coś innego. Nie będę gasić światła w tym pokoju, widać je z ulicy. Gdy on wyjdzie, zgaszę je. Z ulicy będziesz mógł zobaczyć, czy w mieszkaniu już jest ciemno i wtedy będziesz mógł wejść, zgoda?

– Dobrze – powiedziałem. – A jeśli będzie chciał zostać na noc?

– Nie, na pewno nie. Weź coś do czytania. – To powiedziała jak matka.

– Kupię jutrzejszą gazetę. A gdzie on czeka? – zapytałem. – Nie zapominaj, że on mnie widział, jeśli mnie teraz zobaczy i rozpozna, kiepska sprawa.

Berta podeszła do okna, ja podszedłem za nią. Spojrzała w lewo, spojrzała w prawo i dostrzegła „Billa”, z prawej. „Tam jest”, powiedziała wyciągając palec wskazujący. Moja pierś muskała jej plecy, jej plecy oddychały niespokojnie, ze zniecierpliwieniem, z zakłopotaniem albo z lękiem, albo były nocne. Noc była czerwona, pochmurna, ale nic nie zapowiadało, by miało kiedykolwiek padać. Dostrzegłem postać „Billa”, odwróconą, w sporej odległości od naszej bramy, wyczekującą, w sporej również odległości od jedyne snopa światła znajdującego się w naszym polu widzenia (Berta mieszka

przy ulicy zabudowanej niezbyt wysokimi budynkami, na trzecim piętrze, nie w alei drapaczy chmur).

– Nie przejmuj się – powiedziała – zejść z tobą, żeby go uprzedzić. To on przede wszystkim nie chce, żeby go ktokolwiek zobaczył. Gdy wyjdiesz, skreć od razu w lewo i już, on się nie odwróci, dopóki go nie uprzedzę. Nie sprawia ci to kłopotu, na pewno? – I Berta pogłaskała mnie po policzku, pełna wobec mnie czułości, tak jak czule są kobiety łudzące się jakąś nadzieją, choćby trwać to miało chwilkę albo trwać już właśnie przestawało.

Wszedłem i łąziłem przez jakiś czas. Zajrzałem do wielu otwartych jeszcze sklepów, wszystko jest zawsze otwarte w tym mieście, Berta zareagowała nagle jak Hiszpanka, być może dlatego, że jeden Hiszpan na nią czekał, a z drugim rozmawiała. W jednym z nigdy nie zamykanych straganów Koreańczyków kupiłem niedzielnego „New York Timesa”, najogromniejszego z całego tygodnia, mleko do domu, skończyło się. Wszedłem do sklepu płytowego i kupiłem płytę, ścieżkę dźwiękową ze starego filmu, nie było jej na kompakcie, wyłącznie na czarnej płycie, nie występującej już w żadnym katalogu. Była sobota, ulice pełne były ludzi, widziałem narkomanów i przyszłych przestępców z daleka. Wszedłem do nocnej księgarni i kupiłem japońską książkę, ze względu na tytuł, który po angielsku brzmiał *House of the Sleeping Beauties*, tytuł mi się nie podobał, ale książkę kupiłem właśnie ze względu na tytuł. Przybywało mi drobnych pakunków, włożyłem je wszystkie do plastikowej torby, tej od płyty, największej, wyrzuciłem pozostałe, te z szarego papieru, jakie dają w budach i straganach, nie mają uszu, są niewygodne i całkowicie związują sobą ręce lub lepiej, wypełniają je, tak jak wypełniają się ręce mężczyzny w jego noc poślubną, jak również ręce kobiety, co w tych czasach oznacza to samo, co pierwszy raz, tak łatwo i tak szybko zapominamy jeśli nie ma drugiego, nawet jeśli nie ma trzeciego ani czwartego ni piątego, choć to nie jest tak, że się nie wie. Mieliśmy dziś noc poślubną „Billa” i Berty, ta noc właśnie trwała, gdy ja trawiłem czas na łożeniu po

mieście, „zabijać czas” mówi się o czymś takim. Zobaczyłem wspomniany przez Bertę lokal z szybkimi daniami, prawdę mówiąc od początku kierowałem swe kroki w jego stronę, w ogóle o tym nie myśląc, bo o nim wspomniano. Ale na razie tam nie wszedłem, trzeba było zostawić go sobie na później, w odróżnieniu od innych czynny był przez dwadzieścia cztery godziny, jeszcze mógł mi się przydać, anons przeczytałem. Nie było już widać nieba nad alejami, za dużo światła i za dużo przecinających się linii, wiedziałem, że jest czerwone i zachmurzone, nie będzie padać. Ruszyłem dalej nie oddalając się zbyt i tak mijał czas, tak bardzo postrzegalny, kiedy się go zabija, wydaje się, że każda sekunda nabiera własnego charakteru i trwałości, jakby każda była drobnym kamykiem z garści żwiru, powoli wysypywanym z dłoni na ziemię, zegar piaskowy, czas staje się pobrużdżony i popekany, jakby już był czasem przeszłym albo już minął, patrzy się, jak mija czas miniony, pewnie tak nie jest ani dla Berty, ani dla Guillerma, wszystko było postanowione już od pierwszego listu, wszystko uzgodnione i przypieczętowane podczas kolacji, tam, gdzie poszli, pogadać trochę bez zbytniego skupienia, ogarnięci niecierpliwością, poudawać, że zyskuje się względy, z tematu na temat, anegdota, przyjrzeć się ustom, nalać wina, być kulturalnym, przypalać papierosy, śmiać się, śmiech jest niekiedy preludium pocałunku i oznaką pożądania, jego okazaniem, nie wiadomo dlaczego, śmiech znika później podczas pocałunku i spełnienia, prawie nigdy nie ma śmiechu, gdy ludzie jeszcze nie śpiąc obejmują się na poduszce i usta już się sobie nie przyglądają (usta są pełne i jest to dostatek, i obfitość), raczej ma się skłonność do powagi, jak ucieszne nie byłyby prolegomena i wtrącenia, zwłoka, oczekiwanie, przedłużanie i przerwy, chwila na oddech, śmiech się urywa, głosy też niekiedy, milkną głosy artykułowane albo używają wyłącznie wołaczy lub wykrzykników, nie ma co tłumaczyć.

Okolo wpół do trzeciej poczułem się w końcu trochę głodny, moja kolacja była już dawno temu, wróciłem do całodobowego

lokalu i poprosiłem o sandwicz, piwo, rozłożyłem ogromniastego „New York Timesa”, przeczytałem strony międzynarodowe i sportowe, coraz trudniejsze stawało się zabijanie takiej ilości czasu, nie chciałem wracać przed upływem trzech godzin, które sam ofiarowałem Bercie. Choć kto wie, może „Bill” już wyszedł, może skończyła się już powaga i śmiech się już skończył, kiedy wszystko jest już uzgodnione, egzekucja trwa czasem krótko i niczym nie jest przedłużana, mężczyźni są niecierpliwi, chcą wyjść szybko, nagle drażni ich rozbabrane łóżko i widok prześcieradeł, i plam, reszta, resztki śladów, ciało, którego niedoskonałość i ułomność rzuca im się teraz w oczy, choć nie chcą na nie nawet okiem rzucić (przedtem je tylko obejmowali, teraz jest im zupełnie obce), tyle razy przedstawiano w malarstwie i w kinie kobietę opuszczoną w łóżku, nigdy nie przedstawiano mężczyzny, a jeśli już, to zmarłego mężczyznę jak Holofernesa, kobieta odpadek, może Berta już jest sama i czeka na mój powrót albo spragniona jest mojego powrotu, mojej przyjacielskiej dłoni na swym ramieniu, by nie czuć się obcą osobą ani odpadkiem. Zapłaciłem i wyszedłem, i ciągle niespiesznie zacząłem iść z powrotem w stronę ulicy i w stronę domu, ludzi było już mniej, ludzie nie szaleją do rana jak w Madrycie, tu piątkowe i sobotnie noce to delirium, a w tamtym mieście można było już spotkać jedynie taksówki. Była trzecia dwadzieścia, kiedy znalazłem się w tym samym miejscu, w którym „Bill” czekał, aż zwolnię mieszkanie, w sporej odległości od bramy, w sporej odległości od jedyne go snopa światła, ale teraz, z chodnika, widziałem, że dalej jest ich więcej, miasto oszczędnie dozuje na ulicach to, czym szasta bez umiaru w alejach. Z tego miejsca nie było widać światła w salonie, kąt zbyt ostry, przesunąłem się parę kroków, trzecie piętro, podszedłem bliżej, żeby zająć lepszą, bardziej na wprost, pozycję i zobaczyłem zapalone światło, jeszcze zapalone, „Bill” nie wyszedł, wciąż tam był, nie uważał jeszcze Berty za obcą osobę. I już się nie ruszyłem, bo postanowiłem czekać na ulicy, za późno już, żeby szukać hotelu, trzeba było wcześniej pomyśleć, nie chciało mi się wracać do lokalu z szybkimi daniami, a niewiele innych było jeszcze

czynnych, już nie byłem głodny, może pić mi się chciało, trochę, już nie chciałem dłużej łązić, dość miałem chodzenia i odliczania czasu. Przypomniałem sobie aktora Jacka Lemmona w filmie z lat sześćdziesiątych, nigdy nie mógł wejść do swojego mieszkania, stanąłem przy latarni, przylepiony do niej jak pijak z dowcipu, na ziemi moja plastikowa torba z widocznym zarysem mleka w kartonie, w ręku i w snopie światła gazeta do czytania. Ale nie czytałem, czekałem, jak czekała Miriam, tyle że nie przejmowałem się swym, być może, nie najlepszym, po tak długim oczekiwaniu, wyglądem i dokładnie wiedziałem, jaka jest sytuacja, to znaczy, dlaczego kazano mi czekać, nie byłem na nikogo wściekły, czekałem tylko na znak. Co i raz spoglądałem ku oknu, tak jak teraz spoglądał Custardoy ku oknu mojej sypialni, czuwałem nad fałszywą nocą poślubną „Billa” i Berty, jak owa kubańska świekra z piosenki i z bajki czuwała nad nocą swej córki z cudzoziemcem, który nad ranem przemienił się w węża (a może w nocy, poślubnej nocy, zaczęła błagać o pomoc córka, która nie została wysłuchana, zięć oszukał i przekonał świekrę, mówiąc do niej właśnie „świekro ma”) i pozostawił ślady krwi na prześcieradle, a może to była krew poślubionej dziewczycy, ciało zostaje tknięte albo skóra, która się otwiera, albo coś się rozrywa, tej nocy Berta nie pozostawi śladu swojej. Ranz zaznał trzech nocy poślubnych, trzech prawdziwych, podczas nich coś się rozrywało czasami, dawnymi czasy. Światło wciąż było zapalone, nawet chyba za długo, za piętnaście czwarta, rozmawiać, powtarzać, podtrzymywać, koniec ze śmiechem, a może „Bill” zdecydował się na spędzenie tam całej nocy, trudno wyczuć, nie było już nawet słyhać szumu ruchu samochodowego w alejach, nagle zacząłem bać się o Bertę, nie boisz się troszkę, zapytałem ją, jak pech, to pech odpowiedziała, ludzie umierają, wydaje się to niemożliwe, ale ludzie umierają, tak jak umarła moja ciotka Teresa i pierwsza żona mojego ojca, ktokolwiek by to był, nadal nic o niej nie wiedziałem, pewnie nie chciałem, za to Luiza chciała, Luiza była zaintrygowana, kto wie, czy Luizie nie grozi teraz niebezpieczeństwo, tak daleko, za oceanem, jak chorej żonie Guillerma, która o chorobie

i niebezpieczeństwie nic nie wie, podczas gdy ja nagle zacząłem bać się o Bertę, która była bardzo blisko, tuż za oknem swego oświetlonego salonu, znak, światło w mojej sypialni nie paliło się, bo je zgasilem, a w jej sypialni nie wiadomo, nie jest od ulicy, pewnie tam jest, z „Billem” i z jego głosem jak piła, z głosem teraz nieartykułowanym, tak jak ja byłem z Luizą parę minut temu, zanim poszedłem do lodówki (głosy wykrzyknikowe), by potem spojrzeć przez okno pokoju, gdzie pracuję, na ulicę, na róg mojego nowego domu, na którym zatrzymuje się tyle osób, kataryniarz i kobieta z warkoczem, facet sprzedający i wyśpiewujący zalety swoich róż, nie wyłączając Custardoya z jego obleśną twarzą zwróconą ku górze i mokrą, tej nocy nie zszedłem, żeby dać mu banknot za to, żeby sobie poszedł, nie przeszkadzał, nie hałasował, nie mogłem go kupić, nic takiego nie robił, patrzył tylko ku górze, w strugach deszczu, w kapeluszu, ku naszej sypialni, której wnętrza nie mógł zobaczyć, bo za wysoko, może światło tylko, które już się nie paliło, Luiza je zgasila, gdy ja okłamywałem ją i patrzyłem na zewnątrz nie łaknąc świata, moim światem jest dzielona przez nas, od dnia ślubu, poduszka, a może i wcześniej, czy był ktoś w tym świecie lub na tej poduszce podczas mej nieobecności, ktoś, kto potrafił wywołać gotowość i zamiar?

Przeraziła mnie ta myśl i nie chciałem się nad nią zastanawiać, sekret, którego się nie wyjawia nikomu, nie sprawia bólu, jeśli będziesz miał sekrety lub już je masz, nie zwierzaj się jej, powiedział mi mój ojciec po tym, jak powiedział: a teraz co, teraz co; jej sekrety nie byłyby żadnymi sekretami, gdybyś o nich wiedział, rzekł, ale w Luizie nie nastąpiła żadna w stosunku do mnie zmiana albo jeśli nastąpiła, nie powinienem się niczego obawiać, byłem już blisko, a nie za oceanem, w drugim pokoju, zaraz będę u jej boku, osłaniając jej plecy i wspierając, gdy tylko Custardoy sobie pójdzie. Nic prawie Luizie nie opowiedziałem, nic o „Billu” ani o Guillermie, nic o płaszczu kąpielowym ani o trójkacie owłosionego torsu, nic o wideo ani o głosie jak piła, nic o nodze ani o czekaniu owej sobotniej nocy, nic z

tych rzeczy nie było samo w sobie sekretem albo mogło nie być sekretem, ale może już nim było przez tygodniowe, od mojego powrotu, przemilczanie, sekret nie ma właściwego sobie charakteru, implikowany jest przez zatajenie i milczenie albo ostrożność, albo i zapomnienie; nie komentować i nie opowiadać, bo słuchanie jest najbardziej niebezpieczne i nie da się go uniknąć, i dopiero wtedy zdarza się wszystko, co się zdarza, uczynki stają się uczynkami, kiedy się o nich nie mówi, wystarczy o nich powiedzieć, by spłoszyć zdarzenia i odpędzić uczynki, ludzie związani ze sobą w pary opowiadają sobie wszystko o innych, nic o sobie, nic przynajmniej, co w ich mniemaniu nie dotyczyłoby obojga: i wtedy język przy uchu, „I have done the deed”, i w tym zwykłym oznajmieniu już jest wypaczenie lub negacja uczynku albo czynu. „Uczyłem ten uczynek”, odważył się powiedzieć Makbet, powiedział to w chwilę po swym uczynku, ileż trzeba odwagi, nie tyle by to uczynić, ile by to powiedzieć, życie albo nadchodzące lata nie zależą od tego, co się czyni, ale od tego, co się o kimś wie, wie o tym, co uczynił i od tego, o czym się nie wie, bo nie było świadków i wszystko zostało przemilczane. Być może należy zaakceptować kłamstwo, które jest częścią prawdy, tak jak prawda jest częścią kłamstwa, nasze myślenie jest niepewne i niejasne i nie toleruje braku jakichkolwiek wątpliwości, zawsze będą dlań istniały strefy cienia i zawsze rozumować będzie tak chorym mózgiem.

Bąłem się o Bertę, już cztery godziny, nagle zacząłem się bać, że mogła zostać zamordowana, ludzie umierają, ludzie, których znamy, umierają, choć wydaje się to niemożliwe, tylko ona wiedziała, że trzeba zgasić światło, by dać znak, po co miałby gasić światło wychodzący z mieszkania morderca, światło powinno zgasnąć tuż po jego wyjściu, żebym wiedział, że właśnie wyszedł i powiedzieć mi, „Wejdz”, ciemność oznaczała „Wejdz”, może nasza ciemność coś miała oznaczać dla Custardoya, zobaczę, moim przesłaniem było, „Idź precz”. Podniosłem torbę z ziemi i zacząłem powoli przechodzić przez ulicę, by wejść już nie czekając dłużej,

ulicę można było pokonać czterema krokami, od dawna już nie przejeżdżał tędy żaden samochód, czwarta dwadzieścia, zbyt wiele godzin jak na obcych sobie ludzi. Już przechodziłem, już byłem na środku ulicy, kiedy pojawiła się wolno nadjeżdżająca, jakby szukała znajdującego się tuż-tuż adresu, taksówka. Cofnąłem się o cztery czy dwa kroki, by z powrotem znaleźć się na chodniku, taksówkarz dojechał do miejsca, w którym stałem i obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem (żebracy i narkomani bardzo często noszą torby plastikowe, pijacy z kolei torby z szarego papieru bez uszu); przyjrząwszy mi się lepiej albo spostrzegłszy moje spokojne zachowanie potrząsnął pytająco głową i zapytał o numer domu Berty, ledwo go można było zrozumieć, pewnie Grek, Libańczyk albo Rosjanin jak niemal wszyscy taksówkarze w tym mieście, wszyscy na całym świecie potrafią prowadzić. „To ten”, powiedziałem, wskazując mu bramę, której numer był niewidoczny w pochmurnej nocy odosobnionej latarni i natychmiast cofnąłem się, oddaliłem się od snopa światła, jakby nagle zaczęło mi się spieszyć, by iść dalej swoją drogą, to była taksówka, którą „Bill” zamówił przez telefon, żeby wrócić do Plaza Hotel, być może właśnie schodził i światło zaraz zgaśnie, o ile Berta żyje, odpadek czy nie odpadek, za dużo godzin. Zatrzymałem się w odpowiedniej odległości, jeszcze dalej od miejsca, w którym Arena Widzialna czekał, żeby wejść bez świadków, usłyszałem klakson o dźwięku krótkim i suchym, oznaczał: „Co jest?” albo „Tutaj jestem”, albo „Złaź pan”. Natychmiast otworzyły się drzwi i zobaczyłem wychodzące spodnie patriotyczne i płaszcz, który w nocy był pawioniebieski; niebo wciąż było czerwone, może nawet gromadziły się ciężkie chmury. Usłyszałem zatraskujące się drzwiczki taksówki i wyższe obroty silnika, przejechała koło mnie przyspieszając, odwrócony byłem plecami. Zawróciłem po swoich śladach do latarni i światło w salonie już było zgaszone, Berta pamiętała o mnie i była żywa, nasze światła też są zgaszone, właśnie zaciemniłem pokój, w którym pracuję, Luiza wyłączyła w sypialni nieco wcześniej, minęło zaledwie parę sekund. Nadal w snopach światła padała rtęć lub srebro, nasza noc była pomarańczowa i

zielonawa, jak to zazwyczaj w mokrym Madrycie. Custardoy spojrział w górę swoją białą i obleśną plamą. „Idź precz”, powiedziałem doń swym chorobliwym mózgiem. Wówczas położywszy jedną rękę na kapeluszu, drugą zaś kurczowo przytrzymując podniesiony kołnierz marynarki, wyszedł spod okapu i skręcił za róg, i zniknął z moich oczu, moknąc niczym ktoś zakochany albo jak pies.

Któż nie miał podejrzeń, któż nie zwątpił w swego najlepszego przyjaciela, któż nie czuł się zdradzony i zadenuncjowany w dzieciństwie, już w szkole spotyka się człowiek z tym, co go czeka później w świecie, którego tak łaknie, kłody i wiarołomstwa, milczenie i zasadzka; nie brak i takiego pośród kolegów, który mówi „To byłem ja”, pierwsza forma poczucia odpowiedzialności, ten pierwszy raz w życiu, kiedy trzeba powiedzieć albo usłyszeć: „I have done the deed”, a później, im bardziej się dorasta i świat jest coraz mniej światem, bo przestaje być poza naszym zasięgiem, coraz rzadziej się to mówi i słyszy, ruguje się język dzieciństwa i odstawia za zbytnią schematyczność i prostotę, ale owe niewyszukane i absurdalne zdania, wówczas odczuwane jako bohaterские, nie opuszczają nas całkiem, lecz trwają w spojrzeniach, w zachowaniach, w znakach, w gestach i w dźwiękach (wykrzykniki, to, co nieartykułowane), które również mogą i powinny być tłumaczone, bo są klarowne zazwyczaj, a poza tym naprawdę coś mówią i naprawdę odnoszą się do uczynków (nienawiść bez hamulców i miłość bez płątania), bez odczuwania męki ciągłego być może albo prawdopodobnie, bez opakowania słów, które nie tyle służą poznaniu lub relacjonowaniu czy komunikowaniu, ile płątaniu i zatajaniu, i uwalnianiu od odpowiedzialności, wszystko, co werbalne niweluje to, co jako czyny i uczynki jest odróżnialne i nie może być płątane. Całowanie kogoś jest, być może, przeciwstawne zadawaniu komuś śmierci, ale opowiedzenie pocałunku i opowiedzenie śmierci upodabnia i kojarzy natychmiast jedno z drugim, ustanawia pewną analogię i ustala symbol. W dorosłym życiu zdominowanym przez słowa nie słyszy się tak i nie słyszy się nie, nikt nie mówi „To byłem ja” albo „To nie byłem ja”, ale to wszystko nadal się *widzi*, niemal zawsze „To nie byłem ja”, bohaterские wyczyny zaczynają powiększać listę błędów.

Któż nie podejrzewał, a wobec podejrzeń można zachować się dwojako, jednako nieskutecznie, zapytać i zmilczeć. Pytając i zmuszając usłyszy się, być może, „To nie byłem ja” i trzeba będzie zwrócić uwagę na wszystko, co *nie mówi*, na ton, na oczy unikające patrzenia wprost, na drżenie głosu, na zaskoczenie i oburzenie, być może, udawane; i nie będzie można zadać powtórnie pytania. Jeśli się zmilczy, wówczas pytania pozostaną wciąż nietknięte i w gotowości ciągle, choć niekiedy czas czyni z nich pytania niestosowne i prawie niewyraźne, nie na czasie dosłownie, jakby wszystko ulegało w końcu przedawnieniu, wywołując jedynie uśmiech, gdy przynależy już do czasu minionego, przeszłość cała wydaje się wybaczalna i naiwna. Jeśli się zmilczy, należy rozwiązać podejrzania i zaniechać pytania lub też podsycać je w sobie i szykować następne z daleko posuniętą ostrożnością, tym, co okazuje się rzeczą niemożliwą, jest potwierdzenie podejrzania, nikt niczego nie wie o tym, przy czym go nie było, nawet najszczerzym wyznaniom nie można dawać wiary, w szkole się mówi: „To byłem ja”, gdy w rzeczywistości był nim ktoś inny, ludzie kłamią, tak jak i umierają, wydaje się to niewiarygodne, ale niczego nigdy nie można wiedzieć. Albo tak mi się wydaje. Dlatego czasem lepiej jest nie wiedzieć i nie znać nawet początków, i nie słyszeć rozpowiadających głosów, wobec których jest się całkowicie bezbronnym, owych gawędziarskich głosów docierających do nas wszystkich, cofających się w przeszłość zamierzchłą lub niedawną i ujawniających sekrety mało ważne, ale mimo to wpływające na życie albo przyszłe lata, na naszą znajomość świata i osób; nikomu już nie można ufać, gdy się je usłyszy, wszystko jest możliwe, największa potworność i największa podłość ludzi, których znamy, a i nas samych również. I cały świat oddaje się nieustannemu mówieniu i opowiadaniu, i nieustannemu zatajaniu tym samym, nie opowiada się i nie zataja się tego, czego się nie mówi. Dlatego to, co jest przemilczane, przeistacza się w sekret i niekiedy nadchodzi dzień, kiedy w końcu zostaje opowiedziany.

Ja nic nie powiedziałem, nie pytałem i jeszcze nie zapytałem, im więcej czasu upłynie, tym zrobienie tego staje się coraz mniej prawdopodobne i trudniejsze. Pozwala się, by pierwszy dzień minał, słowem o niczym nie napomykając, i by minał drugi, trzeci, cały tydzień, i tak miesiąc za miesiącem, niepostrzeżenie, odkłada się okazanie swych podejrzeń, o ile podejrzenia te nie narastają, być może w oczekiwaniu, że i one przekształcą się w przeszłość, w coś wybaczalnego lub naiwnego, co zasługiwać będzie jedynie na nasz uśmiech. Przez wiele dni spoglądałem, przed spaniem, przez okno mego gabinetu, na róg, w dół; ale Custardoy nie pojawił się tam żadnej z kolejnych nocy i zobaczyłem go dopiero u siebie, w moim domu, na górze, przez chwilę. Mój ojciec przyszedł mniej więcej o wpół do dziewiątej, by przysiąc przy kielichu, z Luizą i ze mną, przed pójściem na nie wiem już jaką kolację, na którą zapraszał go Custardoy, toteż Młodszy przyszedł po niego gdzieś około dziesiątej. Usiadł na parę minut, szybko wypił piwo i niczego nie zauważyłem, ot, minimum, zresztą świeżej, zażyłości między Custardoyem a Luizą, zresztą w towarzystwie ojca, poznali się podczas mojej nieobecności dzięki niemu, był obecny tutaj dwa lub trzy razy, to wszystko albo tak mi się wydawało. Znacznie większa zażyłość łączyła Ranza i Luizę, oni, owszem, widzieli się sam na sam i to nie raz, mój ojciec towarzyszył jej przy zakupach dla nienaturalnego domu, wziął ją parę razy na obiad lub kolację, służył radą (mężczyzna z gustem, ekspert od sztuki), widać było, że się lubią, świetnie się oboje bawili w swoim towarzystwie. Podczas tej wizyty mój ojciec mówił o Kubie, ale w jego przypadku nie było w tym nic nadzwyczajnego, więcej, bardzo często mówił o tym kraju, jego kontakty z Kubą nie były takie znowu rzadkie, od ożenku z dwiema córkami hawańskiej matki po parę znacznych transakcji, o których coś niecoś wiedziałem. Pojechał tam w grudniu 1958 roku, na parę tygodni przed upadkiem Batisty: przewidując, co się niebawem zdarzy (a przewidywali to również właściciele), nabył za cenę pośpiechu sporo kosztowności i cennych obrazów od rodzin szykujących się do ucieczki. Część z nich zostawił sobie (niewiele), reszta

została sprzedana do Baltimore, Bostonu czy Malibu lub też zlicytowana na europejskich aukcjach (kosztowności być może rozebrane przez madryckich jubilerów, co niektóre zostały komuś dane w prezencie). Było to coś, czym się chełpił, żałując zarazem, że później już nigdy nie wykazał się takim nosem w przewidywaniu rewolucji, a w ich następstwie majątnych emigracji. „Gdy bogaci oddają pole, nie chcą swoim wrogom niczego zostawiać”, mówił z nieustannie kpiarskim uśmiechem swych kobiecych ust. „Szybciej spalą lub zniszczą niż pozwolą, by cokolwiek wpadło we wrogie ręce, ale bogaci wiedzą również, że odrobinę korzystniej jest jednak to sprzedać”. Jeśli pojechał wówczas na Kubę, to niewykluczone, że miał tam swoje kontakty, być może przyjaciół i że bywał tam przedtem, ale jego poszczególne pobyty na tamtym kontynencie stanowiły już istną gmatwaninę, jeden wyjazd płała się w jego relacjach z innymi (chyba jemu samemu też się płałały), bo tak często tam jeździł, by doradzać swym szacownym muzeom północnoamerykańskim i swym oszukańczym bankom południowoamerykańskim; z jego ewentualnych podróży na Kubę klarowne były jedynie wyjazdy przedrewolucyjne. (Ale przecież dzieciom opowiada się wszystko bez ładu i składu, w miarę jak dorastają i okazują zainteresowanie stopniowo i skokowo, więc całość minionego życia rodziców jawi się im chaotycznie w najlepszym wypadku). Miał je czy nie miał, swoje przyjaźnie na wyspie utracił pewnie z nadejściem 1959 roku i z tak opiewanym końcem przywilejów, choć jakoś sobie nie przypominam, by kiedykolwiek utrzymywał jakieś kontakty z kubańskimi uchodźcami w Hiszpanii. Albo nie bywali w domu, albo nie zostałem im nigdy przedstawiony. Od tamtej pory nigdy już tam nie wrócił, a więc tym samym, kiedy Ranz mówił teraz o Kubie, robił to bez znajomości rzeczy.

Ale tym razem sposób, w jaki mówił, był jednak niezwykajny i odmienny, jakby obecność Luizy nabrała już takiej ważkości, iż wypadało, by ton i serdeczność, najpewniej obecne, gdy przebywali sami ze sobą, wyparły ów dawniejszy, bardziej ironiczny ton, który

zawsze przybierał wobec mnie, tak w dzieciństwie jak i później. A kiedy Luiza wyszła z pokoju na chwilę, do telefonu, sposób, w jaki mój ojciec odzywał się i opowiadał, zmienił się, czy dokładniej rzecz ujmując, nastąpiła w nim przerwa. Jakby zdał sobie nagle sprawę, że ja też tu jestem, zaczął zadawać mi pytania o Nowy Jork, które *zdażył* mi już zadać tuż po moim powrocie (trzy dni później jedliśmy razem w La Ancha) i na które to pytania znał już odpowiedzi albo wcale go one nie interesowały. Choćbym siedział na wprost, to zwracał się do Luizy i ledwie wróciła, ponowił swoje opowieści z niespotykaną pasją, choć Ranzowi nigdy w życiu nie brakowało pasji. Może śmiech Luizy był taki, jaki być powinien, może śmiała się w odpowiednich momentach (dokładnie przez niego przewidzianych), może słuchała go w wymarzony sposób albo każdy jej wtęret czy pytanie były jak najważniejsze, albo po prostu Luiza była tą właśnie osobą, której Ranz chciał się dać poznać i opowiedzieć jej wszystko, kimś nowym, komu mógł opowiedzieć swoją historię bez skoków i po kolei, bo była nią zainteresowana od samego początku i nie trzeba było czekać, aż dorośnie. Ojciec opowiedział nam wiele nieznanymi mi dotąd anegdot, jak tę o weneckim fałszerzu małych romańskich Madonn, które wyrzeźbiwszy w kości słoniowej, z niezwykłą wprost biegłością, wkładał swojej żonie do biustonosza, ogromnego biustonosza; wydzieliny piersi (obfite) i pot spod pach (silny) nadawały jego posążkom idealną patynę.

Albo tę o dyrektorze jednego z banków w Buenos Aires i miłośniku sztuki, który uparł się, że nie uwierzy Ranzowi i kupił od niego dzieło Custardoya Starszego, przywiezione tam przezeń na zamówienie zamożnej rodziny skąpców, pragnącej posiadać jedynie wyśmienitą kopię nader podziwianego obrazu Ingesa; gdy dyrektor ujrzał owo płótno, jeszcze bez ramy i nieprzekazane jeszcze zleceńdawcom, w zajmowanym przez Ranza pokoju hotelowym (a było to w Plaza Hotel, ale w Buenos Aires), tak się w nim zadurzył bez pamięci, że nie chciał nawet słyszeć, że chodzi jedynie o imitację; ojciec mój raz, drugi, tysiąc razy tłumaczył mu rodowód i

przeznaczenie owego płótna i że oryginał znajduje się w Montauban, ale bankier wbił sobie do głowy, że Ranz chce go zwieść i zachowując się nie całkiem lojalnie, zdobył arcydzieło dla innych klientów, a to w Montauban jest pewnie fałszywe. „W takim razie”, powiedział nam ojciec, bo tak mu powiedział, nie wiedząc już, jak go ma przekonać, „jeśli kupi go pan w przekonaniu, że to autentyk, będzie pan musiał zapłacić jak za autentyk”. Owe słowa, które miały zniechęcić bankiera, okazały się dlań ostatecznym dowodem potwierdzającym jego przypuszczenia. „Nigdy Custardoy nie zarobił tylu pieniędzy za jedno, jedyne płótno”, powiedział mój ojciec. „Szkoda, jeśli o nas chodzi, że tak mało jest zaślepionych do tego stopnia dyrektorów banków czy muzeów. Szkoda, że w ogóle nie wierzą mi aż tak ślepo, bo moglibyśmy regularnie stosować podobną metodę”. I dodał rozanielony, i śmiejąc się wspólnie z Luizą: „Od tamtego czasu nie miałem o nim żadnych wieści, uznałem, że tak będzie najlepiej. Mam nadzieję, że owego bankiera nikt nie oskarżył o malwersację”. Mój ojciec czuł się świetnie i świetnie się bawił, Luiza też się świetnie bawiła, ale on bardziej, był w siódmym niebie, i pomyślałem, że w tej chwili, gdyby tylko chciała, mogłaby z niego wyciągnąć wszystko i nieprzypadkowo o tym pomyślałem, ale myśląc i o tym, czego Luiza chciała się o nim dowiedzieć, a ja nie chciałem, jak mi się wydaje, choć i ja nadal to w myślach roztrząsałem, to znaczy nie odtrącałem całkowicie tego, co również można by uznać za podejrzenie, przypuszczam, że nie da się żyć z wieloma podejrzeniami jednocześnie, dlatego niektóre z nich czasem się odrzuca – te najbardziej nieprawdopodobne, a może właśnie te są najbardziej prawdopodobne; te, które nie są jeszcze przeszłością, te, wobec których czulibyśmy się wciąż zmuszani do podejmowania różnych działań i nie oszczędzały nam lęków i mozołu, i zaburzały abstrakcyjną przyszłość. Wydaje mi się, że odrzuciłem jakiekolwiek podejrzenia wobec Luizy, w zamian jednak musiałem żyć niesprecyzowane jeszcze podejrzenia wobec ojca, a może to Luiza, tego właśnie wieczoru i na krótko przed naciśnięciem przez Custardoya dzwonka do drzwi, zajęła się tym, by mi je głośno

przypomnieć, bo pośród śmiechów i uśmiechów, i anegdot, które, o dziwo, słyszałem po raz pierwszy, powiedziała Ranzowi tonem pełnym podziwu i nieustannie zwracając się do niego per pan, za czym zawsze obstawała i co preferowała:

– Prawdę mówiąc wcale się nie dziwię, że tyle razy się pan żenił, jest pan niewyczerpanym źródłem mało wiarygodnych historyjek, a jednak bardzo ciekawych i zajmujących. – I dodała natychmiast, jakby tworząc mu szansę odpowiedzi na drugą część, bez ustosunkowywania się, gdyby nie chciał, w ogóle, do części pierwszej, do tego, co do tej pory powiedziała (to była oznaka szacunku): – Wielu mężczyzn sądzi, że kobiety muszą czuć się kochane, uwielbiane, nawet rozpieszczane, podczas gdy nas, i to jest dla nas najważniejsze, trzeba po prostu zaciekawiać i zajmować, to znaczy udaremniać nam zbytnie skupianie się wyłącznie na nas samych. Oto jeden z powodów, dla których zazwyczaj chcemy mieć dzieci. I pan na pewno dobrze o tym wie, w przeciwnym razie nie kochano by pana aż tak bardzo.

Nie brałem tego do siebie, wprost przeciwnie. Opowiadałem Luzie wiele mało wiarygodnych historii, aczkolwiek tę o „Billu” i Bercie jak dotąd przemilczałem, a pewnie bardzo by ją zaciekawiała; ale ta historia dotyczyła również mojej osoby, więc może dlatego ją przemilczałem. Przez jakiś czas przemilczałem historię Guillermo i Miriam, dopóki Luiza sama o niej nie wspomniała, uświadamiając mi, że po części należy ona również do niej, a w dniu, w którym się poznaliśmy, przemilczałem albo przeinaczyłem poniekąd niektóre szczegóły wypowiedzi przywódców (naszego, przede wszystkim), które wydały mi się myślami z gruntu nietrafnymi lub niestosownymi albo wielce nagannymi. Ale wówczas moja cenzura w najmniejszym stopniu nie dotknęła Luizy, która rozumiała tyle co ja albo i więcej, w obydwu językach, ona była „siecą”. Milczenie i mówienie to środki interweniowania w przyszłość. Pomyślałem, iż zaleta przypisywana przez Luizę mojemu ojcu cechuje również Custardoya Młodszego: opowiadał, kiedy chciał, całkowicie niewiarygodne historie,

zabawiając nimi mojego ojca, zresztą i mnie nie żałował niezliczonych wprost opowieści w dzieciństwie, a i w późniejszych latach, nie tak dawno, uraczył kolejną, dotyczącą Ranza i mojej ciotki Teresy, i jeszcze jednej kobiety, z którą nie łączy mnie żadne pokrewieństwo, w pewnym sensie opowieścią o mnie samym (może i ta historia była moja; być może Luiza chciała właśnie jego słuchać, właśnie Custardoya Młodszeo).

Ranzowi nie zamarł uśmiech, za bardzo go jedynie przedłużył, nienaturalnie, jakby chciał zyskać na czasie, by rozstrzygnąć, na którą część z wypowiedzi Luizy ma odpowiedzieć i jak (albo też czy na wszystko, czy też wcale). Zaśmiał się zupełnie ponieważ, nawet rzeczy nieprzetłumaczalne i niecenzurowalne mają sobie właściwy czas trwania i w nim może kryć się ich znaczenie.

– Nie kochano mnie aż tak bardzo – odezwał się wreszcie tonem całkowicie odmiennym od zazwyczaj używanego, jakby jeszcze się wahał. Gdyby odpowiedź kierował do mnie, nie wahałby się i nie przedłużał śmiechu ani o sekundę (a jedno i drugie było oznaką szacunku, szacunku do Luizy). – A kiedy rzeczywiście tak było, nie zasługiwałem na to – dodał, pilnując się, by zdanie nie wyglądało na frazes wynikający z jego kokieterii: zbyt dobrze go znałem, żeby nie spostrzec, co jest jej efektem.

Luizie nie brakło śmiałości, by dalej nastawać, odnosząc się do Ranza z mniejszym już szacunkiem (a może był to skierowany ku mnie sygnał, że jej indagacja jest już w toku i nic, cokolwiek bym o tym myślał, jej nie zatrzyma; historia mogła stać się jej historią, jeśli ja umywałem ręce; Ranz zaczął już nią być. A może była to odrębna oznaka szacunku, szacunku wobec mnie, owo odroczenie przepytowania do czasu, gdy będę mógł przy tym być, a zarazem coś w rodzaju grzecznego uprzedzenia: „A teraz i od tej pory nie będę się już na ciebie oglądać w tej sprawie”).

– Ale o ile wiem, był pan żonaty nie tylko z tą, która byłaby moją teściową, ale również z jej siostrą. Dwie siostry kochające się w

jednym mężczyźnie, to nie lada kłopot. A Bóg jeden wie, ile to jeszcze kobiet kochało pana przedtem.

Ton Luizy był żartobliwy, lekki, jowialny, taki, jaki przybiera się często wobec osób starszych, kiedy chce się je rozweselić albo dodać otuchy, ton sympatycznej kpiny, który Ranz sam przybierał zarówno wobec innych, jak i wobec samego siebie, dodając sobie, być może, otuchy. A jednak ton jego odpowiedzi ani przez chwilę nie miał tego charakteru. Obrzucił mnie swym żarliwym spojrzeniem, jakby szukając potwierdzenia, że posiadana przez Luizę informacja pochodzi ode mnie i nie może różnić się od informacji przeze mnie posiadanych. Musiało tak być, nic w tym dziwnego: o wszystkich mówi się wszystko na poduszce. Ale ja nie dałem niczego poznać po sobie. Więc powiedział:

– Nie byłbym taki pewny, młodsze siostry nierzadko zadurzają się w tym wszystkim, co związane jest z ich starszymi siostrami. Nie twierdzę, że tak właśnie było w tym przypadku, niemniej trudno w nim jako takim dopatrywać się powodów do chwały, już raczej wprost przeciwnie.

– A przedtem? – nie ustępowała Luiza, choć nie uległo wątpliwości, że nie oczekuje, by w tej właśnie chwili cokolwiek jej powiedział, cokolwiek istotnego przynajmniej, Ranz lada moment miał wyjść na kolację, wyglądało to raczej na przygotowanie sobie przez nią terenu i zapowiedź czegoś na przyszłość konkretną lub bliską. Byłem zaskoczony, zarówno jej uporem, jak i reakcją mojego ojca. Pamiętałem dzień, w którym niemal nie wyrzucił mnie z restauracji, gdy tylko spróbowałem zapytać go o przeszłość. („Chcę zjeść spokojnie, i to dzisiaj, a nie w dniu sprzed czterdziestu lat”), przeszłość znacznie bliższą niż ta, o którą Luiza już zaczęła go pytać. Ranz znowu spojrzał na mnie, jakby właśnie zwątpił w przypuszczalne źródło informacji w mojej osobie albo nie wiedział, czy takowe w ogóle istnieje. Nie dałem niczego poznać po sobie. Odzyskał swój

zwyczajowy ton i odpowiedział z przesadnym gestem dłoni z papierosem:

– Przedtem? Przedtem to już tak dawno temu, że niczego nie pamiętam.

Właśnie wtedy rozległ się dzwonek, ale Luizie, choć już wstawiała, by ruszyć do drzwi, choć już kierowała się ku drzwiom, by wpuścić Custardoya Młodszego („To pewnie Custardoy” powiedział mój ojciec, choć ona już oddalała się korytarzem, zniknąwszy z naszych oczu) jeszcze czasu starczyło i czelności, żeby mu powiedzieć: „To radzę, by zaczął pan już sobie odświeżać pamięć, bo ja będę jeszcze pytać, a pan mi wszystko opowie, kiedy indziej, kiedy będziemy sami”.

Custardoy wypił swoje piwo i podczas swej króciutkiej wizyty był raczej małomówny, jak ja być może, być może jak zakochany. Niemal najmniejszego dźwięku nie wydały jego buty o półmetalowych zelówkach, niemal identyczne, prawdopodobnie, jak buty „Billa”, których kobiecy stukot o marmur urzędu pocztowego słyszałem, ale już nie o asfalt ulicy Berty, gdy wychodził i zajmował miejsce w swej taksówce, jakby i buty przyłączały się do zachowania tajemnicy.

O iluż to rzeczach nic się nie mówi i nie wspomina przez życie całe, przez całą historię albo całą opowieść, czasem bezwiednie i wcale sobie tego nie zakładając. Ja nie tylko przemilczałem i nie wspominałem o tym, o czym już wspominałem, ale zataiłem przede wszystkim owo poczucie dyskomfortu i przeczucia katastrofy, jakie zaczęły mi doskwierać od ślubu, rok temu niespełna. Obecnie jakby przygasły nieco i być może w końcu zanikną, na czas jakiś. Nie wspominałem o nich Luizie ani Bercie, ani mojemu ojcu, tym bardziej w pracy, że o Custardoyu nie wspomnę. Zakochani bardzo często milczą, nawet tylko zadurzeni. Zachowuje milczenie ten, kto już coś ma i może to stracić, a nie ten, kto już stracił albo jest o krok od zdobycia. Berta bez przerwy mówiła o „Billu”, na przykład, i

o „Jacku”, i o „Nicku”, dopóki byli dla niej kimś pozbawionym cielesności i konkretnej twarzy, i nie zdobyła ich (mówi się o przyrzeczeniach, nie o terażniejszości, ale, i owszem, o przyszłości, konkretnej i abstrakcyjnej; również o porażkach, jeśli doznało się ich niedawno). Ale później zamilkła, po moich długotrwałych czterech godzinach włączyła, zakupów i lęku, i oczekiwania zastałem ją jeszcze na nogach i nie w swoim pokoju, w szlafroku. Już była sama, ale wciąż tuszowała swe utykanie, jak nieco później zauważyłem, właśnie, nie dopuszczała do ponownego osvajania się z nieutraconą i zadomowioną samotnością, ani z daleko idącym zaufaniem, jakim mnie obdarzała, nie tak łatwo, nie tak szybko. Nie zapaliłem światła, które parę minut wcześniej zgasła, by powiadomić mnie i powiedzieć „Wejdz”, bo nie było potrzeby: Berta spoczywała na sofie, przed włączonym telewizorem, więc światło ekranu w zupełności nam wystarczało i oglądała znowu krótkie wideo „Billa”, teraz, kiedy mogła uzupełnić obraz o swą dopiero co zrodzoną pamięć o nim, teraz, kiedy wreszcie wiedziała, co dopełnia trójkąt bladoniebieskiego płaszcza kąpielowego, z góry i z dołu. Kiedy wszedłem i nie zapaliłem światła, głos kaznodziei albo wątlęgo piosenkarza, głos piły, powtarzał z ekranu po angielsku: „Dla was, kobiet, twarz jest ważna. Oczy. Tak mówicie. Dla mężczyzn twarz z ciałem. Albo ciało z twarzą. Tak to jest”. Ujrawszy mnie, Berta zatrzymała wideo. Wstała i pocałowała mnie. „Przykro mi”, powiedziała, „naczekałeś się”. „Nic nie szkodzi”, odparłem. „Przyniosłem mleko, skończyło się, odstawię je do lodówki”. Poszedłem do lodówki i nie tylko wstawiłem mleko, ale również wyjąłem z plastikowej torby moje wszystkie pozostałe zakupy, japońską książkę, gazetę, muzykę z *Życia prywatnego Sherlocka Holmesa*, zawsze tak robię i po każdym powrocie z podróży pierwsze, co robię, to rozpakowuję walizki i odkładam wszystko na miejsce, a pustą walizkę chowam do szafy, by jak najszybciej zapomnieć, że w ogóle podróżowałem, zapomnieć o podróży, by przyspieszyć niepamięć, że byłem w podróży, niepamięć o samej podróży, by wyglądało, że wszystko spoczywa w błogim spokoju. Wyrzuciłem

torbę do śmieci, by przyspieszyć niepamięć o zakupach i moich spacerach. Wróciłem do salonu z moją niewielką zdobyczą w rękę, Berty nie było, telewizor wciąż był włączony, program z mechanicznym śmiechem, który wszedł w miejsce wideo, gdy kaseta doszła do końca. Usłyszałem, jak krząta się w swej sypialni, pewnie ją wietrzyła, ścieliła łóżko albo zmieniała prześcieradło, nie zdążyła, za szybko się pojawiłem. Ale to nie było to, przynajmniej nie to ostatnie, bo kiedy wyszła z sypialni, nie trzymała w rękach pościeli, lecz trzymała ręce w kieszeniach szlafroka, jedwabnego szlafroka koloru łososiowego, pod spodem chyba nic, być może wolała spać w pościeli przesiąkniętej zapachem „Billa”; kiedy chce się zatrzymać przy sobie zapachy, wówczas wydaje się, że ulatniają się zbyt szybko. Już nie Trussardim, ale Guerlainem pachniała, gdy przechodziła obok mnie, widziałem flakonik (otwarte opakowanie) na stoliku, na którym zwykliśmy odkładać pocztę, ja zaś odłożyłem swoją gazetę, swoją książkę, swoją płytę: flakonik, przy którego zakupie byłem obecny. Jedyne w mieszkaniu ślad materialny po „Billu”. „No i jak tam?”, zapytałem, już nie mogłem tego odwlekać, wszystko było mniej więcej na swoim miejscu, chociaż w domu zawsze coś się znajdzie do roboty. „W porządku. A u ciebie? Co porabiałeś przez ten czas? Pewnie padasz ze zmęczenia, biedaku”. Opowiedziałem jej z grubsza o moich łąęgach, nic o lękach, pokazałem jej swoje zakupy, słowem nie wspomniałem jej o moim czekaniu. Nie wiedziałem, czy mam ją dalej pytać, zachowywała się, jakby ją nagle ogarnęła wstydlivość, której nie okazywała przez ostatnie tygodnie, a nawet tego choćby wieczoru, gdy poprosiła mnie o prezerwatywy (widziałem je w kubie na śmieci, dwie, gdy wyrzucałem torbę, która je przykryła, nikt ich nie zobaczy przy następnym zerknięciu do kubła, przyspieszenie niepamięci, czasem nie trzeba jej przyspieszać, jedne rzeczy przykrywają inne, dokładnie tak samo jak w kubie na śmieci, nadchodzące minuty nie przychodzą jedynie w miejsce tych, które upłynęły, ale je negują). Jakże odległa była już moja kolacja z jej przyjaciółmi i przyjaciółkami, z Julią, nie pamiętała o niej, nie zapytała o nich, ja

zaś nie czułem ochoty, by odzyskać ich dla króciutkiej rozmowy, którą mógłbym odbyć i którą zwykle się odbywa przed zaśnięciem, niezależnie od pory. Było bardzo późno, sobota sobota, powinniśmy się położyć, przespać się, zapomnieć we śnie albo zatrzymać wspomnienie, to Berta. Ale ja chciałem czegokolwiek się dowiedzieć, bo to była również moja historia, choć i nie, zarazem (mogłem więc chcieć wiedzieć i być poza nią). Przełaziłem ileś godzin pod gołym i niewidzialnym w alejach i czerwonym na ulicach niebem, trzykrotnie stałem i czekałem na marmurze Kenmore Station, podążałem za jego metalicznymi krokami aż do hotelu Plaza, dałem się zobaczyć, nakręciłem wideo, więc chyba zasługiwałem na to, żeby coś niecoś wiedzieć, nie czekając, aż upłynie nie wiadomo ile czasu. „No dobrze, gadaj”, powiedziałem. „Nie, nie ma nic do gadania”, ona powiedziała. Była boso, a mimo to nie utykała, spojrzenie miała nieco rozmarzone, a może tylko zmęczone. Wyglądała na spokojną, jak osoba rozmyślająca niespiesznie, tak, by nie popaść od tego rozmyślania w przygnębienie. Uśmiech miała ospały, głupkowaty, osoby wspominającej z roztargnieniem i z błogością. „Ale to Hiszpan, nie?”, zapytałem. „Tak, Hiszpan”, odpowiedziała, „o tym już wiedzieliśmy”. „Jak ma na imię? Co robi?” „Na imię ma Bill, pasuje do niego i nie powiedział mi, co robi. Nie rozmawialiśmy o tym”. „Ale powiedz mi coś więcej, jaki jest? Spodobał ci się? Rozczarował? Przestraszył cię? Na wideo był okropny”, i wskazałem na program z mechanicznym śmiechem, który wciąż, choć w przyciszeniu, było słychać. „Jeszcze nie wiem”, odpowiedziała Berta, „to będzie zależeć od tego, co się od dzisiaj zdarzy”. „Umówiliście się na spotkanie?” „Tak, chyba tak. Są skrytki pocztowe, on może zadzwonić, dałam mu swój telefon”. Berta teraz okazywała wstrzemięźliwość w słowach jak zakochana, która nie dzieli się, która zataja i zachowuje dla siebie; ale nie mogła być zakochana, to śmieszne, może zadurzona, a może nie chciała nic mówić w tej właśnie chwili, kiedy on dopiero co wyszedł po czterech długich godzinach spędzonych w jej towarzystwie, tak naprawdę cztery plus cztery, umówili się o ósmej trzydziści. Możliwe że

wszystko, co się stało, pragnęła przemyśleć w samotności, utrwalić wspomnienie, które z chwilą, gdy „Bill” zniknął za drzwiami, zaczęło ulegać powolnemu procesowi obumierania, dlatego pewnie włączyła wideo, którego oglądanie jej przerwałem. „Może jutro”, pomyślałem, „może jutro będzie bardziej rozmowna i gotowa coś niecoś opowiedzieć, nie żeby obchodziło to mnie aż tak bardzo, to prawda, bo tak naprawdę moja misja już się skończyła, zmuszony byłem brać na serio to, co ona brała na serio, pomóc jej dotrzeć do osoby, do której chciała dotrzeć i może nawet ją zdobyć. To wszystko. Mój pobyt tutaj też już się kończy, wyjadę za tydzień i przypuszczalnie wrócę za rok dopiero, i wtedy o wszystkim mi opowie jak o czymś, co należy już do przeszłości, coś wybacznego i naiwnego, co wywoła jedynie nasze uśmiechy i co odczuwać będziemy trochę tak, jakby to kto inny, a nie my, brał w tym udział i nie my, a kto inny maczał w tym palce, coś, co być może będzie można opowiedzieć w całości, od początku do końca, a nie tak jak teraz, kiedy jeszcze się dzieje i nie bardzo się wie”. Ale wiedziałem, że nie mogę znaleźć się w łóżku nie zapytawszy o dwie jeszcze rzeczy, przynajmniej dwie. „Miał swoje prezerwatywy?”, zapytałem. W półmroku odniosłem wrażenie, że Berta się czerwieni, patrzyła na mnie zawstydzona, choć uczucie to było jej obce, gdy mnie o nie poprosiła, jak również – tak sądzę, patrzyłem tylko przez kamerę – kiedy ją filmowałem. „Nie wiem”, powiedziała. „Czasu mu nawet nie dałam, zanim mógł sięgnąć po swoje, ja już swoje wyjęłam, te, które mi dałeś. Dziękuję”. I to „Dziękuję” było, bez wątpienia, zawstydzone. „A Miriam? Mogłaś zapytać go o Miriam?” Berty już to nie interesowało, zapomniała o tym, zrobiła gest jakby mówiąc: „To już tyle lat temu”, imię Miriam pewnie zapodziało się już z początkiem wieczoru i nie przyniosłoby nic nowego. „Tak”, odpowiedziała, „wspomniałam je, jako imię mojej przyjaciółki w Hiszpanii. Ale wyglądało na to, że nie wywołało żadnej reakcji, więc dałam temu spokój, sam mi powiedziałeś, żebym zrobiła to delikatnie”. Teraz już nie zapytała po co, czy coś podejrzewam albo czy coś wiem (nie powiedziała mi „Gadaj” albo „Wy tłumacz się”, albo „Mów”), zbyt wiele godzin upłynęło, by nie

rozmyć moich urojeń czy myśli. Ponownie spoczęła na sofie, pewnie była zmęczona długą, zapoznawczą nocą i tuszowaniem bosego utykania. Zobaczyłem jej stopy złożone na sofie, długie palce, ładne stopy, czyste, dla „Billa” – nie deptały asfaltu – aż korciło, żeby je dotknąć. Dotykałem ich dawno, dawno temu (gdybym jej przypomniał, zrobiłaby ten sam gest: „To już tak dawno temu”), to były wciąż te same stopy, mimo wypadku, ileż to kroków postawiły, ileż razy dotykane były przez te piętnaście lat. Może „Bill”, wyrzuciwszy mnie na ulicę, dotykał ich nie tak dawno, bezwiednie może, w trakcie rozmowy, ale o czym; nie mówili o arenie widzialnej, ale o czym wobec tego, może o mnie, może Berta opowiedziała mu całą moją historię, żeby mieć o czym gadać, na poduszce się zdradza i szkaluje innych, ujawnia się ich największe sekrety i wyraża się jedynie zdanie dogadzające próżności tego, który słucha, czyli lekceważeniu wszystkich innych: wszystko, co obce temu terytorium staje się czymś zbyt cennym i marginalnym, jeśli nie godnym pogardy, tam właśnie najbardziej wypieramy się przyjaźni i byłych miłości, i obecnych również, tak jak Luiza zanegowałyby mnie i umniejszyła, gdyby dzieliła z Custardoyem poduszkę; ja daleko, w innym kraju, za oceanem, wspomnienie o mnie mgliste, moja głowa nieobecna, żadnego śladu po niej przez osiem tygodni, Luiza mogła przyzwyczać się do spania po przekątnej, zajmując niemal całe łóżko, nie było w nim nikogo już od jakiegoś czasu, a nietrudno umniejszyć znaczenie kogoś, kto jest nieobecny, przynajmniej werbalnie, krótką uwagą, tak jak Guillermowi bez trudu przyszły tak wzgardliwe słowa o chorej żonie na innym kontynencie, kiedy jest się przekonany, że nikt tego nie słyszy, w pokoju w hotelu w Hawanie pod mięsistym księżycem, przez uchylony balkon, słowa o zabiciu jej albo o tym, by dać jej spokojnie umrzeć, przynajmniej: „Daję jej spokojnie umrzeć”, powiedział. „Nie robię nic, żeby jej pomóc. Popycham ją”. I później: „Odbieram jej resztkę chęci do życia. To mało, twoim zdaniem?”. Ale Miriam wydawało się to za mało, dość się już naczekała i odwlekała, a kto się dość naczeka ten i dość ma czekania, a co się odwleka, to ucieka, i odbiera rozum, i

zżera, i prowadzi do powiedzenia: „Niech no cię tylko dorwę” albo „Mam cię”, albo „A choćby i do piekła, ale ze mną”, albo „Zatłukę na śmierć”, to jak ogromne płótno niczym nie obszyte, niczym nie przyozdobione, bez najmniejszej fałdki, niczym niebo niewidzialne lub czerwone bez żadnych przecinających się linii, całość jednolita i nieruchoma, w której nie rozróżnia się wątków i jest tylko powtarzalność, ale nie powtarzalność następująca z upływem czasu, co jest nie tylko znośne, ale i przyjemne, nie tylko znośne, ale i niezbędne (trudno pogodzić się z tym, że pewne rzeczy już się nie powtarzają), ale powtarzalność ustawiczna i nieprzerwana, gwizd nieustający albo bezustanne zrównywanie tego, co nadchodzi. Nic już nie wystarcza, kiedy się czeka, coś powinno zostać rozdarte wyostrzonym ostrzem lub coś powinno się spalić od żaru czy płomienia, nic już nie wystarcza po zlekceważeniu i wyparciu się, i wzgardzie, później już tylko pozostaje przystać na krok następny i logiczny, przekreślenie, umorzenie, śmierć tego, kto został wygnany z terytorium wytyczonego przez poduszkę. Mięsiasty księżyc, uchylony balkon, uciskający stanik, mokry ręcznik, skrywany płacz w łazience, włos albo zmarszczka na czole, kobieta śpiąca lub kobieta tuż przed zaśnięciem, podśpiewywanie kogoś, kto wciąż czeka: „Musisz ją zabić”, powiedziała Miriam. A Guillermo odpowiedział, wypierając się swej chorej żony tam, za oceanem, i zniecierpliwiony niczym matka odpowiadająca byle co, bez namysłu, to łatwe skazać kogoś słowem, nic się nie dzieje, wszyscy wiedzą, że nie jest się odpowiedzialnym za to, co się mówi, choć prawo niekiedy za to karze, język tuż przy uchu, język nie zabija, nie popełnia uczynku, nie może: „Dobrze, już dobrze, zabiję ją, ale pieść, pieść, nie przerywaj”. Ona zaś, nieco później, nie dając za wygraną, stwierdziła obojętnie, jeśli nie tonem znużenia: „Jak jej nie zabijesz, to ja się zabiję. Tak czy siak będziesz miał trupa – albo ją, albo mnie”.

„Nie powiedziałaś mu chyba, że go śledziłem, prawda?”, zapytałem jeszcze Bertę. „Nie, tego nie, może później, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ale w ogóle mówiłam mu o tobie, o naszych

domysłach i przypuszczeniach”. „I co on na to?” „Nic, śmiał się”. „Rozmawialiście, wobec tego, o mnie?” „No tak, coś mi opowiedziałam, bądź co bądź wyrzuciliśmy cię na ulicę, żeby on mógł tu przyjść, to logiczne, że ciekaw był osoby, której przysporzył trochę problemów”. Odpowiedź Berty zabrzmiała trochę jak usprawiedliwienie, choć nie było potrzeby. Chyba że pytanie zabrzmiało nieco oskarżycielsko z winy wtrąconego przeze mnie „wobec tego”, przekształcając je w stwierdzenie faktu. Berta nie chciała rozmawiać, z niechęcią, bo z niechęcią, ale odpowiadała, żeby mnie nie urazić albo żeby zrekompensować mi nieco moje nocne wędrówki. Szlafrok jej się nieco rozchylił, zobaczyłem odrobinę jej wychylających się piersi i jej całe piersi prześwitujące przez jedwab, nie chciałem na nie patrzeć, gdy je filmowałem, teraz pragnąłem i patrzyłem na nie z przyjemnością, jedno i drugie poniewczasie. Ubrana była wyzywająco. To była przyjaciółka. Dałem za wygraną.

– Dobra, idę spać, strasznie późno – powiedziałem.

– Tak, też zaraz idę spać – odpowiedziała. – Chcę jeszcze trochę posprzątać.

Skłamała, tak jak ja później skłamałem Luizie tu, za oceanem, kiedy nie chciałem się jeszcze kłaść, żeby obserwować Custardoya przez okno. Nie było nic do sprzątnięcia, chyba że flakonik Eau de Guerlain na stoliku, otwarte opakowanie. Wziąłem swoją książkę, swoją płytę, gazetę, by zanieść je do mojego pokoju. Ciągle byłem w płaszczu.

– Dobranoc – powiedziałem. – Do jutra.

– Do jutra – odparła Berta.

Nie ruszyła się z miejsca, gdzie spoczywała, leżąc na sofie przed mechanicznym śmiechem, zmęczona, ze stopami złożonymi i z rozchylnym nieco szlafrokiem, być może kierując się myślami ku przyszłości konkretnej i nowej, która tej nocy nie mogła jej jeszcze

rozczarować. A może nie myślała: zamknąłem się na jakiś czas w łazience i gdy myłem zęby, a woda z kranu zagłuszała inne dźwięki, odniosłem wrażenie, że Berta podśpiewuje bezwiednie, z przerwami charakterystycznymi dla osoby, która podśpiewuje nie zdając sobie z tego w ogóle sprawy, kąpiąc się leniwie albo pieszcząc leżącą obok osobę, choć Berta się nie kąpała (może chciała zatrzymać zapach), a u jej boku już nie było nikogo. A to, co nuciła, było po angielsku, i brzmiało: „In dreams I walk with you, In dreams I talk to you”, początek znanej piosenki i starej, być może sprzed piętnastu lat. Tej nocy nie zajrzałem już do saloniku, z łazienki poszedłem prosto do mojej sypialni. Rozebrałem się, położyłem się do łóżka bez śladu zapachu, wiedziałem, że upłynie sporo czasu, zanim będę mógł zasnąć, przygotowałem się na bezsenność. Zostawiłem drzwi lekko uchylone, jak zawsze, żeby wpuścić trochę powietrza (w Nowym Jorku okno od ulicy, na niższych piętrach, absolutnie zamknięte). I wówczas, kiedy rozbudzony byłem tak, jak jeszcze tej nocy mi się nie zdarzyło, i panowała głucha cisza, znowu usłyszałem ściszone, jakby przez ścianę, głos „Billa” albo głos Guillerma, wibrujący głos gondoliera, głos piły powtarzającej z ekranu swoje kategoryczne i ostre zdania po angielsku. Efekty były ponure. „Tak to jest. Jeśli twoje cycki, twoja cipa i twoja noga przekonają mnie, że warto ryzykować. Jeśli cię to nadal interesuje. Być może nie będziesz już chciała tego kontynuować. Pomyślisz, że jestem zbyt bezpośredni. Brutalny. Okrutny. Nie jestem okrutny. Nie mogę tracić zbyt wiele czasu. Nie mogę tracić zbyt wiele czasu”.

Osiem tygodni to niby niedużo, ale znacznie więcej, niż się wydaje, jeśli dodać do nich kolejne osiem, oddzielone od poprzednich jedenasto- lub dwunastotygodniową przerwą za ledwie. Mój następny ośmiotygodniowy wyjazd, tym razem do Genewy, miał miejsce w lutym i był to mój ostatni wyjazd. I chciałbym, żeby tak zostało przez czas dłuższy, bo to bez sensu, że pobraliśmy się z Luizą, żeby żyć ciągle rozdzieleni, żebym nie mógł towarzyszyć jej małżeńskim przemianom ani się do nich przyzwyczaić, i jeszcze żywił podejrzenia, które następnie odrzucam. Zastanawiam się, czy ja też się zmieniam, nie dostrzegam tego, ale chyba tak, jeśli Luiza zmienia się w zewnętrznych drobiazgach (poduszcзки, uczesanie, rękawiczki, odcień szminki), zmienia się dom, którego zapoczątkowanie tak nienaturalne z wolna staje się czymś już odległym, zmienia się praca, mnie jej przybyło, Luizie ubywa lub właściwie prawie jej nie ma (szuka czegoś w Madrycie, nieustannie): od mojego wyjazdu do Nowego Jorku do powrotu z Genewy, właśnie od połowy września niemal do końca marca Luiza tylko raz wyjechała w związku z pracą i to nie na parę tygodni, ale na parę dni, do Londynu, żeby zastąpić oficjalnego tłumacza obojgu nam znanego wysokiej rangi oficjela, fatalnie złożonego (tłumacza, nie oficjela) ospą wietrzną nabytą od własnych dzieci (teraz nasz dygnitarz ma oficjalnego tłumacza na wyłączny użytek, stanowisko to załatwił sobie intrygant o zagadkowo niepewnym nazwisku – tłumacz genialny, trzeba przyznać – bo od czasu objęcia swego stanowiska żąda używania obydwu swoich nazwisk, pierwszego, po ojcu: la Cuesta i drugiego, po matce: y de la Casa), który odbywał błyskawiczną podróż (wysokiej rangi oficjel, a nie ospowaty tłumacz, któremu zabroniono wjazdu ze względu na chorobę zakaźną), by osobiście przekazać wyrazy ubolewania swej zdymisjonowanej właśnie koleżance, przy okazji zaś porozmawiać z jej następcami o tym, o czym nasi przedstawiciele mówią, że zawsze rozmawiają z Brytyjczykami: Gibraltar, IRA i ETA. Luiza nie opowiada historii

mało wiarygodnych – ale akurat nie oczekuję tego od niej – i o samym spotkaniu niewiele opowiedziała, chcę powiedzieć, że mnie, swojemu mężowi, niewiele opowiedziała, można bowiem zakładać, że tłumacze żywego słowa, przysięgli czy nie przysięgli (ale bardziej konsekwentni niż symultaniczni, rzadkością, o ile wiem, jest łączenie obu specjalności, choć pierwsza jest bardziej sporadyczna, konsekwentni nienawidzą symultanicznych, a symultaniczni konsekwentnych), przemilczają na zewnątrz wszystko, co w obie strony przekazują wewnątrz pokoju, to wypróbowani ludzie, nie zdradzający sekretów. Ale mnie mogła opowiedzieć. „Była jałowa”, powiedziała mi, odnosząc się do rozmowy w oficjalnej rezydencji, którą brytyjska przywódczyni w najbliższych dniach miała opuścić: wokół niej pełno było na wpół zapakowanych skrzyń. „Tak jakby on postrzegał ją jedynie jako starą przyjaciółkę pozbawioną kompetencji i nieodpowiedzialną już za nic, ona zaś jakby była zbyt przygnębiona, by z przejęciem wysłuchiwać nurtujących go właśnie problemów, pewnie wywołały w niej przedwczesną nostalgię”. Raz tylko pojawiło się echo poprzedniej, osobistej rozmowy, ku której pchnąłem oboje, w dniu, w którym poznałem Luizę. Angielska przywódczyni ponoć znów zacytowała swojego Szekspira, znowu *Makbeta*, którego widocznie nieustannie czytała lub oglądała: „Pamięta pan”, powiedziała, „co mówi Makbet o tym, co słyszał, gdy mordował Duncana? To słynne zdanie”. „Chyba nie bardzo jestem w stanie sobie to przypomnieć, ale jeśli będzie pani na tyle łaskawa, by odświeżyć mi pamięć...”, przepaszająco odpowiedział nasz mandatariusz. „Makbetowi wydaje się, iż słyszy głos, który wykrzykuje: «Macbeth does murder Sleep, the innocent Sleep», (co Luiza przetłumaczyła naszemu wysokiej rangi oficjelowi jako „Makbet zabija Sen, niewinny Sen”). „I tak właśnie”, dodała dama „poczułam się w momencie nieoczekiwanej dymisji, zamordowana podczas snu, byłam niewinnym Snem, pełna ufności, że zażywam spoczynku pośród przyjaciół, w otoczeniu czuwających nade mną ludzi i nie kto inny, jak ci właśnie przyjaciele, tak jak Makbet, Glamis, Cawdor, zasztyletowali mnie, gdy spałam. Najgorszymi

wrogami są przyjaciele, mój przyjacielu”, ostrzegła naszego przywódcę, całkowicie niepotrzebnie, gdyż za sobą zostawiał on cmentarze pełne swych byłych przyjaciół. „Niech pan nigdy nie ufa osobom ze swego najbliższego otoczenia, tym, których, jakby się zdawać mogło, nie trzeba zmuszać, żeby nas kochali. I niech pan nie śpi, lata spokoju i bezpieczeństwa zachęcają nas do tego, przyzwyczajamy się do tego, że nic nam nie grozi. W takim przekonaniu zasnął na chwilę i sam pan widzi, co mnie spotkało”. I była pani dygnitarz wielce znaczącym gestem wskazała znajdujące się wokół niej otwarte jeszcze skrzynie, jakby stanowiły widomy znak pohańbienia lub były kroplami krwi przelanymi w trakcie dokonanego na niej morderstwa. Niebawem jej ekskolega opuścił ją, by spotkać się z jej następcą, lub, co na jedno wychodzi, z jej Makbetem, Glamisem, Cawdorem.

To było jedyne, w tak długim okresie, zlecenie otrzymane przez Luizę, choć bez wątplenia nie próżnowała: dom stawał się coraz bardziej domem, a ona coraz bardziej prawdziwą synową, chociaż tego akurat nie oczekuję od niej.

W Genewie nie mam żadnego przyjaciela ani żadnej przyjaciółki, żyjących tam w normalnym mieszkaniu, w związku z czym owe tygodnie tłumaczenia w Komisji Praw Człowieka ECOSOC-u (skrót, który w jednym ze znanych mi języków brzmi jak tłumaczenie czegoś zupełnie absurdalnego: „skarpetka echa”) spędziłem w wynajętym, malusieńkim, umeblowanym apartamencie, nie zaznając jakichkolwiek atrakcyjnych rozrywek poza przechadzkami po pustym już od zmierzchu mieście, chodzeniem do kina z napisami w trzech językach, czy kolacjami z kolegami z pracy lub ze starymi przyjaciółmi mojego ojca (który najwidoczniej w każdej ze swych podróży poznawać musiał masę ludzi) i oglądaniem telewizji, zawsze i wszędzie oglądanie telewizji, wszędzie, tego nigdy nigdzie nie brakuje. O ile pobyt w Nowym Jorku był znośny, a nawet przyjemny na swój sposób i pełen wrażeń dzięki historiom i bliskiemu towarzystwu Berty (za którą, jak już mówiłem, zawsze

odrobinę tęsknię i dla której miesiącami zachowuję przeróżne wieści), o tyle osiem tygodni w Genewie należało do skrajnie przygnębiających. Nie o to chodzi, że praca niewiele mnie zawsze pasjonowała, ale w tamtym mieście, do tego zimą, sam już pobyt stawał się nie do zniesienia, bo tym, co najbardziej męczy w pracy, nie jest praca sama w sobie, ale świadomość tego, co nas po wyjściu czeka lub nie czeka, choćby miało się to ograniczać jedynie do gmerania ręką w skrytce pocztowej. Nic mnie tam nie czekało i nikt, krótka rozmowa telefoniczna z Luizą, której słowa mniej lub bardziej miłosne przynosiły taką jedynie ulgę, że miast cierpieć na trwającą zbyt wiele godzin bezsenność, cierpiałem parę godzin zaledwie. Następnie jakaś naprędce szykowana kolacja, przeważnie w moim apartamencie, w którym natychmiast unosiły się wonie tego, co jadłem, nie żeby od razu coś skomplikowanego, nic cuchnącego, ale zapaszek się unosił, kuchnia w tej samej przestrzeni co łóżko. Po dwudziestu wpierw, a następnie po trzydziestu pięciu dniach mojego genewskiego pobytu przyjechała do mnie Luiza, za każdym razem na przedłużony weekend (cztery noce za pierwszym i cztery za drugim razem), prawdę mówiąc, ani jej zwlekanie z przyjazdem, ani jej przyjazdy na tak krótko nie miały sensu, w Madrycie nie trzymało jej bowiem nic, czego nie dałoby się odłożyć na później i żadne z jej zajęć nie wymagało stałych godzin pracy. Ale wyglądało to tak, że Luiza, jakby przewidując, że niebawem i ja rzucę tę pracę sezonowego wyrobnika, zmuszającą nas do częstych wyjazdów i zbyt długich pobytów poza granicami kraju, uznała widocznie za rzecz ważniejszą – ważniejszą niż dotrzymanie mi towarzystwa przy czymś, co już skazane było na obumarciu, w czymś już ulotnym – przygotowanie i dopilnowanie obszaru tego, co stałe, dokąd wreszcie powrócę, by osiąść już tam na zawsze. Wyglądało to tak, jakby weszła całkowicie w swój nowy stan, przekreślając na zawsze wszystko, co związane było ze stanem poprzednim, podczas gdy ja wciąż czułem się związany z moim kawalerskim życiem, przedłużając je w sposób nienormalny, niefortunny i niepożądany; tak jakby Luiza wyszła już za mnie za męża, a ja jeszcze się z nią nie

ożeniłem, jakby ona oczekiwała powrotu męża tułacza, ja zaś daty swojego ślubu, Luiza już zadomowiona, z odmienionym życiem, ja zaś – gdy przebywałem na wyjazdach – prowadząc ciągle identyczne życie jak w moich minionych latach.

W czasie jednej z jej wizyt poszliśmy na kolację z przyjacielem mojego ojca, młodszym od niego, ale starszym ode mnie (z piętnaście lat starszym), który znalazł się przejazdem na jedną noc w Genewie, w drodze z Lozanny albo z Lucerny lub z Lugano, i śmiem sądzić, że w każdym z tych czterech miast miał swoje ciemne lub brudne interesy do załatwienia, człowiek wpływowy, człowiek pozostający w cieniu, jak mój ojciec w latach, kiedy pracował na swym stanowisku w muzeum Prado, profesor Villalobos bowiem (tak się nazywa) znany jest przede wszystkim (publiczności nader światłej) ze swych studiów nad hiszpańskim malarstwem i architekturą hiszpańską XVIII wieku, niezależnie od swego infantylizmu. Dla kręgów jeszcze węższych, mniej jednak światłych, jest to zarazem jeden z największych intrygantów akademickich i politycznych takich miast jak Barcelona, Madryt, Sewilla, Rzym, Mediolan, Strasburg a nawet Bruksela (nie wspominając o Genewie; nie dysponuje jeszcze, ku swojej irytacji, żadnymi wpływami w Niemczech i w Anglii). Jak przystało osobie tak egzaltowanej i wbitej przez innych w pychę z czasem zaczął wkraczać na tereny studiów nie całkiem zgodne z jego kompetencjami; Ranz cenił sobie bardzo, od dawna, jego krótką i błyskotliwą (jak twierdzi) pracę o Domu Księcia w Escorialu, której nie czytałem i nigdy, obawiam się, nie przeczytałem. Profesor ten mieszka w Katalonii, co stanowi dlań wystarczający pretekst, by przebywając w Madrycie nawet nie zajrzeć do mego ojca, tak wiele bowiem zajęć czeka nań zawsze w mieście stołecznym królestwa. Ale obydwaj w miarę regularnie pisują do siebie; liściki profesora Villalobosa (a więc te, które Ranz, rozbawiony, niekiedy dawał mi do przeczytania) pisane były świadomie prozą przestarzałą i wykwintną, którą okazjonalnie lubi ozdobić również tok swej mowy czy raczej tokowanie: to człowiek, który, na przykład, nie powie nigdy „Mamy

problem” w sytuacji, gdy rzeczywiście pojawia się jakiś problem czy kłopot, ale „Znajdujemy się w nie lada opałach”. Widziałem go w życiu parę razy zaledwie, niemniej w pewien poniedziałkowy wieczór (intryganci nigdy nie podróżują w weekendy) zadzwonił do mnie z rekomendacji mego ojca (tak jak w Nowym Jorku uczynił to ów wysokiej rangi hiszpański urzędnik państwowy od dansingowej żony-podróbki), by nie popaść w całkowite zgnuśnienie w hotelowym pokoju w tę noc pobytu przejazdem (intryganci lokalni wracają na spoczynek do domu po swych całodziennych intrygach, pozostawiając, równo ze zmierzchem, cudzoziemskiego intryganta samemu sobie). Choć nie bardzo odpowiadał mi pomysł marnowania jednej z moich nocy z Luizą, przyznać trzeba, że właśnie dlatego nie mieliśmy z Luizą żadnego innego zobowiązania prócz owego cichego względem siebie, ale to akurat jest w małżeństwie łatwe do niespełnienia, a niedotrzymanie go nie jest niczym groźnym.

Villalobos pragnął nie tylko nas zaprosić, ale i olśnić, być może bardziej Luizę, Luizę jako towarzyszącą mi młodą kobietę, a nie moją żonę, chcę powiedzieć. Zachowywał się impertynencko, co ponoć jest u niego rzeczą zwyczajną, krytykując zawód przeze mnie obrany czy też zajęcie, ku któremu mnie zdryfowało. „A gdzież to chcesz z czymś takim zająć?”, powiedział do mnie z grymasem wyższości na swych mięsistych i wilgotnych wargach (wilgotnych samych z siebie, ale też i wypił dużo wina) i ojcowskim tonem (przyjaciele rodziców są przekonani, że przejmują należne im prawo do traktowania ich dzieci jak własnych). Luizie za to nie czynił najmniejszych wymówek za podążanie błędną drogą, może dlatego że właściwie już nie pracowała w tym zawodzie, albo dlatego że w głębi ducha uważał, że ona nie musi wcale podążać jakąkolwiek drogą. Był sympatyczny, opryskliwy, deklaratywnie inteligentny, kokieteryjny, przemądrzały i miły, i delectował się tym, że nic nie jest w stanie go zaskoczyć, że zna najtajniejsze sekrety, i że jest na bieżąco zorientowany we wszystkim, co się na świecie stało, wczoraj czy cztery wieki temu. Niespodziewanie, przy deserach, wyłączył się i zamilkł na kilka

minut, jakby opadło go zmęczenie od zbytnej egzaltacji albo mroczne myśli go opadły; może był nieszczęśliwy i nagle sobie o tym przypomniał. Mimo wszystko ów profesor musiał być obdarzony talentem, żeby tak gwałtownie przejść od stosownego polom do przygnębienia, nie wyglądając ani na symulanta, ani na nieszczerego blagiera. Wyglądało to tak, jakby chciał powiedzieć: „A co mnie to wszystko obchodzi”. Rozmowa ugrzęzła (od początku wziął na siebie jej ciężar, z własnej inicjatywy), a jego spojrzenie coraz bardziej stawało się nieobecne, w dłoni uniesiona łyżeczka, za pomocą której jadł tort malinowy.

– Coś ci jest? – zapytała Luiza i palcami dotknęła jego ramienia.

Profesor Villalobos, nim odpowiedział, opuścił łyżeczkę i uszczknął nią kawałek swego deseru, jakby potrzebował jakiegokolwiek ruchu, by wyjść ze swego wewnętrznego przerażenia.

– Nic. Nic. Co miałyby mi być? Słucham, kochanie. – I udał, że jego zatopienie się w myślach było udawane. I całkowicie odzyskał swój wigor, i z oratorskim gestem łyżeczką dodał: – Ten, który jest twoim teściem, w niczym nie przesadził opowiadając mi o tobie. Więc słucham, powiedz mi, co chcesz, a natychmiast spełnię twe życzenie. Wypił dużo. Luiza zaśmiała się krótko, mechanicznie i odparła mu:

– Od jak dawna go znasz?

– Ranza? Znam go dłużej niż zna go jego własny syn, a obecny tutaj twój małżonek. – Nie miałem o tym zbyt wielkiego pojęcia, człowiek nie zwykł interesować się tym, co się zdarzyło przed jego urodzeniem; jak w ogóle dochodzi do przyjaźni wcześniejszych od niego samego. Profesor, który odnośnie do każdej sprawy czy nowiny miał się za najlepiej poinformowanego, dodał, zwracając się do mnie: – Wyobraź sobie, że nawet twoją matkę i twoją ciotkę Teresę poznałem wcześniej niż on. Mój ojciec, lekarz, odwiedzał twojego dziadka, kiedy bywał w Madrycie. Towarzyszyłem mu niekiedy, w

ten sposób trochę poznając wszystkich, choć twojego ojca właściwie tylko z widzenia, taka jest prawda. Pewnie nie wiesz, na co umarł twój dziadek?

– Na atak serca, wydaje mi się – niepewnie bąknąłem. – Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, umarł tuż przed moim urodzeniem, a jest to jedna z tych spraw, którymi człowiek się nie interesuje.

– Błąd – powiedział profesor – wszystko jest godne zainteresowania, z taką biernością daleko się nie zajdzie. Klinicznie rzecz ujmując, zmarł na zawał, owszem, ale artystycznie, a tak się naprawdę umiera i tylko to jest istotne, zmarł z przejęcia, z bojaźni i ze strachu, z winy twojego ojca. Przyczyną każdej choroby jest coś, co *nie* jest chorobą. – Profesor, poza nieprzekazywalnymi sekretami, lubował się w teatralnych efektach, gdy o czymś opowiadał, sekretnym czy też niesekretnym, obojętnie.

– Z winy mojego ojca? Dlaczego mojego ojca?

– Panicznie się go bał od śmierci twojej ciotki Teresy, która nastąpiła krótko po jej ślubie z twoim ojcem. Bał się go jak diabła, zabobonnie, wiesz przecież, co się stało, nie?

Profesor nie patyczkował się jak Custardoy. Przystępował od razu do sedna, nie miał najmniejszych wątpliwości, że powinno się wiedzieć wszystko albo że wiedza nigdy nie boli, a jeśli boli, to trudno. Pomyślałem wówczas – to był błysk – że jednak przyjdzie mi się dowiedzieć, tak jakby historiom spoczywającym przez długie lata w letargu wyznaczony był czas przebudzenia i żadnym sposobem nie da się temu zapobiec, może odwlec jeszcze trochę, troszeczkę, ale to wszystko. „Nie wydaje mi się, by czemukolwiek upływał przypisany mu czas”, powiedziała mi Luiza w łóżku, gdy moje ramię właśnie miało musnąć jej pierś, „wszystko gdzieś tam jest i czeka spokojnie, aż pozwoli mu się na powrót”. Wyraziła to dobrze, wydaje mi się. Może rzeczywiście nadchodzi taka chwila, w której pewne sprawy chcą, żeby je opowiedzieć, same tego chcą, być może po to, by wreszcie odpocząć, albo żeby wreszcie stać się fikcją.

– Tak, wiem, wiem, zabiła się, strzelając do siebie. – I sam uznałem, że wiem coś, o czym w rzeczywistości nie mam pojęcia i czego w ogóle nie jestem pewien, coś, co jest jedynie plotką zasłyszaną przeze mnie od Custardoya i przez Luizę ode mnie.

Profesor Villalobos, wciąż pijąc wino, teraz połykał błyskawicznie swój tort, operując łyżeczką, tak jakby trzymał w ręku skalpel swego ojca lekarza. Po każdym kęsie lub łyku wycierał serwetką swoje mokre wargi, które mimo to nadal pozostawały mokre. Oczywiście i o tej sprawie czy nowinie był lepiej poinformowany ode mnie.

– Moi rodzice, o tym pewnie nie wiecie, byli tam, kiedy to się stało, zaproszeni zostali na obiad. – Powiedział „nie wiecie”, użył liczby mnogiej, tak jak używa się jej wobec par małżeńskich. – Wrócili do Barcelony przerażeni, często słyszałem ich opowieści. Twoja ciotka wstała od stołu, wzięła pistolet twojego dziadka, poszła do łazienki i tam strzeliła sobie w pierś. Moi rodzice widzieli ją martwą, cała twoja rodzina ją widziała, oprócz twojej babki, która akurat wyjechała na parę dni z Madrytu, do swojej siostry w Segowii, a może w Escorialu.

– W Segowii – powiedziałem. O tym akurat byłem poinformowany.

– Na całe dla niej szczęście, a może twoja ciotka miała to na uwadze, trudno stwierdzić. Twój dziadek za to nigdy już nie był w stanie dojść do siebie i zapomnieć widoku swojej zakrwawionej córki z rozerwaną pierśią na podłodze łazienki. Podczas obiadu zachowywała się mniej lub bardziej normalnie, no cóż, jak trusia siedziała, niczego prawie nie tknęła, nic prawie nie mówiła, jakby była nieszczęśliwa, choć powinno być całkiem odwrotnie, przecież wróciła właśnie ze swej podróży poślubnej, przed tygodniem mniej więcej. Ale to moi rodzice zrekonstruowali później, podczas obiadu nikt nie mógł przewidzieć, co się zaraz stanie. – I Villalobos zaczął wówczas opowiadać o tym, o czym nie chciałem wiedzieć, ale się

dowiedziałem. Opowiadał przez parę minut. Ze szczegółami opowiadał. Opowiadał. Opowiadał. Mogłem go nie słuchać, ale wtedy musiałbym wyjść. I przerywając, dorzucił: – Wszyscy twierdzili, że Ranza dotknęło prawdziwe nieszczęście, bo po raz drugi już zostawał wdowcem. – I zrobiwszy sam sobie przerwę, skończył tort, którego spożywanie zawiesił (łyżeczka znowu retoryczna) na czas zagłębiania się w szczegóły i napomknięcia o innym torcie, mrożonym, który się rozpuścił. Ale ani Luiza, ani ja słowem się jak dotąd nie odezwaliśmy, odłożył więc sztuciec na talerzyk i wrócił do początku, profesor w każdym calu. – Możesz sobie wyobrazić, że kiedy w czasie jakiś później twój ojciec ożenił się z twoją matką, dziadek twój popadł przypuszczalnie w stan permanentnej paniki. Ponoć na widok twego ojca zawsze bladł raptownie i krył czoło w dłoniach. Twoja babcia była odporniejsza, ale nie widziała swojej córki martwej, była tylko na pogrzebie. Od tamtej pory twój dziadek żył, prawda, że nie za długo, niczym skazany na śmierć, który nie zna dnia swej egzekucji i budzi się każdego dnia z lękiem, że to właśnie dziś. Porównanie nie jest najtrafniejsze, bo obawiał się śmierci swej córki, tej, która mu pozostała. Nie sypiał. Każdy telefon, dzwonek do drzwi, nadejście listu czy telegramu wywoływały w nim dreszcze przerażenia, mimo że twoi rodzice nie udali się w podróż poślubną, czas nie sprzyjał weselu; póki żył, nie opuszczali nawet Madrytu. Mój ojciec, powołam się na jego słowa, twierdził, że nigdy nie spotkał się z tak oczywistym przypadkiem potwierdzającym, że można umrzeć ze strachu, jak twój dziadek. Zawał był tylko wyrazem tego, a środkiem mógł być każdy inny sposób, mówił. Po śmierci twojego dziadka kontakty między naszymi rodzinami rozluźniły się. A z Ranzem ponownie je nawiązałem już inną drogą, po latach. I co ty na to? – W jego ostatnim zdaniu pobrzmiwała satysfakcja, wszyscy lubią coś udowodniać i przychodzić z nowinami. Profesor wezwał kelnera i, zadziwiające, bo zjadłszy już tort, zażyczył sobie deskę serów i butelkę wina na dokładkę. – Głodny jestem, nie jadłem w ciągu dnia – usprawiedliwił się.

Luiza i ja byliśmy już przy kawie. Dwa pytania, należało zadać dwa fundamentalne pytania i trudno byłoby ich nie zadać, jeśli na dodatek zadać je mogło aż dwoje z nas. W rzeczywistości oba pytania powinny być skierowane do naszego ojca, ale on był daleko, a poza tym nie było z nim rozmowy o odległej przeszłości. A może już była, nagle zaświtała mi w głowie myśl, domysł trudny do sprawdzenia, że Ranz wysłał Custardoya parę miesięcy temu, a teraz Villalobosa, żeby mnie uprzedzić, żeby mnie przygotować, przygotować do historii, w którą chciał mnie zacząć już wprowadzać, teraz, być może dlatego, że ożeniłem się po raz pierwszy, on to zrobił trzykrotnie, a w dwóch przypadkach poszło mu źle czy, jak powiedzieli w swoim czasie wszyscy, profesor zaś chwilę temu za nimi powtórzył, dotknęło go prawdziwe nieszczęście. Ale nie kto inny, lecz właśnie mój ojciec przysłał mi wysokiej rangi hiszpańskiego urzędnika państwowego od nader frywolnej i nafaszerowanej małżonki i ten z kolei nic mi nie opowiedział. Luiza i ja odezwaliliśmy się niemal jednocześnie:

– Ale dlaczego się zabiła? – zapytała, wyprzedzając mnie o ułamek sekundy.

– Kim była pierwsza żona? – zapytałem tuż po niej. Profesor Villalobos nałożył sobie na talerzyk brie i camembert, tłuste i kremowe. Pierwszym z nich posmarował z grubsza tost, który z chwilą, gdy go przegryzł, popękał cały. W ustach został mu zbyt duży kawałek, by go przełknąć od razu; pobrudził sobie klapę i pobudził obrus.

– Dlaczego się zabiła, nie wiadomo – odpowiedział z ustami nie całkiem uwolnionymi jeszcze od okruchów tostu, ale już w należytych stanie, jakby znalazł się wobec nieoczekiwanej burzy wątpliwości podczas wykładu. Wypił sporo wina, by ułatwić przełknięcie tostu. – Nawet twój ojciec powiedział, że nie wie, tak w każdym razie powiedział. Jego zaskoczenie, kiedy wrócił do domu swego teścia, już po wszystkim, było równie ogromne jak każdego z

obecnych lub tych, którzy przybyli nieco później, a jego ból jeszcze większy. Powiedział, że wszystko układało się znakomicie, że nic się między nimi nie zdarzyło, byli szczęśliwi i tym podobne. Nie był w stanie niczego sam sobie i innym wy tłumaczyć. Rozstali się rano, niczego dziwnego nie zauważył, pożegnali się słowami mniej lub bardziej miłosnymi, jak zwykle, zwykłymi słowami, takimi, jakie wy sami możecie sobie powiedzieć dziś w nocy lub jutro. Jeśli tak rzeczywiście było, to nie lada udręka musi mu towarzyszyć przez te dziesiątki lat. Twoja matka niewątpliwie bardzo mu pomogła. Być może Ranz musiał wy badać, czy twoja ciotka Teresa nie prowadziła podwójnego życia, którego samobójczej połowy nie znał, to się zdarza. Jeśli się czegoś dowiedział to, jak sądzę, przemilczał. Nie wiem. – Profesor wytarł usta, teraz jak najbardziej zasadnie, by oczyścić kąciki ust z twardych okruszków tostu i mięciutkich resztek brie.

– Kłapa – podszepnęła mu Luiza.

Profesor przyjrzał się sobie z dezaprobatą i z zaskoczeniem. To była kłapa Gigli, bardzo droga. Nie najlepiej się wytarł, niezdarnie, Luiza zamoczyła róg swojej serwetki w wodzie i pomogła mu, zamoczyła róg, tak jak ja zamoczyłem róg ręcznika w łazience hotelu w Hawanie, by przetrzeć jej twarz, szyję, kark (skleiły jej się długie, zmierzwiłone włosy, a kilka pojedynczych włosów przecinało jej czoło niczym niteczki zmarszczek przybywających z przyszłości, by ocienić je przez chwilę).

– Jak myślisz, może zostać plama? – zapytał ją profesor. Był eleganckim i schludnym mężczyzną, i bardzo dystyngowanym, mimo swej szerokiej twarzy.

– Nie wiem.

– W ten oto sposób będziemy mogli sprawdzić – powiedział profesor i pogardliwie skierował swój wyprostowany palec serdeczny ku kosztownej i skażonej kłapie Romea Gigli. Nałożył sobie camemberta (nie na kłapę, na kolejny tost, mieszał wszystkie

smaki), napił się wina i ciągnął dalej, nie tracąc wątku: – Jeśli zaś chodzi o pierwszą żonę, niewiele o niej wiem, poza tym, że była Kubanką, jak twoja babcia. Ranz spędził jakiś czas w Hawanie, jak pewnie wicie, rok, może dwa, na początku lat pięćdziesiątych, prawda? Posadka oficjalna w ambasadzie, prawda? Attache kulturalny? No, co z tobą? Ba, znając go, zawsze podejrzewałem, że pewnie był czymś w rodzaju artystycznego doradcy Batisty, nic ci o tym nie mówił?

Profesor oczekiwał ode mnie dokładniejszej informacji jak tej o Segowii. Ale ja nie wiedziałem, że mój ojciec spędził czas jakiś na Kubie. Rok lub dwa.

– Kto to Batista? – zapytała Luiza. Jest młoda i roztargniona, a dobrą pamięć ma tylko przy tłumaczeniu.

– Nie wiem – powiedziałem, odpowiadając Villalobosowi, a nie Luizie. – Nie miałem pojęcia, że spędził jakiś czas na Kubie.

– A jakże, to też cię nie interesowało – skwitował impertynencko profesor. – Twoja sprawa. Tam ożenił się z tą kobietą i wydaje mi się, że tam również poznał twoją matkę i twoją ciotkę, które w tym właśnie okresie przebywały w Hawanie, towarzysząc twojej babci w podróży, chyba w związku z jakimiś sprawami spadkowymi, a może to była podróż sentymalna, nie chciała dożyć późnej starości, nie ujrawszy wprzód miejsc swego dzieciństwa, nie bardzo wiem; zważcie, że to wszystko są szczątki zasłyszanych przeze mnie rozmów, jakie prowadzili między sobą moi rodzice, dawno już temu, i bez mojego w nich udziału. – Profesor Villalobos usprawiedliwiał się, opowiadanie nie sprawiało mu już przyjemności, doskwierała mu niepełna znajomość faktów, nie cierpiał niekompletności i niedokładności, nigdy nie byłby w stanie napisać niczego innego poza pracami o dziełach, żadnych prac biograficznych, biografie nigdy się nie kończą. Włożył do ust jedną z truflí, które przyniesiono nam do kawy. Ale wykonał tak szybki ruch, że nie jestem pewien (nie tyle włożył do ust, co zażył jak

pigułkę): nie skończył na serach, moim zdaniem za dużo mieszał. W każdym razie na talerzu było o jedną truflę mniej. – W każdym razie, zabrała ze sobą w tę podróż dziewczynki, by jej towarzyszyły, na trzy miesiące, mniej więcej. I tam je twój ojciec poznał, choć była to znajomość przelotna, do narzeczeństwa z twoją ciotką doszło o wiele później, to oczywiste, kiedy był już wdowcem i wrócił do Madrytu. Jak mówiono, był szykownym mężczyzną, rzecz jasna nadal nim jest, wdowcem smutnym, a zarazem człowiekiem dowcipnym, trudno się komuś takiemu oprzeć, nosił wtedy drobny wąsik, zdaje się, że zgolił go przed swoim trzecim ślubem i już go nigdy nie zapuścił, może jakiś przesąd. Ale prawie nic nie wiem o jego pierwszej żonie. – Profesor jakby czuł się skrępowany tym, że nie przewidział tej rozmowy, a tym samym nie mógł przedtem zasięgnąć dokładniejszej informacji. – Sami wiecie, jak to jest, o zmarłych, którzy zostają zastąpieni, mówi się zazwyczaj niewiele albo wcale z osobami zajmującymi ich miejsce; w rodzinnym gronie czy w towarzystwie znajomych nie wypada nawet wspominać co chwila obcej osoby, która, patrząc wstecz, zajmowała miejsce twojej ciotki Teresy. Na wszystko, nieprawdaż, można spoglądać przed siebie i za siebie, i w zależności od tego różne rzeczy nabierają zupełnie odmiennego wyglądu. No cóż, wracajmy do tematu: śmiem sądzić, iż wszyscy o niej wiedzieli, ale nikt nie trudził się wspomnianiem jej osoby, są tacy ludzie, którzy lepiej, żeby nie istnieli, aczkolwiek nie było innego wyjścia, kiedy zabiła się twoja ciotka, wspomniano ją krótko, niezbędne minimum, i to w związku z owym drugim owdowieniem. Zastąpienie jej przez twoją matkę chroniło ją przed podobnym losem, siostry się nie zapomina, bez względu na kłopotliwość sytuacji, a nikomu nieznaną cudzoziemkę tak. To były inne czasy. – Profesor niemal westchnął.

– W domu moich rodziców zawsze był portret mojej ciotki – stwierdziłem, chcąc chyba uspokoić Villalobosa: nawet jeśli nie był w posiadaniu wszystkich faktów, niech przynajmniej czuje się usatysfakcjonowany tym, że jego domysły są trafne.

– Otóż to – powiedział, jakby nie przypisując żadnego znaczenia trafności swych uwag (niemniej sprawiło mu to ogromną przyjemność). Odsunął przedramieniem deskę z serami, pewnie miał już dosyć. Ale nie, bo teraz zajął się truflami i poprosił o kawę dla siebie. Odsuwając deskę pobrudził sobie nieznacznie rękaw Gigliego od brudnego jej brzegu. Teraz trzymał skrzyżowane ręce na stole, ale nawet i w tej pozycji wyglądał elegancko.

– A na co zmarła? – zapytała Luiza.

– Kto?

– Pierwsza żona – powiedziałem i wydaje mi się, że w tej samej chwili Luiza zdała sobie sprawę, że mówiąc to, mówię zarazem zupełnie coś innego, coś w rodzaju „No, dobra” albo „Śmiało”, albo „Twoje górą”, albo „Teraz proszę bardzo”. Ale jeśli rzeczywiście tak było, to mówiłem to do niej, nie do Villalobosa.

– Mam nadzieję, dzieciaki, że wybaczycie mi, iż na ten temat też wiem niewiele. – Profesor był wściekły i pił wino, zaczynałem podejrzewać, że lada chwila zmieni temat, nie było w jego zwyczajach tak często mówić „Nie wiem”. Ponownie się usprawiedliwił: – Nasze relacje z twoim ojcem są, powiedzmy, natury bardziej akademickiej niż osobistej, aczkolwiek osobiście bardzo się również cenimy. Wiem o tym wszystkim od mojego ojca, który zmarł już wiele lat temu, ale nigdy nie rozmawiałem o tym z Ranzem.

– Tak, oczywiście, nigdy cię to nie interesowało – stwierdziłem. Nie byłem w stanie powstrzymać się, by nie oddać mu impertynencji: była niesprawiedliwa, ale jakby nie było on zaserwował mi co najmniej trzy.

Profesor spojrział na mnie z rozczarowaniem i z litością poprzez swoje szkła, ale rozczarowanie było ojcowskie, jak cała reszta. No nie całkiem, litość była belferska.

– Ale bardziej niż ciebie, matolku. Bardziej niż ciebie. – Jego zniewaga była staroświecka, wybaczalna i dydaktyczna, niemal

przyprawiała mnie o śmiech, spostrzegłem, że Luizę też. – Ale wiem jakich granic, z kim i kiedy mam się trzymać. Ja z twoim ojcem rozmawiam o Villanuevie i Villalpandosie – powiedział Villalobos – o których ty pewnie nawet nie wiesz, kim są.

– Ja nie wiem, kim są – powiedziała Luiza.

– Dowiesz się, masz czas – powiedział jej profesor, jakby była niecierpliwą uczennicą, z którą prowadzi się zajęcia pozalekcyjne. – Wracając zaś do kwestii: nie wiem dobrze, na co umarła owa pierwsza żona. Nie wiem również, jak miała na imię. Ale że to było na Kubie, owszem. Jak również, ale nie przywiązujcie do tego zbytnej wagi, bo nawet nie jestem pewien, czy to w ogóle usłyszałem, ale mam wrażenie, że to był pożar. Oczywiście jest to wyłącznie wrażenie, dość zresztą mgliste, może to być pozostałość po jakimś filmie, który, być może, wówczas obejrzałem, kiedy byłem chłopcem, zarazem słysząc o twoim ojcu i jego podwójnym wdowieństwie. Młodzi jesteście, więc pewnie się wam to jeszcze nie przydarza, ale przychodzi taki czas, w którym człowiekowi myli się to, co widział, z tym, co mu opowiedziano, to, przy czym był obecny, z tym, co wie, to, co mu się przydarzyło, z tym, co przeczytał; prawdę mówiąc to cud nieomal, iż normalnie rzecz biorąc w ogóle cokolwiek rozróżniamy, a rozróżniamy, w gruncie rzeczy, całkiem nieźle, i to jest dziwne, bo wszystkie historie, jakie się słyszy i widzi w ciągu życia, do tego jeszcze kino, telewizja, teatr, gazety, powieści, kumulują się i stają się nierozróżnialne. Zadziwiające jest już to, że większość ludzi wie jeszcze, co im się naprawdę przydarzyło. Ale niemożliwe jest rozróżnienie tego, co przydarzyło się innym i przez nich samych zostaje nam opowiedziane, co z kolei my odbieramy jako coś fikcyjnego, a może nawet i rzeczywistego, ale bardzo odległego, coś rzeczywistego dotyczącego osób zupełnie nam nieznanym lub przynależnym przeszłości. Załóżmy, że nie biorąc pod uwagę skrajnych przypadków, nasza własna pamięć jeszcze się jakoś trzyma, jeszcze nie zawodzi, człowiek pamięta to, co osobiście widział i słyszał w sposób odmienny od tego, jak pamięta książkiczy

filmy, ale trudno już o zachowanie tej odmienności wobec tego, co *inni* widzieli i słyszeli, i byli przy tym, i wiedzieli na pewno, a później nam opowiedzieli. A nie zapominajmy jeszcze o tym, co człowiek sobie sam zmyśla.

Profesor Villalobos już się nie usprawiedliwiał, tylko perorował. Zmieniał temat, pewnie poprzedniego już miał dosyć. Mieszał kawę swoją nową łyżeczką, posłodził sacharyną, po tym wszystkim, co zjadł. Nie był otyły, ale i nieszczupły. Przechodzącego kelnera poprosił o cygarko. „Cygarko” powiedział, choć powiedział mu to po francusku, a ja tłumaczę.

– Mnie mieszają się wszystkie przemówienia, jakie w życiu przetłumaczyłem. Nic z nich nie pamiętam – powiedziałem, chcąc go mile polechtać i powetować mu nieco mą niesprawiedliwą impertynencję.

– Jaki pożar? – Luiza nie pozwoliła mu jeszcze na zmianę tematu.

– Nie wiem – powiedział profesor – nawet nie wiem, czy rzeczywiście był jakikolwiek pożar. Wtedy, kiedy zmarła twoja ciotka i więcej o tym rozprawiano, ogarnął mnie strach, że w nocy dom może się zapalić, źle spałem, w dzieciństwie to normalne, taki strach, przynajmniej tak było za moich czasów, ale ja to wiąże z tym, że widziałem albo słyszałem o kimś, kto spłonął w łóżku podczas snu. 2 kolei ten obraz kojarzy mi się ze śmiercią owej pierwszej żony twojego ojca, ale muszę przyznać, że nie wiem dlaczego, nie pamiętam, by ktokolwiek na ten temat coś mówił, coś konkretnego o tej śmierci, która w odróżnieniu od śmierci twojej ciotki, była dla nas czymś bardzo odległym. Może widziałem tę scenę w jakimś filmie, którego akcja rozgrywała się w tropikach, zrobiła na mnie duże wrażenie i skojarzyłem jedno z drugim, Kubę i ogień, ogień i kubańską żonę. W moich czasach było bardzo wiele filmów, których akcja rozgrywała się w tropikach, taka zapanowała moda, ludzie po drugiej wojnie światowej woleli, jak sądzę, oglądać i przenosić się

myślami w miejsca jak najbardziej oddalone od pożogi wojennej, takie miejsca jak Karaiby, Amazonia.

Profesor Villalobos definitywnie przechodził do innego tematu, nie bez wysiłku; pomyślałem, że znudzony już był naszym towarzystwem. Przypuszczalnie już się nie bał ognia, bo kelner przyniósł mu pudełko cygar, sięgnął bez wahania po jedno z nich (znał marki), nie obwąchał (był człowiekiem dobrze wychowanym, nie nosił również żadnej biżuterii), włożył do ust – mokrych ust, które są zawsze pełne i jest to dostatek, i obfitość – i przyzwolił, by podsunięto mu niebezpiecznie blisko twarzy ogromny płomień, którym przypalono mu cygaro. Profesor parokrotnie pociągnął i w trakcie tej czynności spojrzenie jego znowu stało się nieobecne albo głowę zaprzątneły mu mroczne myśli. Teraz też nie wyglądał na blagiera: kiedy popadał w przygnębienie i stawał się milczący, podobny był nieco do tego aktora angielskiego, który popełnił samobójstwo lata temu w Barcelonie, tam, gdzie żył Villalobos, George Sanders się nazywał, wielki aktor. Może znowu przypomniał sobie, że jest nieszczęśliwy i że tego nikt mu nie opowiedział, ani on sam nie przeczytał, ani nawet nie wymyślił, ani nie stanowiło elementu jakiegokolwiek intrygi.

– Amazonia – powiedział z cygarem w ręku. Żarzył się żar.

Tej samej nocy rozmawialiśmy jeszcze z Luizą, wróciwszy do hotelu, choć nie za długo i leżąc już w łóżku, mając za sobą dwa, przejechane w całkowitym milczeniu, kursy taksówką. Nie o tej jednak nocy chcę nadal mówić, bo to nie ma sensu, lecz o tej, która niebawem nadeszła lub, co na jedno wychodzi, niedawno miała miejsce, dokładnie w dniu mojego powrotu z miasta Genewy, po – lub prawie po – ośmiu tygodniach mojej tam bytności i pracy, i w trzy od owej nocy, o której nie ma sensu, bym mówił nadal. A może jednak ma, skoro właśnie wtedy doszło do porozumienia. A może jednak nie ma, skoro to, co nastąpiło trzy tygodnie później było mieszaniną porozumienia i przypadku, przypadku i porozumienia, mieszaniną „być może” i „chyba”.

Wróciłem dwadzieścia cztery godziny wcześniej niż było przewidziane. Prawda, że od początku popełniłem błąd, nie biorąc pod uwagę święta w Szwajcarii, dzięki czemu kończyłem pracę w czwartek, a nie w piątek ósmego tygodnia. Ale z tego zdałem sobie sprawę w ostatni poniedziałek i tego samego dnia przebukowałem bilet z soboty na piątek. Tej samej nocy rozmawiałem przez telefon z Luizą, rozmawiałem z nią również we wtorek w nocy, i w środę, ale nie w czwartek, i ani razu nie wspomniałem jej o zmianie daty, przypuszczam, że chciałem sprawić jej małą niespodziankę, choć, jak sądzę, chciałem również zobaczyć, jak wygląda mój dom w chwili, kiedy nikt się mnie tam nie spodziewa, co Luiza robi, jaka jest, kiedy mnie nie ma i gdzie jest, o której godzinie wraca, i z kim, jeśli już z kimś, albo kogo u siebie przyjmuje. Kto stoi na rogu. Chciałem całkowicie rozwiać wszelkie podejrzenia, człowiek nie chce mieć podejrzeń, ale one, niestety, nawet jeśli zostają całkowicie odrzucone, wracają co i raz, z coraz mniejszym natężeniem, dopóki się z kimś jest przez cały czas, bez względu na to, czy zadało się pytanie i usłyszało się: „To nie ja”, czy też zachowało się milczenie, zawsze chodzi o osłabienie podejrzeń. Na tym polegał przypadek.

Porozumienie zaś polegało na tym, iż wszystko wskazywało, że wybiła godzina i trzeba się będzie jednak dowiedzieć tego wszystkiego, co od dziewięciu miesięcy zaczynało się zarysowywać, od naszego ślubu, bo nie wcześniej, nie od dnia, w którym się poznaliśmy. W sumie to mój własny ojciec rozpoczął wszystko w dniu mojego ślubu właśnie, parę godzin później w Kasynie przy Alcala 15, kiedy wziął mnie na bok i zadał mi to samo pytanie, które dręczyło mnie przez całą, poprzedzającą ślub, bezseną niemal noc i które, być może, zacząłem oddalać podczas ceremonii. Nie, nie tam, nie byłem w stanie, później też nie byłem w stanie i poczucie dyskomfortu narastało podczas podróży poślubnej, w Miami i w Nowym Orleanie, i Meksyku, i przede wszystkim w Hawanie, być może gdyby Luiza nie poczuła się źle, przeczucie katastrofy zniknęłoby, tak jak nienaturalność mieszkania, które z każdym dniem wydaje mi się coraz bardziej naturalne i zapominam o tym, jakie miałem wyłącznie dla siebie. Niespełna rok temu jeszcze. Do porozumienia doszło tej samej nocy, o której nie powinienem już mówić, ale mimo wszystko coś powiem. Gdy wróciliśmy do mojego apartamentu, odwiózłszy profesora Villalobosa pod jego jednodobowy hotel (nie był na tyle bogaty ani na tyle sprawny, by kontynuować noc na przytulanych tańcach, a może przyszło mu już nieustannie rozpamiętywać swe nieszczęście), Luiza powiedziała mi w ciemnościach (powiedziała mi z głową na poduszce, to było łóżko z kołdrą na jedną osobę, choć na tyle szerokie, że mieściły się w nim dwie nie obawiające się muskania osoby): „Nadal nie chcesz wiedzieć? Nadal nie chcesz, żebym zapytała twojego ojca?”. Obawiam się, że odpowiedziałem jej w tonie wyrażającym kolejne podejrzenie: „Jeszcze go o to nie zapytałaś? Tak często się widujecie”. Luiza nie obraziła się, wszyscy rozumiemy obecność podejrzeń. „Nie, oczywiście, że nie”, powiedziała bez cienia oburzenia w głosie. „I nie zapytam, jeśli nie będziesz chciał. To mój teść i już go bardzo lubię, ale przede wszystkim to twój ojciec. Sam musisz zdecydować, czego chcesz”. Zapadła cisza, nie ponaglała mnie. Poczekała. Czekala. Nie widzieliśmy się. Nie było prześcieradeł.

Muskaliśmy się. Dla niej było oczywiste, że to nie ja, ale ona musi zapytać Ranza i nie wynikało to z przekonania, że Ranz jej na pewno opowie, ale z przeświadczenia, że mnie na pewno nie opowie. „Mnie by opowiedział”, kiedyś przecież stwierdziła, przy świetle i w naszym łóżku, pewna swego. „Kto wie, czy od lat już nie czeka, by w twoim życiu pojawił się ktoś taki jak ja, ktoś, kto mógłby pośredniczyć między nim a tobą; między wami, ojcami a synami, relacje są zawsze dziwnie toporne”. I dodała jeszcze, nie bez dumy i nie bez racji: „Może nigdy nie opowiedział ci swojej historii, bo nie wiedział, jak to zrobić, albo ty nie potrafiłeś odpowiednio go o to zapytać. A mnie na pewno się to uda”. I jeszcze coś powiedziała, nie bez naiwności i optymizmu powiedziała: „Wszystko się da opowiedzieć. Trzeba tylko zacząć, słowo po słowie”.

Wszystko się da opowiedzieć, nawet to, czego człowiek nie chce wiedzieć i nie pyta, a jednak się to mówi i człowiek tego słucha.

Nie widząc jej, powiedziałem: „Tak, chyba będzie lepiej, jak już zapytasz”. Poczulem, że czuje resztki niepewności w moim głosie i pewnie dlatego powiedziała: „Chcesz być przy tym, czy wolisz, żebym później ci opowiedziała?”. „Nie wiem”, odparłem, „może nie będzie chciał mówić, jak będę przy tym”. Luiza dotknęła mego ramienia, od razu i nieomylnie na nie natrafiając, jakby widziała mnie w tych ciemnościach (zna moje ramiona, zna moje ciało). Odpowiedziała: „Jeśli gotów jest wszystko opowiedzieć, to nie sądzę, by miał zrezygnować z tego właśnie powodu. Będzie tak, jak zechcesz, Juan”. Zwróciła się do mnie po imieniu, choć nie chciała mnie obrazić i nie była na mnie zła, i nic nie wskazywało, by miała mnie opuścić. Ale może robiła to na zapas, na wypadek gdyby opowiadając mi to, co opowiedzieć miał jej Ranz, musiała mi przekazać złe wieści. Z moich ust nie padło wyraźne: „No, dobra” czy „Śmiało” lub „Twoje góra” albo „Teraz proszę bardzo”, lecz: „Nie wiem, nie pali się, muszę to przemyśleć”. „To wtedy mi powiesz”, powiedziała i cofnęła rękę, chciała spać. Mieliśmy dosłownie jedną poduszkę i tej nocy nie powiedzieliśmy już sobie niczego więcej.

Dwie są poduszki w naszym łóżku, tak jak to w małżeństwach, normalnie, i łóżko to było zaścielone, gdy przyleciałem z Genewy dzień wcześniej, niż Luiza przewidywała, wczesnym wieczorem. Przyjechałem zmęczony, tak jak to z lotniska się przyjeżdża, otworzyłem drzwi i natychmiast, nie upewniwszy się nawet, czy jest ktoś w domu czy nie, wrzuciłem klucze do kieszeni marynarki, tak jak Berta wrzucała swoje klucze do torebki, by mieć je na pewno przy sobie przy wychodzeniu z mieszkania. Jeszcze przy drzwiach wykrzyknąłem imię Luizy, ale nie było nikogo, zostawiłem tam, na chwilę, walizkę i torbę, i poszedłem do sypialni, gdzie zobaczyłem zaścielone łóżko, później do łazienki, drzwi do niej były otwarte, wszystko w porządku, jedynie rączka prysznicowa leżała w wannie miast wisieć, a na wierzchu leżały jedynie ręczniki i płaszcz kąpielowy Luizy, wszystko w kolorze ciemnoniebieskim; moje, bladoniebieskie, jak płaszcz kąpielowy „Billa”, a w rzeczywistości własność hotelu Plaza, nie zostały jeszcze wyjęte z szafy, gdzie leżały od mojego wyjazdu. Zdałem sobie sprawę, że nie bardzo wiem, w której szafie, nie znałem jeszcze dobrze własnego domu, który zmieniał się podczas każdego z mych długich wyjazdów, choć teraz mam nadzieję, że bardzo długo nie będzie do nich dochodzić. Zajrzałem do kuchni, czysto w niej było, lodówka częściowo wypełniona, Luiza jest czysta, jest też uporządkowana; nie było mleka, pewnie zeszła po nie. W salonie stał nowy i nie znany mi mebel, szary, przyjemny fotel, który zmienił dotychczasowe usytuowanie otomany i fotela na biegunach, należącego niegdyś do mojej babci, później zaś służącego za scenę dla oryginalnych pól Ranza, gdy przyjmował gości. Nowy fotel był wygodny, wypróbowałem go krótko. W pokoju, w którym pracuje Luiza, kiedy nad czymś pracuje, nie było nic, co nie wskazywało, by ostatecznie nad czymkolwiek pracowała. (Może kiedyś będzie to pokój dziecienny). W pokoju, w którym ja pracuję, nie zaszły żadne zmiany, zobaczyłem stertę korespondencji czekającej na mnie na biurku w kształcie U, za dużo, żebym zabrał się do jej przeglądania. Zamierzałem już wrócić do drzwi wejściowych, kiedy spostrzegłem jednak coś

nowego: na jednej ze ścian wisiał znany mi skądinąd rysunek, który powinien nosić tytuł, o ile w ogóle jest zatytułowany, *Głowa kobiety z zamkniętymi oczyma*. Pomyślałem: „Mój ojciec zrobił nam, albo Luizie, kolejny prezent, a ona powiesiła go w moim pokoju”. Wreszcie wróciłem do drzwi wejściowych i, tak jak zawsze to robię, kiedy wracam z podróży do domu lub docieram do celu podróży, zacząłem rozpakowywać bagaże i odkładać wszystko na swoje miejsce, starannie i jak najszybciej, tak jakby czynność ta stanowiła jeszcze część podróży, a podróż tym samym powinna dobiec końca. Brudne ubrania wrzuciłem do pralki, w której, jak zauważyłem, leżało już parę rzeczy Luizy, chyba Luizy, nie przyjrzałem im się dobrze, otworzyłem ją tylko i wrzuciłem swoje, nie włączając jej, nie było pośpiechu, a Luiza być może będzie chciała nastawić konkretny program. Po paru minutach moje, puste już, walizki zostały odłożone do właściwych i znanych mi już szaf (górne półki szafy z wierzchnimi ubraniami, w korytarzu), bo stamtąd, już jako człowiek żonaty, wyciągałem je szykując się do mych poprzednich podróży. Byłem bardzo zmęczony, spojrzałem na zegarek, Luiza mogła wrócić lada chwila albo, równie dobrze, za ileś tam godzin, był wczesny wieczór, pora, o której w Madrycie kto żyw wychodzi z domu, nikt o tej porze nie jest w stanie się przed tym powstrzymać, ludzie, rozhisteryzowani i zrozpaczeni, choć nigdy się do tego nie przyznają, wychodzą byle gdzie, po zakupy w sklepach, w zatłoczonych domach towarowych, w aptekach, po zbędne sprawunki, by popatrzeć na wystawy, kupić papierosy, odebrać dzieci ze szkoły, wypić coś, nie czując pragnienia, i zjeść, nie czując głodu, w milionie barów, kafejek i kawiarni, całe miasto jest na ulicy albo w pracy, nie tyle krwawa, co tłumna łaźnia, nikt nie siedzi w domu, w odróżnieniu od Nowego Jorku, gdzie niemal wszyscy wracają o siedemnastej trzydzieści, o osiemnastej, najpóźniej o osiemnastej trzydzieści, jeśli ktoś musiał wstąpić i wsadzić rękę w skrytkę pocztową na Kenmore lub Old Chelsea Station. Wszedłem na taras i zobaczyłem, że nikt na rogu nie stoi, mimo ruchu setek samochodów i ogromnej liczby przechodniów, przemieszczających się w jedną i w drugą stronę i

wchodzących sobie w drogę. Wszedłem do łazienki, wysikałem się, umyłem zęby. Wróciłem do sypialni, otworzyłem naszą szafę, powiesiłem w niej marynarkę, którą miałem na sobie, zobaczyłem ubrania Luizy w jej części, zobaczyłem od razu dwa nowe, albo trzy lub pięć, moimi kobiecymi ustami pocałowałem je albo musnąłem odruchowo, otarłem twarz o pachnące i bezwładne tkaniny, i niewielki zarost (wieczorem muszę się ogolić, jeśli będę wychodzić) nie pozwolił prześlizgnąć im się delikatnie po moich policzkach. Zobaczyłem, jak zaczyna zmierzchać (był piątek, był marzec). Wyciągnąłem się na łóżku, nie żeby się zdrzemnąć, ale tylko nieco odsapnąć, nawet nie odsunąłem narzuty (może prześcieradła nie były świeże, Luiza pewnie zamierzała zmienić je jutro, tuż przed moim powrotem), nawet nie zzułem butów, wyciągnąłem się po przekątnej, więc trzymałem je poza łóżkiem, w powietrzu, bez obaw, że mogę zabrudzić narzutę.

Kiedy się ocknąłem, już nie było światła padającego z zewnątrz, chcę powiedzieć, że światło było światłem nocy, światłem neonów i latarni, a nie światłem wieczoru. Chciałem rzucić okiem na zegarek, ale nie mogłem tego zrobić, nie zapaliwszy lampki. Chciałem zapalić lampkę nocną, ale usłyszałem głosy. Dochodziły z mieszkania, z salonu, jak mi się wydawało, jeszcze nie rozbudziłem się, ale szybko wróciłem do siebie, moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, drzwi do sypialni były zamknięte, pewnie sam je przymknąłem, nocne nawyki, choć przez ostatnie osiem tygodni musiałem się odzwyczajać, w tamtym pokoju. Jednym z głosów był głos Luizy, to ona mówiła w tej chwili, ale nie sposób było dosłyszeć, co mówi. Ton jej głosu był niespieszny, poufały, perswadujący nawet. Wróciła. Odszukałem zapalniczkę w kieszeni spodni i zapaliłem, by zobaczyć na swoim nadgarstku godzinę, ósma dwadzieścia, prawie trzy upłynęły od mojego powrotu. „Luiza pewnie zobaczyła, że śpię i nie chciała mnie budzić”, pomyślałem, „wolała zostawić mnie w spokoju, żebym sam się zbudził”. Ale równie dobrze mogła nie zdawać sobie sprawy z mojej obecności w domu. Nie miała zwyczaju, by wróciwszy

do domu od razu zaglądać do sypialni, chyba że musiała przebrać się natychmiast. Jeśli przyszła z kimś, to od razu przeszła z gościem do salonu, a sama może wpadła na chwilę do łazienki, może do kuchni, by przygotować coś do picia, wyłożyć oliwki (widziałem oliwki w lodówce). Nie zrobiłem tego specjalnie, jak sądzę (nie wiedziałem, że się zdrzemnę, więc nie ulega to wątpliwości), ale zdawałem sobie sprawę, że w domu nie ma najmniejszej oznaki mojego powrotu, schowałem wszystko na swoje miejsce, jak to zawsze robię, również walizkę i torbę; a dokładnie pod półką przeznaczoną na nie powiesiłem płaszcz w szafie na ubrania wierzchnie, przy otwieraniu drzwi zapala się światelko; nie przeniosłem również mojego płaszcza kąpielowego ani moich ręczników, wciąż były poza łazienką, ręce wytarłem w jeden z ręczników Luizy; prezenty miałem przy sobie, w sypialni; i tylko jedna rzecz została, moja kosmetyczka, wyciągnąłem ją z torby i zostawiłem na taborecie w łazience, jej zawartość, jako jedyna, nie została przeze mnie rozparcelowana pomiędzy różne i odpowiednie dla każdej rzeczy miejsca; otworzyłem ją, owszem, ale wyjąłem tylko szczoteczkę do zębów, bo nawet nie pastę, użyłem tej, która leżała na naszej półeczce, właśnie, pasty Luizy, tubki na wpół wyciśniętej. Możliwe że ani ona, ani osoba jej towarzysząca nie wiedzieli jeszcze, że tam jestem, w charakterze mimowolnego szpiega (mimowolnego jak dotąd) w swoim własnym domu. Teraz zabrzmiał drugi głos, ale mówił bardzo cicho, ciszej niż Luiza, po tym głosie nie byłem nawet w stanie rozpoznać, w jakim jest nastroju, i to mnie zirytowało, tak jak już przydarzyło mi się to w pokoju hotelu w Hawanie, który kiedyś nazywał się chyba Sevilla-Biltmore, nie wiem, na wyspie. Nagle zaczęło mi się spieszyć. Wiedziałem, że w końcu dowiem się, kto zaczął był z Luizą w salonie, choćby właśnie już zaczął wychodzić, wystarczyłoby mi przecież otworzyć drzwi i stanąć w nich, by zobaczyć go, zanim zdążyłby wyjść i przywołać windę, by zjechać. Ale pośpiech brał się ze świadomości, że tego, czego teraz nie usłyszę, nie usłyszę już nigdy; nie będzie powtórki, bo nie da się tego cofnąć jak taśmy magnetofonowej czy wideo i jeszcze raz prze-

słuchać lub zobaczyć, bo każdy niepochwycony i niezrozumiany szept zostaje utracony na zawsze.

To jest właśnie najgorsze w tym, co dane jest nam przeżyć, ale nie zostaje zarejestrowane, gorzej, bo w ogóle nie zostaje, obracając się w coś, o czym się nawet nie wiedziało i nie wie, nie słyszało i nie widziało, bo nie ma sposobu, żeby to odzyskać. Otworzyłem ostrożnie drzwi sypialni, bezgłośnie, przez waziutką wciąż szparę wpadła odrobina dalekiego światła, z powrotem ległem na łóżku i wówczas rozpoznałem, dzięki tej szparze, mówiący głos, rozpoznałem z przerażeniem, ale i z ulgą zarazem, głos Ranza, głos mego ojca, bardziej jednak z ulgą niż z przerażeniem.

Mam skłonność, żeby starać się zrozumieć *wszystko*, co się mówi i dociera do moich uszu, choćby mówiono z dala ode mnie, choćby w jednym z niezliczonych języków, których nie znam, choćby to był szmer nierozróżnialny czy szept niedosłyszalny, choćby lepiej było, żebym nie rozumiał niczego, a to, co ktoś mówi, nie było dla moich uszu, czy nawet mówione było specjalnie po to, żebym niczego nie usłyszał i nie rozumiał. A przy uchylonych już drzwiach od mej sypialni szmer był rozróżnialny czy słyszalny był szept, jedno lub drugie zaś w języku dobrze mi znanym, bo w moim własnym, w którym piszę i myślę, choć współżyje on z innymi, w których też myślę czasami, ale w swoim jednak bardziej; i byłoby chyba dobrze, żebym rozumiał to, co mówił ów głos, i chyba było mówione po to, żebym dosłyszał, właśnie po to, żebym usłyszał i rozumiał. Albo niedokładnie tak: pomyślałem, że Luiza nie mogła nie zauważyć mojej obecności w domu (kosmetyczka, szczoteczka na swoim miejscu, powieszony płaszcz, coś zauważyć musiała), ale Ranz owszem, Ranz mógł o tym nie wiedzieć (jeśli wszedł do łazienki, kosmetyczka czy szczoteczka nic mu nie mówiły). Może Luiza postanowiła wreszcie porozmawiać z moim ojcem i zapytać go o jego zmarłą żonę, Sinobrodego o Sinobrodego, i zdać się na przypadek, czy się obudzę i usłyszę go bezpośrednio, czy też spać będę nadal po męczącej podróży z Genewy, a o wszystkim dowiem się wyłącznie za

jej pośrednictwem i nieco później, i innymi słowy (w przekładzie i po cenzurze, być może), albo też nie dowiem się nigdy, gdyby tak zostało uzgodnione. Być może nie nosiła się z takim zamiarem, nie tej nocy czy wieczoru, póki nie wróciła do domu i nie zobaczyła mojej kosmetyczki, mojej szczoteczki, mojego płaszcza a później, może, mojego ciała śpiącego na naszym łóżku. A może zajrzała do pokoju i to ona zamknęła drzwi, a nie ja. Wtenczas, pomyślawszy o tym, zrozumiałem, że tak właśnie być musiało, bo dopiero z tą chwilą zdałem sobie sprawę, że łóżko nie jest już tak zaścielone, jak je zastałem. Ktoś odwinął prześcieradło, koc, narzutę z jednego boku, próbując tym, co zdołał odwinąć jakoś, dość niezgrabnie mnie okryć, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały na to waga mojego ciała i niezajęta przez nie przestrzeń. Równie dobrze sam mogłem próbować okryć się przez sen, ale to niemożliwe, z miejsca odrzuciłem tę myśl i z miejsca zacząłem się zastanawiać, kiedy to się stało, owa próba okrycia mnie, kiedy Luiza uchyliła drzwi i zobaczyła mnie wyciągniętego na łóżku i śpiącego, być może ze zmierzwionymi włosami, z kilkoma pojedynczymi włosami przecinającymi moje czoło niczym niteczki zmarszczek przybywające z przyszłości, by ocienić mnie na chwilę. (Nie zzułem butów, wciąż je miałem na nogach, ale teraz trzymałem je na kołdrze). Zastanawiałem się również, od jak dawna Luiza i Ranz są w domu i jak też Luiza musiała poprowadzić rozmowę, żebym wtedy, kiedy uchyliwszy już drzwi i zległszy z powrotem na łóżku, mógł usłyszeć wyraźnie pierwsze zdania Ranza (choć ze sporej odległości), zdania następujące:

„Zabiła się, bo coś jej opowiedziałem. Z powodu tego, co jej opowiedziałem podczas naszej podróży poślubnej”.

Mój ojciec mówił słabym głosem, ale nie starczym, nigdy nie miał w sobie nic starczego. To był głos niepewny, jakby mówił nie całkiem przekonany, czy w ogóle tego chce, jakby zdawał sobie sprawę, że łatwo się o coś mówi (wystarczy zacząć, słowo po

słowie), ale co raz usłyszane, nie ulega już zapomnieniu, po prostu wie się o tym. Jakby właśnie o tym pamiętał.

„Nie chce mi pan tego opowiedzieć”, usłyszałem, jak mówi Luiza. Jej głos był ostrożny, ale naturalny, nie szarżowała z nutą perswazji ani delikatności, ani emocji. Mówiła z taktem, po prostu z taktem.

„Nie w tym rzecz, chcę czy nie chcę, i to teraz akurat, gdy już tyle powiedziałem, skoro ty chcesz o tym wiedzieć”, odparł Ranz, „aczkolwiek rzeczywiście nigdy nikomu o tym nie mówiłem, jak widać nieźle miałem się na baczności. To zdarzyło się czterdzieści lat temu, to już jest trochę tak, jakby w ogóle się nie zdarzyło albo zdarzyło się zupełnie komuś innemu, nie mnie, nie Teresie ani tamtej kobiecie, jak ją nazwałaś. Od dawna nie ma ani jednej, ani drugiej i nie ma również tego, co im się stało, bo tylko ja o tym wiem, tylko ja się ostałem ku pamięci, a to, co się stało, jawi mi się jakby we mgle, jakby pamięć, tak jak oczy, z wiekiem, męczyła się i nie miała już siły, żeby widzieć ostro i jasno. Nie ma okularów dla zmęczonej pamięci, kochanie”.

Podniosłem się, usiadłem w nogach łóżka, skąd mogłem, wyciągnąwszy jedynie rękę jeszcze bardziej uchylić drzwi albo je zamknąć. Odruchowo poprawiłem po sobie pościel, to znaczy, rozłożyłem z powrotem część prześcieradła, koca i narzuty, nawet wygładziłem prześcieradło, koc też wygładziłem. Wszystko było w porządku, trochę światła, szpara, światło nocy na zewnątrz.

„Dlaczego więc jej pan to powiedział?”, zapytała Luiza. „Nie mógł pan przewidzieć, co się może stać?”

„Niemal nikt niczego nie przewiduje, przynajmniej kiedy jest się młodym, a jest się młodym znacznie dłużej niż się człowiekowi wydaje. Całe życie wydaje się niewiarygodne, kiedy jest się młodym. To, co przydarza się innym, nieszczęścia, przeciwności losu, zbrodnie, wszystko to, wydaje nam się obce, jakby to w ogóle nie istniało. Nawet to, co się nam samym przydarza, wydaje nam się

obce z chwila, kiedy jest to już za nami. Są tacy, którzy potrafią zachowywać się tak przez całe życie, wiecznie młodzi, jedno wielkie nieszczęście. Człowiek opowiada, rozmawia, mówi, słowa nic nie kosztują i wytryskują czasem jak lawa, bezkarnie. Wytryskują przy każdej okazji, kiedy jesteśmy pijani, kiedy jesteśmy wściekli, kiedy jesteśmy przygnębieni, kiedy mamy wszystkiego dość, kiedy jesteśmy pełni entuzjazmu, kiedy czujemy się zakochani, kiedy najlepiej byłoby ich nie wypowiadać albo nie jesteśmy w stanie rachować słów. Kiedy sprawiamy ból. Nie da się uniknąć popełniania błędów, to niemożliwe. Rzeczą przedziwną jest to, że słowa nie mają konsekwencji znacznie bardziej fatalnych od tych, jakie mają zazwyczaj. A może nie wszystkie skutki są nam wystarczająco znane i tylko nam się wydaje, że nie mają ich aż tylu, podczas gdy w rzeczywistości wszystko jest nieustającą katastrofą, spowodowaną tym, co mówimy. Wszyscy bez przerwy mówią, świat cały huczy od milionów płynących przez cały czas rozmów, opowieści, deklaracji, komentarzy, plotek, wyznań, cały czas padają słowa i cały czas są słuchane, i nikt nie jest w stanie ich kontrolować. Nikt nie jest w stanie przewidzieć eksplozji, do jakiej doprowadzają, a nawet jej śledzić. Bo, pomimo że jest aż tyle słów, tak bardzo tanich i tak nieznaczących słów, niewiele osób potrafi nie zwracać na nie uwagi. Bo przykłada się do nich wagę. Albo i nie, ale już się je usłyszało. Nie wiesz nawet, jak często przez te wszystkie lata myślałem o tych właśnie słowach, które powiedziałem Teresie w niekontrolowanym uniesieniu miłosnym, jak przypuszczam, byliśmy w podróży poślubnej, już dobiegała końca. Mogłem zamilczeć, na zawsze zamilczeć, ale człowiek uważa, że bardziej kocha, bo opowiada o swych sekretach, a opowiadać tak często wydaje się prezentem, największym prezentem, jakim można obdarować, największym wyrazem lojalności, największym dowodem miłości i oddania. I zyskuje się względy, opowiadając. Nagle człowiekowi nie wystarcza wypowiadanie jedynie płomiennych słów, które szybko się zużywają albo zaczynają się wyłącznie powtarzać. Przestaje to wystarczać również temu, który słucha. Mówiący jest nienasycony, nienasycona

jest również osoba słuchająca, mówiący pragnie ciągle i bez końca podtrzymać zainteresowanie sobą u tej drugiej osoby, chce swym językiem przeniknąć aż do samego dna („Język niczym kropla deszczu, język tuż przy uchu”, pomyślałem), osoba słuchająca zaś chce być zabawiana ciągle i bez końca, chce słuchać i wiedzieć coraz więcej i więcej, nawet jeśli to, co słyszy, to wymysł jedynie i fałsz. Teresa być może wcale nie chciała wiedzieć albo, dokładniej rzecz ujmując, nie chciałyby. Ale ja nagle coś jej powiedziałem, nie kontrolowałem siebie, dostatecznie dużo już powiedziałem i wówczas już nie mogła się opanować, żeby nie chcieć, chciała wiedzieć, musiała tego wysłuchać”. Ranz zrobił przerwę, króciutką, teraz mówił już bez wahania, a jego głos był silniejszy, niemal deklamatorski, już nie szmer, już nie szept, dobiegłby mnie i przez zamknięte drzwi. Ale ja trzymałem drzwi wciąż uchylone. „Nie wytrzymała. W tamtych latach nie było rozwodów, ona zaś nie przystałaby na próbę unieważnienia małżeństwa, nie miała w sobie za grosz cynizmu, a nasze małżeństwo zostało skonsumowane, i to jak skonsumowane, zanim jeszcze do małżeństwa doszło. Ale nawet gdyby rozwód czy unieważnienie były możliwe, to i tak by to nie wystarczało. Rzecz nie tylko w tym, że dowiedziawszy się, już nie mogłaby mnie znosić ani być ze mną, ani dnia dłużej, ani minuty dłużej, jak powiedziała, choć była jeszcze ze mną parę dni, nie wiedząc, co ma robić. Ale rzecz w tym, że ona też powiedziała, powiedziała coś kiedyś, o wiele wcześniej, a to, co powiedziała, miało swoje konsekwencje. Nie znosiła mnie, ale i siebie samej też znieść nie mogła właśnie za to, że kiedyś powiedziała coś pochopnie, nie zdając sobie sprawy, że nie ponosi żadnej winy, bo ona nie mogła jej ponosić za to, co ja mogłem usłyszeć, ani ja za to, co usłyszałem („Podjudzanie to tylko i wyłącznie słowa”, pomyślałem, „przetłumaczalne, bezpieczeństwa słowa”). Z chwilą, gdy jej opowiedziałem, zaczęła przeżywać dni skrajnej i coraz większej udręki, nigdy w życiu nie spotkałem kogoś równie udręczonego, właściwie nie spała, nie jadła, wstrząsały ją mdłości, usiłowała wymiotować, nie udawało jej się, nie odzywała się do mnie, nie

patrzyła na mnie, do nikogo właściwie się nie odzywała, chowała głowę w poduszkę, przy innych udawała, jak mogła najlepiej. Płakała, dzień w dzień płakała, to było tylko kilka dni. Płakała, gdy zasypiała na chwilę, na parę minut, płakała przez sen, natychmiast budziła się zrana potem i przelękniona, i patrzyła na mnie w łóżku ze zdziwieniem, potem z przerażeniem („Z oczyma utkwionymi we mnie, ale nierozpoznającymi mnie jeszcze i nierozpoznającymi w ogóle miejsca”, pomyślałem, „z tymi rozgorączkowanymi oczyma chorej osoby, która budzi się przelękniona, nagle, i nie otrzymawszy we śnie sygnału o zbliżającym się przebudzeniu”), zakrywała sobie twarz poduszką, jakby nie chciała widzieć ani słyszeć. Próbowałem ją uspokoić, ale bała się mnie, wzbudzałem w niej strach albo grozę. Ktoś, kto nie chce widzieć ani słyszeć, nie może dalej żyć, nie miała gdzie się udać, chyba że opowiedziałaby całą historię; tak naprawdę nie dziwię się, że się zabiła, nie przewidziałem tego, powinienem był przewidzieć. Nie można tak żyć, jeśli się jest niecierpliwym, jeśli nie można czekać, aż wszystko minie. („Tak jakby się zgubiła i nie było abstrakcyjnej przyszłości”, pomyślałem, „jedynej naprawdę ważnej, bo terażniejszość nie może jej ani zabarwić, ani przyswoić”). Wszystko się ułatwia, ale wy, młodzi, o tym nie wiecie. Ona była bardzo młoda”.

Mój ojciec urwał, być może chcąc odsapnąć lub ogarnąć to, co do tej pory powiedział, może spostrzegł, iż nie jest już w stanie się zatrzymać, bo zabrnął za daleko. Po głosach nie byłem w stanie określić, jakie miejsce mniej więcej zajmuje każde z nich, być może mój ojciec spoczywał na otomanie, a Luiza na sofie, albo Luiza na otomanie, a Ranz w nowym, przyjemnym fotelu, który nawet zdołałem przez chwilę wypróbować. Być może jedno z nich w fotelu na biegunach, nie przypuszczam, przynajmniej nie Ranz, który lubił ten mebel wyłącznie dlatego, że mógł w nim przyjmować oryginalne pozy w towarzyskim gronie. Wnosząc z jego, mało uroczystego, sposobu mówienia, trudno było mi go sobie wyobrazić przyjmującego właśnie jedną z tych swoich póz, a poza tym nie był w

towarzyskim gronie, wyobrażałem sobie, że raczej siedzi na brzeżku wszystko jedno którego z mebli, wychylony do przodu, odrobinę, ze stopami na podłodze, nie mając nawet odwagi skrzyżować nóg. Patrzył pewnie na Luizę swymi żarliwymi oczyma, które uwznioślały to, czemu się przyglądały. Pewnie pachniał wodą kolońską i tytoniem, i miętą, trochę alkoholem i skórą, jakby właśnie przyjechał z zamorskich kolonii. Być może palił papierosa.

„Ale co jej pan powiedział?”, zapytała Luiza.

„Mówiąc ci to teraz, kochane dziecko”, odparł Ranz, „nie wiem, czy nie uczyniłbym znowu tego, co wówczas uczyniłem”.

„Niech pana głowa o to nie boli”, odpowiedziała Luiza śmiało i radośnie (śmiało, bo nie bała się tego powiedzieć, a radośnie, bo w ogóle jej to przyszło na myśl), „nie zabiję się z powodu czegoś, co zdarzyło się czterdzieści lat temu, co by to nie było”.

Ranz również miał tę śmiałość i poczucie humoru, by zaśmiać się troszeczkę. Następnie odpowiedział:

„Wiem, wiem, nikt się nie zabija z powodu przeszłości. Mało, nie sądzę, byś miała się zabić z jakiegokolwiek powodu, nawet gdybyś się dziś dowiedziała, że Juan uczynił właśnie coś takiego, co ja zrobiłem i o czym powiedziałem Teresie. Ty jesteś zupełnie inna, czasy są inne, łatwiejsze, a może trudniejsze, niczemu się nie dziwią. Ale nie bardzo wiem, czy nie jest tak, że opowiadając ci to wszystko, robię to z premedytacją, w dowód uczucia, znowu w dowód uczucia, dla pozyskania względów, żebyś chciała nadal mnie słuchać i lubiła przebywać w moim towarzystwie. A rezultat, równie dobrze, może być zupełnie odwrotny. Zabić na pewno byś się nie zabiła, ale być może nie chciałabyś mnie więcej widzieć. Bardziej się boję o siebie niż o ciebie”.

Luiza pewnie dotknęła dłonią jego ramienia, jeśli siedział w pobliżu lub wstając na chwilę, położyła mu dłoń na ramieniu („Dłoń na ramieniu”, pomyślałem, „i niezrozumiały szept, który nas

nakłania”) albo tak to sobie wyobrażałem, musiałem sobie wyobrażać, nie widziałem tego, słuchałem tylko przez szparę, nie przez ścianę ani przez otwarte drzwi balkonowe.

„To, co pan zrobił albo powiedział czterdzieści lat temu, mało mnie obchodzi i w niczym nie zmieni moich uczuć. To pana znam i nic w niczym nie jest w stanie mi pana zmienić. Pan sprzed lat nie jest mi znany”.

„Pan sprzed lat”, powiedział Ranz. „Pan sprzed lat”, powtórzył Ranz gładząc sobie pewnie swoje polarne włosy, muskając je opuszkami palców bezwiednie i w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. „Pan sprzed lat to jednak ciągle ja, a nawet jeśli już nim nie jestem, to przynajmniej jestem jego przedłużeniem lub cieniem czy spadkobiercą albo uzurpatorem. Nikt nie jest tak bardzo do niego podobny jak ja. Gdybym to nie był ja, a są momenty, kiedy nawet zaczynam w to wierzyć, wówczas jego w ogóle by nie było, a tym samym nie stałoby się to, co się stało. Jestem, w każdym razie, najbardziej podobny do tego, co może go przypominać, a do kogoś owe wspomnienia należeć powinny. Temu, który się nie zabija, nakazuje się żyć dalej, ale zdarzają się przypadki, kiedy ktoś postanawia nie iść dalej i pozostać w miejscu, w którym tamci zostali, patrząc w przeszłość, dbając o to, by nadal było fikcyjną teraźniejszością to, co świat uważa za przeszłość. I w ten oto sposób okazuje się, że to, co się zdarzyło, przekształca się w rzecz wyobraźni. Ale nie dla niego, tylko dla reszty świata. Tylko dla świata, który go opuszcza. Dużo o tym myślałem. Nie wiem, czy to rozumiesz”.

„Ale pan nie wygląda na takiego, który by pozostał w jakimkolwiek miejscu”, powiedziała Luiza.

„Przypuszczam, że nie, ale i tak zarazem”, odparł Ranz. Głos znowu brzmiał słabiej, teraz mówił trochę do siebie samego, bez wahania, ale jakby głośno myśląc, słowa padały powoli jedno po drugim, każde przemyślane, jak wtedy, gdy politycy składają jakieś

oświadczenie, które chcą, żeby zostało przetłumaczone i zrozumiane dosłownie. Jakby dyktował. (Ale teraz odtwarzam to z pamięci, to znaczy własnymi słowami, choć początkowo były to jego własne słowa). „Żyłem dalej, żyłem swoim życiem, beztrąsko w miarę możliwości, nawet ożeniłem się po raz trzeci, z matką Juana, z Juana, która nigdy się o niczym nie dowiedziała, a była na tyle wspaniałomyślna, że nigdy nie nękała mnie pytaniami na temat tak niepojętej dla wszystkich śmierci swojej siostry, przy której była, a ja nie mogłem jej nic wytłumaczyć. Może wiedziała, że jeśli jest coś, czego dowiedzieć się można, to lepiej nie wiedzieć, a ja nic nie mówiłem. Bardzo kochałem Juanę, ale nie tak jak Teresę. Kochałem ją ostrożniej, delikatniej, już nie tak natarczywie, z wyciszonym dystansem, by tak rzec, bardziej pasywnie. Ale wiem również, że żyjąc dalej, jednocześnie pozostałem i tkwię w dniu, w którym zabiła się Teresa. W tym właśnie dniu, a nie w tamtym, wcześniejszym, dziwne to jednak, że to, co przydarza się drugiej osobie bez naszego bezpośredniego udziału jest ważniejsze od tego, co człowiek sam robi lub popełnia. No, nie zawsze tak jest, czasami tylko. Zależy co, jak mi się wydaje”.

Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się, czy nie ma popielniczki na jednym z nocnych stolików. Była, po stronie Luizy, na szczęście ona też jeszcze paliła, oboje paliliśmy w łóżku, rozmawiając, czytając, po przespaniu się ze sobą, przed zaśnięciem. Już naprawdę przed zaśnięciem, otwieraliśmy okno, nawet jeśli było zimno, by przewietrzyć pokój, na parę minut. W tym się nie różniliśmy, w naszym wspólnym domu, w którym teraz czałem się szpiegując, przypuszczalnie za jej przyzwoleniem. Może po uchyleniu okna moglibyśmy zostać dostrzeżeni z rogu przez kogoś, kto patrzyłby w górę, z dołu.

„W tamtym dniu?”, zapytała Luiza.

Ranz nie odpowiedział, milczał zbyt długo jak na przerwę naturalną. Wyobraziłem sobie, że dłonie zajęte ma papierosem,

którym wcale nie ma zamiaru się zaciągać, albo ma je splecione i beczynne, duże dłonie pokryte zmarszczkami, ale bez plamek, i pewnie patrzy prosto na Luizę swymi oczyma niczym gęste krople likieru albo octu, patrząc z żalem lub ze strachem, tak do siebie podobnymi uczuciami według Clerka albo Lewisa, a może z głupawym uśmiechem i z nieruchomymi oczyma kogoś, kto podnosi wzrok i pręży szyję niczym zwierzę, słysząc dźwięki katarynki albo falujący dźwięk gwizdawki ulicznych szlifierzy i zastanawia się przez chwilę, czy noże w domu są odpowiednio ostre, czy też trzeba zbiec z nimi na ulicę i przerwać swoje zajęcia, czy też swój brak zapobiegliwości i zapominalstwo, bo jakoś się nie myślało o ostrzach, a może pogrąża się nagle i nieoczekiwanie w swoich sekretach, sekretach skrywanych i w przeżytych, w tych, które zna i nie zna. I wtedy, gdy podnosi głowę zwabiony mechaniczną muzyką czy powtarzającym się po całej ulicy i zbliżającym się świstem, jego wzrok pada roztkliwiony na portrety nieobecnych.

„Jeśli nie ma pan ochoty, to proszę nie opowiadać”, usłyszałem, jak mówi Luiza.

„Tamtym dniem”, powiedział Ranz, „tamtym dniem był dzień, w którym zabiłem moją pierwszą żonę, żeby być z Teresa”.

„Jeśli nie ma pan ochoty, to proszę mi nie opowiadać. Jeśli nie ma pan ochoty, to proszę mi nie opowiadać”, słyszałem, jak Luiza powtarza i powtarza, i powtarzanie tego, powtarzanie, kiedy już zostało powiedziane, było cywilizowaną formą wyrażenia swego przestachu i mojego przestachu również, a może skruchy za popełnione pytanie. Pomyślałem, czy nie powinienem zamknąć moich drzwi, zlikwidować szpary, żeby znowu wszystko obróciło się w nierozróżnialny szmer lub niedosłyszalny szept, ale już było za późno, również dla mnie, usłyszałem to, usłyszeliśmy to samo, co usłyszała Teresa Aguilera w swej podróży poślubnej, pod koniec swej podróży, czterdzieści lat temu, a może mniej. Luiza mówiła teraz: „Proszę mi tego nie opowiadać, proszę mi tego nie opowiadać”, może

ze względu na mnie; za późno, kobiety odczuwają ciekawość dla samej ciekawości i nie wyobrażają sobie albo nie przewidują natury tego, czego nie wiedzą, tego, czego można się w końcu dowiedzieć i tego, co można w końcu zrobić, nie wiedzą, że czyny popełniają się same lub że jedno nawet słowo do ich popełnienia wystarczy. Opowieść została już wprawiona w ruch, wystarczy zacząć, słowo po słowie. „Ranz powiedział «moja pierwsza żona», pomyślałem, „zamiast użyć jej imienia i zrobił to ze względu na Luizę, której to imię (Gloria, a może Miriam lub Nieves czy Berta) nic by nie mówiło, w każdym razie niewiele, mnie też nie, choć moglibyśmy się domyślać, jak sędzę. Oznacza to, że Ranz naprawdę opowiada, jeszcze nie mówi tylko i wyłącznie do siebie samego, jak może mu się przydarzyć niebawem, jeśli nadal będzie wspominać i opowiadać. Ale to, co mówił do tej pory, mówił ze świadomością, że mówi do kogoś, nie abstrahując od adresata, ale ze świadomością, że właśnie opowiada i jest słuchany”.

„Tak, ale chcesz czy nie chcesz, teraz już musisz mi pozwolić, żebym ci to opowiedział”, usłyszałem, jak mówi mój ojciec, „tak jak musiałem opowiedzieć to Teresie. Sytuacja była inna niż teraz, choć nie tak bardzo inna, powiedziałem jedno zdanie i tym jednym zdaniem wtajemniczyłem ją, i już musiałem opowiedzieć resztę, opowiedzieć jeszcze więcej, by stonować jedno tylko zdanie, to bez sensu, przepraszam, nie będę wchodzić w szczegóły. Teraz też je powiedziałem i wtajemniczyłem cię, powiedziałem bez emocji, wtedy rozemocjonowany, wiesz, jak to jest, człowiek zaczyna mówić płomiennymi słowami i coraz bardziej się rozplomienia, i tak bardzo kocha, i czuje się tak bardzo kochany, że już czasami nie wie, co by tu jeszcze zrobić. Są takie sytuacje, są takie noce, kiedy człowiek staje się strasznie egzaltowany, zaczyna zachowywać się jak dzikus, mówi ukochanej osobie potworności. Nie pamięta się ich później, to jak zabawa, ale uczynku, rzecz jasna, już się nie da zapomnieć. Byliśmy w Tuluzie, pojechaliśmy w naszą podróż poślubną do Paryża najpierw, później na południe Francji. Przedostatnią noc

naszej podróży spędziliśmy w hotelu, w łóżku, i powiedziałem Teresie mnóstwo rzeczy, człowiek w takich sytuacjach mówi, co mu ślina na język przyniesie, bo czuje, że mu nic nie grozi i kiedy już nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym jej powiedzieć, a musiałem koniecznie coś jeszcze jej powiedzieć, powiedziałem jej to, co bez żadnych konsekwencji mówiło już tylu kochanków: «Tak bardzo cię kocham, że dla ciebie gotów byłbym zabić», powiedziałem jej. Ona zaśmiała się i odparła: «Obiecanki cacanki». Ale mnie nie było do śmiechu, bo to była jedna z tych chwil, kiedy kocha się najpoważniej na świecie, nie ma miejsca na żarty. I w jednej chwili przestałem się wahać i powiedziałem jej to zdanie: «Już to uczyniłem», powiedziałem jej. «Już to uczyniłem», („I have done the deed”, pomyślałem, a może pomyślałem, „To byłem ja” albo pomyślałem to w swoim języku, „Uczyniłem ów uczynek i dokonałem owego wyczynu, i popełniłem ów czyn, czyn jest uczynkiem i wyczynem, i dlatego, wcześniej czy później, opowiada się o nim, zabiłem dla ciebie, oto mój wyczyn i obdarowuję cię opowieścią o nim, i będziesz mnie kochać jeszcze bardziej, dowiedziawszy się o tym, com uczynił, choć splami to również twoje serce tak białe”).

Ranz znowu zamilkł, ale teraz odniosłem wrażenie, że przerwa jest niedwuznacznie retoryczna, jakby już zacząwszy wysławiać niewysłowione czuł, że może i pragnie całkowicie panować nad swą opowieścią.

„Przekłęta powaga”, stwierdził z całą powagą po paru sekundach. „Przez resztę życia zachowywałem się już niepoważnie, a przynajmniej starałem się tak zachowywać”.

Zgasilem papierosa i zapaliłem następnego, spojrzałem na zegarek, nie kojarząc, która jest godzina. Podróżowałem dziś, przespałem się, a teraz słuchałem, tak jak słuchałem Guillerma i Miriam, tak samo siedząc w nogach łóżka, a raczej tak jak słuchała ich Luiza, leżąc i udając, że bym nie mógł wiedzieć, czy ich słucha. Teraz z kolei ona nie może wiedzieć, czy słucham, czy leżę, czy śpię.

„Kim była?”, zapytała mojego ojca. Ona też, ochłonawszy z przerażenia i wyraziwszy swą mechaniczną skruchę, gotowa była dowiedzieć się wszystkiego, a przynajmniej więcej, teraz gdy już nieodwracalnie poznała i usłyszała to zdanie („W słuchaniu czai się największe niebezpieczeństwo”, pomyślałem, „słuchać to wiedzieć, to być zorientowanym i być wtajemniczonym, uszy pozbawione są powiek, które mogłyby instynktownie się zamknąć przed tym, co wypowiedane, nie mogą ochronić przed tym, co zaraz się usłyszy, zawsze jest za późno. Teraz już wiemy i być może to splami nasze serca tak białe, a może są blade i zatrwożone albo tchórzliwe”).

„To była Kubanka, stamtąd, z Hawany”, powiedział Ranz, „gdzie zostałem zesłany na placówkę, by przez dwa lata zbijać baki, Villalobos ma lepszą pamięć niż mu się wydaje („Rozmawiali o profesorze”, pomyślałem, „a więc mój ojciec wie, że ja już wiem to, co wie Villalobos”). Ale nie chciałem rozwodzić się na jej temat, o ile łaskawie pozwolisz, zdołałem zapomnieć, jak wyglądała, trochę, jej postać rysuje mi się bardzo mgliście, jak i wszystko, co się wówczas wydarzyło, od niedawna byliśmy małżeństwem, od roku zaledwie, a moja pamięć jest już zmęczona. Ożeniłem się z nią, kiedy już jej nie kochałem, o ile w ogóle ją kiedykolwiek kochałem, człowiek popełnia takie głupstwa z poczucia odpowiedzialności, obowiązku, w chwili słabości, niektóre małżeństwa paktuje się, uzgadnia, ogłasza i stają się one logiczne i nieuniknione, i choćby już z tego względu w końcu do nich dochodzi. Z początku zmusiła mnie, bym ją pokochał, później chciała wyjść za mnie, a ja nie oponowałem, jej matka, matki zawsze chcą, żeby ich córki wychodziły za mąż, przynajmniej wówczas chciały („Wszyscy zmuszają wszystkich”, pomyślałem, „w przeciwnym razie świat by się zatrzymał, wszystko unosiłoby się w globalnej i ciągłej niepewności, bez końca. Ludzie chcą tylko spać, przedwczesne skrupuły sparaliżowałyby nas”). Ślub odbył się w kaplicy ambasady, w której konsulacie byłem zarejestrowany, ślub hiszpański zamiast kubańskiego. Fatalnie, tak chciały obie, i ona, i jej matka, być może z pełną premedytacją, gdyby ślub był kubański,

mógłbym się z nią rozwieść, kiedy poznałem Teresę, tam były rozwody, choć nie sądzę, by Teresa przystała na to, nie mówiąc o jej matce, bardzo religijnej osobie”. Ranz teraz ograniczył się do złapania oddechu, by od razu dodać tym cechującym go zawsze, najbardziej dlań swoistym, kpiarskim tonem: „Religijne matki z klas średnich, religijne teściowe, te cementują i wiążą najbardziej. Przypuszczam, że ożeniłem się, żeby nie być sam, nie zrzucam z siebie winy, nie wiedziałem, jak długo jeszcze będę przebywać w Hawanie, wahałem się co do mojej kariery w dyplomacji, choć nie miałem jeszcze odpowiednich studiów. Zrezygnowałem później z tego pomysłu i nigdy nie podjąłem pracy w dyplomacji, i wróciłem do swych studiów z historii sztuki, wkręcono mnie do tej ambasady dzięki układom mojej rodziny, na próbę, a nuż mi się spodoba, a ja wówczas miałem kielbie we łbie, póki nie poznałem Teresy, albo raczej dopóki nie ożeniłem się z Juana”. Powiedział „kielbie we łbie” i byłem przekonany, że w tej właśnie chwili, mimo powagi z jaką mówił, rozbawiło go użycie tego rzadko już używanego zwrotu, tak jak rozbawiło go nazwanie mnie „kolibrem” w dniu mojego ślubu, podczas przyjęcia, gdy Luiza rozmawiała ze swym byłym narzeczonym, antypatycznym, dla mnie, typem i z innymi osobami – może z Custardoyem, może z Custardoyem, widziałem go w Kasynie tylko przez chwilę, z daleka, jak patrzył na mnie łapczywie – a ja z dala od niej, odciągany od niej na parę minut przez mojego ojca, który zatrzymywał mnie w przyległym pokoju, żeby powiedzieć mi owo: „A teraz co?”, by po jakimś czasie powiedzieć mi to, co chciał mi naprawdę powiedzieć: „Jeśli będziesz miał sekrety lub już je masz, nie zwierzaj się jej”. A teraz to właśnie on zwierzał się ze swojego i zwierzał się właśnie jej, być może nie chcąc dopuścić, bym ja zwierzył się jej ze swoich (ale jakie ja mam sekrety, może ten związany z Bertą, który w gruncie rzeczy nie jest moim sekretem, może moje podejrzenia, może Nieves, moja dawna miłość ze sklepu papierniczego) lub żeby ona opowiedziała mi swoje (a jakie ona może mieć sekrety, nie mogę przecież wiedzieć, gdybym wiedział, przestałyby być sekretami). „Może Ranz ujawnia swój sekret przez

tyle lat skrywany, żebyśmy nie zwierali się sobie z naszych sekretów”, pomyślałem, „z przeszłych, obecnych i przyszłych albo żebyśmy starali się nie dopuszczać do tego, że mieć je musimy. A mimo to, ja przyszedłem do własnego domu w sekrecie, nie uprzedzając o przyjeździe albo zwodząc, że przyjeżdżam jutro, a Luiza trzyma w sekrecie przed Ranzem, że ja tu jestem, leżąc na łóżku lub siedząc w nogach łóżka i może słysząc wszystko; musiała mnie widzieć, bo nie da się inaczej wytłumaczyć podwiniętej narzuty i koca podwiniętego, i prześcieradła, po to, żeby mnie trochę okryć”. „Mogę prosić o jeszcze trochę whisky?”, usłyszałem, jak teraz mówił mój ojciec. A więc Ranz pił whisky, czyli napój o barwie podobnej do barwy jego oczu, kiedy nie pada na nie światło, a teraz pewnie są w półmroku. Usłyszałem brzęk kostek lodu wrzucanych do szklanki, następnie gulgot whisky, później wody. Whisky z wodą nie była już podobnej barwy. Oliwki z lodówki może stały na niskim, przystosowanym do naszego salonu, stoliku, to jeden z pierwszych mebli jaki kupiliśmy, razem kupiliśmy, i jeden z niewielu, których miejsce nie uległo zmianie przez cały ten czas, od naszego ślubu, wciąż niespełna rok temu. Nagle poczułem głód, z przyjemnością zjadłbym parę oliwek, najchętniej nadziewanych. Mój ojciec dodał: „Ale wybierzemy się na kolację, prawda? Niezależnie od tego, co ci opowiem, tak jak się umówiliśmy? Zresztą, powiedziałem ci już prawie wszystko”.

„Ależ oczywiście, że wybierzemy się na kolację”, odpowiedziała Luiza. „Nie zwykłam nie przychodzić na umówione spotkania”. To prawda, że zawsze przychodziła i przychodzi na umówione spotkania. Może długo się zastanawiać, ale jeśli już się zdecyduje, to nigdy nie zawodzi, to miła dziewczyna pod tym względem. „I co się stało dalej?”, powiedziała i jest to pytanie stawiane przez dzieci, nawet wtedy, gdy opowiadanie bajki już się skończyło.

Teraz usłyszałem wyraźnie trzask zapalniczki Ranza (uszy przyzwyczajają się do wyławiania wszystkiego z miejsca, z którego

starają się przysłuchiwać), a więc przedtem miał ręce splecione i bezczynne.

„A stało się, że poznałem Teresę i Juanę, i ich kubańską matkę, która całe życie spędziła w Hiszpanii. Przyjechały do Hawany na jakiś czas w sprawie jakiegoś spadku po dalekich krewnych, jakichś sprzedaży, ciotka matki zmarła, nie sądziłem, że Villalobos może tyle pamiętać („Pewnie Luiza mu opowiedziała”, pomyślałem: „Villalobos opowiedział nam i to, i to, ale co jest prawdą?”). Zakochaliśmy się szybko, ja już byłem żonaty, widywaliśmy się potajemnie, ale smutne to było, ona smutniała, nie widziała szansy najmniejszej, co z kolei mnie zasmucało, tym bardziej że faktycznie nie było najmniejszej szansy. Nie za często się spotykaliśmy, w sam raz, zawsze po południu, obie siostry razem wychodziły na przechadzkę, a później się rozdzielały, nie wiem, co robiła Juana, Juana zaś nie wiedziała, co robi Teresa, Teresa w owe popołudnia widywała się ze mną w pokoju hotelowym, by później, po gwałtownym zapadnięciu nocy (noc nas ostrzegała) spotkać się z Juaną na mieście i razem z nią wrócić do matki, na kolację. Ostatnie nasze wspólne popołudnie wyglądało jak pożegnanie dwóch osób, które już nigdy nie będą mogły się spotkać, całkowity absurd, byliśmy młodzi, żadne z nas nie chorowało, nie było żadnej wojny. Ona wracała następnego dnia do Hiszpanii, po trzymiesięcznym pobycie w domu cioci-babci zmarłej w Hawanie. Powiedziałem jej, że przecież nie będę tutaj siedział całe życie, że niebawem wrócę do Madrytu, że musimy nadal się spotykać. Nie chciała, wolała wykorzystać przymusowe rozstanie, by o wszystkim zapomnieć, o mnie, o mojej pierwszej żonie, którą na nieszczęście trochę znała. Wydawała jej się sympatyczna, pamiętam, że wydawała jej się sympatyczna. Ja obstawałem przy swoim, mówiłem o separacji. «Nie moglibyśmy się pobrać», powiedziała mi, «to niemożliwe». Ulegała konwenansom, jak cała epoka, to było czterdzieści lat temu, takich historii było na pęczki, ale ludzie gadają, gadają i palcem nie ruszą. No, dobrze, niektórzy ruszają („Najgorsze z tego wszystkiego, że on

nic nie zrobi”, pomyślałem, tak Luiza powiedziała o Guillermie pewnej nocy, w złym nastroju, z lśniącym z lekka, zawilgoconym dekoltem, oboje w łóżku). I wówczas powiedziała zdanie, które usłyszałem, i które sprawiło, że później nie mogła siebie znieść („Przetłumaczalne, bezpieczeństwa słowa, które powtarza się z ust do ust i z języka na język, i z wieku na wiek”, pomyślałem, „zawsze te same, podjudzające do tych samych czynów już w czasach, kiedy na świecie jeszcze nikogo nie było i nie było języków ani uszu do ich wysłuchania. Ale kto je wypowiada, nie może siebie znieść, kiedy widzi, jak się spełniają”). Pamiętam, że oboje ubrani leżeliśmy na wynajętym łóżku, w butach („Z brudnymi nogami może”, pomyślałem, „bo i tak nikt nie miał na nie patrzeć”), nie rozebraliśmy się owego popołudnia, kiepski czas był na chęci. «Mielibyśmy jakiś cień szansy, gdyby ona nagle umarła», powiedziała mi, «ale na to nie mamy co liczyć». Pamiętam, że mówiąc to, położyła mi dłoń na ramieniu i zbliżyła usta do mojego ucha. Nie szepnęła mi tego, to nie była insynuacja, jej dłoń na moim ramieniu i jej usta tuż-tuż były swoistą formą dodania mi otuchy i uspokojenia mnie, jestem tego pewien, dużo myślałem o tym, jak to zdanie zostało wypowiedziane, choć przez pewien czas pojmowałem je na opak. To zdanie wyrażało kapitulację, nie było w nim nakłaniania, to było zdanie kogoś, kto się wycofuje i uznaje się za pokonanego. Wypowiedziawszy je pocałowała mnie, to był krótki, przelotny pocałunek. Wycofywała się. („Język przy uchu to również pocałunek, który najskuteczniej przekonuje”, pomyślałem, „język, który bada i rozbija, szepce i całuje, przymusza niemal”). Ranz zatrzymał się po raz kolejny, głos jego stracił już całkowicie jakikolwiek odcień ironii czy kpiny, stał się prawie nierozpoznawalny, choć daleko mu było do piły. „Później, gdy opowiedziałem jej, co zrobiłem i powiedziałem jej o tym zdaniu, ona z początku nawet nie pamiętała własnych słów, powiedziała je bez zastanowienia, ot, tak sobie, według niej, a kiedy przypomniała je sobie i zrozumiała, uznała je wyłącznie za wyrażenie krążącej w naszych głowach myśli, czegoś całkowicie oczywistego, najzwyczajsze oznajmienie pozbawione

jakichkolwiek intencji, tak jakbyś mi powiedziała teraz: Już czas pomyśleć o kolacji. Ja też nie zagłębiałem się wówczas w jej słowa, nie rozgryzałem ich póki co, zacząłem je rozgryzać, kiedy Teresa już wyjechała i tęskniłem za nią nie do wytrzymania, mielibyśmy jakiś cień szansy, gdyby ona nagle umarła, ale na to nie mamy co liczyć. To mój przekłety mózg chciał zrozumieć to inaczej („O niczym, ojcie, nie myśl”, pomyślałem, „o niczym nie myśl tak chorobliwym mózgiem. Śpiący i zmarli są jedynie malowidłami, ojcie. Nie można w taki sposób myśleć o tym wszystkim, co się zdarzyło: bo inaczej zwariujemy”). Ona przypominała sobie własne zdanie dopiero wtedy, gdy jej to zdanie przypominałem i to wywołało u niej jeszcze większą trwogę. Obym jej nigdy nic nie powiedział („Ona słyszy wyznanie o tym uczynku, czynie czy wyczynie i tym, co czyni z niej naprawdę współniczkę, nie jest wcześniejsze podjudzanie go, ale to, że wie o tym czynie i jego dokonaniu. Ona wie, ona jest zorientowana i to jest jej przewina, ale zbrodni nie popełniła, choćby i strasznie nad tym ubolewała czy zapewniała, że ubolewa, splamienie sobie rąk krwią zabitego to gra, to udawanie, fałszywe związanie się z tym, który zabija, bo nie można zabić dwa razy i nigdy nie ma wątpliwości kim jest «ja», a uczynek już jest uczyniony. Winnym jest się tylko słuchania, co jest nie do uniknięcia i chociaż prawo nie uniewinnia tego, który powiedział, tego, który mówi, ten wie, że w rzeczywistości nic nie uczynił, nawet jeśli przymusił swym językiem tuż przy uchu, pierśią tuż przy plecach, oddechem przyspieszonym, dłonią swą na ramieniu i niezrozumiałym szeptem, który nas nakłania”). Nic”.

„A co pan zrobił? Opowiedział jej pan wszystko?”, zapytała go Luiza. Luiza pytała tylko o nieodzowne minimum.

„Tak, opowiedziałem jej wszystko”, powiedział Ranz, „ale tobie nie opowiem, nie opowiem ci, co dokładnie zrobiłem, oszczędzę ci szczegółów, jak ją zabiłem, tego się nie zapomina i wolę, żebyś nie musiała tego pamiętać i, począwszy od dzisiaj, nie przypominała mi tego w przyszłości, a groziłoby to nam niewątpliwie, gdybym ci opowiedział”.

„Ale jak wytłumaczono jej śmierć? Nikt przecież nie znał prawdziwej przyczyny, o tym chyba może mi pan opowiedzieć?”, powiedziała Luiza. Nagle trochę się przestraszyłem, pytała tylko o nieodzowne minimum i tak postąpi ze mną, jeśli pewnego dnia będzie musiała mnie zapytać.

Znów usłyszałem brzęk lodu, tym razem potrząsanego w szklance. Ranz pewnie myślał teraz swym chorobliwym mózgiem, a może wcale nie chorobliwym już od kilkudziesięciu lat. Może poprawiał sobie, ledwie je dotykając, włosy białe niczym talk. Może, tak jak pewnego dnia w rozmowie ze mną, na twarzy rysował mu się wyraz chwilowej bezradności. Ten dzień zaczynał stawać się bardzo odległy.

„Tak, to mogę ci opowiedzieć, i w tym Villalobos też nie jest w błędzie”, odezwał się w końcu. „Chyba jest jednym z niewielu żyjących, który cośkolwiek z tego pamięta. Również, co oczywiste, pamiętają to bracia Teresy i Juany, o ile żyją, tak jak wiedziała o tym i pamiętała sama Juana, i jej matka. Ale z moimi dwoma szwagrami, podwójnymi szwagrami, od wielu już lat nie jestem w kontakcie, od śmierci Teresy nie chcieli słyszeć ani o mnie, ani o Juanie, choć nigdy nie powiedzieli tego otwarcie: Juan, na przykład, prawie ich nie zna. Z całej rodziny tylko matka, babcia Juana, chciała utrzymywać ze mną kontakt, choć sędzę, że kierowała nią przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, troska o córkę, chciała czuwać nad Juaną i nie zostawiać jej na pastwę małżeństwa. Niebezpiecznego małżeństwa ze mną, pewnie myślała, tak sędzę. Nie mam jej tego za złe, wszyscy podejrzewali, że ponoszę jakąś część winy i że coś, kiedy zabiła się Teresa, przemilczałem, za to nikt, w swoim czasie, niczego nie podejrzewał w związku z tamtą śmiercią. Bo, widzisz, życie każdego z nas nie zależy wcale od naszych uczynków, od tego, co każdy z nas czyni, ale od tego, co o nas wiadomo, co wiadomo o naszych uczynkach. Od tamtej pory prowadziłem normalne życie, nawet całkiem przyjemne życie, po czymkolwiek, wszystko jedno po czym, możemy żyć nadal, kto może,

ten może: dorobiłem się pieniędzy, dorobiłem się syna, z którego jestem zadowolony, kochałem Juanę i nie unieszczęśliwiłem jej, zajmowałem się tym, co sprawiało mi najwięcej przyjemności, miałem przyjaciół i dobre obrazy. Bawiłem się. To wszystko było możliwe, bo nikt o niczym nie wiedział, poza Teresą. To, co popełniłem, zostało już popełnione, ale ogromna różnica dotycząca tego wszystkiego, co nas później czeka, tkwi nie w tym, czy popełniło się coś czy też nie popełniło, ale w tym, że nikt o tym nie wiedział. Ze był to sekret. Jakie czekałoby mnie życie, gdyby o tym wiedziano? Być może po tym wszystkim w ogóle by mnie życie nie czekało”.

„Ale jakie było wytłumaczenie? Pożar?”, nie ustępowała Luiza, nie pozwalając mojemu ojcu na zbytne dywagacje. Zapaliłem następnego papierosa, tym razem przypaliłem go od niedopałka, chciało mi się pić, chętnie bym umył zęby, nie mogłem udać się do łazienki, mimo że byłem we własnym domu, byłem tu potajemnie, miałem wrażenie, jakbym usta miał znieczulone, może od spania, może od podróźnej gorączki, a może dlatego, że od jakiegoś czasu miałem zaciśnięte szczęki. Zdawszy sobie z tego sprawę, przestałem je zaciskać, na chwilę.

„Tak, to był pożar”, powiedział, ociągając się. „Mieszkaliśmy w małym, dwupiętrowym domku, w dzielnicy willowej oddalonej nieco od centrum, ona miała zwyczaj palić w łóżku, przed snem, ja też, prawdę mówiąc. Byłem na kolacji z hiszpańskimi przedsiębiorcami, którymi musiałem się zająć, to znaczy zabrać na nocne szaleństwo. Ona pewnie paliła w łóżku i zasnęła, może trochę wypła, żeby lepiej zasnąć, zwykła to robić ostatnimi czasy, przypuszczalnie wypła tej nocy trochę za dużo. Od żaru papierosa zajęły się prześcieradła, na początku pewnie nie był to gwałtowny ogień, ale nie obudziła się, a jeśli już, to pewnie za późno, zresztą nie chcieliśmy wiedzieć, czy udusiła się, zanim się spaliła, w Hawanie bardzo często śpi się przy zamkniętych oknach. Czy to nie było wszystko jedno? Pożar nie strawił całego domu, sąsiedzi zareagowali w porę, znalazłem się tam dopiero wtedy, gdy mnie odszukano i poinformowano, znacznie

później, upiłem się z tymi przedsiębiorcami. Ale ogień zdążył strawić naszą sypialnię, wszystkie jej ubrania, moje ubrania, te, które jej podarowałem. Nie było śledztwa ani autopsji, to był wypadek. Jej ciało było zwęglone. Nikt nie był zainteresowany tym, by dokładnie coś ustalać, skoro ja nie byłem tym zainteresowany. Jej matka, moja teściowa, była zbyt przybita, by dopuszczać myśl o innych przyczynach”. Teraz mówił szybko, jakby spieszyło mu się, by skończyć całą opowieść lub przynajmniej tę część opowieści. „Z drugiej strony nie należały do osób wpływowych”, dodał, „klasa średnia, nic wielkiego, mało pieniędzy, wdowa i jej córka. Ja za to miałem kontakty, gdyby trzeba było wstrzymać jakieś dochodzenie czy oddalić jakieś podejrzenia. Ale ich nie było. Ryzykowałem coś niecoś, wszystko okazało się proste. I takie było wytłumaczenie, po prostu nieszczęście”, powiedział Ranz. „Po prostu nieszczęście”, powtórzył, „byliśmy małżeństwem dopiero od roku”.

„A jaka była prawda?”, odezwała się Luiza.

„A prawda była taka, że kiedy wychodziłem na owe nocne szaleństwa, ona już nie żyła”, odparł mój ojciec. Gdy wypowiadał to zdanie, głos jego znowu osłabł, do tego stopnia, że ponownie musiałem wyteńczyć słuch, jakby moje drzwi były zamknięte, były uchylone, a ja przybliżyłem ucho do szpary, by nie stracić żadnego jego słowa. „Posprzeczaaliśmy się wieczorem”, powiedział, „kiedy wróciłem do domu, po całym dniu załatwiania na mieście przeróżnych spraw, przedsiębiorcy, oczywiście. Wróciłem w nie najlepszym humorze, ona czekała na mnie w jeszcze gorszym, trochę już wypła, od dwóch miesięcy nawet się nie dotykaliśmy czy raczej ja jej nie dotykałem. Odsuwałem się, obojętniałem od czasu, gdy poznałem Teresę, szczególnie jednak od jej wyjazdu, coraz mniej było we mnie ewentualnego współczucia, za to coraz bardziej wzbierała we mnie niechęć do niej („Unika jej imienia”, pomyślałem „bo teraz już nie może odczuwać potrzeby znieważania jej i sam nie ma co się obruszać, i nie może pozostawić własnemu losowi zmarłej, która istniała tylko i wyłącznie dla swej matki, i nikogo więcej,

matulu, matulu, i która nie zdołała jej upilnować, i nie zachowała czujności, kłamstwo, moja świekro”). Tkwiła we mnie złość, nad którą już się nie panuje, kiedy przestajesz nagle kochać ukochaną dotąd osobę, ale osoba ta kocha cię nadal, wbrew wszystkiemu i nie rezygnuje, zawsze chcemy, żeby wszystko kończyło się wtedy, gdy uznajemy coś za całkowicie skończone. Im bardziej się odsuwałem, tym bardziej ona lgnęła do mnie, tym bardziej się naprzykrzała, tym bardziej mnie potrzebowała („Nie uwolnisz się ode mnie”, pomyślałem, „albo chodź no tu, lub mam cię, czy też jesteś mi coś winien, czy choćby i do piekła, ale ze mną, może nawet gest ucapienia, lwi pazur, szpony”). Nie mogłem już wytrzymać i nie mogłem już czekać, chciałem wyrwać się z tego związku i wrócić do Hiszpanii, ale wrócić sam („Ja już ci nie wierzę”, pomyślałem, „albo wyciągniesz mnie stąd, albo nie byłam w Hiszpanii, czy skurwysyn jesteś, lub czekaj no, albo zatłukę na śmierć”). Posprzeczialiśmy się trochę, może była to nie tyle sprzeczka, ile cztery ostre zdania, obelga i odpowiedź, obelga i odpowiedź, poleciała do sypialni, rzuciła się na łóżko, nie zapaliwszy nawet światła i rozplakała się, nie zamknęła drzwi, specjalnie, żebym mógł ją widzieć albo słyszeć, płakała, żebym mógł ją słyszeć. Zostałem w salonie i stamtąd słyszałem jak płacze przez jakiś czas, podczas gdy ja właściwie zabijałem czas przed wyjściem na ponowne spotkanie z przedsiębiorcami, umówiłem się z nimi, że zabiorę ich na nocne szaleństwo. Później przestała płakać i usłyszałem, że podśpiewuje jakby ze znudzenia („Preludium snu i oznaka zmęczenia” pomyślałem, „śpiew bardziej pulsujący i rozproszony, jaki z nastaniem nocy może jeszcze dobiegać z alków kobiet szczęśliwych, jeszcze nie babć ani wdów i już nie starych panien, spokojniejszy i łagodniejszy albo bardziej przygaszony”), później zamilkła i kiedy czas był już na mnie, wszedłem do naszej sypialni, żeby się przebrać, i zobaczyłem, że śpi, zasnęła, po przykrościach, spazmach, udawanych czy nieudawanych, nic tak nie męczy jak gorzkie żale. Balkon był otwarty, z daleka słyszałem głosy sąsiadów i ich dzieci przed kolacją, o zmierzchu. Otworzyłem szafę, wziąłem świeżą

koszulę, brudną rzuciłem na krzesło i jeszcze nie rozpiąłem świeżej, gdy pomyślałem o tym. Myślałem o tym już kilka razy, ale teraz pomyślałem, że teraz, rozumiesz? Że w tej właśnie chwili. To zadziwiające, jak pewne myśli potrafią niekiedy przyjść nam do głowy z taką wyrazistością i z taką siłą, że nic już nie może pośredniczyć pomiędzy nimi a ich urzeczywistnieniem. Myślisz i zastanawiasz się nad jakąś możliwością, i w tej samej chwili możliwość ta przestaje być tylko możliwością, czynisz to, o czym myślisz, zamysł staje się już czymś wykonanym, bez stanów przejściowych, bez stanów pośrednich, bez przygotowania, bez deliberowania, bez przekonania i pewności, czy naprawdę chce się to zrobić, i wtedy wszystkie popełniane czyny dokonują się same. („Czyny, same czyny, o których nikt nigdy nie wie, czy chce widzieć, jak zostają popełniane”, pomyślałem, „czyny mimowolne, wszystkie, czyny, które raz popełnione są już od słów niezależne i wymazują je, i zostają oddzielone od potem i przedtem; to one są jedyne i nieodwracalne, podczas gdy istnieje ponowienie i odwołanie, powtórzenie i potwierdzenie dla słów, mogą być zdementowane i zadajemy sobie kłam, może być zniekształcenie i zapomnienie”). Ranz chyba patrzył na Luizę swymi żarliwymi oczyma, płynnymi oczyma, a może spuścił wzrok. „Leżała w bieliźnie: w majtkach i w staniku, rozebrała się i położyła do łóżka jakby była chora, przykryta tylko do pasa, przedtem piła do lustra, zrobiła mi awanturę, popłakała się, pośpiewała sobie i zasnęła. Wyglądem swym niewiele różniła się od zmarłej osoby, niewiele różniła się od obrazu, tyle tylko, że rano obudzi się i odwróci twarz, wciśniętą teraz w poduszkę. („Odwróci twarz i już nie pokaże swego ładnego karku”, pomyślałem, „równie ładnego jak kark Nieves, jedynej części jej ciała nietkniętej przez upływ czasu; odwróci twarz, w odróżnieniu od młodej służącej podającej Sofonisbie truciznę lub popioły Artemizji i właśnie dlatego, że służąca ta nigdy się nie odwróci, a jej pani nigdy nie chwyci pucharu i nigdy nie uniesie go do ust, strażnik Mateu podpaliłby jedną i drugą swoją zapalniczką, nie oszczędzając również niewyraźnej głowy staruchy w tle, ogień, matka, teściowa,

pożar”). Odwróciwszy twarz, nie pozwoliłaby mi odejść i odnaleźć Teresy, o której istnieniu nie wiedziała i nigdy się nie dowiedziała, nie wiedziała, dlaczego umiera, nie wiedziała nawet, że umiera. Pamiętam, że zauważyłem, iż w pozycji w jakiej zległa, uciska ją stanik i nawet błysnęła mi myśl, czyby go nie rozpiąć, żeby nie zostawił jej śladu. Już miałem to zrobić w chwili, gdy o tym pomyślałem, i nie zrobiłem tego. Myśl o tym błysnęła mi tak szybko, że nawet sobie tego w myślach nie wyobraziłem i dlatego tego nie zrobiłem („Umiejętność wyobrażania pozwala uniknąć wielu nieszczęść”, pomyślałem, „kto antycypuje własną śmierć, rzadko kiedy się zabija, kto antycypuje śmierć innych, rzadko kiedy morduje, lepiej mordować i zabijać się w myślach, nie powoduje to żadnych skutków i nie zostawia śladów, nawet dalekim gestem ramienia, które chwyta; wszystko jest kwestią dystansu i czasu, jeśli jest się nieco dalej, nóż trafia w powietrze zamiast w pierś, miast zanurzać się w ciemne lub białe ciało jedynie przeszywa przestrzeń i nic się nie dzieje, jego trajektorii nie oblicza się i nie rejestruje, nie ma jej, nie karze się intencji, tylokrotnie nieudane próby są przemilczane i negowane nawet przez tych, którzy są ich celem, bo po nich nic nie ulega zmianie, powietrze jest takie samo i skóra pozostaje nieotwarta i żywe mięso ciała nietknięte i nic się nie rozrywa, niczym nie grozi skotłowana poduszka, pod którą nie ma żadnej twarzy, a później wszystko jest takie jak przedtem, bo wzbieranie i uderzenie bez adresata i duszenie bez ust to za mało, by zmienić stan rzeczy i związków, i nie wystarczy powtórzenie ani upór, ani nieudane wykonanie, ani groźba”). Zabiłem ją, gdy spała, gdy odwrócona była do mnie plecami („Ranz zabił Sen” pomyślałem, „niewinny Sen, a przecież to pierś innej osoby nas osłania; tylko wtedy, kiedy ktoś jest za nami, za naszymi plecami, czujemy, że naprawdę mamy w kimś oparcie, ktoś, kogo nawet nie widzimy, a kto osłania nasze plecy swoją pierś, która niemal nas muska i w końcu zawsze nas muska; i gdy w środku nocy budzimy się z koszmarne snu lub nie możemy zasnąć spokojnie, gdy gorączka nas trawi lub wydaje nam się, że jesteśmy samotni i opuszczeni w

ciemnościach, wystarczy tylko się odwrócić i wtedy ujrzeć, tuż obok, twarz osoby, która nas osłania, która pozwoli nam obcałować wszystko, co w twarzy jest całowalne [nos, oczy i usta, podbródek, czoło i policzki, to cała twarz] albo, na wpół śpiąca, położy dłoń na ramieniu, żeby uspokoić lub podtrzymać, a może chwycić się nawet kurczowo). Nie opowiem ci jak, pozwól, że ci tego nie opowiem („Idź precz” pomyślałem, „albo czekaj no, albo zatłukę na śmierć, mojemu ojcu błyska myśl o czymś i w tej samej chwili to robi, ale być może powinien na chwilę się wstrzymać, by zastanowić się, czy noże w domu tną jak należy i są odpowiednio ostre, patrzy na uwierający stanik i podnosi następnie głowę, by przypomnieć sobie i pomyśleć o ostrzach, które tym razem nie trafiają w powietrze i nie trafiają w pierś, lecz w plecy, wszystko jest kwestią dystansu i czasu, a może to jednak jego duża dłoń obejmuje ładny kark i ściska go, i dusi, i rzeczywiście pod poduszką nie ma żadnej twarzy, bo na poduszce jest ta twarz, która nigdy już się nie odwróci; nogi wierzgają na łóżku, bosa i być może bardzo czyste, bo w domu już jest lub może lada chwila i zawsze, jeśli jesteśmy małżeństwem, zjawić się oczekiwany mężczyzna, ten, który może je zobaczyć albo popieścić, ten, na którego tak bardzo czekała; może ramiona trzepoczą i gdy się unoszą, widać pachy świeżo ogolone dla męża, który wraca i już jej nigdy nie dotyka, ale nie musi obawiać się żadnej, szpecącej, być może, jej tyłek fałdki na spódnicy, bo już umiera, ale bo i zdjęła spódnicę, leżącą teraz na krześle, na które mój ojciec również rzucił brudną koszulę, na sobie ma świeżą, jeszcze nie zapiętą, spłoną razem, brudna koszula i wyprasowana spódnica i być może Gloria, a może Miriam, a może Nieves, może Berta czy Luiza, zdoła odwrócić się i odwrócić twarz ostatkiem sił, na chwilę, i swymi krótkowzrocznymi i bezbronnymi oczyma widzi gęsto owłosiony trójkąt piersi Ranza, mojego ojca, równie owłosiony jak u Billa i u mnie, trójkąt tej piersi, która nas chroni i wspiera, być może Glorii skleiły się długie włosy, zmierzwiłone we śnie, w strachu albo w gorzkim żalu, i kilka pojedynczych włosów przecina jej czoło niczym niteczki zmarszczek przybywających z przyszłości, by ocienić je przez chwilę, chwilę

ostatnią, bo przyszłość ta nie będzie, nie dla niej, ani przyszłością konkretną, ani przyszłością abstrakcyjną. Za to w tej chwili ostatniej żywe mięso ciała zostaje tknięte albo skóra się rozrywa”).

„Jeśli nie ma pan ochoty, to proszę mi nie opowiadać”, powiedziała Luiza. „Jeśli nie ma pan ochoty, to proszę mi nie opowiadać”, powtórzyła Luiza i teraz odniosłem wrażenie, że niemal błagała, żeby jej tego nie opowiadano.

„Nie, nie opowiem, nie chcę ci tego opowiadać. Później zapiałem sobie koszulę i wyjrzałem przez balkon, nie było nikogo. Zamknąłem balkon, podszedłem do szafy, w której wisiały również jej pachnące i bezwładne tkaniny, założyłem krawat, marynarkę, byłem już spóźniony. Zapaliłem papierosa, nie pojmowałem, co zrobiłem, ale wiedziałem, że to zrobiłem, to dwie różne rzeczy, niekiedy. Do tej pory tego nie pojmuję, i nadal o tym wiem, jak w tamtej chwili. Jeśli nie ja to zrobiłem, to nikt tego nie zrobił, a ona nigdy nie istniała, dużo czasu minęło, a pamięć się męczy jak wzrok. Usiadłem w nogach łóżka, byłem cały mokry i bardzo zmęczony, bolały mnie oczy, jakbym przez kilka nocy pod rząd nie spał, pamiętam to, ból oczu, wówczas błysnęła mi myśl o czymś i zrobiłem to, znowu błysnęła i jednocześnie to zrobiłem. Położyłem zapalonego papierosa na łóżku i sprawdziłem, czy prześcieradło zajmuje się od żaru, po czym wykruszyłem żarzącą się główkę, tak by nie zgasić przy tym papierosa. Zapaliłem następnego papierosa, zaciągnąłem się trzy, cztery razy i też położyłem go na prześcieradle. To samo zrobiłem z trzecim, również i z niego odłupując delikatnie żarzący się popiół, żarzyły się więc i papierosy, i oderwane końcówki, trzy plus trzy żarzące się ogniki, sześć żarzących się ogników, paliło się prześcieradło. Patrzyłem, jak zaczynają wypalać dziury obrębione ognikiem („Przez parę sekund przyglądałem się jej”, pomyślałem, „jak rośnie i poszerza się krąg, plama czarna i jarząca się zarazem, która trawiła prześcieradło”), nie wiem”. Mój ojciec nagle urwał, jakby nie zakończył ostatniego zdania. Nic nie było słyhać przez minutę, prócz jego przyspieszonego i głośnego oddechu, oddechu

starego człowieka. Po czym dodał: „Zamknąłem drzwi do sypialni i wyszedłem, i zszedłem na ulicę, i zanim wsiadłem do samochodu, odwróciłem się, by spojrzeć z rogu ulicy na dom, wszystko wyglądało normalnie, noc już zapadła, zapadła gwałtownie, dym jeszcze się nie wydostawał („I nie zobaczy go nikt z wysoka”, pomyślałem, „z balkonu czy z okna, choćby stanął ktoś tuż pod nimi, jak Miriam, kiedy czekała, albo stary kataryniarz i Cyganka z warkoczem, by pracować w swoim fachu, albo jak Bill, najpierw, a później ja, pod domem Berty, jeden i drugi czekający, aż ten drugi sobie pójdzie, albo jak Custardoy w noc srebrzystego deszczu pod moim domem”). Ale to było dawno temu”, dodał Ranz głosem, w którym ledwie tliły się resztki jego normalnego, tego najbardziej dlań typowego, głosu. Zdało mi się, że usłyszałem trzask zapalniczki i brzęk, może poczęstował się oliwką, a Luiza przypaliła sobie papierosa. „A poza tym o takich rzeczach się nie mówi”.

Zapanowała na jakiś czas cisza, Luiza nic nie mówiła, mogłem więc sobie wyobrazić, że Ranz czeka nerwowo, z beczynnymi i splecionymi dłońmi, może siedząc na sofie albo rozparty na otomanie, albo w szarym, nowym i nader przyjemnym fotelu, w którego wyborze sam doradzał, przypuszczalnie. Nie w fotelu na biegunach, nie sędzę, nie w fotelu na biegunach mojej babci hawańskiej, która niewątpliwie myślała o swych córkach, o tej żyjącej i tej nieżyjącej, zameżnej jednej i drugiej, i może o zameżnej i nieżyjącej córce innej matki kubańskiej, kiedy śpiewała mi „Matulu, matulu, yen yen yen”, gdy byłem mały, by wzbudzić we mnie strach, krótkotrwały i zabawny w moim wypadku, kobiecy strach jedynie, strach córek i matek, i żon, i teściowych, i babć, i nianiek. Być może Ranz bał się, że Luiza, jego synowa, wykona gest, który oznaczałby „Idź precz” albo raczej „Precz z moich oczu”. Ale to, co Luiza wreszcie powiedziała, brzmiało:

„Czas pomyśleć o kolacji, jeśli jest pan głodny”.

Przyspieszony i głośny oddech Ranza ustał i usłyszałem, jak odpowiada, w moim mniemaniu, tonem ulgi:

„Nie jestem zbyt pewien, czy jestem głodny. Możemy, jeśli chcesz, udać się w stronę Alkalde, i na miejscu zadecydujemy, będziemy mieli ochotę, to wejdziemy, a jeśli nie, wówczas odprowadzę cię z powrotem, a później rozejdziemy się do swoich domów. Mam nadzieję, że nie będziemy mieli kłopotów z zaśnięciem tej nocy”.

Usłyszałem, jak wstają, a Luiza zbiera z grubsza to, co przedtem postawiła na stoliku, jednym z niewielu mebli, które kupiliśmy razem. Usłyszałem jej kroki kierujące się w pierw do kuchni, a następnie z powrotem i pomyślałem: „Teraz będzie musiała wejść tutaj, przebrać się albo coś wziąć. Mam ochotę ją zobaczyć. Kiedy już sobie pójdą, będę mógł umyć zęby i napić się wody, a może zostało jeszcze parę oliwek”.

Mój ojciec, w nałożonym już, bez wątpienia, płaszczu albo raczej narzuconym na ramiona, skierował się ku wyjściu i otworzył drzwi na klatkę.

„Gotowa?”, zapytał Luizę.

„Sekundkę”, odpowiedziała, „wezmę tylko chustkę”.

Usłyszałem zbliżające się obcasy, jej chód, jej kroki były mi dobrze znane, stukały o parkiet dużo dyskretniej niż metaliczne buty „Billa” o marmur czy buty Custardoya o każdej porze i na każdym miejscu. Te kroki nie utykały, nawet boso. Zaoszczędzone im będzie ociężałe pokonywanie szczebelków drabiny w poszukiwaniu nieznanych wkładów do pióra. I nie będą się nigdy wbijać w chodnik niczym noże sprężynowe, nie będą powłóczyć ostrym obcasem zwinnie i ze złością, nigdy nie będą jak ostroga i uderzenie siekierą. Nie, jeśli ma to ode mnie zależeć, a taką miałem nadzieję, to były kroki szczęśliwe. Zobaczyłem przez szparę jej dłoń na klamce moich drzwi. Zaraz wejdzie, zaraz ją zobaczę, nie

widziałem jej już trzy tygodnie, a osiem niemal nie widziałem jej tutaj, w naszym domu i w sypialni, i na naszej poduszce. Zanim jednak pchnęła drzwi, zwróciła się przez cały korytarz do Ranza, który z płaszczem narzuconym na ramiona stał pewnie wciąż przy drzwiach, czekając na windę.

„Juan przyjeżdża jutro. Mam mu wszystko opowiedzieć czy raczej mam mu nic nie mówić?”

Odpowiedź Ranza nadeszła szybko, ale słowa wydobywały się ociężale i z trudem, wypowiedane pordzewiałym i chrapliwym głosem, jakby przez przyłbicę:

„Byłbym ci wielce zobowiązany”, powiedział, „byłbym ci wielce zobowiązany, gdybyś zaoszczędziła mi trudu zastanawiania się nad tym, nie wiem, jak będzie lepiej. Pomyśl za mnie, jeśli nie masz nic przeciwko”.

„Proszę sobie nie zaprzętać tym głowy”, powiedziała Luiza i pchnęła drzwi. Nie zapaliła światła, dopóki nie zamknęła ich za sobą, na pewno od razu poczuła dym po moich papierosach. Leżałem wciąż, nie pocałowaliśmy się, wciąż było tak, jakbyśmy się jeszcze nie zobaczyli, wciąż jeszcze nie przyjechałem. Spojrzała na mnie kątem oka i kątem oka się uśmiechnęła, otworzyła naszą szafę i wzięła chustkę ze zwierzątkami Hermesa, którą przywiozłem jej z jakiejś dawnej podróży, kiedy jeszcze nie byliśmy małżeństwem. Ładnie pachniała, jakieś nowe perfumy, to nie był Trussardi, którego jej podarowałem. Miała zaspianą twarz, jakby bolały ją oczy, oczy Ranza, ładnie wyglądała. Założyła chustkę na szyję i powiedziała mi:

– Sam widzisz.

I natychmiast zdałem sobie sprawę, że tak brzmiało zdanie, które powiedziała mi Berta, gdy pojawiła się za mną w szlafroku i zobaczyłem ją za moimi plecami odbitą w ciemnym szkle kineskopu, gdy skończyłem oglądać wideo, które ona pewnie oglądała już wiele

razy i pewnie później jeszcze oglądała, i być może ogląda do dziś. Dlatego, jak sądzę, teraz też odpowiedziałem to samo. Wstałem. Położyłem Luizie dłoń na ramieniu. – Właśnie widzę – powiedziałem jej.

Teraz moje poczucie dyskomfortu przygasło i moje przeczucia nie są już aż tak katastroficzne, i choć jeszcze nie potrafię myśleć o przyszłości abstrakcyjnej jak przedtem, znowu zaczynam myśleć niespiesznie, błądzić myślami wokół tego, co ma nadejść albo nadejść może, zastanawiać się niezbyt konkretnie i bez większej dociekliwości, co też z nami będzie choćby jutro lub za pięć albo czterdzieści lat, czego w ogóle nie przewidujemy. Wiem, lub wydaje mi się, że o tym, co stać się mogło lub stanie się między Luizą a mną dowiem się nierychło, a może i tak się zdarzyć, że nie mnie dane będzie się dowiedzieć, ale moim potomkom, jeśli się ich doczekamy lub komuś całkiem nieznanemu i obcemu, którego, być może w ogóle nie ma jeszcze na tym świecie i, w odróżnieniu od innych, nie łąknie go, przyjście na świat zależy od jednego ruchu, gestu, od zdania wygłoszonego na drugim krańcu tego samego świata. Pytać i milczeć, wszystko jest możliwe, milczeć jak Juana Aguilera albo pytać i przymuszać jak jej siostra Teresa, albo nie robić ani jednego, ani drugiego, jak owa pierwsza żona, ochrzczona przeze mnie imieniem Gloria i która jakby nigdy nie istniała albo istniała trochę jedynie, i tylko dla swej swatającej matki, teściowej, pewnie już dawno zmarłej w niepokieszeniu na Kubie, wdowy i bez córki, pożarł ją wąż, w znanych mi językach nie ma słowa, które można byłoby przeciwstawić słowu „sierota”. Niebawem i tak przestanie już całkiem istnieć, kiedy przyjdzie pora na Ranza, a Luiza i ja będziemy w stanie wspominać jedynie to, co się nam przydarzyło i to, co sami uczyniliśmy, a nie to, co nam opowiedziano albo przydarzyło się innym lub inni uczynili (kiedy nasze serca nie będą tak białe). Czasami odnoszę wrażenie, że nie zdarza się nic z tego wszystkiego, co się zdarza, bo nic nie zdarza się nieprzerwanie, nic nie trwa i nie utrwała się, i niczego nie wspomina się bezustannie, i nawet najbardziej monotony i bezbarwny żywot sam siebie unicestwia i neguje w swej oczywistej powtarzalności doprowadzającej w końcu do tego, że nic nie jest już tym i nikt nie jest już tym, co przedtem, a

słabiutkie koło świata pchane jest przez zapominalskich, którzy słyszą i widzą, i wiedzą to, czego się nie mówi i co nie ma miejsca, i nie jest poznawalne ani sprawdzalne. Czasami odnoszę wrażenie, że to, co się zdarza, jest identyczne z tym, co się nie zdarza; to, co odrzucamy lub puszczamy mimo siebie, jest identyczne z tym, co bierzemy i chwytamy; to, czego doświadczamy identyczne z tym, czego nie próbujemy, a mimo to schodzi nam życie i przechodzi nam życie na wybieraniu i odrzucaniu, i dobieraniu, na wykreślaniu linii, która rozdzieliłaby to wszystko, co identyczne i uczyniła z naszej historii jedną jedyną historię, którą moglibyśmy pamiętać i opowiadać, od razu albo po jakimś czasie, i tym samym mogła zostać wymazana lub rozmazana; unieważnianie siebie takimi, jakimi się z czasem stajemy i tego, co z czasem robimy. Koncentrujemy całą naszą inteligencję i wszystkie nasze zmysły, i całą energię na mozolnym rozpoznawaniu tego, co zostanie, a może już jest zniwelowane, dlatego też pełno w nas wyrzutów i straconych okazji, poświadczeń i potwierdzeń, i okazji wykorzystanych, gdy w istocie nic się nie potwierdza i wszystko się traci. Nigdy nie ma całości, a może nawet nigdy niczego nie było. Tyle tylko, że jest również prawdą, iż niczemu czas nie upływa i wszystko gdzieś tam jest i czeka, aż pozwoli mu się na powrót, jak powiedziała Luiza.

Teraz zastanawiam się nad zmianą pracy, tak jak i Luiza, chyba oboje mamy już dość tych trwających po osiem tygodni wyjazdów, a nawet tych krótszych, są męczące i jednak trochę nas od siebie oddalają. Nie będę miał problemów, zważywszy, iż władam czterema językami oraz co nieco katalońskim, uczę się go, żeby wypaść elegancko, jedna z rozważanych możliwości wymagałaby ode mnie częstych rozmów telefonicznych z Barceloną. A sporo osób uważa, że mam ważne kontakty w organizacjach międzynarodowych i stykam się bezpośrednio z wysokiej rangi oficjelami. Nie będę ich wyprowadzał z błędu, choć się mylą. Z drugiej jednak strony nie zanadto przypada mi do gustu myśl, że będę teraz tkwił cały czas w Madrycie, wchodząc i wychodząc razem z Luizą, zamiast chodzić do

niej czy gościć ją u siebie, z pokojami, z windą i wejściem, należącymi do nas dwojga, ze wspólną poduszką (tak się tylko mówi, zawsze są dwie), o którą niekiedy zmuszeni jesteśmy walczyć przez sen i z której, tak samo jak osoba złożona chorobą, przyzwyczajamy się patrzeć na świat; i już nie pozostawiając naszym stopom żadnej możliwości zawahania się na mokrym chodniku, deliberowania czy zmiany wcześniejszego zamysłu, ani odżałowania, ani wyboru również: teraz już nie ma wątpliwości, że po wyjściu z kina albo po kolacji idziemy w to samo miejsce, w tym samym kierunku, po pustych już niemal i zawsze już wymytych ulicach czy tej akurat nocy chcemy tego czy nie, a może to ona wczoraj w nocy nie chciała? Tak wydawało mi się przez chwilę, ale idziemy dalej. Przypuszczam, mimo wszystko, że kierując nasze kroki (rozbrzmiewające nierównocześnie, bo to już cztery stopy pokonują drogę) razem w to samo miejsce, jedno myśli o drugim, w zasadzie, a przynajmniej ja tak robię. Sądzę, że mimo wszystko, nie zamienilibyśmy siebie za nic w tak przez nas łaknionym świecie, jeszcze nie wymogliśmy na sobie obustronnej abolicji czy wzajemnego unicestwienia osoby, którą każde z nas dotąd było i w której się zakochaliśmy, zmieniliśmy jedynie stan, a teraz nie wydaje się to czymś nadto groźnym ani nieobliczalnym: mogę powiedzieć *poszliśmy* albo *zamierzamy kupić pianino* albo *będziemy mieli dziecko* albo *mamy kota*.

Parę dni temu rozmawiałem z Bertą, zadzwoniła, a kiedy dzwoni, to znaczy, że czuje się trochę smutna albo zbyt samotna. Trudno mi będzie przebywać u niej całymi tygodniami, gdy całkiem zrezygnuję z pracy tłumacza, będę musiał dłużej zachowywać zdarzenia i anegdoty, które zawsze zamierzam jej opowiedzieć, dramatyczne lub zabawne, albo będziemy zmuszeni pisać listy, rzadko to robiliśmy. Zapytałem ją o „Billa”, potrzebowała paru sekund, żeby przypomnieć sobie lub skojarzyć osobę, był już dla niej kimś odległym, wyjechał z Nowego Jorku, tak sądziła, jeszcze nie wrócił. „No tak, już sobie przypominam”, powiedziała, „równie dobrze może się tu pojawić lada dzień”. Zrozumiałem, że nie miała o

nim żadnych wieści od momentu, gdy widzieliśmy, jak wsiadał do taksówki, ja z ulicy, ona ze swego okna. Ale możliwe, że znowu się pojawi, ma swoje powody, jeśli nazywa się Guillermo. Berta wciąż nawiązuje kontakty poprzez ogłoszenia, jeszcze się nie poddaje, ani nie rezygnuje całkowicie, powiedziała mi, że teraz zainteresowana jest dwoma osobnikami, których jeszcze nie poznała, „J de H” i „Truman” to inicjały jednego i pseudonim drugiego. Ożywiła się, mówiąc o nich, pełna była czułości, tak jak potrafią być czułe kobiety, kiedy żyją jakąś nadzieją i nie my rozbudzamy tę nadzieję, i nie mamy z nią nic wspólnego, przekazuje się ją nam jedynie; ale w trakcie rozmowy wyobraziłem ją sobie podczas jednej z tych chwil, kiedy półksiężyc na jej prawym policzku, jej blizna, ciemnieje, przybierając niebieską barwę albo fioletowosiną, wywołując u mnie wrażenie, że ma brudną plamkę. Może, pomyślałem (a pomyślałem, żeby nie zapeszyć), nadejdzie taki dzień, w którym podda się i całkiem zrezygnuje, i od tej pory półksiężyc będzie stale w jednym z tych kolorów. Berta jej imię, „BSA” jej inicjały, umorusana zawsze.

Z Custardoyem, jak na razie, jeszcze się nie widziałem, wiem, że będę go od czasu do czasu spotykał i, niemal zawsze, jak sądzę, dzięki mojemu ojcu, nawet kiedy mojego ojca już nie będzie; są obecności, które towarzyszą nam od dzieciństwa nieustannie i nigdy nie odchodzą. Nadal będzie łaknął świata, nadal będzie się rozdawał i opowiadał mało wiarygodne historie, które sam przeżył. Ale wolę o nim nie myśleć, i tak już o nim czasami myślę, nie chcąc tego wcale.

Jeszcze nie rozmawiałem z Ranzem o tym, czego wysłuchałem owej nocy, całkiem niedawno przecież, choć ta noc znacznie bardzo prędko się oddalać w tych zawrotnie szybkich czasach, które mimo to, tak jak każde inne czasy, potrafią zmieścić w sobie zawsze to samo, jedno życie niecałkowite albo może już w połowie przeżyte, życie każdego, moje własne życie albo Luizy. Możliwe, że nigdy nie będziemy rozmawiać, Ranz też pewnie nie wie, czy ja wiem, pewnie nawet nie zapytał Luizy, czy opowiedziała mi to w końcu, zawsze jest ktoś, kto czegoś nie wie albo nie chce wiedzieć i w ten sposób się

unieśmiertelniamy. Z tego, co widzę, odnoszą się do siebie tak samo jak przedtem albo bardzo podobnie, jakby tej nocy w ogóle nie było albo się nie liczyła. Tak jest lepiej, bardzo się szanują, a ona lubi go słuchać. Zupełnie czymś nowym jest to, że teraz sprawia na mnie wrażenie człowieka postarzałego nagle, już nie tak ironicznego, niemal starca, jakim nigdy dotąd nie był. Chodzi jakby bardziej niepewnie, oczy jego nie są już tak ruchliwe i błyszczące, i tak żarliwe, kiedy patrzą na mnie lub w ogóle patrzą, nie uwznioślają już tak osoby, którą mają przed sobą; jego kobiece usta, tak podobne do moich, zaczynają się deformować z powodu zmarszczek; jego brwi nie mają już sił, by tak ostro wyginać się w łuk; niekiedy wkłada ręce w rękawy płaszcza, jestem pewien, że z nastaniem zimy będzie już zawsze je tam wkładać. Widujemy się często, teraz, kiedy już wiem, że czeka mnie w Madrycie spokój, a ja biorę sobie urlop. Często jadamy razem obiady, z Luizą lub bez Luizy, w La Trainera, La Ancha, La Dorada, Alkalde, również w Nicolas, Rugantino, Fortuny, El Cafe i La Fonda, lubi zmieniać restauracje. Nadal opowiada mi znane lub nieznanne historie, ze swych zawodowo czynnych lat, z lat podróży i z lat w muzeum Prado, z lat stałych kontaktów z milionerami i dyrektorami banków, którzy już o nim zapomnieli, za stary, żeby mógł być dla nich użyteczny lub zabawny albo żeby do nich latać, bardzo bogaci ludzie chcą przyjmować u siebie i nie podróżują, by odwiedzić przyjaciela. Myślałem o tym, co Ranz opowiedział Luizie, a ja wysłuchałem po kryjomu, paląc w nogach mego łóżka. Choć o tym wszystkim zapomnę, ciągle jeszcze nie zapominam i kiedy teraz patrzę na mały portret mojej niemożliwej ciotki Teresy, który Ranz przechowuje u siebie, patrzę z nieporównywalnie większą niż dotąd, w dzieciństwie i w latach młodości, uwagą. Być może patrzę tak, jak się patrzy na fotografie tych, którzy już nas nie widzą, ani my ich widzieć nie możemy, wskutek złości lub nieobecności albo znużenia, portrety, które w ostateczności przywłaszczają sobie ich, rozwiewające się z czasem, rysy, fotografie zawsze zastygłe w jednym tylko i zapomnianym przez wszystkich dniu, wtedy kiedy je zrobiono; tak jak czasami patrzyły

moja babcia i moja matka ze znieruchomiałymi oczyma albo głupawym uśmiechem, gdy przerywały swój śmiech, z nieobecny spojrzeniem, nie mrugając powiekami jak przebudzona przed chwilą i niczego jeszcze nierozumiejąca osoba, tak pewnie patrzyła Gloria w ostatniej chwili, jej portretu brak, o ile zdołała odwrócić twarz; przypuszczalnie nie myśląc o niczym, nie wspominając nawet, czując żal albo zaprzeszy strach, żal i strach nie są ulotne, patrząc na twarze, które widziało się, jak dorastają, ale się nie starzeją, twarze pełno wymiarowe, które stały się płaskie, twarze w ruchu, z których widokiem w bezruchu nagle się oswajamy, i nie z nimi, ale z ich wizerunkiem, który je zastępuje, tak jak ja szykuję się, by patrzeć na mojego ojca, jak pewnego dnia Luiza przyzwyczai się patrzeć na mój portret, kiedy przed sobą nie będzie miała nawet połowy swego życia, moje zaś dobiegnie już końca. Choćby nikt nie znał porządku zmarłych, ani żywych, komu pierwszemu pisany jest żal albo komu wpierw strach. Mało istotne, wszystko jest przeszłością i nie zdarzyło się, a poza tym nie wiadomo. To, co usłyszałem owej nocy z ust Ranza, nie wydało mi się ani wybaczone, ani naiwne i nie wywołało u mnie nawet uśmiechu, ale, owszem, wydało mi się przeszłością. Wszystko nią jest, nawet to, co się właśnie dzieje.

Nie sędę, bym kiedykolwiek miał dowiedzieć się czegokolwiek o Miriam, chyba że dopięłaby swego i ktoś wy dostałby ją z Kuby czy z tej nowej Kuby, dla której szykuje się tyle planów, oby sprzyjało jej szczęście i pomocny przypadek. Sędę, że rozpoznałbym ją wszędzie, nawet gdyby nie miała na sobie tej swojej żółtej bluzki z zaokrąglonym dekoltem, ani swej obcisłej spódnicy, ani wysokich, wbijających się obcasów, i nie dźwigała ogromnej torebki zwisającej na zgiętej w łokciu ręce, a nie przerzuconej przez ramię, jak to dziś jest w zwyczaju, swej niezbywalnej torebki, która utrudniała jej zachowanie równowagi. Rozpoznałbym, nawet gdyby jej chód pełen był wdzięku i z butów nie sterczały jej pięty, i nie wykonywałaby gestów oznaczających: „Chodź no tu” albo „Mam cię”, albo „Zatłukę

na śmierć”. Nietrudno będzie o spotkanie Guillerma, tu w Madrycie, któregokolwiek dnia, na nieszczęście, wcześniej czy później wszyscy się wreszcie poznają, nawet ci, co przyjeżdżają spoza Madrytu i tu zostają. Ale jego nie mógłbym rozpoznać, nigdy nie widziałem jego twarzy, a głos i ręce to za mało, by kogokolwiek rozpoznać. Co jakiś czas w nocy, przed zaśnięciem, zaczynam, chcąc nie chcąc, myśleć o nich trojgu, o Miriam, o nim i jego chorej żonie, Miriam gdzieś daleko, a oni oboje, kto wie, czy nie w tym samym mieście, może na tej samej ulicy, albo i w naszej kamienicy. To prawie niemożliwe, by nie przypisać twarzy osobie, której głos kiedyś się słyszało i dlatego czasem przypinam mu twarz „Billa”, który nosił wąsy i jest to twarz najbardziej prawdopodobna, bo może jest to właśnie jego twarz, jego też mogę spotkać w tym dziwnie ruchliwym mieście; czasami z kolei wyobrażam go sobie jako aktora Seana Connery’ego, bohatera mojego dzieciństwa, który często w filmach nosi wąsy, co za wspaniały aktor; ale również pojawia się obleśna i koścista twarz Custardoya, który już to wąsy zapuszcza, już to goli, albo nawet i twarz Ranza, twarz z lat jego młodości, bez wątpienia z jego lat w Hawanie i późniejszych lat, kiedy wreszcie ożenił się z Teresą Aguilerą i udał się z nią w podróż poślubną; albo i moja własna twarz, twarz, która nie ma wąsów i nigdy ich nie miała, co nie oznacza, że nie zapuszczę ich pewnego dnia, kiedy będę starszy i nie będę chciał być w zasadzie podobny do mojego ojca tak jak teraz, tak jak teraz, a ja będę go w zasadzie przypominać. Przez wiele nocy czuję w łóżku piersi Luizy muskające moje plecy, czy nie śpimy oboje czy też sen nas morzy, ona chce być blisko. Będzie tam zawsze, tak przynajmniej powinno być i taki jest zamysł, choć tylu lat brakuje do tego, by nadeszło to zawsze, które, i nierzadko się nad tym zastanawiam, być może zmieni wszystko z upływem czasu, z upływem przyszłości abstrakcyjnej, a więc tej jedynie naprawdę ważnej, bo terażniejszość nie może jej ani zabarwić, ani przyswoić, a to, w chwili obecnej, wydaje mi się prawdziwym nieszczęściem. W takich chwilach chciałbym, żeby nic nigdy nie uległo zmianie, nie mogę jednak odrzucać całkowicie myśli, że za czas jakiś ktoś,

kobieta, której jeszcze nie znam, pewnego popołudnia zdoła mnie wypatrzeć, wściekła na mnie albo być może uspokojona tym, że wreszcie mnie spotkała, a jednak nic mi nie powie i tylko będziemy patrzeć na siebie albo stojąc obejmiemy się w milczeniu lub skierujemy się do łóżka, by tam się rozebrać, a może ona ograniczy się tylko do zdjęcia szpilek, ukazując mi swoje stopy, które umyła, nie przypadkiem przecież, zanim wyszła z domu, bo mogę je zobaczyć lub pieścić, a teraz pewnie będą zmęczone i obolałe od tak długiego czekania na mnie (podbicie jednej z nich przybrudzone od chodnika). Może ta kobieta uda się do łazienki i zamknie się tam na parę minut, nic nie mówiąc, żeby przejrzeć się i doprowadzić do ładu, i postarać się usunąć z twarzy wszystkie nagromadzone grymasy wściekłości i zmęczenia, i rozczarowania, i ulgi, zastanawiając się zarazem, jaki wyraz byłby teraz najodpowiedniejszy i korzystny, by wreszcie stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który zbyt długo kazał jej czekać i który teraz czeka, żeby wreszcie wyszła, i stanęła twarzą w twarz ze mną. Być może dlatego kazałaby mi czekać na siebie nazbyt długo, zamknawszy drzwi do łazienki, a może wcale nie taka będzie jej intencja, bo może będzie chciała jedynie popłakać sobie ukradkiem, tak dla uspokojenia, przysiadłszy na desce klozetowej albo na brzegu wanny, zdjąwszy, o ile nosić je będzie, szkła kontaktowe, wycierając i chowając przed własnym wzrokiem twarz w ręcznik, by po chwili, ukojona wreszcie, przemyć twarz, umalować się i doprowadzić do stanu, kiedy gotowa będzie już wyjść, jakby nigdy nic. Nie mogę również odrzucać myśli, że kobietą tą pewnego dnia będzie Luiza, ale nie ja tym mężczyzną i że mężczyzna ten zażąda od niej śmierci, i powie jej: „Albo on, albo ja”, i że tym „ja” nie ja będę wówczas, ale tym pierwszym. W tym jednak przypadku zadowolilibym się tym, by przynajmniej wyszła z łazienki, zamiast paść na zimną posadzkę z piersią tak białą i z sercem tak białym, i w pomiętej spódnicy, i z policzkami mokrymi od mieszaniny łez i potu, i wody, bo strumień z kranu rozbryzgiwałby się o umywalkę może, i na zimne już ciało pryskałyby zimne krople, krople niczym deszczowa kropla spadająca po burzy z okapu, w to

samo ciągle miejsce, by wpierw rozmiękczyć w tym punkciku ziemię, wreszcie wniknąć w nią, przeniknąć, wydrążyć otwór, a może nawet wyżłobić kanalik, a nie jak kropla z kranu, która znika w odpływie, nie zostawiając żadnego śladu na białym porcelicie i nie jak kropla krwi, która natychmiast tamowana jest czym popadnie, szmatą, bandażem albo ręcznikiem, a czasem wodą albo ręką, tylko ręką tego, który się wykrwawia, o ile jeszcze jest przytomny i nie zranił sam siebie, ręką, która podąża w stronę brzucha albo ku piersi, by zatkać otwór. Kto za to sam na siebie podniósł rękę, nie ma ręki i potrzebuje kogoś, kto by go chronił i wspierał. Ja ją chronię i wspieram.

Luiza czasem podśpiewuje w łazience, podczas gdy ja przypatruję się jej, jak się szykuje, oparty o framugę drzwi, które nie są drzwiami do naszej sypialni, jak leniwe dziecko lub chore, patrzące na świat ze swej poduszki, albo nie przekraczając progu i z tego właśnie miejsca słucham tego kobiecego śpiewu przez zęby, który nie jest śpiewany, aby go ktoś słuchał, ani tym bardziej tłumaczył na żywo lub przekładał na piśmie, tego śpiewu bezwiednego i bez adresata, śpiewu, którego się słucha i uczy się, i już się nie zapomina. Tego śpiewu wbrew naturze każdego wydanego dźwięku i niemilkącego, i nierozpływającego się po wyśpiewaniu go, kiedy następuje po nim cisza młodości, a może to już wiek męski.

Październik, 1991